



WA  
PUBLISHING  
INTERNATIONAL



**LOTTE I SØREN  
HAMMER**

# **NIEGODZIWCY**

PRZEKŁAD SYLWIA SCHAB

**LOTTE I SØREN  
HAMMER**

**NIEGODZIWCY**

PRZEKŁAD SYLWIA SCHAB





Tytuł oryginału: *Svinehund*

Przekład z języka duńskiego: Sylwia Schab

Copyright © Lotte Hammer Jacobsen, Søren Hammer Jacobsen, 2022

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen  
2022

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Małgorzata Poździk

Korekta: Zuzanna Szatanik i Anna Woś

ISBN 978-87-0235-167-5

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S | Klareboderne 3 | DK-1115  
Copenhagen K

[www.gyldendal.dk](http://www.gyldendal.dk)

[www.wordaudio.se](http://www.wordaudio.se)

<tel:691962519>

# Spis treści

[Okladka](#)  
[Tytułowa](#)  
[Redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)  
[Rozdział 51](#)  
[Rozdział 52](#)  
[Rozdział 53](#)  
[Rozdział 54](#)  
[Rozdział 55](#)  
[Rozdział 56](#)  
[Rozdział 57](#)  
[Rozdział 58](#)  
[Rozdział 59](#)  
[Rozdział 60](#)  
[Rozdział 61](#)  
[Rozdział 62](#)  
[Rozdział 63](#)  
[Rozdział 64](#)  
[Rozdział 65](#)  
[Rozdział 66](#)  
[Rozdział 67](#)  
[Rozdział 68](#)  
[Rozdział 69](#)  
[Rozdział 70](#)  
[Rozdział 71](#)  
[Rozdział 72](#)

# Prolog

Mężczyzna rzucił ostatnie polana na stos, po czym wyprostował się i przyciskając dłonie do krzyża, odchylił się kilka razy, by złagodzić nagły ból pleców. Przywykł do pracy fizycznej, więc te kilka godzin, które spędził w polu, napełniając dół, nie wydawało mu się niczym wielkim, a biorąc pod uwagę całodzienny wysiłek, nieznaczny ból mięśni nie był niepokojący. Po prostu go dziwił.

Z trudem podniósł ostatni pojemnik z naftą i wylał jego zawartość na polana, których górna warstwa zrównała się z krawędzią wykopu. Około piętnastu kubiaków dobrze wysuszonego drewna bukowego z niewielką domieszką wiązu, kasztanowca i brzozy oraz młodej śliwy z czerwono-brunatną korą po stronie słonecznej, a zielonkawą po zacięniejszej - ocenił okiem znawcy. Do tego trzydzieści jeden worków węgla - liczba, którą wbił sobie do głowy, zanim zaczął pracę, rachując następnie worek za workiem, w miarę jak je przynosił, dzięki czemu czynność ta nie wydawała mu się nazbyt monotonna. Zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że jego tarczę pokrywa zakrzepła krew i zasłania obie wskazówki. Tak samo jak ostatnim razem, gdy sprawdzał godzinę. Rozdrażniony zdjął zegarek i rzucił go na stertę drewna, po czym zaczął się przyglądać ciemniejącemu niebu. Chmury na zachodzie wisiały nisko, rozświetlał je karmazynowy blask wieczornego słońca, a leżące na skraju pola jezioro było szare i ledwie widoczne. Nadciągała burza.

Z plecaka wyjął ubrania na zmianę i plastikowy worek z wilgotnymi jednorazowymi ściereczkami. Odślonił swój żylasty tułów i chociaż szybko marzył, dotyk szmatki na skórze okazał się przyjemny, gdy metodycznie przystąpił do mycia. Szczególnie starannie wycierał ręce i głowę, gdzie pył węglowy osadził się najmocniej i mógł przyciągać uwagę, dlatego pożałował, że nie wziął ze sobą lusterka. Uśmiechnął się smutno do zmięzchu. Zazwyczaj nie przywiązywał wagi do swojego odbicia w lustrze, ale ten dzień był wyjątkowy. Może właśnie dziś, na tym opuszczonym przez Boga zelandzkim ściernisku, mógł myśleć o sobie z odrobiną dumy; a może nawet zrzucić z siebie to idiotyczne przezwisko. Wszyscy nazywali go Drzewołazem. Niewiele było takich, prawie nikt, którzy znaliby jego prawdziwe imię - imię z czasów, gdy jeszcze komuś na nim zależało i jemu zależało na kimś. Aż... przestało tak być.

Powrót myślą do krainy dzieciństwa został ukarany - ból pleców przeniósł się na pośladki i dalej na uda jak złowieszczy świąd. Zignorował go, koncentrując się na zmianie ubrania. Strój roboczy porzucił na stosie drewna. Skończywszy, poczuł słodcz zemsty rozchodzącą się po ciele. Oprócz jednej nieprzewidzianej sytuacji, którą zachował dla siebie i tym samym zdecydował się zająć tym później na własną rękę, co do joty wykonał zadanie. Teraz była kolej pozostałych.

Wyciągnął zapalniczkę, pochylił się i podpalił stos. Nafta od razu się zajęła, płomień buchnęły gwałtownie, zmuszając go do odskoczenia. Przez chwilę grzał się w ciepłe ogniska, ale jego wrodzona niechęć do ognia wkrótce zwyciężyła.

Zmierzchające niebo rozdarła błyskawica. Odwrócił się spokojnie i zaczął je obserwować; burza nadeszła szybciej, niż się spodziewał. Znad uskoku po lewej, gdzie las opadał ku jezioru, wiatr przyganiał ciężkie chmury. Wyglądało to tak, jakby rozwarły się piekielne czeluści, by oswobodzić ciemne moce. I znów błyskawica, a po niej kolejna czarna chmura wyłaniająca się znad uskoku. Lunął deszcz. Wielkie, napastliwe krople, tysiące ostrych strzał odbijających się rykoszetem od powierzchni pola, podbijających grudki ziemi spomiędzy sztywno sterczących ścierni. Potężnie, oczyszczająco, sprawiedliwie.

Przez chwilę z niepokojem spoglądał na ognisko, jednak woda nie zdołała zagaścić ognia, jedynie trzymała języki płomieni na wodzy. Odwrócił się i nie oglądając się za siebie, zdecydowanym krokiem podążył w stronę lasu. Wkrótce zniknął w mroku.



# Rozdział 1

W poniedziałkowy ranek białymi, wełnistymi smugami kraj spowiała mgła. Dwoje dzieci przemierzających szkolny dziedziniec widziało nie dalej niż na metr. Szły na pamięć, ostrożnie i badawczo stawiając kroki. Chłopiec trzymał się z tyłu, pod pachą ścisnął szkolny plecak. Nagle przystanął.

- Nie idź tak szybko!

Dziewczynka też się zatrzymała. W jej włosach zgęstniała mgła. Otarła krople z czoła i cierpliwie czekała, aż młodszy braciszek upora się z włożeniem plecaka. Odezwwał się po turecku; nieczęsto używał tego języka, a prawie nigdy w rozmowie z nią. Teraz mocował się z szelkami. Dziewczynka podeszła bliżej, ale mu nie mogła. Gdy plecak był już na swoim miejscu, chłopiec wziął ją za rękę, a ona się rozejrzała - wokół były tylko mgła i mrok.

- Zobacz, co narobiłeś - powiedziała.

- Co narobiłem? - zapytał cieniutkim głosikiem i mocniej ścisnął jej rękę.

- Wszystko jedno. I tak tego nie zrozumiesz.

Wybrała kierunek na chybił trafił i nie widząc wiele, zrobiła kilka kroków; po chwili znów przystanąła. Chłopiec do niej przylgnął.

- Jesteśmy zgubieni?

- Głupek.

- U mamy się świeciło.

- Tu też zaraz będzie światło.

- A co znaczy „zgubieni”?

Nie odpowiedziała. Starła się przekonać samą siebie, że nie ma się czego bać, że szkolny dziedziniec nie jest taki duży i że po prostu muszą iść dalej.

- Nie wolno nam chodzić z obcymi. Cokolwiek by się działo, nie wolno nam chodzić z obcymi. Prawda?

Był bliski płaczu; dziewczynka ciągnęła go za sobą, stawiając kolejne niepewne kroki. Nagle dostrzegła słabe światełko migoczące z przodu i ruszyła w jego stronę.

Gdy dotarli do głównego wejścia, chłopiec puścił jej rękę i spieszenie wszedł do budynku, zapominając, że jeszcze kilka minut temu był bliski płaczu.

Chwilę później spotkali się na korytarzu do sali gimnastycznej. Dziewczynka czytała, siedząc na ławeczce, a on przybiegł z piłką w dłoniach.

- Pograsz ze mną? Tak dobrze grasz.

- Powiesiłeś kurtkę jak trzeba i porządnie ustawiłeś plecak?

Otworzył szeroko oczy i gorliwie pokiwał głową, starając się wyglądać jak ucieleśnienie wiarygodności.

- Idź na górę i zrób to.

Bez protestu czmychnął na schody, ale wkrótce znowu się pojawił i prosił, by z nim zagrała.

- Najpierw muszę skończyć czytać. Ty zacznij, a ja zaraz przyjdę.

Chłopiec sceptycznie zerknął na książkę. Była gruba.

- Ale za chwilę przyjdiesz?

- Jak skończę ten rozdział. Idź tam i pobaw się sam. To nie potrwa długo.

Chłopiec zniknął za drzwiami. Po chwili dziewczynka usłyszała dochodzący z sali gimnastycznej odgłos odbijania piłki; pochyliła głowę nad lekturą, od czasu do czasu zamykała oczy i wyobrażała sobie, że znajduje się w opowieści, którą czyta.

Brat znów jej przerwał.

- Nie mam gdzie grać - zawołał z sali.

- Dlaczego nie?

- Bo tu wiszą jacyś panowie.

- To ich omijaj.

Chłopiec nagle wyrósł przed nią. Nie słyszała jego kroków.

- Nie podobają mi się ci panowie.

Dziewczynka kilka razy badawczo wciągnęła powietrze.

- Puściłeś bąka?

- Nie, ale nie podobają mi się ci martwi panowie. Są pocięci.

Podirytowana wstała i poszła do sali gimnastycznej. Chłopiec szedł tuż za nią.

Na podwieszonych do sufitu linach wisiało pięciu mężczyzn. Byli nadzy i wisieli twarzami do wejścia.

- Obrzydliwi, co?

- Obrzydliwi - odpowiedziała i zamknęła drzwi.

Potem objęła brata ramieniem.

- Nie będziemy grać w piłkę? - zapytał.

- Nie, nie teraz. Poszukamy kogoś dorosłego.

## Rozdział 2

Szef policji kryminalnej inspektor Konrad Simonsen cieszył się urlopem. Siedział w domku letniskowym, w pokoju widokowym, palił czwartego tego rana papierosa, sączył czwartą kawę, gapiąc się przez panoramiczne okna na przepływające po niebie stratusy, i nie myślał o niczym.

Wysportowana młoda kobieta weszła do pokoju po porannym biegu, zdjęła buty i skarpetki, nie słyszał więc jej kroków i dlatego wzdrygnął się, gdy zaczęła mówić. Poza tym był przyzwyczajony do samotności.

- Ojej, tato. Mógłbyś tu chociaż trochę przewietrzyć.

Miała na myśli dym papierosowy, który ciężko wisiał w powietrzu. Otworzyła na oścież drzwi na taras, wpuszczając do środka morską bryzę, która potargała jej jasne loki. Przytrzymała drzwi, póki nie uznała, że najgorszy smród został przepędzony, po czym zablokowała je klinem. Potem ciężko opadła na fotel naprzeciwko ojca, nie martwiąc się, że gazeta przytrzymywana gumką spodni joggingowych bardzo się przy tym pogniotła.

- Witaj o poranku, byłaś aż w Blokhus? Niezła trasa.

- Jaki poranek, jest już przedpołudnie, śpiochu! Tak, byłam w Blokhus. A to wcale nie tak daleko.

Łakomie wskazał na gazetę.

- To dla mnie?

Odpowiedziała mu z ironią, ale bez kąśliwości:

- Dziękuję ci, kochana córeczko, że zrobiłaś mi kawę.

- Dziękuję ci, kochana Anno Mio, że zrobiłaś mi kawę.

Wyciągnęła gazetę zza paska, ale jej wzrok padł na popielniczkę; surowość jej spojrzenia uprzedziła go o tym, co miało nastąpić za chwilę. Oskarżycielsko wskazała na niedopałki, a jej bornholmski akcent stał się wyraźniejszy:

- Cztery papierosy przed śniadaniem.

- No ale przecież mam wolne! Na urlopie nie obowiązują te same zasady.

Mógł sobie darować tę wymówkę.

- Palisz o wiele za dużo, pijesz też niemało, niezdrowo jesz, a stwierdzenie, że masz nadwagę, będzie już wkrótce uprzejmością.

Bez przekonania podjął próbę obrony.

- W pracy prawie nie palę, tylko wieczorami, i to umiarkowanie, więc na urlopie mogę sobie palić, ile mi się żywnie podoba.

- Taa, pomijając to, że kłamiesz, brzmi to całkiem rozsądnie.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zerknął w stronę gazety, która zniknęła z jego zasięgu. W poważnym głosie córki zabrzmiał jeszcze jeden nieprzyjemny ton:

- Dobrze wiesz, że jesteście mi winien piętnaście lat, prawda, tato?

Zabolała go ta uwaga; dobrze znane poczucie, że był kiepskim rodzicem, przebudziło się z drzemki. Przez ostatnie trzy lata trwało uśpione - od tego szczęśli-

wego majowego wieczoru, kiedy zjawiła się na progu jego domu i wyjaśniła, że przyjechała na tydzień do Kopenhagi i że najpraktyczniej i najtaniej będzie, jeśli zamieszka u niego. Słowa wypowiedziane jak coś najbardziej oczywistego pod słońcem. Wkroczyła do jego mieszkania i do jego życia – nieznaną mu szesnastolatka, urocza jak iskierka, istniejąca naprawdę... Jego córka.

Poza poddaniem się i żywieniem nadziei na ułaskawienie nie mógł wiele zrobić; właściwie słowa nie przychodziły do głowy. Przepraszenie wydawało mu się głupie, a łatwiej było obiecać, że się poprawi i zacznie prowadzić zdrowy tryb życia, niż słowa dotrzymać. Ponadto z natury był powściągliwy i nie zwierzał się ze swoich odczuć. Usiłował przyrzekać bez zbytniego zapału, ale rozchmurzyła się i zmieniała temat:

- Jeszcze do tego wrócimy, tato. Powiedz, przyzwyczaiłeś się już do tutejszych wygod? A tak w ogóle to Nathalie całkiem elegancką chatę tu postawiła.

Ten temat także był grząski, choć nie tak osobisty i gdyby nie wiedział, że jest inaczej, mógłby podejrzewać, że celowo zaczęła o tym mówić, gdy on zmuszony był się bronić. Ona po prostu taka nie była; to on traktował rozmowy jak strategiczne gry, w których jedno przegrywa, a drugie zwycięża – przyzwyczajenie, które zbyt łatwo kładł na karb choroby zawodowej po latach prowadzenia przesłuchań. Nie chciał dać się sprowokować.

- Tak, ładnie tu.

- Dlaczego się tak przedwczoraj zezłościłeś, kiedy tu przyjechaliśmy?

- Ponieważ Hrabianka jest moją podwładną i trochę mnie to wszystko przytłoczyło.

- Przecież wiedziałeś, że to jej dom.

- Tak, moja droga panienko, wiedziałem, ale nie spodziewałem się takiego standardu. Każdy właściciel, choćby najzamożniejszy, chętnie by zarobił na tej luksusowej chatce, a my wynajmujemy ją za grosze, co jest nieetyczne i z pewnością także nielegalne.

- Jest bogata, no i co z tego? Poza tym sam sobie możesz być „panienką”.

- A w lodówce są zapasy na rok.

- Nie zostajemy tu na rok, tylko na dwa tygodnie, ale jak nie chcesz, to nie jedz. Nic ci się nie stanie, jeśli nieco nadwątlisz swoje zapasy tłuszczu.

- Żadnego jedzenia, picia, palenia... Co jeszcze?

Udała, że go nie słyszy, i dalej się z nim drażniła:

- A wiedziałeś, że taras wyłożony jest ręcznie malowanym włoskim gresem, a marmur w korytarzu to luksusowe płytki Ølandsbrud?

- Skąd wiesz?

- Oczywiście od Nathalie.

Nikt poza nią nie używał imienia Hrabianki i dlatego dziwnie to brzmiało. Nazywała się Nathalie von Rosen, ale wszyscy, włączając ją samą, określali ją mianem Hrabianki.

- Byłaś tu wcześniej?

- Tak, jasne.

- Coraz gorzej to brzmi.

- Pewnie więc uznasz, że jest jeszcze gorzej, jak ci powiem, że mam dla ciebie prezent.

- Prezent od kogo?

- Od Nathalie, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli z nim trochę zaczekam.

Jego zdezorientowana mina nie była udawana.

- Oj, tato, czasami jesteś taki zakręcony. Nie tak trudno to zrozumieć. Moim zdaniem bardzo się jej podobasz i gdybyś tylko się postarał, no i zrzucił jakieś piętnaście, dwadzieścia kilo, mógłbyś nawet niezłe się ożenić.

Szybkie odgłosy stawiania bosych stóp na zabejcowanych na biało sosnowych deskach podłogowych wypełniły pokój i zanim zdążył skomentować jej absurdalny pomysł, już jej nie było.

Prezent od Hrabianki był absolutnie wyjątkowy. Anna Mia przysiadła na podłokietniku fotela jak mała salonowa małpka i nie odrywała oczu od jego dłoni odpakowujących paczkę. Aron Nimzowitsch, *Mein System*, wydanie oryginalne z 1925 roku, z dedykacją samego mistrza - prawdziwa perełka, która przez chwilę niemal wprawiła go w ekstazę. W tym czasie Annie Mii udało się przeczytać załączoną do prezentu karteczkę.

- Co ma na myśli, pisząc „Dziękuję za pomoc”?

Odwrócił kartkę, ale poniewczasie.

- Słuchaj, czy ty naprawdę jesteś taka niewychowana? Nie czyta się, do cholery, cudzej korespondencji.

- Ja czytam. W czym jej pomogłeś?

- Nie twoja sprawa!

Przez chwilę milczeli, ona siedząc na oparciu fotela, on w fotelu.

- Powiedz mi, jak dobrze wy się właściwie znacie?

- Kto? Ja i Nathalie?

Jej niewystudiowana obojętność była nad wyraz czytelna.

- Tak, jasne.

- Nie twoja sprawa.

Wyrównali rachunki.

Po chwili Anna Mia była już bardziej skora do wyjaśnień:

- Nie znam Nathalie szczególnie dobrze i niczego nie knułyśmy za twoimi plecami. Nie za wiele w każdym razie, a że przyjechałam tu wcześniej, to czysty przypadek. Wpadliśmy na siebie latem w Skagen i Nathalie zaprosiła mnie na lunch. Wiem też, kiedy jej pomogłeś. W trakcie rozwodu, prawda?

Ociągał się z odpowiedzią.

- Trochę rozmawialiśmy.

Czule pogłaskała go po czubku głowy, przesuwając dłoń do granicy włosów.

- Tato, przypuszczam, że naprawdę zasłużyłeś na tę książkę. Spraw mi przyjemność i chociaż ten jeden raz nie mów o pieniądzach. Nathalie na pewno nie oczekuje niczego w zamian za swoje prezenty, po prostu taka nie jest. I dobrze o tym wiesz.

- To prawda. Ale zasady...

- Może jesteś zbyt zasadniczy w pewnych kwestiach.

Anna Mia wstała i podeszła do jednego z okien. W tym czasie on ostrożnie, niemal nabożnie, kartkował książkę.

- Wezmę prysznic, a ty w tym czasie pomyśl, co będziemy dzisiaj robić.

- Tak, tak, jasne.

Musiąca go zawołać dwukrotnie, zanim wstał i do niej podszedł. Nawet nie uważał kolejnej zmiany jej nastroju. Myślami był w trakcie partii szachów.

- Masz włączoną komórkę? - zapytała.

- Nie, przecież ustaliliśmy, że odcinamy się od świata zewnętrznego. Dlaczego pytasz?

Podnosząc się, popatrzył na szachowy diagram zamieszczony w książce, potem wyjrzał przez okno i zbałał wzrokiem horyzont. Pofałdowany, wydmy krajobraz rozpostarł się przed nim na kształt nieregularnych, zwietrzałych wzniesień, lśniących jasnych po stronie słonecznej, ciemnoszarych i mrocznych po cieniejszej; niektóre z nich były zawłaszczane przez krzaki róży, inne podtrzymywane przez wydmuchrzycę. W oddali dostrzegł Morze Północne z białą połyskującymi grzywami fal, a wysoko w górze - stado gęsi gęgaw lecących na południe wzdłuż linii brzegowej. Nagle poczuł, że Anna Mia go przytuliła, jej głowa ciężko opadła na jego plecy. Zawstydenie sprawiło, że zamarł, jej młodość go obezwładniała. Nie poruszył się jednak, a po chwili Anna Mia powiedziała:

- Tato, jadą po ciebie.

Dopiero teraz to dojrzał. Obrzydłe ciało obce, niespiesznie wijące się krętą drogą przez wydmy - radiowóz.

## Rozdział 3

Niecałe cztery godziny później Konrad Simonsen stał w budynku szkoły Langebæk w Bagsværdzie, gapiąc się na strugi deszczu. W krzakach za placem zabaw treser szkolił psa, za pomocą gestów i okrzyków wydając zwierzęciu komendy; od czasu do czasu przywoływał go do siebie, by go pochwalić i poklepać. Do tresera dołączyła młoda kobieta z plastikową torbą na głowie, zawiniętą jak prowizoryczna chusta; przez jakiś czas obserwował gestykulację funkcjonariusza, póki powiew wiatru nie sprawił, że szyba spływała strugą wody, zniekształcając obraz. Skierował wzrok w stronę korytarza. Ściany mieniły się odcieniami żółci, były odrapane i brudne; linoleum na podłodze zaś dziurawe i przypominało tor przeszłości; tu i ówdzie wisiały różne, mniej lub bardziej udane prace plastyczne, najbliżej niego – wykonana z pozwijanego stalowego drutu i mocno zakurzonych puszek po coli.

Z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Do cholery, Hrabianko.

Powiedział to do stojącej za nim kobiety, która rozmawiała przez telefon komórkowy. Nie złościł się, ale chciał podkreślić absurd tego, że został odebrany jak jakaś paczka ekspresowa i przerzucony na drugi koniec kraju po to tylko, by tu stać i bezproduktywnie gapić się na smętną październikową aurę. Nie wiedział wiele o śledztwie, które miał prowadzić, nie miał pojęcia, gdzie skierować kroki.

W reakcji na jego wybuch kobieta przykryła telefon dłonią.

– Cześć, Simon. Szkoda twoich wakacji, ale kilka dni przecież mieliście. Mam nadzieję, że Anna Mia nie była bardzo rozczarowana. Za chwilę przyjdzie Arne i poda ci najnowsze informacje.

Uśmiechnęła się i wróciła do rozmowy telefonicznej, zanim zdążył odpowiedzieć. Bezwiednie odwzajemnił jej uśmiech i pomyślał, że Hrabianka ma ładną zęby. Rozluźnił mięśnie brzucha, pozwalając mu opaść, i znów wyjrzał przez okno, za którym nadal roztaczał się przygnębiający widok. Hrabianka nie zakończyła rozmowy, co odczytał jako nieprzyjemny znak tego, że wydział zabójstw, gdy już nadejdzie ten dzień, bez większego żalu pożegna obecnego szefa.

A może jednak nie. Konrad Simonsen jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie Hrabianki – założył, że konsultuje się z jednym z techników – i coś go zaniepokoiło. Zdradziła ją lekka egzaltacja w głosie oraz formułowanie problemów na takim poziomie uszczegółowienia, który nie pasował do obecnego etapu śledztwa. Kiedy niemal co do słowa powtórzyła już wcześniej zadane pytanie, chwycił ją za rękę, w której trzymała telefon, i ostrożnie skierował ją w dół. Przerwała rozmowę, nie zakończywszy jej.

– Kiedy ostatnio coś jadłaś?

– Nie jestem pewna, jakiś czas temu. Która jest?

Doskonale znał ten stan, wiedział także, że to przejściowe. Każdy ze śledczych od czasu do czasu pracował nad sprawami, które go osobiście dotykały; trudno było sobie z nimi poradzić. Osadzające się w mózgu nieprzyjemne obrazy, których nie dało się wymazać. Ta sprawa najwyraźniej ją poruszyła. On sam najgorzej znośił dochodzenia, w których ofiarami były dzieci, ale to akurat dotyczyło większości policjantów. I on rzecz jasna jeszcze nie był w sali gimnastycznej. Odsunął od siebie tę myśl i skoncentrował się na chwili obecnej.

- Jedź do miasta i coś zjedz. Wróć za godzinę.

- Nie jestem głodna.

- To jest rozkaz, Hrabianko. I wyłącz telefon.

Skinęła głową, w wyrazie jej oczu dostrzegł jednak niezrozumienie. Zwykle zachowywała stoicki spokój; ona, która nie dawała się porwać emocjom, kiedy wszyscy inni popadali w skrajności. Obróciła się, a nagle światło dzienne padło na jej twarz pod innym kątem. Dostrzegł teraz, że jej cera dopasowała się barwą do popielatoszarych włosów.

- To ohydna sprawa, Simon. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- Myślę, że nikt z nas nie widział.

- Zajrzeliśmy tam z Arnem i... Cholera, to było odrażające.

- Taaa, okej. A teraz stąd zmykaj, nie mam czasu, żeby cię niańczyć.

Komentarzowi towarzyszył uśmiech, który miał złagodzić jego ostrość. Udała, że tego nie dostrzegła; poza tym nie ruszyła się z miejsca. Zastanawiał się, czy jej nie przytulić lub chociaż nie położyć ręki na jej ramieniu, ale porzucił tę myśl; takie gesty nie były w jego stylu. W końcu powiedziała:

- Za chwilę już będzie ze mną lepiej.

- Wiem. Na razie.

Odeszła.

\*

Szkolną pracownię nauki czytania przekształcono w tymczasowe centrum dochodzeniowe. Dwa regały, z których książki przełożono na parapet, stały teraz puste, a na stole znajdującym się pośrodku pomieszczenia leżała paczka papieru i pudełko z ołówkami. Na ciemnozielonej tablicy szkolnej powieszono nową, białą, więc do wyjaśniania sprawy można było używać mazaków zamiast kredy. Na jednej ze ścian znajdowała się plansza z planem szkoły. Powieszono ją na łapu-capu i w rezultacie była żałośnie wykoślawiona.

Z lekko przekrzywioną głową Konrad Simonsen zaczął studiować plan, a Arne Pedersen wykorzystał okazję, żeby wytrzeć siedzisko swojego krzesła. Jego spodnie już i tak były poplamione w dwóch miejscach, a on nie chciał pogarszać ich stanu.

- Jaki miałeś lot?

- Nieprzyjemny.

- A jak domek letniskowy? Odzyskasz opłatę?

- Nie sądzę.

Krzesła, które pamiętały lepsze czasy, niebezpiecznie zatrzęszczały pod ciężarem mężczyzn. Simonsen oparł łokieć o blat i zwięzłe zapytał:



- Jak z tobą?

Pedersen nie był zaskoczony.

- Lepiej, ale na początku było nie najweselej. Dwa razy puściłem pawia, a to nie zdarzyło mi się od lat. To znaczy w ogóle nie, ani raz, ani dwa razy.

- Ale już jest dobrze?

- No wiesz, tak jest, gdy w sprawie w jakiś sposób uczestniczą dzieci.

- Arne, odpowiedz: już w porządku?

Pedersen spojrzał mu w oczy.

- Jest dobrze.

- Okej, to zdaj mi raport: przebieg, zasoby i stan obecny.

Jego słowa zabrzmiały bardziej bezpośrednio i rozkazująco, niż sobie tego życzył, ale nadal był poirytowany długim czekaniem i teraz chciał, żeby fakty przedstawiano mu bez zbędnego owijania w bawełnę. Jego dyspozycja wywołała natychmiastowy odzew. Pedersen bez emocji, szczegółowo i po kolei omówił sprawę, poczynawszy od matki Turczynki, która około godziny szóstej piętnaście pożegnała się z dziećmi przy stojakach rowerowych na prawo od wjazdu do szkoły.

- Dzisiaj jest pierwszy dzień po feriach jesiennych i szkoła jest otwarta. Dwoje dzieci idzie do swoich klas, przebiera się w szatni, po czym spotyka się przy sali gimnastycznej w skrzydle B, żeby pograć w piłkę. W sali odkrywają pięć ciał. Dziewczynka, starsza z rodzeństwa, bezskutecznie szuka dorosłego, nikogo nie znajduje, więc dzwoni na numer sto dwanaście z telefonu w pokoju nauczycielskim. Zostaje przekierowana na posterunek policji w Gladsaxe. Zgłoszenie przyjęto o szóstej czterdzieści jeden. Oficer dyżurny... Moment...

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę; wreszcie odezwał się Simonsen:

- Nazwisko jest nieistotne, ale powiedz, czy te dzieci nie przyszły za wcześniej? Wydawało mi się, że lekcje zaczynają się o ósmej.

- No właśnie, też się zdziwiłem, więc zapytałem dyrektora. Okazuje się, że jest grupa dzieci, które przychodzą do szkoły na długo przed rozpoczęciem zajęć. Wszystkie szkoły znają ten problem. Niektórzy z rodziców chcą w ten sposób oszczędzić na gminnej świetlicy, inni są zbyt zajęci...

Simonsen mu przerwał.

- Okej, okej, dalej.

- Tak... Przy czym to ja byłem? Więc oficer dyżurny mówi dziewczynce, żeby poczekała, aż zjawi się jakiś nauczyciel, i wtedy ona kontaktuje się z zakładem pracy swojej matki w Gentofte. Matki nie udaje się znaleźć, ale właściciel firmy, mieszkający tu Libańczyk, który trochę zna dziewczynkę, postanawia przyjechać. Jest w szkole tuż przed siódmą. Z sali gimnastycznej wyprowadza ośmioro dzieci, które dołączyły do rodzeństwa. Także on kontaktuje się z posterunkiem w Gladsaxe i o siódmej trzydzieści osiem przyjeżdża patrol...

Simonsen przerwał.

- O siódmej trzydzieści osiem?!

Pedersen odwrócił wzrok i zaczął poprawiać krawat - wykonując zwód, który jego szef znał aż nazbyt dobrze.

- Podaj nazwisko i wytłumacz mi, co się stało.

Dalsze ukrywanie było bezcelowe, podał nazwisko oficera dyżurnego i wyjaśnił:

- Uznał, że tych zgłoszeń nie trzeba traktować zbyt poważnie... Bo „jasne było, że dzwoniły jakieś dwa arabusy”. Tak, to jest niestety cytat.

Simonsen był szczerze zaskoczony.

- Dlaczego kryjesz takiego palanta? Znasz go?

Pedersen został przez naturę obdarzony młodzieńczym wyglądem. Mimo czterdziestu lat przypominał przerośniętego młodzieniaszka, a teraz poczerwieniał na całej twarzy, tak że jego oblicze niemal zlało się z płomiennie rudymi włosami.

- Byliśmy razem w szkole policyjnej. Razem obstawiamy zakłady.

Simonsen zmarszczył czoło i zmrużył oczy, zaniechał jednak dalszych pytań. Arne Pedersen był zdolnym śledczym, kreatywnym i skutecznym, to jasne, że pewnego dnia zostanie szefem wydziału, ale jego zamiłowanie do gier było sprawą powszechnie znaną i opowiadano o nim wiele historyjek. Pewnego dnia będą musieli o tym porozmawiać, ale jeszcze nie teraz, a jeśli Pedersen winny był temu głupkowi jakieś pieniądze, to Simonsen nie chciał o tym wiedzieć.

- Zostawmy to. Mów dalej.

- Funkcjonariusze wzywają wsparcie, szkoła zostaje zabezpieczona, a dzieci odesłane do domów. Personel zbiera się w pokoju nauczycielskim i, oczywiście, zostajemy wezwani. Jestem tu o dziewiątej, posyłam po ciebie, następnie powiadamiam szefa okręgu policyjnego i kontaktuję się z Troulsenem, Pauline i Hrabianką. Wprawiam w ruch całą machinę, wzywam wszystkie możliwe służby: śledczych, techników, specjalistów medycyny sądowej, patrole z psami. Tak, jest tu nawet sam Elvang.

- Po co psy? Czego szukają?

- Dziesięciu dłoni. Między innymi.

- Do diabła!

- Właśnie, do diabła.

- Byłeś w sali gimnastycznej?

- Nie, stałem w progu. Dwa razy, pierwszy raz, jak już mówiłem, zrobiło mi się niedobrze. Biegają tam w tych swoich kosmicznych strojach, jak w jakimś filmie science fiction; ledwie tam zdążyłem nabrać powietrza, a uraczono mnie dłuższym wywodem o możliwości kontaminacji na miejscu zdarzenia. Sam zgadnij, kto za tym stał. Zupełna histeria.

- Szef Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego dostaje pensję za histerię w takich sprawach. A co z Elvangiem?

- Co z nim? On oczywiście też musiał czekać. Więc poza...

Szukał słów.

- Poza czym?

- Nazwał mnie modnisiem, ale to przecież niezbyt istotne dla sprawy.

- Nie, poza tym że najwyraźniej jeszcze nie skapcał.

- Śmieję się, śmieję, zaraz będzie twoja kolej. Czeka na ciebie; sala jest już na pewno udostępniona. Ale à propos Elvanga to wiem już na pewno, dlaczego nie jest na emeryturze. Nowa dziewczyna mojego brata pracuje w Ministerstwie Edukacji, któremu, jak wiesz, podlega Szpital Królewski. To jest pewna informacja, nie jakieś tam plotki, chcesz wiedzieć dlaczego?

Simonsen stwierdził z zadowoleniem, że jego podwładny potrafi wyjść poza logicznie uporządkowane fakty, i odpowiedział z uśmiechem:

- Oczywiście, jak będzie na to czas. Co z naszymi zasobami?

- Brak ostatecznej decyzji, ale delikatnie mówiąc, wygląda to obiecująco. Zostaniemy przekształceni w grupę specjalną. Zmieniają strukturę organizacyjną.

- Brzmi to raczej odstręczająco. Kim są oni?  
- Nie wiem. Mówię ci, pierwsza godzina to był istny cyrk, nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Minister sprawiedliwości dzwonił dwa razy i zażądał, żeby go informować o każdej minucie dochodzenia.

- Minister sprawiedliwości? Dlaczego, do diabła, nie trzyma się zwykłej procedury?

- Nie mam pojęcia, nie pytałem.

- O każdej minucie. Tak powiedział?

- Tak jest. Cytuję.

- Zdziwiająco.

- Zgadza się. Poza tym kilka razy dzwonił komendant główny policji, żeby zaznaczyć, że minister sprawiedliwości ma być informowany; za drugim razem zagroził przyjazdem, ale Hrabianka go od tego odwiodła. No i jeszcze szef okręgu, ale to akurat zrozumiałe. Przewodniczącemu zarządu gminy Gladsaxe siedzi na karku burmistrz, więc ten też ciągle wisiał na telefonie. Dzwonił jeszcze prokurator generalny, nieźle wkurzony.

- Prokurator generalny? Kto go włączył do sprawy?

- On sam mnie o to zapytał. Nie chciał mieć nic wspólnego ze śledztwem. Wydaje mi się, że tak powiedział. Trudno go zrozumieć, ale kto go w to wciągnął, tego się nie dowiedziałem. Hrabianka też będzie miała co robić. Przewodniczący parlamentarnej komisji sprawiedliwości i jego zastępca. Między innymi.

- Boże uchwaj, ale bajzel!

- Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Na koniec zadzwonił sekretarz stanu z Kancelarii Premiera Helmer Hammer, tak, tak się właśnie nazywa, i to zaraz po drugim telefonie ministra sprawiedliwości, więc już mi puszczały nerwy. No i byłem dość poruszony tym wszystkim, ale widzę to dopiero teraz. Powiedziałem mu bez ogródek, że jeśli nie będziemy mieć trochę spokoju przy pracy, nie będzie w ogóle o czym informować, choćby dzwoniła sama królowa. Po czym rzuciłem słuchawką czy co się tam robi z komórką.

- Hm, to nie było zbyt mądre. Co potem?

- Zadzwonił ponownie.

- Nieźle, będziesz teraz szlifować krawężniki?

- Nie, przynajmniej on jest dość rozsądny. Nie ma pojęcia o pracy policji, sam się do tego od razu przyznał, ale obiecał, że zajmie się tym wydzwanianiem, i najwidoczniej to zrobił. W każdym razie nie odebraliśmy już żadnego „telefonu od wodza”.

Pedersen wyglądał, jakby zeszło z niego napięcie. Simonsen spróbował sprowadzić rozmowę na właściwy tor, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

- To rzeczywiście pocieszające, ale nie mówi nic o naszych zasobach.

- Przeciwnie. Bo powiedział, że ty masz prowadzić śledztwo...

- Już to robię.

- Tak, tak. Pozwól mi dokończyć, jak mówiłem, ty masz prowadzić śledztwo i informować wyłącznie jego. Nikogo więcej.

- Normalne procedury są unieważnione?

- To też, ale jest jeszcze lepiej. Sam wybierasz członków zespołu, nie ma żadnych ograniczeń ani pod względem czasu pracy i wielkości grupy, ani budżetu.

Ewentualnymi przeszkodami biurokratycznymi zajmie się on sam, więc cały swój czas możesz poświęcić śledztwu.

- Niezłe rozdanie.

- Tak, ma głowę na karku. Podkreślił, że to jeszcze nieoficjalne, ale załatwienie tego to tylko formalność. Masz się z nim skontaktować w wolnej chwili, tu jest jego numer. I *summa summarum*, Simon, jesteś niemalże panem samego siebie.

- Tak powiedział?

- Nie, to mój wniosek.

- Hm, nie podoba mi się to ignorowanie procedur.

- To lepsze, niż gdyby wszyscy święci przeganiali nas od zadania do zadania według własnego widzimisię.

- Możliwe, chociaż to się jeszcze okaże. Teraz powinniśmy się skupić na czymś innym.

Nagle zadzwonił dzwonek, głośno i przesywająco. Nikt nie pomyślał, żeby go wyłączyć po odesłaniu dzieci do domów. Simonsen wzdrygnął się, a jego krzesło zaskrzyphiało. Na ułamek sekundy odruchowo przybrał pozycję uczniowską w ławce. Pedersen, u którego dźwięk szkolnego dzwonka nie wiązał się z żadną traumą, spokojnie czekał, aż buczenie ustanie, po czym zakończył składanie raportu.

- Aktualny podział zadań wygląda następująco: grupa Pauline przeszukuje teren sąsiadów i dalsze otoczenie szkoły, Hrabianka jest odpowiedzialna za przeszukiwanie pomieszczeń szkolnych, Troulsen prowadzi przesłuchania personelu, a ja jestem wolny, skoro ty się pojawiłeś. Naszym najbardziej palącym problemem jest identyfikacja zwłok oraz to, że zniknął woźny. Nazywa się Per Clausen i najprawdopodobniej otworzył szkołę dziś rano, choć nikt go nie widział. Być może jest niedysponowany z powodu upojenia alkoholowego, to mu się czasami zdarza. Identyfikacją zajmuje się około dwudziestu doświadczonych ludzi, którzy próbują ustalić, czy ktoś zgłosił zaginięcie tych pięciu mężczyzn. Na razie jednak bez skutku.

Simonsen zastanowił się, potem wstał, a Pedersen poszedł jego śladem.

- Spotkamy się za pół godziny, zadbaj, żeby ta informacja dotarła do innych. Możesz po mnie przyjść do sali gimnastycznej, ale najpierw chcę na osobności porozmawiać z Elvangiem. Powiedz Troulsenowi, że nikt, nawet marny pomocnik, nie może opuścić tego miejsca bez mojego zezwolenia, i wciągnij Pauline do środka, wygląda jak zmokła kura. Co ona w ogóle robi na zewnątrz, czy te psy może w czymś pomagają?

- Daj spokój, brak jej jeszcze doświadczenia.

- Nie nabierze go, moknąc. Załatw jej porządną pelerynę przeciwdeszczową, patrol szkolny na pewno takie ma. I jeszcze jedno. Do sali gimnastycznej weszło dziesięcioro uczniów. Czy wezwano pogotowie kryzysowe? Co z rodzicami, poinformowano ich?

- O, nie.

Pedersen walnął pięścią w futrynę. Sam był ojcem dwójki dzieci.

- Zajmij się tym, ale najpierw zaprowadź mnie do Elvanga. Po drodze możesz mi o nim powiedzieć. Dobrze się spisałeś, Arne. Wysoce zadowolająco.

Jego pochwała zabrzmiała pusto. Jak formułka wyuczona na kursie dla menedżerów.

## Rozdział 4

Cmentarz był zupełnie pusty, a samotny mężczyzna z parasolem poruszał się między nagrobkami powoli, niemal z pokorą, jakby wyczuwał, że tu nie pasuje. Grz na ścieżce chrzęścił pod każdym krokiem, niestosownie hałasując w wilgotnej ciszy tego miejsca. Mężczyzna zatrzymał się przy prostym nagrobku na skraju cmentarza i rozłożył krzeselko. Zanim usiadł, ostrożnie położył na grobie bukiet. Deszcz w ostatnim czułym geście natury sprawił, że kwiaty odzyskały świeżość, a mężczyzna o imieniu Erik uśmiechnął się na ten widok.

- Przyniosłem kwiaty, tato, bo dzisiaj jest wyjątkowy dzień, czekałem na niego potwornie długo. Może od dzieciństwa, chociaż to nie brzmi logiczne. W radiu właśnie podali, że znaleziono straconych, reszta dnia na pewno będzie histeryczna.

Zamilkł i spojrzął w dół, minęła dłuższa chwila, zanim znowu się odezwał. Uśmiechnął się, a jego uśmiech pochodził z serca, co nie zdarzało się często. Uwielbiał tu przesiadywać, otoczony łagodnym spokojem, oddalony od świata; pozwalał minutom umierać, jedna po drugiej, nad grobem ojca snuł opowieści o rzeczach wielkich i małych. Jego praca wymagała ekstrawersji, ale jego dusza działała odwrotnie, być może to właśnie stanowiło tajemnicę jego zawodowego sukcesu. Sukcesu, który - paradoksalnie - był mu obojętny i z którego zrezygnowałby bez chwili wahania, gdyby tylko dzięki temu mógł zmienić swoje dzieciństwo.

- Napięcie mnie spalało, chociaż już w sobotę dostałem od Drzewołaza przesyłkę z filmami wideo z minibusu i sali gimnastycznej, więc wiedziałem, że to już się stało, ale...

Zdanie nie zostało dokończzone, a on przeskoczył do kolejnego tematu:

- Dziś rano byłem w biurze, mieliśmy ewaluację z klientem. Kampania idzie w śmienicie, wszyscy się wzajemnie wychwalają. Oni sprzedają kupę ciuchów dla podlotków, my dodamy kolejny sukces do naszej listy i obie strony zarobią nieprzyzwoite pieniądze. Nikt nawet nie wspomniał o tych ośmiu dziewczynkach, które właśnie oferują swoje wdzięki jak cukierki na co drugim słupie ogłoszeniowym w mieście. Boże, one ledwie wkraczają w okres dojrzewania i... tak, wiem, brzmi to obłudnie, bo przecież jestem za to odpowiedzialny, ale nie dałem sobie z tym rady i wzięłem wolne na resztę dnia.

Deszcz powoli ustawał. Mężczyzna złożył parasol, potrząsnął nim i położył go obok krzeselka, zanim niepewnie zaczął mówić dalej.

- To oczywiście jedna z zalet bycia szefem, mogę przychodzić i wychodzić, kiedy mi pasuje, a dzisiaj sam nie wiem, dlaczego wyszedłem. Zrobiliśmy tak wiele takich kampanii, a ta wcale nie jest najostrzejsza, więc może to tylko ja teraz jestem taki wyczulony.

Zegar na wieży kościelnej wybił pełną godzinę. Mężczyzna podniósł się, rozprostował nogi, przykucnął przy grobie i usunął kilka mokrych liści, które przykleiły

się do kamienia nagrobnego. Później delikatnie przesunął palcami po napisie, w przód i w tył, kilkakrotnie. Arne Christian Mørk. 1934-1979. Pedantycznie oczyszczając grób z najmniejszych nawet chwastów, których nie dojrzał ogrodnik, mówił dalej do zmarłego.

- Wczoraj miałem bardzo wzruszające pożegnanie z Perem, wiesz, z Perem Clausenem, tym woźnym, o którym ci opowiadałem. Jest fantastycznym gościem, będę za nim tęsknił. Najpierw zjedliśmy lunch, a potem obejrzelśmy te fragmenty wideo, które zmontowałem. Bardzo mnie pochwalił, ale one rzeczywiście dobrze wyszły. Szczególnie jeden z minibusa jest świetny, mała szatańska perełka, która z pewnością wstrząśnie opinią publiczną i poruszy ducha narodu; może mieć decydujące znaczenie, tylko poczekaj i sam zobaczysz. To był pomysł Pera, żeby nad każdym siedzeniem zamontować ukrytą kamerę. Nie lada zadanie, ale okazało się warte zachodu. Poza tym rozmawialiśmy o wszystkim, nie tylko o nadchodzących tygodniach, zupełnie jakby przyszedł na niedzielną herbatkę. Trudno mi sobie wyobrazić, że już go nigdy nie zobaczę.

Drogą za cmentarzem przejechał samochód, porwane strzępki basów z jego radia na chwilę przerwały cmentarny spokój. Czekał, aż znów nastanie cisza.

- Gdy się żegnaliśmy, Per powiedział coś, o czym dużo myślałem. Do widzenia, gąbkoadzie. To były jego ostatnie słowa skierowane do mnie. Gąbkoad. Powiedział to z tym swoim charakterystycznym małym, krzywym uśmiechem. Nawiązywał oczywiście do tego, że jako dziecko jadłem gąbkę, bo myślałem, że ona wchłonie to, co we mnie brzydkie. Prawie zapomniałem, że mu o tym opowiedziałem. O tym, jak zdobywałem te małe kawałki gąbki ze wszystkich możliwych źródeł: z poduszek i siedzeń mebli, piłek gimnastycznych, z wkładki w moim kasku jeździeckim, tak, wrywałem ją nawet z poduszczyk na ramiona z ubrań mamy. Mówiąc o tym, przypominam sobie jej smak, choć może nikt by nie podejrzewał, że gąbka w ogóle smakuje. Ale ma smak poczucia winy.

Potrząsnął głową, żeby przegonić własne myśli, i dodał z namysłem:

- Nieprzyjemnie jest to wspominać i... Tak, Per być może trafił w sedno. Ostatecznie chyba tym właśnie jestem: gąbkoadem.

## Rozdział 5

Profesor doktor habilitowany, patolog sądowy i licencjonowany koroner Arthur Elvang był człowiekiem dość nieokrzesanym. Konrad Simonsen uzbroił się psychicznie, zdecydowany zachować spokój i nie pozwolić się zbić z tropu ostremu językowi profesora. Spotkali się przed salą gimnastyczną. Elvang czytał czasopismo, siedząc mniej więcej w tym samym miejscu co mała Turczynka około siedmiu godzin wcześniej; on także nie był skłonny oderwać się od lektury. Odłożył ją po nieskończenie długim czasie i czekał skoncentrowany, o czym świadczyły jego małe mrugające oczka schowane za okularami, z góry na dół taksujące Simonsena, jakby ich właściciel chciał z niego zdjąć miarę na garnitur.

- Pewnie już zgromadziłeś zapas tłuszczu na zimę, Simonku. Przykra sprawa z tymi wakacjami. Gdzie byłeś? Na obozie dla dzieci z nadwagą?

Wyciągnął powykrzywianą reumatyzmem dłoń, a Simonsen, sądząc, że zechce podkreślić swoją impertynencję, pstrykając go w brzuch, cofnął się o krok.

- Nie złość się, złap mnie i pomóż mi wstać.

Simonsen ostrożnie pociągnął go do góry.

- Nie jestem zły. Córka ciągle komentuje moje gabaryty, już się przyzwyczailem, ale od wielu lat nikt mnie nie nazwał Simonkiem. Skończyło się, kiedy Kasper Planck odszedł na emeryturę.

Kasper Planck był poprzednikiem Simonsena na stanowisku szefa wydziału zabójstw.

- Patrz, jak ten czas leci. Powiedziałeś córce o cukrzycy?

Simonsen zamarł.

- Skąd, do diabła, wiesz...

Przerwał i powściągnął emocje. Talent diagnostyczny profesora był legendarny, ale teraz musiał zgadywać. Swoim wybuchem nieopatrznie potwierdził jego przy puszczenie. Pospieszenie zmienił temat.

- Można już wejść do sali?

- Tak, technicy wyszli przed kwadransem, ale nie zbliżaj się do tylnego wyjścia i łaźni. Chodzą słuchy, że dali ci wolną rękę. To prawda?

- Prawdopodobnie.

- Więc powinieneś ściągnąć Plancka, o ile nie ma sklerozy. Wzajemnie się inspi-rujecie. Poza tym on jest od ciebie zdolniejszy.

- Nie ma sklerozy. Wejdziemy?

- Tak, jasne. Tylko bez urazy, Simonku.

Pośrodku pomieszczenia wisiało pięciu nagich mężczyzn, każdy ze stryczkiem z grubego niebieskiego nylonowego sznura na szyi. Liny były umocowane na maszynnych hakach do zawieszania huśtawek, wwierconych w sufit na wysokości około siedmiu metrów. Stopy trupów zwisały mniej więcej pół metra nad podłogą, a ciała rozmieszczono w co najmniej dwumetrowych odstępach, w ten sposób, że

cztery zewnętrzne tworzyły kwadrat, którego boki były równoległe do ścian pomieszczenia. Wszystkim zwłokom brakowało dłoni, podczas gdy przedramiona były nietknięte od nadgarstka do łokcia. Twarze były porozrywane na strzępy tak, że niemal straciły ludzkie cechy; podobnie organy płciowe zwłok zostały usunięte lub zbezczeszczone. Śmierć i rany upodobniły mężczyzn do siebie, jakby ich fizyczne zróżnicowanie przestało istnieć. Simonsenowi nieobce było to zjawisko i wiedział, że po dłuższej chwili przyglądania się zmarłym ich indywidualne cechy powrócą.

- Piła motorowa?

Elvang potwierdził. To była jedna z jego zalet. Nie bał się przekazywać swoich bezpośrednich ocen - w przeciwieństwie do większości patologów, których znał Simonsen, a którzy nie wazyli się wypowiadać choćby o płci zwłok, zanim nie zostały prześwietlone. A lekarze piastujący urzędy byli nawet gorsi.

- Jeszcze za życia?

- Nie.

Ta odpowiedź przyniosła ulgę, ale sprawa była wystarczająco makabryczna i bez tego, choć - ku swojemu zdziwieniu - gdy zobaczył zwłoki, nie zareagował fizycznie. Może dlatego, że już wywietrzono, może dlatego, że miał dość dużo czasu, żeby się przygotować na ten widok, może dlatego, że był psychicznie skarłały i widział już w życiu więcej, niż trzeba. Kto wie, które z tych wyjaśnień było prawdziwe, a zresztą kogo to obchodziło? W każdym razie nie jego samego. Kontynuował powolny obchód dookoła wiszących.

Biorąc pod uwagę, że przy takich obrażeniach każdy z nich musiał silnie krwawić, nie było tu wiele krwi. Pod każdym ze zmarłych znajdowała się mała skrzepła plama średnicy piłeczki tenisowej. Szyje, górne części tułowi i uda również były nią pokryte, oprócz tego wyraźne plamy krwi widoczne były na ich włosach. Poza tym nie było innych jej śladów, ale słodkawy zapach był wyraźnie wyczuwalny, mieszał się z silniejszym odorem ekskrementów i płynów ustrojowych. Niska temperatura i trzy otwarte okna sprawiły jednak, że smród był do wytrzymania. Żółtawe, napęczniałe ciała skierowały jego myśli na obraz półtuszy zawieszonych na hakach rzeźniczych; pozbawione szacunku skojarzenie, którego, ku własnemu rozdrażnieniu, nie mógł się pozbyć.

Skupił uwagę na głowach mężczyzn, niespiesznie poruszając się między ciałami i oglądając każde z osobna. Cięcia wyglądały inaczej u każdej z osób, trzy z nich miały odcięte całe twarze - ostrze piły pociągnięto równoległe do tułowia, od czubka głowy do żuchwy tak, że mózg, zatoki szczękowe i gardło były obnażone; u pozostałych cięcia wykonano pod kątem i na krzyż - ostrze trzymane było prostopadle do twarzy. Dwóch z nich zachowało języki i część uzębienia. Jeden miał niemal nieuszkodzone oko.

Taką samą nonszalancję zdradzały obrażenia organów płciowych; dwóm mężczyznom usunięto zarówno penisy, jak i jądra, dwóm innym - tylko penisy. Jednego nacięto tak głęboko, że z ciała wypadł pęcherz, który zwiisał teraz nad pachwiną, a zwłoki obok pozbawione były jedynie żołądki. Mężczyzna wiszący pośrodku wypróżnił jelito, czarne odchody zastygły między pośladkami i poniżej, na udach, a kilka much plujek już tam dotarło. Cięcia przy stawach nadgarstka były natomiast czyste i precyzyjnie wykonane, Simonsen dostrzegł szpik w dwóch kościach



przedramienia i zupełnie bezwiednie przypomniał sobie, że jedna z nich to ulna, a druga - radius. Ale nie pamiętał, która z nich to ta duża, a która mała.

Zaczął przegląd od początku i zrobił jeszcze jedną rundkę, szukając znaków szczególnych. Zgadywał, że mężczyźni byli w wieku od czterdziestu do siedemdziesięciu lat. Jeden z nich miał złoty kolczyk w lewym uchu i spłowiałego orła wytatuowanego na prawym barku, u dwóch stwierdzono blizny po operacjach wzrostka robaczkowego albo przepukliny. Jeden był łysy, a jego skóra była nienaturalnie ciemna, zapewne po wizytach w solarium. Zwłoki znajdujące się w tylnym lewym rogu miały długie, nieobcięte paznokcie u stóp, zaatakowane grzybicą i przypominające podpieczoną świńską skórę. W głębi prawego ucha tkwił ząb ze złotą plombą.

Ostatni obchód poświęcił na przestudiowanie lin zawieszonych z matematyczną precyzją, równoległe do ścian sali; gdy patrzył po przekątnej, na linię wzdłuż dwóch sznurów, z jednym okiem zamkniętym, nie widział ostatniego z nich. Tak samo było, gdy patrzyło się na skos i w poprzek. Ktoś zadał sobie bardzo dużo trudu, wkręcając haki w sufit.

Simonsen zakończył oględziny i podszedł do Elvanga, który najwyraźniej zainteresował się zwłokami jedynie przelotnie i teraz wyglądał na porządnie znudzonego.

- Pierwsze wrażenia?

Profesor nie zwlekał z odpowiedzią.

- Powieszani tutaj, nieprzenoszeni. Środa albo czwartek, najprawdopodobniej Duńczycy. Ale nie pytaj, jak zawiśli ani dlaczego wszystko nie jest zalane krwią.

- Kiedy będziesz wiedział coś pewnego o czasie zgonu?

Starszy mężczyzna westchnął, nie miał już tyle energii i nie cieszyła go myśl o robocie w nadchodzący wieczór.

- Muszę wezwać wsparcie. Za stawkę jak za nadgodziny, którą ty zapłacisz.

- Oczywiście. Ściągnij, kogo chcesz.

- Zadzwoń do mnie po północy.

- Zadzwonię.

Simonsen miał jeszcze tylko jedno pytanie. Za to nieco kontrowersyjne. W dodatku wykraczało poza zawodowe kompetencje profesora, choć biorąc pod uwagę jego ogromne doświadczenie i nieprzeciętne zdolności, wydawało się stosowne.

- Terroryzm?

Minęła chwila, zanim Elvang zrozumiał sens pytania i wtedy gwałtownie zareagował. Machał rękoma wokół głowy jak jakiś histeryczny nastolatek, mówiąc jednostajnym, pełnym sarkazmu tonem:

- Buuu. Z szafy wychodzą strachy.

Simonsen zignorował jego dziwaczne zachowanie i chłodno zapytał:

- Jedenasty września, Bali, Biesłan, Madryt, Londyn. To też była paranoja, panie profesorze?

Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, potem starszy mężczyzna z rezygnacją machnął ręką.

- Jeżeli wyobrażasz sobie świętych wojowników z zakrzywionymi szablami i mazeniami o kalifacie, to ja nie widzę nic, co by na to wskazywało. Nie wiem zresztą, co by to miało być. Twoje pytanie jest nonsensowne.

- Może i tak, ale będą mi je zadawać przez resztę dnia.

Elvang nie odpowiedział. Spojrzał jeszcze raz na zwłoki i łagodnie pokręcił głową. Plamy wątrobowe na łysinie, potargane cienkie włosy i zapadnięta klatka piersiowa upodabniały go najbardziej do pisklaka.

- Byłem w Rwandzie w dziewięćdziesiątym piątym - powiedział po chwili.

- Myślałem, że nie latasz samolotem.

- Latam tylko do miejsc masowych mordów. Przez cztery miesiące jeździłem od jednego masowego grobu do drugiego. Było tam tak niewyobrażalnie wielu pomordowanych ludzi, że nie da się tego opisać, oglądałem takie zwyrodnialstwo i poniżanie, jakiego nie wyobraziłbyś sobie nawet w najgorszym koszmarze. Trudno opisać, jakie to było przerażające, ale nie to było najgorsze; najgorzej było po powrocie do domu odkryć, że nikogo to nie interesuje. Ofiary miały po prostu nieodpowiedni kolor skóry, żeby można było sprzedać news, a wskazywanie na tę masakrę trąciło złym smakiem, więc wybacź, jeśli mój stosunek do pojęcia „terroryzm” jest nieco cyniczny.

Simonsen poczuł pustkę.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie ma na to odpowiednich słów. Ale zdradź, skąd wiesz, że nie przepadam za lataniem?

- Tak słyszałem.

- Ale źródłem nie była chyba opowieść o tym, że hotelarze w stolicy pociągnęli za odpowiednie sznureczki, żeby odsunąć moment mojego odejścia na emeryturę, ponieważ mój strach przed lataniem sprawia, że międzynarodowe konferencje organizowane są w Kopenhadze?

Simonsen poczuł delikatne ciepło rozchodzące się po policzkach.

- Coś w tym rodzaju.

Otworzyły się drzwi na końcu sali gimnastycznej. Arne Pedersen, Hrabianka i Pauline Berg weszli do środka, chwilę później dołączył Poul Troulsen.

- Kretyn z ciebie, tylko pomyśleć, że kraj utrzymuje szefa kryminalnych, który wierzy w takie bzdury. To przerażające. Wstydź się i przynieś wiadro.

- Po co ci wiadro?

- Twoja nowa chyba jeszcze nie nauczyła się tłumić ludzkich odruchów.

Ostrzeżenie nadeszło za późno. Po sekundzie Berg zgięła się wpół i opróżniła żołądek na podłogę, nie korzystając z torebki foliowej, którą na wszelki wypadek trzymała w ręce. Pedersen spojrzął na swoje obryzane buty i wyciągnął chusteczkę do nosa; była z naturalnego białego jedwabiu i sporo kosztowała. Zdążył unieść stopę, gdy Hrabianka chwyciła chusteczkę i podała Paulinie Berg, która spojrziała z wdzięcznością, zanim ponownie zwymiotowała.

## Rozdział 6

Z sali gimnastycznej usunięto już zwłoki, wszystkie okna otwarto, a mimo to wchodząc, Pauline uznała, że unosi się w niej nieprzyjemny zapach. Pewnie było to tylko złudzenie; w każdym razie udało jej się opanować odruch wymiotny. Simonsen siedział na środku podłogi i przyglądał się sufitowi. Przypominał mnicha w świątyni, trudno było odgadnąć, co robi.

- Arne powiedział, że chcesz ze mną porozmawiać.

Sama usłyszała, że brzmi jak niepewny siebie studenciak. Zazwyczaj potrafiła zwrócić na siebie uwagę mężczyzn, którzy uważali, że jest piękna i utalentowana, ale jej szef stanowił wyjątek potwierdzający regułę, i pomijając to, że jego surowe spojrzenie od czasu do czasu wyrażało dezaprobatę dla jej stroju, niemal ją ignorował. W każdym razie w sferze osobistej. Podążając za jego gestem, usiadła obok.

- Widziałaś ciała?

- Tak, ten miły starszy lekarz później mnie oprowadził. Zapomniałam, jak się nazywa, ale podczas oględzin wyjaśniał i nie było już tak źle.

- Ten miły starszy lekarz to Elvang, a każdemu z nas zdarzyło się mieć nudności. Na pewno nie ty jedna dzisiaj zymiotowałaś; z czasem stajemy się twardsi, sam nie wiem, czy to dobrze czy źle.

- Na pewno bardziej praktycznie.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale on nie odpowiedział i sytuacja wydała jej się dziwna. Czuła się niezręcznie, więc nerwowo zmieniła pozycję. Może zauważył jej niepokój albo czytał jej w myślach. W każdym razie powiedział:

- Jest powód, dla którego tu siedzimy, wróć do tego później. Powiedz, jak zareagował woźny, gdy go znalazłaś.

- Tak naprawdę znalazł go opiekun psa, a raczej sam pies. W budzie ze sprzętem lekkoatletycznym, przy boiskach piłkarskich; twierdził, że dopiero co się obudził. Nie wiem... Nie ma zbyt wiele do powiedzenia, prawie nie zwracał na mnie uwagi, pominiwszy słowa, że powie mojemu wychowawcy o pelerynie. Arne był taki opiekuńczy...

- Tak, załapałem, miło ze strony Arnego. Co z woźnym?

- Droczył się ze mną, mówiąc o pelerynie, ale poza tym był bardzo uprzejmy. Odstawiliśmy go do Hrabianki. Bał się psa, któremu z tego powodu kazano zostać tam, gdzie był. W deszczu.

- Jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Na pierwszy rzut oka wygląda na godnego pożałowania, zalatuje od niego piwem i przydałaby mu się kąpiel, z drugiej strony... jest także... trudno to opisać...

- Nie spiesz się, jestem cierpliwy.

Zastanawiała się, w tym czasie Simonsen zerkał na sufit.

- Nie siedzi w tym gównie po uszy, tego jestem pewna. I jest jakby... obecny.

- Obecny duchem?

- Tak, nie. Nie, nie w ten sposób obecny. Jakby cały czas wiedział, o co chodzi, mimo że jego odpowiedzi są zupełnie idiotyczne.

- Byłaś podczas przesłuchania?

- Tylko na początku. Przesłuchiwali go Troulsen z Hrabianką, dali mi do zrozumienia, że mam się nie odzywać, resztę doczytałam. Taśmę wysłano do HS i po niecałej godzinie mieliśmy stenogram. Naprawdę mamy wsparcie, nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego.

Simonsen zauważył, że zamiast „Komenda Główna” powiedziała „HS”, to było coś nowego w jej ustach. HS - Head Square, tak mówiło się w wydziale zabójstw.

- Ja też nie. Byłaś tam tylko na początku?

- Tak, potem mnie odesłali, żebym znalazła jakiś telewizor i obejrzała twoją konferencję prasową.

- Żeby sprawdzić, czy się nie zbłąźniłem?

- To przecież nie był mój pomysł.

Przez chwilę się wahała, po czym ostrożnie dodała:

- Twierdzili, że to nie jest twoja najmocniejsza strona, całe te kontakty medialne.

- Aha, tak twierdzili. A ty co powiesz? Zbłąźniłem się czy nie?

Mimo że trudno jej było właściwie odczytać jego zachowanie, zaryzykowała niemal całkowitą szczerłość.

- Nie, wcale tak nie uważam. Przecież prawie nic nie powiedziałaś, głównie inni mówili, ale ty chyba nie przepadasz za tą platynową blondyną z „Dziennika”.

- To Anni Staal, poboczne ogniwo w historii ludzkości, ale osobiście nie mam nic przeciwko niej, oprócz tego, że powinno się ją wygnać z kraju. Aż tak to było wi-  
dać?

- Nie, nie sądzę. Tylko jeśli się ciebie zna.

- Tak jak ty?

Przestraszony studenciak wrócił nagle ze zdwojoną siłą. Ale wpadł tylko z krótką wizytą, bo Simonsen złagodził swoje słowa, ojcowsko klepiąc ją po kolanie.

- Koniec tego tematu. Powiedz, jak się czułaś, gdy Per Clausen drwił z twojego wieku.

Pauline była zdezorientowana.

- Jak się czułam?

- Tak, jak się czułaś.

- Czy to ważne?

- Może tak, może nie. Spróbuj odpowiedzieć.

Przymknęła oczy, chcąc przywołać ten moment w pamięci, i dlatego nie zauważyła, jak jej szef z uznaniem skinął głową.

- Nie miał na myśli nic złego. Patrzył na mnie niemal przyjacielsko. Nie był obleśny ani nic takiego, rozumiesz, o co mi chodzi.

- Rozumiem. Co jeszcze?

- Ten jedyny raz naprawdę mnie dostrzegł. Dokuczał mi, ale w sympatyczny sposób, jakby mu na mnie zależało.

- Polubiłaś go?

Zamknęła oczy.

- Tak, chyba tak. Powiesz, dlaczego o to pytasz?

- Później, później. Ile ty właściwie masz lat?

- Dwadzieścia osiem.

- Okej, dziękuję. A teraz mój sufit, dobra jesteś z geometrii?

- Ani dobra, ani zła, nie jestem geniuszką matematyczną.

- To nie jest konieczne. Jeśli przyjrzyś się dziurom po śrubach, którymi wkręcone były haki do lin, to zobaczysz, że rozmieszczone je diabelnie precyzyjnie. Zarówno w stosunku do środka sali, jak i względem siebie. Przez chwilę się nad tym zastanawiałem i wykombinowałem, że można to odnieść do długości i szerokości płyt sufitowych. To nie takie łatwe, ale też nie jakoś szczególnie skomplikowane, jak już się na to wpadnie. Nie potrzeba miarki; sznurek, ołówek i kciuk przyłożony w odpowiednim miejscu załatwiają sprawę. Tak byłoby prościej i o wiele dokładniej.

- Kumam. Tak z grubsza.

- Szczegóły nie są ważne. Wiesz, jak wyglądają linie przecinania się dwóch okręgów?

- Tak, są łukowate.

- Właśnie, a z właściwości łuków i ich położenia można wydedukować, gdzie znajdują się środki tych dwóch okręgów.

Nagle Pauline pojęła jego wywód. Tak jej się przynajmniej wydawało.

- Kciuk. Masz na myśli odcisk palca?

- Niestety nie. Technicy sprawdzili i nic tam nie ma. Chcę po prostu wiedzieć, czy ten, kto zamontował haki, zrobił to tak, jak ja bym zrobił. Mówisz, że jesteś silna i gibka, tak?

W odpowiedzi stanęła przy jednej z drabinek, podciągnęła nogawki spodni i bez wysiłku podniosła wyprostowaną nogę tak, że jej stopa spoczęła na wysokości głowy.

- To przekonująca odpowiedź. Sporty walki? Gimnastyka?

- Balet. Chcesz zobaczyć piruet?

- Kiedy indziej. Nie wiedziałem, że tańczysz.

- Mama miała wobec mnie wielkie plany. Miałam zostać solistką w Balecie Królewskim, co najmniej. Dzięki Bogu odrzucono mnie na jednym z egzaminów wstępnych, miałam za słabe podbicie, więc mama skoncentrowała się na mojej młodszej siostrze, a ja mogłam tańczyć raczej dla przyjemności niż z obowiązku.

Słowa popłynęły potokiem; taniec był wielką pasją Berg. Zazwyczaj podczas pracy nie znajdowała się w centrum uwagi, a częścią zespołu Simonsena stała się wyłącznie dzięki swojemu wiekowi, a nie umiejętnościom. Miała dać świeże spojrzenie. Przyjemnie było opowiadać szefowi o sobie, aż dostrzegła jego nieobecny wyraz twarzy i zrozumiała, że wybrała niewłaściwy moment na zwierzenie się ze swojej biografii. Mimo to monolog wpłynął na nią rozluźniająco.

- Od dłuższej chwili nie słuchasz, co mówię, prawda?

Tak właśnie było. Simonsen przebywał we własnym świecie, daleko od estetyki ciała i choreografii symfonicznej. Usiłował wyobrazić sobie, co mogło kogoś skłonić do okaleczenia pięciu ludzi piłą motorową i zawieszenia ich nagich ciał w szkole - ze wszystkich możliwych miejsc właśnie w takim. Nienawiść, szaleństwo, zwyrodnialstwo, idealizm - żadna z tych możliwości nie pasowała, każda z nich w najlepszym razie tylko częściowo.

Musiąa powtórzyć pytanie, zanim odpowiedział.

- Nie słuchasz?

- Piąte przez dziesiąte, ale nie bierz tego do siebie. Gdy wszystko wróci do normy, chętnie zobaczę, jak tańczysz, i cię posłucham. Poświęcę ci całą moją uwagę, obiecuję.

Wskazał na sufit.

- Musimy się tam dostać i sprawdzić te dwa zewnętrzne otwory.

Jasne było, że mówiąc „my”, miał na myśli ją.

- Chcesz wiedzieć, czy są przy nich łukowate linie i w którą stronę te luki biegną, że tak powiem?

- Dokładnie tak, jak ci opisałem. Tyle że szkolne rusztowanie wywieziono do ba-dań, a technicy używali podnośnika, usuwając ciała. I niestety go zabrali.

- Co masz na myśli? Jestem gibka, ale dawno nie latałam, wyszłam z wprawy.

Jej bezpośredniość nie była poprzedzona namysłem. Na szczęście Simonsen się zaśmiał.

- Pewnie tak. Więc może... skorzystamy z lin.

Wyciągnęli liny. Pauline Berg bacznie się im przyjrzała i pomyślała, że miał rację. Jeśli zaprawić całość odpowiednią dawką pogardy dla śmierci, cały ten plan wydawał się możliwy do zrealizowania.

- Ale nie możemy spaść.

- Ależ tak, możemy, musimy tylko trafić w to. - Wskazał na wielki niebieski ma-terac, oparty o ścianę sali. - To rozkaz.

Ściągnęła buty i skarpetki, a on z pewnym trudem przyciągnął materac w odpo-wiednie miejsce. Uznała, że zrobiło się niemal przytulnie.

- Muszę zdjąć spodnie, są za śliskie do wspinaczki.

- Niekoniecznie. Idź do przebieralni i znajdź jakieś porzucone szorty.

- A jeśli nie będą mi pasować do bluzki?

- Dalej, zmykaj. Nie mamy na to całego dnia, a ty już zmarnowałaś mnóstwo mo-jego czasu swoimi baletowymi dyrdymałami.

Pobiegła. Radosna jak poranek.

## Rozdział 7

Stig Åge Thorsen siedział w kabinie traktora i na próżno usiłował zapanować nad myślami. Przed dwoma dniami wrócił z wakacji, z dwunastodniowego rejsu po greckich wyspach. Wyjazd skończył się katastrofą, co nie dawało mu spokoju, jakkolwiek bardzo starał się to wyprzeć z pamięci. Niechciane skrawki wspomnień, nad którymi nie panował, atakowały go. Smutno powiódł wzrokiem po jesiennym lesie, schodzącym po pagórkach do brzegu jeziora – był zielony, brązowy i czerwono-złoty, zasnuty mgłą. Dzień był szary, a nad jeziorem wisały nabrzmiałe deszczem chmury; nie wiało i było chłodnawo. Jego myśli znów melancholijnie popłynęły w stronę rejsu, przestał z nimi walczyć. W Grecji jesień była ciepła, a pierwsze doby – spokojne...

Zajmował się sobą, z przyjemnością wsłuchiwał się w miarowe, głuche odgłosy silnika i całe godziny spędzał przy relingu, wypatrując wiosek rybackich, które przesuwały się wzdłuż wybrzeża – były jasne i pastelowe, a przy tym jakby senne. Jedzenie było obce, ale smaczne. Zrobili błąd w jego nazwisku. Stig Åge Thorsen stał się Thorem Ågem Stigsenem, co spowodowało problemy w restauracji. Wyjaśnił nieporozumienie, ale następnego dnia o tym zapomniano i musiał wszystko odkręcać od nowa. Knossos było sporym przeżyciem, tam spotkał Maję, piegowatą i skorą do śmiechu. Jej rude włosy powiewały na wietrze, gdy przechadzała się po pokładzie; śmiała się, rzucając chleb mewom, które kłębiły się wokół niej jak wrzaskliwa hałastra. Uśmiechnęła się do niego i to nie było dobre. Później wyjaśnił jej zjawisko świecenia morza i wskazał konstelacje gwiazd. Maja pochodziła z Randers, znowu się zaśmiała, a on się trochę odsunął.

Statek dotarł do Samos, gdzie przewodniczka opowiedziała o greckich matematykach. O Pitagorasie, Euklidesie i Archimedesie, którzy potrafili unieść kulę ziemską za pomocą dźwigni. Rysowała patykiem po ziemi, a wokół niej skupiła się grupa zainteresowanych. Nie miał zaufania do tej zasady, ponieważ gdy dźwignia wysunęła się z małych dłoni, klatka piersiowa ojca została zgnieciona pod ciężarem samochodu, ale nie wspomniał o tym. Za to zapytał, czy Archimedes wiedział, że Ziemia jest okrągła. Przewodniczka zmasała rysunek i od tej chwili nie był mile widziany. Nawet Maja była na niego zła.

Kapali się na plaży w pobliżu Salonik, a potem leżeli w piasku, pozwalając słońcu, by osuszyło ich ciała. Byli sami i po raz pierwszy ostrożnie jej dotknął, pogładził ją po głowie. Wsunął palce w jej mokre loki i połączyli się w długiej piśczocie jego dłoni przesuwałej się przez jej włosy. I stało się to, co się musiało stać, Maja westchnęła z zadowoleniem, a on usłyszał stękanie swojej matki. Nagle poczuł włosy swojej matki, potem jej białe ramiona, poczuł słony smak jej policzków, jej skórę. Poczuł zapach jej łona.

Wypowiedział słowa, okropne słowa, nie chcąc tego.

Maja wstała i ubrała się, a on bezskutecznie usiłował się wytłumaczyć. Mówił o krainie pluszowych misiów, w której misiowa mama płakała, ponieważ misiowy tata był splukany i zniknął, o łzach misiowej mamy, za które winę ponosił mały misiaczek, o misiaczku, który musiał scałować łzy misiowej mamy, o misiaczku, który musiał pocieszać misiową mamę, i o nocy, która trwała potwornie długo.

Maja odeszła.

On też sobie poszedł. Ubrany tylko w kąpielówkę, najszybciej, jak to było możliwe, opuścił plażę. Wędrował bez celu opustoszałymi lokalnymi drogami, które skrzyły się w słońcu i wiły się wciśnięte w krajobraz, aż już dłużej nie mógł. Jego stopy były czerwone i napuchnięte. Zerwał cierń z jakiegoś krzewu i przebił pęcherze. Złagodziło to ból, ale tylko ten zewnętrzny. Wewnątrz niego ciągle tysiąc oczu patrzyło wstecz - każde w inną noc; oczy, które chciał przekłuć jak baloniki, jedno po drugim, ale tu cierń nie pomagał. Nic nie pomagało. Siedział na jakimś poboczu, w nieznanym kraju, poniżony za swoją butę - za ulotną wiarę w to, że sam może kierować własnym życiem. Towarzyszył temu śpiew cykad i śmiech gór w oddali.

Krakanie kruka przetoczyło się z lasu na pole i sprowadziło go z powrotem do terażniejszości. Thorsena przeszył dreszcz: kto wie, jakie nieszczęścia zwiastował ten ptak? Potem skoncentrował się na pracy. Miał podtrzymać ognisko, które na jego polu rozpałił Drzewołaz, podczas gdy on był na wakacjach. Przykrywało minibus, którego nigdy nie widział. Z wprawą ustawił przyczepkę równoległe do wykopanego dołu, dzięki czemu mógł wrzucać worki z węglem i bierwiona bezpośrednio w ogień.

Kompresor się zatrzymał, mężczyzna dolał benzyny i znów go odpalił. Pod dołem wykopali kanały powietrzne, teraz dochodził przez nie tlen, a płomienie buchały pod niebo. Następnie przerzucił zawartość przyczepki nad krawędzią wykopu. Ogień się wzmógł, a on zaczął się pocić. Kalkulacja Pera Clausena przewidywała prawie dwa tysiące dwieście stopni, żelazo topi się przy tysiącu pięciuset, stal przy tysiącu osiemset, więc gdy policja odkryje to miejsce, niewiele znajdzie. Ale jedną rzeczą była kalkulacja, a inną rzeczywistość: tę lekcję przerobił skutecznie w dalekim kraju.



## Rozdział 8

Konrad Simonsen czuł skrajne zmęczenie. Dni, które zdawały się nie mieć końca, były prawdziwą udręką, a z wiekiem coraz trudniej przychodziło mu zachowanie koncentracji, gdy godziny pracy nieprzyzwoicie się wydłużały. To właśnie od niego oczekiwano oglądu całości, czy też ogarniania głównych linii; jednak od czasu do czasu czuł, że sytuacja jest nazbyt zagmatwana, do czego sam przed sobą nie chciał się przyznać. Za to nieproporcjonalnie dużo energii zabierało mu stwarzanie pozorów; udawanie, że wszystko jest precyzyjnie zaplanowane; udawanie, że doskonale wie, co ma nastąpić w ciągu kolejnej godziny; tak, nawet udawanie, że pamięta, co powiedział przed godziną. Ta gra sprawiła, że był drażliwy i mówił krótko i zwięźle. Prawda była taka, że tęsknił za swoim miękkim fotelem, dobrą książką i może kilkoma kanapkami z pomidorem przed snem. Nagle uświadomił sobie, że nie zrobił zakupów i że raczej już nie zdąży. Powstrzymał ziewnięcie i skoncentrował się na siedzącym naprzeciwko niego mężczyźnie.

Na pierwszy rzut oka Per Clausen wyglądał nędznie – sprany kombinezon założony na brudny sweter i jedna szelka związana kawałkiem stalowego drutu. Jego skołtunione włosy w kolorze ciemny blond były krótko ścięte; bardzo potrzebowały choć odrobiny szamponu. Twarz znaczyły ostre rysy i wystające kości policzkowe; skóra była żółtawa i zmęczona. Ale Simonsen napatrzył się w swoim czasie na wystarczająco wiele ludzkich upadków i dlatego przyznał rację Berg, że degrengolada tego człowieka była względna, bo jego zęby były wyszczotkowane, podkoszulek czysty – choć zafarbowany na jasnoróżowo po niewprawnym praniu, a paznokcie miał dopiero co obcięte. Do tego spokojnym wzrokiem patrzył Simonsonowi prosto w oczy. Bez agresji, ale też bez strachu.

– Nazywam się Konrad Simonsen, kieruję śledztwem w sprawie tych pięciu wisielców, których dzisiejszego ranka znaleziono w sali gimnastycznej. Aspirantkę Berg poznał pan już wcześniej.

Wskazał dłonią na Pauline Berg siedzącą na końcu stołu. Mężczyźni nie przewalili kontaktu wzrokowego.

– Pozwoli pan, że zacznę od czegoś pozytywnego: cieszę się, że znalazł pan dla nas czas. Dziś już trzeci raz pana niepokoiimy.

– Nie szkodzi. Ładnie pan to ujął, panie nadinspektorze wydziału zabójstw.

– Tak zupełnie na marginesie mam się dowiedzieć, że zna pan mój stopień. Panie Clausen...

Mężczyzna mu przerwał.

– Per. Proszę mi mówić Per. Tak będzie lepiej.

– W porządku. Per, jestem zbyt zmęczony, żeby zawracać sobie głowę drobiazgami, a ty i tak dostarczyłeś mi większych zmartwień. Poza tym ta rozmowa będzie przebiegała inaczej niż poprzednie, na przykład odpuścimy sobie magneto-fon, co z pewnością zauważyłeś. Tym razem raczej ja będę mówił. Dokładnie prze-

studiowałem przebieg twoich dotychczasowych spotkań z nami i chcę ci powiedzieć, jakie wyciągnąłem wnioski. Poza tym chciałbym cię poznać.

- Jak sobie życzysz. Twój cyrk, twoje małpy.

- Można tak powiedzieć. To zresztą pasuje do twoich absurdalnych wyjaśnień albo świadomego nieudzielania odpowiedzi; zaserwowałeś nam tego w nadmiarze, odkąd cię znaleźliśmy. Wybrałem kilka... powiedzmy, passusów, żeby mieć pewność, że wiesz, o czym mówię. Pauline, pozwolisz?

Berg była gotowa. Odczytała czystym, beznamiętnym tonem:

- Dlaczego pan spał w szopie na narzędzia, gdy pojawiła się policja?

- Żeby być w formie na przesłuchanie.

- Skąd pewność, że pana przesłuchamy?

- Ponieważ spałem w szopie na narzędzia.

- Jeśliby pan nie spał, to pewnie nie byłby pan przesłuchiwany.

- Co się stało, to się nie odstanie.

Przerzuciła kilka stron i kontynuowała:

- Rozmawiamy już godzinę, a pan nawet nie zapytał, dlaczego w szkole jest policja. Dlaczego?

- To nie ja zadaję pytania, tylko pani.

- Nie jest pan ciekawy?

- Myślę, że powie mi to pani sama z siebie, prędzej czy później.

- Dzisiaj rano w sali gimnastycznej wisiało pięciu martwych mężczyzn.

- Ożeż! To nieczęsto się zdarza.

- Był pan w sali gimnastycznej?

- Kupę razy.

- Gdy wisiały tam zwłoki, do cholery.

- Nie, nie sądzę. Coś bym zauważył.

Jedyną reakcją Clausena na odczytane fragmenty był lekki, ironiczny grymas, ledwie dostrzegalny, a mimo to niezwykle prowokujący. Zignorowawszy go, Si-monsen uprzejmie powiedział:

- Twoje działania i wymijające odpowiedzi są zrozumiałe, tylko jeśli świadomie próbujesz zwrócić na siebie uwagę. Może lubisz być w centrum, może uważasz, że zabawnie jest marnować nasz czas. Z jednym i drugim typem miałem już do czynienia. Zapewne też nie masz nic wspólnego z zabójstwami. W przeciwnym razie musiałbyś być ekstremalnie naiwny, bo tylko bardzo naiwni ludzie wyobrażają sobie, że prześlizgną się przez całą serię przesłuchań dzięki temu, że sprawniej myślą i szybciej formułują repliki niż przesłuchujący ich policjanci. Ale nie są w stanie. Na to zbyt nierówne są proporcje sił i wcześniej czy później powija im się noga. W każdym przypadku. To tylko kwestia czasu.

- Pewnie tak.

- Niezawodnie. Zanudzam cię?

- Nie, to bardzo interesujące. Ależ kontynuuj.

- Okej. Musimy pogadać o twoim rozmijaniu się z prawdą.

- Ach, tak.

- Wielu ludzi uważa okłamywanie policji za nielegalne, ale delikatnie mówiąc, tobie to nie przeszkadza. Większość osób jest zażenowana, gdy zostanie przyłapano na kłamstwie, także w tej materii wychodzisz poza schemat. Pauline ma przykład...

Berg znów zaczęła czytać. Tym razem zadanie było trochę inne, ponieważ zebrała dwa raporty.

- Pierwsze przesłuchanie:

- *Mówi pan, że jest wdowcem. Od jak dawna?*

- *Klara została zmiażdżona któregoś dnia przed prawie ośmiu laty, gdy byliśmy na zakupach; jakiś pijany kierowca rozwalił ją na chodniku. Trzymałem ją za rękę, ale wyszedłem z tego bez szwanku. Ten młody łobuz, który prowadził, dostał cztery lata w zawieszeniu, a półtora roku później znowu śmiertelnie kogoś potrącił. Wtedy chodziło o czteroletnie dziecko i też był pod wpływem. Dziś jest dyrektorem w dużym przedsiębiorstwie farmaceutycznym.*

- Drugie przesłuchanie. Przeczytam od środka zdania:

- *...okazuje się, że pańska żona, albo raczej była żona, wcale nie jest martwa. Nazywa się Klara Persson, mieszka w Malmö i ma się jak najlepiej. Jak pan to wytłumaczy?*

- *Była żona zawsze jest częściowo martwa.*

- *Dlaczego opowiada nam pan takie bzdury?*

- *Chyba dałem się ponieść chwili.*

Simonsen przejął pałeczkę:

- To tylko jedna z wielu niesamowitych opowieści. Kłamiesz także w sprawie zatorów żylnych w nodze, zatrudnienia w szkole od sześćdziesiątego trzeciego roku, regularnych wizyt u siostry w Tarm i trzech wyroków za podłożenie ognia. Twierdzisz też, że jesteś alkoholikiem. W tym przypadku wątpliwości na razie rozstrzygnę na twoją korzyść, podobnie w sprawie wizyty u twojej siostry w zeszłym tygodniu, mimo że odwiedziła ją pierwszy raz od ośmiu lat.

- O cholera, jak ten czas leci.

Simonsen zignorował jego ironiczny ton.

- Twoje wakacyjne wypadki bardzo nas interesują i możesz być pewien, że je szczegółowo zbadamy.

- Intercity z dworca głównego, wtorek, punkt ósma, pociąg H.C. Andersen. Osobowy z dworca w Tarm, piątek, godzina dziewięta trzydzieści cztery, pociąg Kaczor Gogus.

- Wielkie dzięki, ale poradzimy sobie bez twojej pomocy, twoja wiarygodność spadła do zera. Nie chcę przez to powiedzieć, że twoje swobodne podejście do prawdy musi cokolwiek znaczyć. Większość ludzi od czasu do czasu kłamie. Wyimaginowany sprawdzian, który podbudowuje ego; szare życie, które zostaje trochę podkolorowane. To drobiazgi, które można wybaczyć. Twoje kłamstwa są raczej rodzajem mitomanii, ale tutaj chodzi o chorobę, której nabawiłeś się na dzisiejszą okazję. Pozostali pracownicy szkoły nie rozpoznają w tobie kłamcy hobbyisty, przeciwnie, więc wracam do pytania: dlaczego? O co ci chodzi? Jeśli istnieje jakaś racjonalna przyczyna, to chwilowo wymyka się ona mojemu pojmowaniu, więc jutro będę chciał znowu z tobą porozmawiać. Przyjdziesz do szkoły o czternastej i pojedziemy do Kopenhagi. Do tego czasu prześwietlimy twoje życie i zobaczymy, czy nie wypłynie coś, co wytłumaczy twoje zachowanie. Bądź uprzejmy pojąć się trzeźwy, w przeciwnym wypadku umieszczę się w izbie wytrzeźwień.

- Nie założycie mi karty? Jak u dentysty.

- Nie, nie mamy takiego zwyczaju. I o ile nie masz do dodania czegoś istotnego, uważam, że skończyliśmy.

- To wszystko? Szybko minęło.

- Jak mówiłem, przede wszystkim chciałem cię poznać.

- Okej, w takim razie chcę jeszcze podziękować za pizzę.

- Nie wiedziałem, że cię nakarmiliśmy; nie ma za co.

Simonsen podniósł się, nie przerywając kontaktu wzrokowego z mężczyzną.

- A zresztą, jeszcze jeden drobiazg, jak twoja geometria?

Udzielając odpowiedzi, Clausen nie okazał zdziwienia.

- Masz na myśli geometrię elementarną czy analityczną?

- Nie jestem pewien, czy znam różnicę. Mam inne wykształcenie niż ty.

- Jest między nimi cholerna różnica, weźmy na przykład starego dobrego Gaussa. Zajmował się równaniami i algebrą, ale nie liniami i okręgami. Zawsze uważałem, że to trochę oszustwo, a w każdym razie mniej eleganckie, no ale trzeba mu przyznać, że się opłaciło. Udowodnił, że siedemnastokąt foremny można skonstruować za pomocą cyrkla i linijki. To pierwszy od ponad dwóch tysięcy lat nowy wkład w wielokąt foremny.

- Imponujące.

- Zgadzam się. Za to niezbyt pożyteczne. Znam tylko jeden przypadek, gdy jego siedemnastokąt miał zastosowanie praktyczne. Chcesz posłuchać?

- Bardzo chętnie.

Odpowiedź była szczerą, choć nie taka powinna być. Było wiele innych i bardziej istotnych dla śledztwa kwestii do omówienia z woźnym, ale Simonsen chciał usłyszeć jego opowieść. W pewnym sensie był zafascynowany tym mężczyzną. Clausen zaczął opowiadać:

- W roku tysiąc pięćset dwudziestym piątym siedemnastu marynarzy w Portsmouth zostało skazanych w High Court of Admiralty za gwizdanie na pokładzie „Mary Rose”, flagowego okrętu angielskiej floty. Za ten rodzaj poważnego przestępstwa była tylko jedna kara, a szubienica została skonstruowana wedle zasady Gaussa, żeby wisielcy mogli dyndać symetrycznie. W muzeum morskim w Londynie zachowały się szkice.

- Niezła historyjka, bardzo obrazowa, muszę przyznać, i przekonująca, choć chyba brakuje kilku wieków, żeby to wszystko miało sens; choć, jak mi się zdaje, i tak zrozumiałem clou. Wracaj do domu i pamiętaj, że jesteśmy umówieni na jutro.

Woźny ruchem ręki podkreślił, że małe przesunięcie w czasie nie ma większego znaczenia.

- Nieco swobody artystycznej nie zaszkodzi.

Uścisnęli sobie dłonie i Clausen poszedł. Ledwie zdążył przestąpić próg, a Simonsen już zapalił papierosa. Berg wyciągnęła podstawkę spod doniczki i postawiła ją przed nim. Szef wyglądał na zmęczonego, przez chwilę była bardzo zmarzwiona, po czym powiedziała:

- Był o wiele bardziej skoncentrowany niż wtedy, gdy Hrabianka i Troulsen go przesłuchiwali.

- Wierzę.

- O co chodziło z tym ostatnim?

- Trudno powiedzieć. Jego zachowanie wydaje się zupełnie nielogiczne, ale na pewno w ciągu kilku dni wszystko z niego wydusimy i wtedy się zobaczy.

- Mam na myśli jego historyjkę o szubienicy. Czy nie dawał zupełnie jasno do zrozumienia, że jest jakoś zamieszany w tę sprawę?

- Pewnie tak. Poza tym, że jest arogancki i niemożliwie wręcz prowokujący, nie wiem, co o nim myśleć, ale to się z pewnością zmieni.

- Może próbuje odciągnąć od czegoś naszą uwagę?

- Taaa, kto wie? Ale mamy czas, a stara dobra harówka zazwyczaj przynosi więcej odpowiedzi niż zgadywanki i przypuszczenia.

Berg doskonale zrozumiała aluzję, lekko zarumieniona zmieniła temat:

- Obiecałaś powiedzieć, dlaczego miałam przy tym być.

Na zewnątrz Simonsen okazywał więcej pewności w sprawie woźnego, niż jej miał. Może błędem było niezatrzymanie go w areszcie. Zachowanie mężczyzny wymykało się Simonsenowi, z tego powodu pozwolił mu wrócić do domu. By zyskać trochę czasu na przemyślenia. Ale gdy tylko Clausen wyszedł, zaczęły go zżerać wątpliwości. Odsunął od siebie te myśli i odpowiedział:

- Stracił córkę. Jedyne dziecko. Dziś byłaby mniej więcej w twoim wieku, więc pomyślałem, że może będzie miał czuły punkt i że możesz stanowić... rodzaj odniesienia, ale zrezygnowałem.

Berg poczuła się nieswojo.

- Cieszę się, że tak postanowiłeś.

Simonsenowi nie spodobał się ton jej głosu.

- Nie chodzi o kradzież roweru. Tu nie ma miejsca na cackanie się ze sobą.

- Nie ma, wiem o tym, ale byłoby to po prostu nieprzyjemne. Właściwie dlaczego zrezygnowałeś?

- I tak by nie zareagował, więc nie było sensu. Idź teraz do Troulsona i sprawdźcie, czy obserwacja działa jak trzeba. Jeśli Clausen choćby pogłaszcze jakiegoś psa, to dziesięć minut później chcę wiedzieć wszystko o tym kundlu.

- Oczywiście, sprawdzę. Po raz czwarty. Ale na sto procent jest obserwowany, obserwacja bezpośrednia i z wykorzystaniem sprzętu, podwójne patrole, to fachowcy. Nie musisz się niczym denerwować, jak mówi Troulsen.

- Zrób to, niezależnie od tego, co mówi Troulsen. Dostaliśmy postanowienie sądu w sprawie jego telefonu?

- Tak, ale nie było łatwo i jest ważne tylko przez trzy dni.

Simonsen zgasił papierosa i nagle uświadomił sobie, co czuł, siedząc naprzeciwko Clausena. Szukał odpowiedniego określenia i teraz się pojawiło: takie same emocje towarzyszyły spotkaniom na turniejach szachowych. Szacunek i poczucie wspólnoty połączone z psychiczną agresją – jakby można było rozgraniczyć człowieka i jego mózg. Do tego dochodziło nieprzyjemne wrażenie, że przeciwnik jest przygotowany, rozszyfrował jego styl gry, a może nawet jego życie i osobowość. Uśmiechnął się nerwowo i przywołując obraz martwych ludzi z sali gimnastycznej, usunął z myśli poczucie wspólnoty z woźnym. Następnie powiedział do Pauline:

- A co z tymi pizzami? Jest ich więcej?

- Mnóstwo. Mam ci jedną przynieść? Leżą w pokoju nauczycielskim.

- Jak ci się chce, to chętnie.

- Chce mi się. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Tak, kwadrans spokoju.

Dostał to, czego potrzebował.

## Rozdział 9

Arne Pedersen zakręcił kołem fortuny, które było dobrze wyważone i zaskakująco funkcjonalne - zapewne stanowiło owoc półrocznej pracy na zajęciach praktyczno-technicznych. Opróżnił zawartość pojemniczka z kostkami cukru, wyrzucając je na stół, gdzie posłużyły za żetony. Koło zatrzymało się na znaku słońca, przestawił kostki i ponownie nim zakręcił. Metaliczny odgłos wypełnił pokój nauczycielski.

- Nie mógłbyś przestać? To irytujące.

Hrabianka przesunęła komputer, który nie chciał jej słuchać. Otwarty w nim plik został wyświetlony na dużym ekranie, a Troulsen - nic a nic nie rozumiejąc - z zainteresowaniem śledził jej wysiłki. Na jego kolanach leżał stos papierów, których objętość nie wróżyła dobrze nocnemu odpoczynkowi.

Pedersen nie odpowiedział, ale już chwilę potem koło stuknęło miarowo ku kolejnemu przypadkowemu trafieniu. Hrabianka spojrzała błagalnie na Berg, która podziękując jej zdanie, podeszła do Pedersena, a po chwili wróciła z nim i kawałkiem cukru w ustach. Wcisnęła Arnego w fotel obok Poula Troulsena, gdzie przez moment siedział naburmuszony, zanim zwrócił uwagę na notatki kolegi.

- Masz zamiar to wszystko omówić?

Troulsen znany był ze skrupulatności zarówno w referowaniu spraw, jak i w pracy śledczej. Do tego zdawał się niepokojąco tryskać energią, mimo że był najstarszy z nich. Hrabianka ten jeden raz poparła Pedersena.

- Arne ma propozycję, Poul. Streść się, wszyscy chcą wrócić do domu.

- Amen, amen i jeszcze raz amen. Jestem zmęczony, chcę stąd iść i nie pojmuję, dlaczego akurat z tym woźnym nie możemy poczekać do jutra. A tak w ogóle to gdzie, do cholery, jest Simon?

- Teraz jestem tutaj, Arne. I może masz rację, może powinniśmy poczekać, ale to ja tutaj dzielę i rządę. Zaakceptuj to albo spadaj.

Simonsen wszedł tylnymi drzwiami, nikt go nie zauważył, póki przed nimi nie wyrósł. Na korytarzach Komendy Głównej mówiło się czasem, że szef wydziału zabójstw miał zarazem imponującą i irytującą umiejętność znajdowania się w centrum uwagi, gdy tylko przekroczy próg. Nawet nie mówiąc wiele. Ale tym razem posunął się zbyt daleko, by mogło to ująć bez komentarza. Pedersen szanował swojego szefa, jednak się go nie bał, a takie zbesztanie go było niewspółmierne do winy. Oparł się w fotelu, słowem i gestem podkreślając niezadowolenie. Simonsen się zreflektował:

- Okej, okej, przepraszam, ale nie ty jeden jesteś zmęczony. Weźmy się ostro do roboty, żeby móc wrócić do domów. Pozwólcie, że ja zacznę od podsumowania dnia.

Najpierw wskazał na ich tymczasową organizację pracy, w której mieli nie polegać zbyt wielkich nadziei, oraz ogromne zainteresowanie prasy, które musieli zupełnie zignorować. Nikt poza Berg nie słuchał uważnie, co mówi, ale wszyscy

dobrze się poczuli, widząc, że najwyraźniej ktoś panuje nad całością. Hrabianka pomyślała, że jej szef, taki postawny i emanujący siłą, jest urodzonym przywódcą. Wobec wszystkich, tylko nie względem siebie samego. Jedyne Berg miała pytanie:

- Czy jeśli całkowicie zignorujemy dziennikarzy, to nie ryzykujemy, że będą... jak by to powiedzieć... negatywnie nastawieni? Mam na myśli to, że w dzisiejszych mediach nie pojawiło się niemal nic poza naszą sprawą, a nawet kanały zagraniczne...

Simonsen nie pozwolił jej dokończyć:

- Codziennie są konferencje prasowe w HS, a poza tym sprzedaż gazet czy oglądalność telewizyjna to nie nasz problem.

Nikt nie podważył tego zdania i tym samym ustalona została wspólna linia. Mogli kontynuować.

Hrabianka omówiła spotkania z sąsiadami, z których żaden nie zauważył niczego podejrzanego, po czym przyszła kolej na relację Troulsona, a on w tym momencie wstał. To zbędne działanie sprawiło, że zgromadzeni zaczęli wymownie przewracać oczami, co miało się okazać niesprawiedliwe, ponieważ zreferowanie nikłych efektów tego dnia zajęło mu mniej niż dziesięć minut. Troulson wykonał kawał imponującej pracy śledczej - czasochłonnej, nudnej, nieprzynoszącej rezultatów, a momentami trudnej. Część nauczycieli zachowywała się kapryśnie i chciała iść do domu, jeden wyskoczył nawet przez okno pod pretekstem, że ma zagwarantowany prawem „dzień zerowy”, cokolwiek to miało być. Teraz beczynnie siedział na posterunku policji w Gladsaxe, po aresztowaniu za niszczenie mienia publicznego - za sprawą odcisku brudnej podeszwy na parapecie. Po tym epizodzie nikt nie opuścił szkoły, zanim zarówno pisemnie, jak i ustnie nie zeznał, co robił w czasie wakacji jesiennych, ale poza dwoma gruchającymi gołąbkami, które spędziły wspólny weekend w Paryżu, a usiłowały oszukać policję, tak jak oszukały swoich małżonków, nie było nic do wyjaśniania. Żadne z nich nie popełniło w przeszłości czynu, który dawałby podstawy do podejrzenia o dokonanie masowego zabójstwa. W gruncie rzeczy kadra szkoły była zaskakująco praworzędna, a całodzienna harówka nie przyniosła żadnych rezultatów.

Pominąwszy mały irytujący szczegół, o którym Troulson właśnie opowiadał:

- Główna szkolna psycholożka Ditte Lubert jest nie do wytrzymania. Przesłuchiwałem ją dwa razy, jeśli można to nazwać przesłuchaniem. Ta kobieta jest... nie umiem tego opisać, a na pewno nie w skrócie. Właściwie wydaje mi się, że coś ukrywa, ale nie mam pojęcia co, więc albo ktoś inny ją przesłucha, albo dostanę pozwolenie, żeby jej przywalić. A najlepiej jedno i drugie.

Nie znając Troulsona, można by się dać nabrać jego dobrotliwemu wyrazowi twarzy i budzącemu zaufanie usposobieniu sympatycznego tatuśka z siwą brodą. Simonsen, który wiedział, że jego łagodność ma granice, spieszenie zareagował na propozycję użycia przemocy.

- Hrabianko, nie masz...

- Jutro rano porozmawiam z panią Lubert - przerwała mu Berg.

Wszyscy ze zdumieniem obrócili się w jej stronę. Ich świeżo zatrudniona koleżanka była najwyraźniej kobietą z rozwiniętą wiarą w siebie, może odrobinę z nadto. Simonsen zamruczał jednak akceptująco i dopiero po kilku sekundach ciszy do Troulsona dotarło, że jest wybawiony.



- Z całego serca dziękuję. Nie wiesz, w co się pakujesz, ale powodzenia... i za żadne skarby nie zapomnij określenia „główna”, bo będziesz miała zażalenie na karku.

W końcu, po ustaleniu wszystkich szczegółów zdarzył się cud – Troulsen usiadł.

Uwaga zgromadzonych znowu skupiła się na Simonsenie. Napuścił na woźnego zarówno Hrabiankę, jak i Pedersena. Żadne z nich nie zaprotestowało, ale wiedział, że się temu dziwili. Ktoś inny mógłby wykonać tę pracę, a zrelacjonowanie jej wyników mogłoby spokojnie poczekać do jutra, jak słusznie zauważył Pedersen, ale Simonsen naciskał.

- Przejdźmy do Pera Clausena. Męczy mnie myśl, że go nie zatrzymałem, może to był błąd; wiem, uważacie, że przypisuję mu zbyt duże znaczenie, ale wydaje mi się, że niesłusznie go lekceważycie. Czas pokaże, kto miał rację. Nasze priorytety to oczywiście tożsamość ofiar, to, jak je doprowadzono do szkoły i jak zostały powieszono. Niemniej Clausen jest obecnie naszym punktem zaczepienia. Arne i Hrabianko, wykonaliście dobrą robotę, i to o wiele szybciej, niż sądziłem.

Pedersen skomentował:

- Wszystko dzięki temu, że prawie nie musimy czekać, niezależnie kogo i o co prosimy. Jeśli tak dalej pójdzie, w HS eksploduje wór nadgodzin.

- Czym nie powinniście się martwić, więc nie myślcie o tym. Widzę, że przygotowaliście prezentację. Czekamy w napięciu.

Hrabianka odpowiedziała, ale, co ich zaskoczyło, nie zaczęła od biografii Clausena.

- Jutro nasz nowy współpracownik pomoże mi w sprawach komputerowych. A właściwie nasz student praktykant. Nazywa się Malte Borup. Przyjmijcie go życzliwie.

Elegancko ubiegła wybuch zaskoczenia Simonsena.

- Jak pamiętasz, już wcześniej dostałam pozwolenie, żeby go skaptować. Teraz jest wolny, więc wszyscy powinni być zadowoleni. Jest geniuszem komputerowym, co wam się bardzo spodoba, choć jeszcze musi się dotrzeć.

Promieniała jak młode dziewczę z wodewilu, bo udało jej się przechwycić tego studenta. Długo nad tym pracowała.

Simonsen dołał łyżkę dziegciu do jej beczki miodu:

- Jeśli się nie dopasuje, to wyleci, zanim zdążysz powiedzieć fatal error. Opowiedz nam o Perze Clausenie.

Hrabianka zaczęła referować:

- Per Monrad Clausen urodził się w 1941 roku w Kopenhadze, rodzice: Anette i Hans Clausen. Ojciec był stolarzem, później mistrzem stolarskim, matka nie pracowała. Przeprowadzają się w czterdziestym siódmym z dzielnicy Bispebjerg do Charlottenlundu, gdzie Clausen dorasta; w czterdziestym ósmym rodzi się jego siostra Alma Clausen. Rodzina nie ma więcej dzieci. Clausen jest bardzo zdolnym uczniem, ojca udaje się przekonać, by pozwolił mu się dalej kształcić. Zdaje maturę latem pięćdziesiątego dziewiątego, w tym samym roku jego ojciec zostaje mistrzem stolarskim i zaczyna im się powodzić. Po maturze Clausen przez rok pomaga ojcu w warsztacie, a potem, w sześćdziesiątym roku, zapisuje się na Uniwersytet Kopenhaski, do Instytutu Statystyki. Rok później, w sześćdziesiątym pierwszym, dostaje miejsce w akademiku Valkendorf w centrum Kopenhagi, który przeznaczony jest dla szczególnie utalentowanych studentów. Clausen uzyskuje

magisterium w sześćdziesiątym piątym roku, jego końcowe oceny są bardzo wysokie, co świadczy o wybitnych uzdolnieniach. Dostaje złoty medal uniwersytetu za rozprawę ze statystyki przestrzennej i rozmieszczenia liczb pierwszych.

Pedersen wspierał jej wywód ilustracjami lub hasłami wyświetlanymi na ekranie. Hrabianka wypięła łyk wody i kontynuowała:

- Od sześćdziesiątego piątego do sześćdziesiątego dziewiątego roku Clausen pracuje na uniwersytecie w Bostonie w Massachusetts, ale jesienią sześćdziesiątego dziewiątego wraca do Danii, gdzie zostaje zatrudniony w towarzystwie ubezpieczeniowym Union. W siedemdziesiątym trzecim żeni się z Klarą Persson, która jest Szwedką. Klara otrzymuje duńskie obywatelstwo dzięki małżeństwu i dostaje pracę jako pomoc dentystyczna. Para osiedla się w Bagsværdzie, gdzie Clausen mieszka do dziś, a w siedemdziesiątym siódmym rodzi się ich jedyne dziecko, Helene Clausen. Zarobki Clausena systematycznie rosną i wkrótce znajdują się w grupie piętnastu procent społeczeństwa o najwyższych zarobkach w kraju. W osiemdziesiątym siódmym małżeństwo się rozpada z powodu romansu Klary Clausen z jej dawnym chłopakiem, przyjacielem z dzieciństwa. Rozwód jest ciężki i naznaczony wzajemnymi żalami. Córka z matką w tym samym roku przenoszą się do Szwecji; Clausen zostaje w Bagsværdzie. W osiemdziesiątym ósmym umierają jego rodzice, a Clausen i jego siostra dziedziczą po dziewięćset tysięcy koron każde. Rok później zaczynają się długo trwające scysje z urzędem skarbowym, ponieważ Per oddaje pół miliona koron na cele charytatywne i chce otrzymać pełny odpis podatkowy z tytułu darowizny. W dziewięćdziesiątym drugim jest notowany za znaczne przekroczenie prędkości na autostradzie Hillerød. W styczniu dziewięćdziesiątego trzeciego Helene Clausen przeprowadza się do ojca i zaczyna dziewiątą klasę w szkole Tranehøj w Gentofte, a pół roku później pierwszą klasę w Liceum Auregaard, też w Gentofte. Latem dziewięćdziesiątego czwartego na plaży Bellevue w Klampenborgu dochodzi do wypadku, w wyniku którego Helene Clausen tonie.

Simonsen wtrącił:

- Gdzie jest pochowana?

Hrabianka spojrzała na Pedersena, który pokręcił głową, po czym ruchem ramion pokazała, że jej przykro, ale nie wie, i kontynuowała:

- Per Clausen ma wtedy pięćdziesiąt trzy lata. Po śmierci córki popada w społeczną i osobistą degrengoladę. W dziewięćdziesiątym szóstym zamienia stanowisko szefa działu statystyk w Union na pracę woźnego w szkole Langebæk. Zatrudnienie jest przyjacielską przysługą jego szefa z Union, który zna kuratora oświaty w gminie Gladsaxe. Clausen stanowi w owym czasie problem: pije na umór, zachowuje się źle i nie przestrzega zasad higieny. Wbrew przewidywaniom całkiem nieźle radzi sobie z nową pracą, choć ma wiele zwolnień chorobowych i okresami jest nieobecny z powodu permanentnego stanu upojenia alkoholowego. Jest ogólnie lubiany, ale trzyma się na uboczu i nigdy nie wspomina o swoim życiu prywatnym. W kolejnych latach zdaje się nieźle kontrolować nałóg. Półtora roku temu oświadczył dyrektorowi szkoły, że ma raka jelita grubego, i szesnaście razy dostaje wolne na leczenie w okręgowym szpitalu w Gentofte. Za każdym razem nie ma go jeden lub dwa dni, ale szpital nic nie wie o jego rzekomej terapii.

Simonsen podniósł się i długo stał, patrząc na ekran, jakby z haseł Hrabianki chciał odczytać jakieś ukryte dane. Nikt nic nie mówił, słychać było jedynie cichy

szum komputerowego wiatraczka. W końcu ich szef się ocknął:

- Myślałem, że okłamuje tylko nas. Gdzie on teraz jest?

- W pubie. Surprise, surprise! - odpowiedział Troulsen.

- Mamy tam kogoś?

- Dwóch ludzi w środku, dwóch na zewnątrz. Przestań się tym martwić, Simon.

Simonsen przestał myśleć o woźnym i dodał:

- Jeszcze jedno, namówiłem Kaspra Plancka do pomocy przy tej sprawie.

Rozejrzał się; wszyscy czworo kiwali głowami, nikt nie komentował.

Hrabianka odwozła Simonsena i Troulsena do domu. Wysłuchała późnego serwisu informacyjnego, jej szef drzemał, a Troulsen opowiadał o pizzach. Pozwolili mu mówić. Gdy wiadomości się skończyły, Hrabianka wyłączyła radio i szturchnęła siedzącego z przodu Simonsena.

- Dlaczego dałeś ochronę? Czy to nie przesada?

- Jeśli masz na myśli tego starszego sierżanta przed szkołą, to jest tam, żeby się uczyć.

- Uczyć się, ale czego? Że październikowe noce są zimne?

- Dobrze traktować obywateli.

Troulsen wcisnął się w przestrzeń między przednimi fotelami.

- Musicie mnie wysłuchać. Jeśli żadne z nas nie zamawiało pizzy i jeśli nie zrobiła tego także szkoła, to kto? Ktoś musiał. Zapłacono za nie, a to w sumie ponad dwa tysiące koron. Musicie przyznać, że to dziwne.

Hrabianka próbowała go zbyć, szybko przyznając, że to dziwne; wołała posłuchać o strażniku.

- Posłuchajcie, pizze były zamówione na imprezę, a my byśmy nie zamówili na imprezę. A nikt z pracowników szkoły nic nie wie o żadnej uroczystości. Sekretarka była pewna, że lokale albo...

Simonsen nagle się przebudził i niemal krzycząc, zapytał:

- Impreza?! Kiedy je zamówiono?

- Tak, najpierw oczywiście myślałem, że dziś, ale dostawca powiedział, że skończył im się ananas, więc trzy pizze były inne niż w zamówieniu, zatem zamówiono je wcześniej. W przeciwnym razie powiedzieliby o ananasie podczas przyjmowania zamówienia.

- Sprawdź to, Poul. Ty osobiście. Znajdź pizzerię, bądź tam przed otwarciem.

Troulsen przez cały wieczór walczył o to, by problem pizzy potraktowano poważnie, a teraz sprawa przybrała nieoczekiwany obrót. Odpowiedział z rezerwą:

- Okej, Simon. Będę.

Hrabianka też nie rozumiała, co jest grane.

- O co tu chodzi, Simon?

- O plan przestępcy, jak sądzę, ale poczekajmy z tym do jutra.

Wiele więcej się jednak nie dowiedzieli.

## Rozdział 10

Helle Smidt Jørgensen nie krzyczy. Na nic by się to nie zdało.

Zamiast tego zwija się w kłębek jak maltretowany szczeniak, mały, mięciutki labrador czarnej maści, wtula głowę w jego sierść, żeby się schować; pies śpi z nią, pies zawsze z nią śpi, to jej pies. Śni się jej, że się budzi, jej koszula nocna jest mokra od potu, zrzuca z siebie kołdrę, nie potrzeba kołdry w letnią niedzielę, rodzinny lunch na działce, stół jest nakryty, stoi na zewnątrz, jest piękna pogoda, flaga wciągnięta na maszt, wszyscy są zadowoleni, poza nią, poza nią i jej psem. Muszą się obudzić i uciekać, wstać z łóżka i znaleźć pigułki, leki psychotropowe – lęk jest normalną reakcją emocjonalną; wujek Bernhard siedzi na końcu stołu, dzieci bawią się na trawniku, ona się nie bawi – jest dorosła, ma pięćdziesiąt trzy lata, z wykształcenia jest pielęgniarką – pielęgniarka Helle Smidt Jørgensen, tak jest napisane na plakietce. Anksjolytyki – lęk ujawnia się przez symptomy psychiczne, somatyczne i behawioralne. Zgina się wpool i zanosi śmiechem, ponieważ jest dorosła, dorosła pielęgniarka. Wujek Bernhard jest zastępcą burmistrza, dorosłym zastępcą burmistrza. Pies leży obok niej, pies jest jej, pies daje jej poczucie bezpieczeństwa. Benzodiazepiny – lęk jest ważnym mechanizmem przetrwania, gdy organizm jest wystawiony na niebezpieczeństwo. Ona nie jest w niebezpieczeństwie, ponieważ ma wsparcie grupy: Stig Åge Thorsen i Erik Mørk ją chronią, Per Clausen zabija strach, Drzewołaz wykonuje wyrok śmierci na nocy. Dziadek proponuje, żeby zaśpiewali, dziadek uwielbia śpiewać; kiedy jest lato i świeci słońce, wszyscy uwielbiają śpiewać; mówi dziadkowi, że nie żyje i że wujek Bernhard nie żyje, i pies nie żyje, jej pies, który sypia obok niej; wszyscy świetnie się bawią; wujek Bernhard przynosi bandžo. Lexotan – zaburzenia lękowe można opłacać terapią farmakologiczną.

Śpiewają. Wujek Bernhard intonuje, baryton, wszyscy lubią wujka Bernharda, wujek Bernhard pięknie śpiewa, wujek Bernhard zostanie burmistrzem, wujek Bernhard jest przystojny, wszyscy wiedzą, że wujek Bernhard jest przystojny. Trzy razy po trzy miligramy dziennie, musi się obudzić, do kuchni, słoiczek stoi na półce, musi wziąć trzy miligramy, trzy razy po trzy miligramy, trzy razy trzysta miligramów, teraz! Szybko, jak tylko się obudzi, zanim zacznie się piosenka, musi wstać, zanim zacznie się piosenka; wszyscy milczą, wszyscy patrzą na nią, wujek Bernhard się uśmiecha, wujek Bernhard jest przystojny, gdy się uśmiecha, wujek Bernhard śpiewa jej piosenkę, piosenka jest zagraniczna, tylko ona i wujek Bernhard rozumieją zagraniczny język, wujek Bernhard śpiewa jej zagraniczną piosenkę, tylko ona i wujek Bernhard rozumieją piosenkę.

- Be my life's companion and you'll never grow old.

Jest dorosła. Pięćdziesiąt trzy lata.

- I'll love you so much that you never grow old.

Jest pielęgniarką. Jest silna.

- When there's joy in living, you just never grow old.

Nie musi się bać. Ma pigułki.

- You've got to stay young, 'cause you'll never grow old.

Piosenka jej dosięga; piosenka ją obejmuje. Córy nocy szaleją w blasku słońca, piosenka przepędza senne marzenie, słońce znika i flaga, stół, dom, dziadek, wszystko znika; nie ma piosenki, nie ma pielęgniarki. Jest ciemno, cicho, przeraźliwie, wtula głowę w psią sierść, słyszy kroki - jest taka mała, a kroki są ciężkie; paniczny lęk można opanować za pomocą terapii psychiatrycznej lub psychoterapeutycznej.

Terapia odgania lęk, wujek Bernhard odgania psa.

Czuje jego wilgotny oddech na karku, czuje zapach jego brylantyny.

Słyszy, jak szybko oddycha, czuje, jak jego palce ją otwierają.

Helle Smidt Jørgensen nie krzyczy. Na nic by się to nie zdało.

# Rozdział 11

Chłopak przeslizgnął palcami po klawiaturze, zabrzmiało to, jakby pasek tektury wkręcił się w szprychy dziecięcego wózka. Hrabianka przerwała czytanie i po kryjomu obserwowała, jak pracował. Miał jasne loki, niebieskie oczy i szczerą twarz, jego sylwetka nie była imponująca, a styl ubierania się mogłaby uprzejmie określić jako eklektyczny; górną wargę ozdabiała wstępne stadium zarostu na kształt puszku, a gdy się uśmiechał, trudno było opanować chęć pogłaskania go po włosach i uchronienia przed bezwzględnym światem, który raczej nie oferował mu szansy na przetrwanie. Tak uważała.

Malte Borup podniósł wzrok, jakby poczuł jej spojrzenie, i przestał stukać w klawiaturę.

- Ta z tym nice design też jest policjantką?

- Ma na imię Pauline i owszem, jest policjantką. Jak ci sama powiedziała.

- Przepraszam, pewnie powiedziała. Korzystam raczej z oczu niż z uszu.

- Nie ty jeden.

- A co z tą drugą? Tą... drugą.

- Jest psychologiem, ma z nami porozmawiać.

- Co zrobiła?

- Nic. Jak ci idzie z moim laptopem?

- Zaraz będzie gotowy, wysłałem SMS-a do tego z brodą. Tego sympatycznego... chwilka... mam go tu ...

Na ekranie wyskoczyła książka adresowa Hrabianki. Komputer zdawał się naturalnym przedłużeniem jego myśli.

- Poul Troulsen. Muszę się nauczyć imion i nazwisk; pojechał do McDonalda, prawda?

- Do pizzerii. Co napisałeś?

- Czy by nie przywiózł kilku coli. Coś nie tak? Przecież sam zapłacę.

- Nie, nie, ale nie wydaje mi się, żeby czytał wiadomości.

Rzucił okiem na ekran, doszedł do wniosku, że pomoc nie nadejdzie, i wzruszył ramionami.

- Jutro wracamy do Komendy Głównej, tam jest kantyna, w której możesz kupić colę.

- Supcio. Spotkam bossa? Tego grubego. Widziałem go wczoraj w telewizji.

- Spotkasz go dzisiaj, ale nie nazywaj go grubasem.

- Nie to miałem na myśli, gruby jako cool.

- Nie nazywaj go grubym nawet w tym sensie.

- Okej.

- Nazywa się Konrad Simonsen, jest w sali gimnastycznej z gościem. Może go złapiemy, zanim pojedzie do miasta.

Malte Borup zastygł. Jak zatrzymany kadr.

- Wolałbym nie spotkać żadnego z tych martwych. Naprawdę najchętniej nie, jeśli da się tego uniknąć.

- Nie ma strachu, zwłoki już dawno zostały wywiezione.

- Cool.

- Tak, można tak założyć.

To, czy zwłoki już zupełnie zniknęły, zależało od tego, kogo się pytało. Kobieta, która właśnie przyjechała taksówką, mogła zapewne dorzucić do tej kwestii kilka interesujących szczegółów.

Ujrzawszy samochód, Simonsen zgasił papierosa, rysując brzydką czarną kreskę na murze. Był zirytowany, niemal wkurzony; noc była o wiele za krótka, głowa pękała mu od natłoku informacji, które miał przeanalizować. Przeplecione duże i małe sprawy, a za każdym razem, gdy jedną okiełznał, dwie inne zdawały się zajmować jej miejsce. Zawsze tak było na początku śledztwa, szczególnie takiego jak to, które delikatnie rzecz ujmując, było priorytetowe, choć było to marnym pocieszeniem w tej sytuacji. Do tego zapomniał wczoraj zadzwonić do Anny Mii, chociaż jej to uroczyście obiecał, oraz podziękować Hrabiance za książkę o szachach, co nie mniej uroczyście obiecał sam sobie. Ale nie pamiętał o żadnej z tych spraw i jakby tego było mało, na śniadanie zjadł miseczkę jogurtu – w nagłym, źle zaplanowanym czasowo postanowieniu zmiany diety, więc teraz do powodów irytacji dołączył głód. Zmusił się do kwaśnego uśmiechu i poszedł powitać swojego gościa.

Była to niewysoka, chuda kobieta, niemal zlewająca się z asfaltem. Przywitani się uprzejmie. Jej głos zabrzmiał sucho i obojętnie, gdy zdemaskowała jego aktualne potrzeby jak największą oczywistość.

- Wyczuwam nieodpartą ochotę na filety rybne.

Wiedział, że się droczy. Od czasu do czasu używała swoich szczególnych zdolności, by nieco podważyć jego świat rozsądku, tak dla zabawy. Już to znał.

- Myśli nie tuczą. Proszę tędy.

Simonsen miał racjonalną naturę. Nie wierzył ani w zjawy wieszczące nieszczęścia, ani w siłę kryształu, ani w przecinające się żyły wodne, a skrzynka na jego balkonie musiała przetrwać zimę bez żelaza odstraszać czarodziejskie moce. Zatem powodem, dla którego postanowił wykorzystać w tym śledztwie umiejętności tej niepozornej kobiety, włączyć ją w jego rządzący się przejrzyistymi regułami świat, było to, że regularnie dostarczała precyzyjnych, poprawnych i istotnych informacji, które znacznie wykraczały poza to, co można było uzyskać, zgadując po omacku. Jednak czasami się myliła, a niekiedy nie miała do opowiedzenia nic. Już od dawna nie próbował zrozumieć, w jaki sposób uzyskiwała swoje informacje.

Zazwyczaj spotykali się w jej domu w Høje Taastrup, w którym wraz z mężem prowadziła lukratywną, acz dyskretną działalność konsultacyjną. Mąż nazywał się Stephan Stemme i w celach reklamowych rozpowszechniał w internecie dziwaczne historyjki. Od czasu do czasu Simonsen dostawał od niego mejl z jakimś plikiem dźwiękowym. Z reguły usuwał go, nie odsłuchawszy. Zawsze gdy ją odwiedzał, przynosił jakiś przedmiot, który miał związek ze sprawą, w której chciał uzyskać pomoc. To było decydujące. Jak pies śledczy musiała mieć coś materialnego jako punkt zaczepienia, ale w tym konkretnym śledztwie nie mógł wziąć ze sobą żadnych obiektów fizycznych. Umówili się więc, że aby to zrekomensować, przejdzie się po miejscu zdarzenia i sprawdzi, czy pojawiają się duchy.

Duchy nie tylko się pojawiły, ale wręcz ustawiały się w kolejce, by dojsć do głosu.

Sekundę po tym, jak weszła do sali gimnastycznej, wyciągnęła badawczo rękę i zaczęła zerkać to na sufit, to na podłogę, jakby wewnątrz padał deszcz. Wizja sprawiła, że jej twarz wykrzywił grymas.

- Jakiś mężczyzna został wykastrowany przez własnego syna. Na podłodze są krople krwi.

Nagle odskoczyła w tył, niemal tratując Simonsena.

- Ja dziękuję! Kim oni są?

I wtedy coś w nią wstąpiło. Przestraszona, tępym wzrokiem patrzyła na przestrzał, z rękoma przyciśniętymi do głowy; nic nie mówiła, co jakiś czas jedynie wydawała z siebie okrzyki sprzeciwu, a jej gesty i mimika wskazywały na intensywną i nieprzyjemną scenerię. Wizje trwały dłuższą chwilę. Momentami zasłaniała oczy, innym razem uszy, a czasem przytrzymywała zwinięte dłonie przy brodzie - jakby słuchała lub modliła się. Raz odwróciła się z obrzydzeniem.

Nagle wszystko ustało i teraz pustym wzrokiem patrzyła w przestrzeń.

Simonsen był bardzo ciekawy, ale się nie odezwał; chociaż mijała minuta po minucie, a ona stała tak od dłuższego czasu, nie dzieląc się swoją wiedzą; inicjatywa leżała po jej stronie. Odpowiedź była tyleż rozczarowująca, co zaskakująca. A na to, że wyraźnie nie była szczerą, nie mógł nic poradzić - świata duchów nie dało się przesłuchać.

- Niestety, niczego już nie wyczuwam i chcę jechać do domu.



## Rozdział 12

Twarz na ekranie była pełna i blada, z małymi wyłupiastymi oczkami, a wąskie dziewczęce usta wyglądały, jakby je ktoś domalował. Wzrok skierowany był ku dołowi, na czole rysowały się zmarszczki, jak u wielu ludzi, kiedy podejmują trudne decyzje. Skwaszone i niesympatyczne oblicze.

Głowa wypełniała trzy czwarte kadru, a podpórka pod kark, której obicie udekorowane było duńskimi flagami, stanowiła resztę.

Przez chwilę nie działo się nic, aż na twarz wypłynął błogi uśmiech, a lubieżny język kilkakrotnie zwilżył czerwone wargi. Bezgłośnie zostało wypowiedziane jakieś zdanie, po czym filmik się zatrzymał, pozostawiając mężczyznę z niezachęcającym grymasem.

Anni Staal, dziennikarka z „Dziennika”, którą Konrad Simonsen najchętniej skazałby na banicję, wzdygnęła się z obrzydzeniem. Flagi i męczyzna sprawiły, że poczuła się nieczysta, mimo że nie miała pojęcia, kim on jest, ani nie mogła usłyszeć, o czym mówi. Bez przekonania rozejrzała się za swoimi słuchawkami i stwierdziła, że ktoś jak zwykle je podprowadził, po czym zrezygnowała. Mejl, który nadszedł z filmikiem, był anonimowy – w polu nadawcy widniało „Chelsea”, co nic jej nie mówiło. Wiadomości niewiadomego pochodzenia nie były dla niej niczym nowym, otrzymywała je wielokrotnie w ciągu dnia, więc nie powinna była tracić czasu na jedną z wielu.

Zadzwonił telefon. Chwyciła za słuchawkę i uśmiechnęła się, rozpoznawszy głos. Po chwili krótko stwierdziła:

- Oczywiście, że pamiętam Kaspra Plancka, to będzie sensacja, więc dostaniesz dwa tysiące, jeśli jutro będzie z tego osobny artykuł.

Słuchała przez dłuższą chwilę, a następnie powiedziała:

- Okej, niech będzie dwa i pół tysiąca, ale powiedz mi, skoro już rozmawiamy, chodzą słuchy, że Pedersen, wiesz, prawa ręka Simonsena, ma dług hazardowy. Wiesz coś o tym?

Znowu słuchała, tym razem trwało to krócej, po czym odpowiedziała:

- Rozumiem, rozumiem. A wracając do Plancka, myślisz, że uda mi się wyciągnąć jakiś komentarz od Simonsena albo od samego Plancka?

Wysłuchując odpowiedzi, usunęła mejl i otworzyła następny. Zanim zakończyła rozmowę, zdążyła przejrzeć jeszcze dwie wiadomości:

- Chyba mam akurat odpowiedni typ Lolicy-Anity do tej roboty. Dziewczyna jest tak moralna, że powinna studiować raczej teologię niż dziennikarstwo, więc oba twoje kryteria są spełnione. I, na miłość boską, odezwij się wkrótce.

Odłożyła słuchawkę i krzyknęła w głąb pomieszczenia redakcji:

- Anita!

## Rozdział 13

Instytut Medycyny Sądowej w Kopenhadze nie był przyjemnym miejscem i chociaż Simonsen bywał tu wielokrotnie przez ostatnie lata, kiedy wychodził, zawsze czuł ulgę. Może za nastrój tego miejsca odpowiedzialny był odór środka do dezynfekcji, który drapał w gardło i wywoływał swędzenie w nosie, ale i tak nie mógł przegnać ciężkiego powietrza; a może tak działała na Simonsena dziwna kombinacja supernowoczesnej aparatury i szarawobiałych organów w słoikach z formaliną. Instytut był zamkniętym światem, w którym radzili sobie jedynie wtajemniczeni, a on nie był jednym z nich.

Elvang omawiał wyniki obdukcji. Tablica znów się zapełniała, a za chwilę po raz czwarty będzie ją ścierał. Simonsen zerknął na Pedersena i Berg, którzy siedzieli obok niego i w skupieniu śledzili wywód profesora. W przeciwieństwie do spoczywającego po drugiej stronie stołu szefa Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego, który spał. Nazywał się Kurt Melsing i powszechnie poważano go za zdolności; poza tym – w przeciwieństwie do profesora – był człowiekiem dość miłym w obejściu. Od czasu do czasu kiwał głową i wydawał z siebie lekkie chrapnięcie. Wtedy na moment się budził, po czym natychmiast znowu zapadał w drzemkę. Przez całą noc był na nogach i nikt z obecnych nie miał mu tej drzemki za złe.

Prezentacja trwała już godzinę i nic nie wskazywało, by Elvang zamierzał ją wkrótce zakończyć. Niestety dotychczas przedstawione informacje nie wskazywały na przełom w śledztwie. Długość prezentacji wiązała się przede wszystkim z liczbą zmarłych, ale pojedyncze wiadomości były użyteczne. Przede wszystkim w końcu ustalono godzinę zgonu – środa, między godziną dwunastą trzydzieści a czternastą, przyczyna śmierci również została wyjaśniona. Czterej mężczyźni zmarli w wyniku powieszenia, jeden – przez uduszenie. Ten ostatni najprawdopodobniej stracił przytomność, mając pętlę na szyi. Prawie nic nie rzucało światła na tożsamość zmarłych, nie ujawniły się także żadne wspólne cechy fizyczne. Byli w wieku od około czterdziestu pięciu do mniej więcej sześćdziesięciu pięciu lat, masa mięśniowa dwóch ofiar świadczyła o regularnej aktywności fizycznej i tym samym – o pracy fizycznej, inaczej było w przypadku pozostałych trzech.

Pojawił się jednak jasny punkt. Elvang posługiwał się tymczasowymi określeniami na mężczyzn, które Simonsen miał zamiar przejąć w tajemnicy. Profesor ustalił, że kierunek, w którym się patrzyło na ścianę końcową sali gimnastycznej, stojąc w głównym wejściu, to północ, a następnie nadał zmarłym miana: Pan Północny Wschód, Pan Północny Zachód, Pan Południowy Zachód i Pan Południowy Wschód, ostatnią osobę nazywał Panem Środkiem.

Gdy prezentacja wreszcie się skończyła, troje policjantów mogło zadawać pytania na temat szczegółów; najszybszy był Pedersen:

– Mógłby pan powtórzyć to, co powiedział o znieczuleniu?

Profesor ponownie to wyjaśnił. Simonsen zauważył, że powiedział to mniej więcej tymi samymi słowami co za pierwszym razem, mówił po prostu wolniej.

- Wszystkich pięciu mężczyzn częściowo znieczulono diazepamem około dwóch godzin przed śmiercią. Diazepam jest środkiem uspokajającym, który w zależności od dawki powoduje, że ludzie zasypiają albo czują senność. Środek podano dożylnie. Każde z ciał ma ślad po wkłuciu na lewym lub prawym przedramieniu, a poza tym na ramionach widnieją siniaki, najprawdopodobniej po stazie. Stężenie diazepamu we krwi każdego z nich jest równe niemal do dziesiątych, co oznacza, że otrzymali różne dawki zależnie od wagi ciała. Najprawdopodobniej wyliczył to i wykonał profesjonalista. Choćby dlatego, że wkłucia są pojedyncze, za pierwszym razem trafiano w żyłę. Zgaduję, że strzykawkę trzymał lekarz, pielęgniarka albo ktoś inny znający się na rzeczy.

Pedersen dociekał:

- Powiedział pan: „częściowo znieczuleni”.

- Tak, stężenie nie jest zbyt wysokie, zatem działanie było ograniczone. Zakładam, że chodziło o to, by byli posłuszni. Żeby łatwo się było z nimi obchodzić, że tak powiem.

- Żeby byli bezwolni?

- Coś w tym rodzaju. Powolni i otumanieni przez parę godzin, mówiąc bardziej precyzyjnie.

- Powiedział pan, że obliczono ich wagę. Zostali zważeni?

- Nie sądzę, kompetentne oszacowanie wagi na podstawie ich sylwetek jest bardziej prawdopodobne.

Następnie była kolej Simonsena. W swoim notesie zapisał kilka pytań, a teraz odkrył, że nie potrafi ich odczytać, a nawet nie pamięta pierwszego z nich. Niezręczna przerwa sprawiła, że inni patrzyli na niego ze zdziwieniem, a niespodziewana cisza na krótko obudziła Melsinga. Simonsen przeskoczył do drugiego pytania:

- Jeśli chodzi o identyfikację, czy dobrze rozumiem, że dostaniemy prawie nieuszkodzony odcisk zębów?

- Pana Północny Zachód, tak, z naciskiem na „prawie”. Ale w połączeniu z jego szacunkowym wiekiem to prawdopodobnie wystarczy do identyfikacji, o ile znajdziesz jego dentystę.

- Powiedziałeś, że Pan Północny Wschód przed około czterdziestu laty, gdy był po dwudziestce, miał wstawioną sztuczną zastawkę serca. Czy to może być jakiś trop?

Elvang przez chwilę ociągał się z odpowiedzią.

- Być może miał chorobę reumatyczną. Zaryzykuję stwierdzenie, że to chirurgia z naszego własnego podwórka. Zatem jakiś duński szpital wszczepił sztuczną zastawkę serca mężczyźnie między dziewiętnastym a... powiedzmy, dwudziestym piątym rokiem życia. Musiał więc zażywać leki przeciwzakrzepowe, warfarynę albo fenpropakumon. Później wykonamy analizę. Wiele wskazuje na to, że co kwartał musiał mierzyć współczynnik INR, żeby sprawdzić działanie leku. Prawdopodobnie wykonywał te badania w jakimś szpitalu. To nie najgorszy punkt zaczepienia do identyfikacji. Wówczas nie wykonywało się wielu operacji tego typu.

- Pomoże nam pan? - wtrącił Pedersen.

Miało to sporo sensu, profesor był z pewnością właściwym człowiekiem do tego typu zadania, ale biorąc pod uwagę czekającą na niego stertę zadań, było to mało realne. A jeśli wziąć pod uwagę również jego wiek, o czym często zapominano, pytanie stawało się zupełnie niestosowne.

- W znalezieniu kogoś do współpracy? - zmodyfikował prośbę Simonsen.

Elvang patrzył zdezorientowany to na jednego, to na drugiego.

- Dajcie spokój z tą głupią gadką, o co wy w ogóle pytacie?

Obaj wycofali prośbę.

Nadszedł czas na Melsinga, szturchnęli go, żeby przywrócić do życia, a on natychmiast rzucił się w wir pełnego pasji wykładu na temat „plamy krwi na sto sposobów”, ze szczególnym uwzględnieniem plam rozpryskowych i wytrysków krwi. W przeciwieństwie do profesorskiej jego prezentacja była słaba i częściowo nie-spójna, a poza szczegółem, na który Simonsen zwrócił szczególną uwagę - że podłoga w sali gimnastycznej przykryta była plastikową folią i gazetami - nie powiedział nic, co można było wykorzystać. Nie było niczym zaskakującym, że ten facet sporo wiedział o krwi. Pod koniec Elvang miał już tak serdecznie dosyć, że niegrzecznie mu przerwał:

- Nikomu nie chce się służyć o tych twoich śladach krwi, Kurt. Przejdź do wniosków, one są dla nich zapewne bardziej interesujące.

Melsing spełnił prośbę bez złości, znalazł kartkę papieru i zaczął z niej odczytywać - dobrze wiedział, że jego zdolności do swobodnego, a zarazem jasnego formułowania myśli są dość ograniczone.

- Nasze pomiary powierzchni cięcia, kątów oraz śladów krwi na zwłokach wskazują, że piła motorowa prowadzona była z prawa na lewo pod kątem około sześćdziesięciu stopni, w stronę podłogi. Osoba obsługująca pilę znajdowała się około metra nad zwłokami, które były cięte. Poza tym oczywiste jest, że mężczyźni przed powieszeniem stali na jakimś podwyższeniu. Do tego aby zapobiec powstaniu plam krwi, ciała były osłonięte gładką powierzchnią. Jeśli te informacje mają się złożyć na spójny obraz, to musiało być zbudowane podium o wysokości około półtora metra. Scena z pięcioma zapadniami. To była solidnie przygotowana ceremonia egzekucji.

- Do diabła.

To były słowa Pedersena. Padły wytłumione, ale jego odczucia podzielali wszyscy zgromadzeni. Na chwilę zapadła cisza, tak jakby kąty cięcia, prędkość obrotu, treści żołądkowe i zestawy zębów na chwilę usunęły się na drugi plan, podczas gdy ogólne wrażenie, wywołane jeżącą włos na głowie śmiercią pięciu osób, się umocniło. Elvang przerwał milczenie.

- Tak, nie było to szczególnie przyjemne. W mniej lub bardziej przytomnym stanie mężczyźni zostali przetransportowani do sali gimnastycznej i umieszczeni na podium. Rozebrano ich. Gdzie i jak, nie wiemy. Nadzy, ze skrępowanymi z tyłu rękoma i związanymi nogami, stali, każdy osobno, ze stryczkiem na szyi. Znaleźliśmy resztki kleju na kostkach u nóg i w wielu przypadkach w dolnej części przedramion, najpewniej od mocnej taśmy klejącej. Potem ich wieszano, a zaraz po powieszeniu, ale zanim zabita została kolejna osoba, odcinano im dłonie. Poza tym ich twarze zostały pocięte w różnym stopniu. Plamy krwi i powierzchnie tych cięć są, jak już wspomniano, kluczem do uzyskania informacji technicznych. Możemy nawet zaryzykować określenie kolejności: Pan Południowy Zachód, Pan Północny

Zachód i Pan Południowy Wschód. Jak wspomniano wcześniej, Pan Północny Wschód stanowi wyjątek, a Pan Środek został wzięty w obroty na samym końcu. Zbeczczenia organów płciowych ofiar dokonano dopiero po usunięciu podium.

Jakby w wyniku ogólnego porozumienia wszyscy czekali na reakcję Simonsena, który pomimo ich niemego nacisku dał sobie trochę czasu na przemyślenia. W końcu powiedział spokojnie:

- Folia na podłodze, na niej gazety, w które wsiąka krew, potem podium, zbudowane na tę okazję, a następnie rozebrane i wywiezione?

Było to pytanie zasadniczej wagi. Mimo tego Pauline powiedziała:

- W tym kontekście interesujący wydaje się fakt, że ten woźny pracował w warsztacie stolarskim swojego ojca...

- Siedź cicho, Pauline - przerwał jej Simonsen. - Kurt?

Głos Melsinga był tak samo ściszony jak Simonsena, ale w jego odpowiedzi nie było żadnego wahania:

- Właśnie tak było, Simon. Wiem, że brzmi to jak chore urojenie, ale właśnie tak się to odbyło.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

- Nie.

Centralne Laboratorium Kryminalistyczne przedstawiło przebieg wydarzenia za pomocą żywych obrazów, na których schematyczne ludziki odegrały scenkę opisaną przez Elvanga. Sekwencja trwała dobre dwie minuty, ze zbliżeniem na szczególnie interesujące detale. Animacja była trójwymiarowa i chociaż nie wydawała się szczególnie rzeczywista, obrazowała wystylizowane okrucieństwo, które sprawiło, że atmosfera stała się jeszcze cięższa.

Obejrzeli filmik dwukrotnie.

- Wstawiliśmy dwóch sprawców - dodał Melsing. - Mógł być tylko jeden, mogło ich być pięciu. Nie wiemy tego i nie mamy żadnej rozsądnej propozycji.

Simonsen został po zakończeniu spotkania. Najpierw zdążył jednak przejąć psycholożkę Ditte Lubert - główną - od Pauline, której nie udało się nic wskórać. Teraz Hrabianka albo Pedersen - wszystko w zależności od tego, które z nich znajdzie na to czas - zmierzy się z tym zadaniem.

Gdy policjanci opuścili pomieszczenie, zapytał Elvanga:

- Mógłbyś mi powiedzieć parę słów o rekonstrukcji plastycznej?

Starszy mężczyzna się rozpromienił. Mógł to zrobić i bez dalszego zastanawiania się wyjaśnił:

- Ta metoda służy do określania tożsamości. Nie jest wykorzystywana w naszym kraju, u nas odontologia kryminalistyczna i dobrze zorganizowana brać stomatologów, posiadająca uporządkowane rejestry, pozwala na szybsze, tańsze i pewniejsze identyfikowanie osób. Ale stosuje się ją na przykład w Anglii i Stanach Zjednoczonych, gdzie ludzi nie rejestruje się aż tak dokładnie, a poza tym mają wykształconych specjalistów. W Stanach określa się ich jako forensic anthropologists. Metoda polega na modelowaniu twarzy na niezidentyfikowanej czaszce, a wykorzystuje ona połączenie anatomii i statystyki. Kawałek po kawałku nadbudowuje się pojedyncze mięśnie albo grupy mięśniowe, przyklejając do czaszki małe, docięte na miarę kołeczki. Kołeczki wychodzą z punktów odniesienia i są skrócone odpowiednio do średniej grubości tkanek miękkich w danym miejscu. Rekonstrukcję wykonuje się za pomocą gliny i najlepiej, żeby antropolog miał zacięcie arty-

styczne, ale precyzyjne odtworzenie twarzy jest niemożliwe. Na przykład nie da się zrekonstruować uszu.

Zrobił małą przerwę i powiedział z namysłem:

- Impliçytną częścią twojego pytania jest, rzecz jasna, czy ta metoda może mieć zastosowanie w tym przypadku.

- Tak, o to mi chodziło. Identyfikacja ma decydujące znaczenie. Prawdopodobieństwo, że uzyskamy ją z innego źródła, jest duże, ale zarówno zęby Pana Północny Zachód, jak i zastawka serca Pana Północny Wschód mogą zająć sporo czasu, w dodatku nie ma pewności co do wyniku. Jeśli możesz mi dostarczyć dość wierne fotografie, chciałbym, żebyś rozpoczął pracę teraz, a nie za tydzień, kiedy będzie to jedyna możliwość, jeśli bym został z niczym; a jak wiesz, tym razem pieniądze nam nie brakuje.

- Tak, słyszałem, i dobrze, bo to będzie kosztowne. Cholernie kosztowne. - Popatrzył w przestrzeń, wymamrotał coś niezrozumiałego, a następnie dodał: - Przyjrzyjmy się denatom.

Melsing i Simonsen poszli za nim.

Pokój, do którego weszli, był jasny i czysty. Ściany wyłożono białymi kafelkami, a podłogę terakotą, jak w łazience z lat pięćdziesiątych. Środek pomieszczenia był lekko wybruszony, zaś brzegi opadały w stronę rynny okalającej pokój, żeby powierzchnię można było łatwo spłukać. Między oknami zamontowano kilka sporych zlewów ze stali nierdzewnej: jeden do mycia rąk, inny do mycia organów. Na środku stało pięć stołów w odległości dobrych dwóch metrów od siebie, a na każdym z nich leżało ciało.

Pogłos w pomieszczeniu był nieprzyjemny i metaliczny jak na pływalni.

Elvang krytycznie przyjrzał się resztkom twarzy trzech ciał, pozostali się nie odzywali. Mówił głównie sam do siebie.

- Nie są potrzebni antropolodzy, i tak mamy wiele informacji. I nie ma larw, więc raczej zdolny chirurg szczękowo-twarzowy wystarczy. To by było ciekawe, stworzyć zespół, sprawić, by dzielili się wiedzą, może pracownik zakładu pogrzebowego i charakteryzator ze Stanów. - Dotarł do konkluzji, ale kontynuował swoją myśl, teraz zwracając się do innych: - Tak, tu w kraju po prostu wrzucamy zwłoki do trumien i ostrzegamy bliskich, by ich nie otwierali. My nie patrzymy na zmarłych.

Szef Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego intensywnie się wsłuchiwał, także on zapalił się do tego pomysłu.

- Znam doskonałą fotografkę. Jest prawdziwą artystką, z aparatem w dłoni i przy obróbce zdjęć.

Elvang przytaknęła.

- Tak, tak, dobry pomysł. Chętnie włączę ją do zespołu.

Wniosek nasuwał się sam. Nocny research Simonsena w internecie, który był podstawą do sformułowania pytania, wydał owoce; był dumny, choć nie mógł przewidzieć, czy rezultat byłby taki sam, gdyby nic na ten temat nie wiedział. Ostrożnie zapytał o przewidywany czas i, jak należało się spodziewać, reakcją profesora była pełna irytacji odmowa snucia domysłów tu i teraz. Simonsen przyjął tę odpowiedź, a poczucie, że pierwszy raz tego wtorku jest w niezłym humorze, nie zostało zburzone. Nieważne, czy było podium czy nie.

Dobry nastrój Simonsena trwał jednak krócej niż dziesięć minut. Gdy skończyło się spotkanie, ale jeszcze zanim opuścił budynek, zadzwonił jego telefon. Wiadomość od Hrabianki była krótka i stonowana w stosunku do jego reakcji, która echem rozległa się w korytarzach instytutu:

- Nie wierzę! Do jasnej cholery, nie wierzę!

Ale tak właśnie było.

## Rozdział 14

Drzewołaż okiem znawcy przyglądał się drzewu stojącemu na rynku w Allerslevie, niewielkim prowincjonalnym miasteczku w pobliżu Odense. Był to buk pospolicie odmiany czerwonołistnej; mniej więcej pięćdziesięcioletni, jak założył. Pień miał średnicę metra, a korona rozpościerała się wysoko ponad jego głową jak gigantyczny fioletowoczerwony dzwon, pojedyncze konary były przycięte, a drzewu w zasadzie pozwolono rozrastać się swobodnie. Na pierwszy rzut oka to drzewo nie pasowało do rynku – było po prostu za wysokie; zapewne rośnie tam, zanim wybudowano większość znajdujących się wokół niego sklepików. Drzewołaż rozejrzał się dokoła i stwierdził z zadowoleniem, że w pobliżu nie stoją żadne kamienice, co miało decydujące znaczenie – niezależnie od tego, jak ostrożnie by pracował, nie mógł uniknąć hałasowania.

Następnie trzeźwo i rzeczowo ocenił budkę z kiełbaskami. Była byle jak sklecona z materiałów lichej jakości. Podłogę tworzyły betonowe płyty, rozsuwane drzwi i okno po prawej wykonane były z pleksi, a płyty wypełniające poniżej oraz na pozostałych trzech ścianach zewnętrznych przykryto pomalowaną na biało sklejką. Podstawę konstrukcji stanowiły proste sosnowe belki, nie grubsze niż pięć na dziesięć centymetrów, a izolacja też nie zasługiwała na wzmiankę w annałach – pojedyncza warstwa wełny izolacyjnej, przytwierdzona imitacją szalówki. Dach był płaski, delikatnie opadał w stronę plastikowych rynien z tyłu budynku. Połowa pokryta została papą w kolorze łupka, najpewniej przymocowaną bezpośrednio do taniej sklejki, a druga część – trapezowymi płytami, które potrzebowały szybkiego oczyszczenia z liści i insektów.

Z ławeczki, na której siedział, dostrzegał dłonie właściciela podające jedzenie, a od czasu do czasu także jego twarz, odbijającą się w płycie ze stali nierdzewnej. Bładożółta jak dojrzały wrzód, biaława, z matowymi oczami, odpychająca jak kadawer. Niestety będzie musiał go najpierw zabić, w przeciwnym razie sprzedawca kiełbasek miałby zbyt duże szanse na przeżycie; drzewo także miało odegrać swoją rolę, wiedział to, odkąd tylko je zobaczył, mimo że to skomplikuje robotę. Być może niepotrzebnie utrudni, za to sygnał wysłany do wybranych będzie niezrównany i z pewnością wzbudzi na kilka dni nerwowość wśród wielu specjalnych klientów sprzedawcy kiełbasek. Poza tym buk będzie taki odpowiedni... tak bardzo odpowiedni.

Z miną znawcy ponownie przyjrzał się drzewu i ściał je w myślach. Sprzedawca kiełbasek pracował także jako roznosiciel gazet i w dni powszednie od świtu był na nogach. Dawało to Drzewołażowi wyjątkową okazję oraz całą noc na pracę przy drzewie. Jeśli maksymalnie zmniejszy obroty piły, ostrze będzie pracować możliwie najwolniej, a hałas zostanie zredukowany do akceptowalnego poziomu. Niska prędkość oznaczała oczywiście dłuższy czas pracy, ale miał go wystarczająco dużo. Najpierw nacięcie po stronie, na którą ma upaść drzewo. Ostrze jego



piły było krótsze niż średnica pnia, więc musiał pracować z obu stron. Następnie nacięcie z drugiej strony, poprowadzone równoległe do pierwszego, wykonane na przemian łańcuchem ciągnącym i pchającym. Kilka solidnych plastikowych klinów, żeby piła nie utknęła, a na koniec głębokie cięcie do środka pnia, które doprowadził niemal do samego końca. Dwadzieścia sekund więcej normalną prędkością piły i drzewo się przewróci.

Ostatni raz spojrzął na konary, a potem na budkę z kiełbaskami, spokojnie się uśmiechnął i wypowiedział jedno słowo:

- Bum.

## Rozdział 15

Poul Troulsen wkroczył do sali przeznaczonej do nauki czytania w szkole Langebæk w wyśmienitym humorze, a Hrabianka wykorzystała jego pojawienie się jako radośnie powitany pretekst do zrobienia sobie przerwy. Właśnie po raz kolejny odsluchiwała nagranie nieudanej konfrontacji z panną Lubert z dzisiejszego ranka. Tym razem kobieta przyprowadziła ze sobą adwokata – życzliwego, kompetentnego i zapewne zobligowanego jej pomóc, jako że był jej szwagrem. Hrabianka dobrze go znała i żywiła głęboką nadzieję, że siostra „główniej” bardziej się udała; na to zasługiwał ów adwokat, a w każdym razie nikt nie zasługiwał na Ditte Lubert. Mimo usilnych starań Pauline Berg i pośredniej pomocy adwokata przesłuchanie ciągle tkwiło w martwym punkcie, każde słowo zostało odwrócone, przekrecone, zdefiniowane, ośmiokrotnie przedefiniowane przez psycholożkę, aż nikt nie pamiętał pytania, a rozsądna odpowiedź stawała się niemożliwa. Po niemal godzinie jałowych starań Pauline Berg przerwała rozciągniętą w czasie udrękę i podała się.

- Co robisz? – spytał Hrabiankę Troulsen.

- Mnóstwo rzeczy naraz. Mam sześć zespołów krążących po szkole i dwa u sąsiadów. Ale chłopcy radzą sobie sami, pomijając to, że od czasu do czasu meldują, że nie mają nic interesującego do zgłoszenia. Jednocześnie odbieram informacje na temat Pera Clausena. Szef akcji dzwoni co pół godziny, więc to też da się ogarnąć.

- Gdzie on jest?

- Teraz akurat na zakupach w lokalnym supermarkecie.

- A co z tym? To ta jędza Lubert?

Wskazał na magnetofon stojący przed Hrabianką.

- Zgadłeś. Pauline nie dała rady. Ta kobieta jest nie do wytrzymania.

Troulsen się zaśmiał.

- Puść mi kawałek.

Hrabianka przewinęła taśmę.

- Taki z ciebie bohater, odkąd to już nie twój problem.

Włączyła magnetofon i pogłośniła. Monotonny głos głównej psycholożki szkolnej Ditte Lubert wypełnił pomieszczenie:

- Na pewno miałam coś do zrobienia.

- Powiedziała nam pani przecież, że w zeszłym tygodniu miała pani urlop. Czy to się zgadza?

- Już o to pytałyście. Powinniście porównać swoje informacje.

- Ale czy to się zgadza?

- Czy miałam urlop, czy może, że powiedziałam, że miałam urlop?

- Czy miała pani urlop?

- Jeśli powiedziałam, że miałam urlop, to miałam urlop.

- A więc miała pani urlop?
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Nie wiem, Ditte.

Hrabianka wcisnęła pauzę i zwięźle wyjaśniła:

- Przywlekła ze sobą adwokata. Tak w ogóle to rozsądny facet, ale ma pecha, że jest mężem jej siostry.

- Co pani robiła podczas urlopu?
- Muszę na to odpowiadać? Czy policję obchodzi, co robię na wakacjach?
- Nie, nie musisz odpowiadać na żadne pytanie. Już to przerabialiśmy, Ditte.
- Czy ona w ogóle ma prawo pytać o to, co robiłam?
- Tak, ma prawo. Ale, jak mówiłem, ty nie musisz udzielać odpowiedzi.

Hrabianka znów przewinęła taśmę i puściła przypadkowy fragment.

...może komunikacja stanie się głośniejsza, jeśli jej o tym opowiesz.

Głos doradcy zdradzał zmęczenie.

- Zgadza się.

Głos Berg jeszcze większe.

- Więc najpierw musi sprecyzować, co ma na myśli, mówiąc „niezwyczajny”.

Ditte Lubert była pełna wigoru.

Hrabianka wzdychała raz po raz.

- I tak w kółko. Spotkałam wielu przedziwnych świadków, ale ona zasługuje na pierwszą nagrodę. Jest gorsza od woźnego - dodała.

- Co o niej myślisz?

- Co myślę? Myślę, że Ditte Lubert marzy o jakiejś odmianie swego życia. Nijaki i pozbawiony smaczku dzień powszedni, samotna matka zazdrosna o kariery, które robią jej oledczy, kłótniwa i wyniosła, ale zgadzam się z tobą, że jakby odrzeć ją z całej tej otoczki, jest coś jeszcze, ona coś ukrywa. Na razie jednak mam jej już dosyć. Opowiedz, jak ci poszło. Odnalazłeś szczonego sponsora pizzy?

Troulsen usiadł na stole obok niej, gotowy do opowiadania. Hrabianka kilka razy wciągnęła powietrze, gdy się zbliżył.

- Śmierdzisz.

- Nie bez powodu. Przez całą wieczność tkwiłem po kolana w resztkach pizzy. Ale posłuchaj. Kiedy rano otworzyli budkę, już tam byłem i uciąłem sobie dłuższą pogawędkę z samą pizza mamą. Na początku nie rozumiała ni w ząb, a osiemdziesiąt procent jej odpowiedzi było po włosku. Mówię ci, to było przedziwne, ale na szczęście przyszedł jej syn i okazało się, że ona całkiem niezłe mówi po duńsku, tylko chowa się za fałszywą barierą językową, gdy tylko wyweszły instytucje państwowe. Syn ją uspokoił, a po żywiłowej włoskiej dyskusji doszli do tego, że pizze zostały zamówione w zeszły poniedziałek. Przez mężczyznę, który przekazał zamówienie na kartce.

- Ciekawe. Czyli miałaś rację.

- Tak, na to wygląda. No, ale przez następną godzinę próbowaliśmy ją nakłonić do opisanego tego mężczyzny, co okazało się niemożliwe. Po niekończących się wariacjach na temat tego samego pytania stwierdziliśmy, że klient był osobą między dwudziestym a osiemdziesiątym rokiem życia, że prawdopodobnie nie był karłem, nie jeździł na wózku i że z pewnością był mężczyzną. Wtedy zacząłem podejrzywać, że ona jest ofiarą niezdiagnozowanego syndromu frytury. Później okazało się,

że to bardzo niesprawiedliwy osąd, ale w tamtej sytuacji rysowała się tylko jedna możliwość.

- Do śmieci po kartkę.

- Właśnie. Wywaliliśmy na podwórko trzy kontenery i zaczęliśmy od jednego końca. Jej syn mi pomagał, podczas gdy ona dyrygowała, co było dość żenujące. W końcu ją znaleźliśmy: małą jasnoniebieską karteczkę samoprzylepną, na której data dostarczenia, liczba i numery pizz wykaligrafowane zostały starannym piśmem o charakterystycznych pochyłych i zakręcających literach. Grafologiczny dar niebios, mimo że większość stanowią liczby. Wszyscy byli szczęśliwi i nawet dostałem kawę na rachunek firmy, więc zrobiło się bardzo przyjemnie. Dopóki przypadkiem nie spojrzałem ponad ladę, gdzie wisiały różne oferty pizzerii, napisane... zgadnij sama jak.

- Charakterystycznym pochyłym piśmem z zakręcającymi literami.

- Bingo! To była załamka, a syn był tak samo wściekły jak ja. Przeprosił za dziurawą pamięć matki, ale tego już dla niej było za wiele i wybuchła. Miotła najgorsze słowa nad naszymi grzesznymi głowami, uroczym przeplatając duński i włoski, i wyobraź sobie: pośród tych bluźnierstw krzyczy do nas, dlaczego sami nie pogadamy z tym mężczyzną. Siedzieliśmy z rozdziawionymi gębami, dopóki syn się nie pozbierał i nie zażądał wyjaśnienia: czy ona go zna czy nie? Ale nie, nie, ona w ogóle nikogo nie zna. Tylko on i ojciec wychodzą i znają ludzi, podczas gdy ona cały czas tam tkwi, sprzedając pizzę, ona tylko wie, że ten mężczyzna jest woźnym w dawnej szkole syna.

- Nie wierzę.

- To uwierz. Widziała różnicę pomiędzy знaniem kogoś a wiedzą, kim jest ta osoba, co w gruncie rzeczy wcale nie jest bezsensowne. Z tego samego powodu jej opis był nieudany, myślała, że mamy na myśli osobowość, a nie wygląd.

Hrabianka pokiwała głową z namysłem.

- Ciekawe, jak Clausen wytłumaczy się z tego zamówienia. Zapowiada się ciekawe popołudnie. Nie zadzwoniłbyś od razu do Simona? Pewnie już skończył w Medycynie Sądowej.

- A ty nie możesz? Muszę znaleźć toaletę, a poza tym przekazać te cole, zanim zrobią się zbyt ciepłe. Co zrobiłaś z tym nowym?

Troulsen dumnie wyciągnął dwie cole ze swojej teczki.

- Imponujące. Nie sądziłam, że radzisz sobie z SMS-ami.

- Szczyrze mówiąc, miałem pomoc.

- Malte siedzi w pokoju obok i programuje. Chce stworzyć system eksploracji danych dla naszych raportów. To jego własna inicjatywa, nie pytaj o szczegóły.

Malte Borup z wdzięcznością przyjął cole. Gdy szukał pieniędzy, Troulsen zerknęła na jego pracę, a po dokładniejszym oglądzie bardziej się nią zainteresował.

- Powiedz, co ty właściwie robisz?

- System eksploracji danych. Oszczędzi wam kupę czasu. Automatyczna wyszukiwarka w pełnym tekście przez poszukiwanie asocjacji. Indukcyjna i asynchroniczna. Znalazłem wyczesaną AI class library w sieci. Na początek zespolenie ze szpitalami i firmami telekomunikacyjnymi. Duże szpitale gotowe, z wyjątkiem Herlevu. Trudno zhakować ich system, ale wieczorem znów spróbuję.

Jego słuchacz nie wyglądał jak ktoś, kto pojął głębię tej wypowiedzi, więc chcąc mu pomóc, dodał:

- AI znaczy sztuczna inteligencja.

Troulsen ciężko położył mu dłoń na ramieniu i spokojnie powiedział:

- Może powinienes spróbować mówić pełnymi zdaniami, a nie hasłami; trudno mi zrozumieć, o czym mówisz. Powiedz, nie wiesz, że włamywanie się do czyichś systemów komputerowych jest zabronione?

Borup się zawahał.

- Ale my jesteśmy z policji, nie?

Ten wielki mężczyzna stojący blisko sprawił, że Malte poczuł się niepewnie, a gdy zmienił się temat, był już zupełnie zdezorientowany.

- Malte, kto jest premierem Danii?

Łamał sobie głowę, a palce aż świerzbiły od chęci dotknięcia klawiatury. Odpowiedź można znaleźć w Google w ułamku sekundy, ale to by pewnie było oszustwo.

- Chyba jakiś Jutlandczyk.

- To zawsze jest jakiś Jutlandczyk. Możesz powiedzieć coś więcej?

Trzymając kciuki, strzelił:

- Z Århus?

Troulsen odwrócił wizytę w toalecie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, były artykuły o policyjnym hakerstwie na pierwszych stronach gazet. Wrócił do Hrabianki, opisał jej sytuację i zalecił z naciskiem, aby natychmiast dała swojemu protegowanemu przyspieszony kurs wiedzy o społeczeństwie, od konstytucji począwszy. Nie sprzeciwiła się, ale przyjęła sprawę o wiele spokojniej, niż jego zdaniem należało.

- Okej, pogadam z nim. A ty w tym czasie pomyśl, czy pamiętasz geografię. Jeśli nie, to zacznij szukać mapy Danii.

- O co chodzi?

- Simon chce wysłać jedno z nas do Tarmu, mamy porozmawiać z siostrą wóznego i jeżeli dobrze pamiętam, ostatnim razem to chyba ja...

Zawiesiła głos, a on się natychmiast poddał.

- Pojadę. Mogę pożyczyć twój samochód?

Zadzwoił telefon Hrabianki, więc odpowiedziała mu tylko skinieniem głowy. Wiadomość była krótka, ale najwyraźniej nie najlepsza, co po chwili cicho potwierdziła.

-Clausen im zwiął.

- Nie wierzę. Powiedz, że to żart.

- W tej sytuacji byłyby to bardzo kiepski żart.

Nagle podróż do Tarmu wydała się całkiem kuszącą perspektywą.

## Rozdział 16

Minęło sześć dni, odkąd pielęgniarka Helle Smidt Jørgensen podała leki mężczyznom w minibusie. Sześć nieprzyjemnych dni i do tego dwie ohydne noce z wujkiem Bernhardem. Dzisiaj, gdy plakaty na ulicach i nagłówki na pierwszych stronach gazet krzyczały o masowym morderstwie, była szczególnie spięta, a wszyscy w domu opieki mówili tylko o jednym. Niemal nie dało się myśleć o niczym innym i mimo że wykonanie zadania na przydrożnym parkingu ostatniej środy zajęło jej tylko dziesięć minut, wspomnienia z tego epizodu ciągle pojawiały się jej pod powiekami jak niechciany film. Obce twarze z przestraszonymi, błagającymi oczami i ręce, trzęsące się z niedającego się opanować strachu oraz metaliczny odgłos kajdanków uderzających o uchwyt na oparciu fotela. Oszałały wzrok mężczyzny, gdy ze strzykawką uniesioną w ręce jak pochodnia i stazą owiniętą wokół szyi jak jadowity wąż stanęła w minibusie. Ryczeli jak woły albo wyli jak psy, aż groźby Drzewołąza uzbrojonego w turystyczny nóż nie uspokoiły ich jednego po drugim. Zamknij się albo stracisz oko, słodki Palle... słodki Franku... słodki Thorze... słodki... czy to był Peter? Nie pamiętała imion, tylko spokojne i przerażająco bezpośrednio słowa Drzewołąza.

- To trudne, nie mieć z kim porozmawiać. Trudniejsze, niż myślałam.

Starsza kobieta na krześle kąpielowym uśmiechnęła się, choć nie rozumiała, co się dzieje, a Helle Smidt Jørgensen pogłaskała ją delikatnie po włosach. Pieszczota sprawiła, że puste oczy staruszki na moment zaiskrzyły się obecnością, potem znów zanurzyła się w swoim świecie.

- Czy dzisiaj jest czwartek? Dzisiaj przyjdzie moja córka.

Kobiecie sprawiała przyjemność woda spływająca po jej chudym, pomarszczonym ciele, a Jørgensen ostrożnie ją namydlała. Zostawiła odkręcony kran, żeby było ciepło.

- Bawiłam się w napad, ja, stara baba. No to spróbowałam i tego.

Spoglądając na podopieczną, pomyślała, że „stary” to pojęcie względne.

- Tak, nie jestem już młodą gąską, ale stałam tam, w kominiarce, z pistoletem i całym tym kramem. Z najprawdziwszym pistoletem albo rewolwerem, czy ja wiem? Chociaż nie był naładowany. I całą torbą kajdanków.

- Dziś przyjdzie moja córka. Czy dzisiaj jest czwartek?

Ręczniki leżały gotowe do użycia w podgrzewanej komorze, były przyjemnie ciepłe. Owinęła nimi staruszkę i ostrożnie wytarła.

- Wycelowałam pistolet w Drzewołąza, nic nie mówiąc. Błagał mnie o litość, skuwając ich ze sobą, a działa się to tak szybko, że nikt nie zaprotestował, zanim nie było za późno. Tak, oczywiście myśleli, że to napad i że Drzewołąz jako kierowca też był ofiarą, i zanim dotarła do nich prawda, już wszyscy byli skuci.

Dreszcz strachu przeszył starszą kobietę. Musiała chyba podnieść głos.

- Niech przyjdzie moja córka. Niech moja córka przyjdzie teraz.

- Już dobrze.

Objęła ją i pogłaskała po plecach. Kobieta się uspokoiła. Potem Jørgensen pozwoliła mokrym ręcznikom opaść na podłogę i spokojnymi, okrężnymi ruchami zaczęła wcierać krem. Starsza kobieta przymknęła oczy i zaczęła cicho nucić, a ona nadal wykonywała delikatne ruchy, trochę dłużej, niż to było konieczne.

- Musimy pamiętać, żeby wyszczotkować zęby, i uważać, żeby się nie stało tak jak w zeszłym tygodniu.

Wprawnie podtrzymała górną protezę kobiety i pociągnęła. Podczas ostatniej kąpieli starsza pani zgubiła sztuczną szczękę i bardzo się zdenerwowała - wiele nie było trzeba. Szczotkowała protezę, dodając mydło do rąk, a starsza kobieta płukała usta.

- Córka mnie odwiedzi. Czy dzisiaj jest czwartek?

- Dzisiaj jest wtorek. Twoja córka przyjdzie w weekend. Jeszcze dużo czasu. - Mimowolnie zasyczała ze złością.

Kobieta natychmiast zareagowała:

- Zadzwoń do mojej córki. Niech moja córka teraz przyjdzie. Czy dzisiaj jest czwartek?

- Siedź cicho, ty głupia, stetryczała babo.

Płacz starszej kobiety przeszywał serce.

Nie przypominała sobie, żeby wcześniej uderzyła podopiecznego. Nigdy dotąd, nawet taki lekki klaps jak teraz. Musiała się uspokoić, potrzebowała pigułki lub czegoś mocniejszego albo obu tych rzeczy naraz. To był czas pełen stresu.

## Rozdział 17

Arne Pedersen i Pauline Berg szli powoli po chodniku. Lubili się i gdy nadarzała się okazja, by pobyć sam na sam, chętnie przeciągali tę chwilę, tak jak teraz, chociaż tak naprawdę mieli mnóstwo pracy. Berg była w złym humorze, więc nie rozmawiali zbyt wiele, trochę się tylko wałęsali. Może z przyzwyczajenia.

Pedersen był za to w wyśmienitym nastroju. Spotkanie w Instytucie Medycyny Sądowej przyniosło śledztwu jeśli nie przełom, to w każdym razie nowe spojrzenie, a poza tym był z natury pogodny. Zerkał na towarzyszkę, która z naburmuszoną miną wyprzedzała go o pół kroku i przypominała przywołane do porządku dziecko. Całe jego doświadczenie z kobietami przemawiało za tym, że najlepiej będzie nic do niej nie mówić i pozwolić działać czasowi, zamiast odgrywać rolę tarczy strzelniczej. Przejdzie jej prędzej czy później. Prawie zawsze tak z nimi było, więc skoro rozmowa im się nie kleiła, oddał się nieskrępowanemu oglądaniu jej tyłka. Nie była to zła alternatywa, więc pozwolił, żeby jeszcze trochę go wyprzedziła.

Gdy dotarli do rogu, gdzie zaparkowany był samochód Berg, znaleźli na przedniej szybie mandat, a co gorsza, strażnik, który go wystawił, jeszcze był w pobliżu. Stał kilka samochodów dalej i spisywał kolejnego sprawcę przewinienia. Pedersen zaczął studiować cennik pralni z mocnym postanowieniem, żeby się nie mieszać w sprawę – pozycja, którą porzucił, gdy doszło do eskalacji sprzeciwu Berg, od dyskusji do kłótni, a kolor jej twarzy zwiastował kolejne zaostrożenie. Odciągnął ją od strażnika, a po krótkiej wymianie zdań dostał kluczyki i szybko odjechali.

Przez jakiś czas nie rozmawiali, ale to ona przełamała milczenie.

- Dziękuję.
- Bardzo proszę. Chcesz poprowadzić?
- Nie, jest w porządku.

Jeszcze chwilę jechali w ciszy, po czym Pedersen sięgnął po „Dziennik”, który leżał zwinięty między nimi. Trzymając gazetę nad kierownicą, powiedział:

- Posłuchaj tylko, co ta Staal napisała o Simonie.

Berg spojrzała na niego z niezadowoleniem. Jednoczesne czytanie na głos i prowadzenie samochodu nie wydawało się rozsądne.

- Chcę tam dotrzeć w jednym kawałku.

Udał, że jej nie słyszy, i odczytał:

- Szef policji kryminalnej Konrad Simonsen był podczas konferencji prasowej raczej elementem wystroju niż jej aktywnym uczestnikiem. Ktoś mu najwyraźniej zamknął usta. Kierujący śledztwem siedział łagodny jak owieczka...

Dalej nie dotarł.

- Przestań, Arne. Źle się czuję. Wszystko idzie nie tak, a ja czuję się jak ofiara losu.



Z rezygnacją rzucił gazetę na tylne siedzenie, wyciągnął rękę i położył na jej udzie.

- Nie myślisz, że ci chłopca trzeba?

- Dlaczego zachowujesz się jak świnia, którą nie jesteś?

Jej głos brzmiał smutno. Cofnął rękę i pożałował tego, co powiedział. Teraz spróbował być szczerzy.

- Ponieważ zachowujesz się dziecinnie, Pauline. To proste, Simon odebrał ci psycholożkę, bo nie poszło ci z nią wystarczająco dobrze, ot co. Jesteś w wydziale zabójstw, a nie na weekendowej wycieczce z przyjaciółkami i może przypominasz sobie, że Troulsenowi też się nie udało, więc myślę, że niepotrzebnie odgrywasz urażoną, naburmuszoną czy co tam wolisz. Zresztą nieważne co, Simon i tak nie ma czasu na twoje fochy. To znaczy, gdyby wiedział, że tak jest, ale nie wie, bo nie czyta w myślach. I pamiętaj, że wtedy sama ustawiłaś się na baczność i podporządkowałaś bez protestu, chociaż ci wcześniej nie pomogli. Ale potem i tak byłaś zła, a dziesięć minut temu próbowałaś sprowadzić Danię do poziomu republiki bananowej, wymachując odznaką policyjną, żeby uniknąć kary za złe parkowanie. Boże uchowaj, Pauline, w jakim społeczeństwie chcesz właściwie żyć? A teraz uważasz się nad sobą, jakbyś miała trzynaście lat, ja bym był twoim ojcem, a nie jestem. Koniec końców bardziej mam ochotę na twoje ciało niż na umysł.

Nie odpowiedziała, obserwując ze smutkiem ruch uliczny i próbując pozbyć się złego nastroju. Ostatecznie to nie był koniec świata i po kilku kilometrach doszła do siebie. Zastanawiała się, czy nie zaproponować podzielenia się mandatem. To by było fair, ale z drugiej strony wiedziała, że Arne ciągle miał kłopoty finansowe, więc postanowiła odpuścić. Uśmiechnęła się landrynkowato, co wymagało pewnego wysiłku. Obniżyła głos o oktawę i zapytała:

- Chcesz wiedzieć, co mi się dziś śniło?

Pedersen zauważył, że już się uspokoiła, i to było dobre, ale to pytanie nieszczerze gólnie mu się spodobało. Zazwyczaj był wobec niej uczciwy, ale w tej sytuacji nie miał sumienia jej powiedzieć, że chyba żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie chciałby słuchać o kobiecych snach, pomijając terapeutów, którzy z tego żyją.

- Tak, chętnie. Ale za chwilę będziemy na miejscu.

- Pamiętasz tę letnią imprezę?

Doskonale pamiętał. Z reguły ich wydział świętował razem z narkotykowym, niestety także z administracją i kierownictwem policji. Rzadko było to zabawne - zbyt wielu było wodzów, a za mało Indian. Ostatnim razem wynajęto lokal w centrum miasta. Sala balowa była ładna, z wysokim sufitem, bardzo wysokim. Architekt miał niezłą zabawę - zupełnie nie myśląc o efektywnym wykorzystaniu przestrzeni ani o kosztach ogrzewania, usunięto pięć pięter i wstawiono gigantyczne, grube na cal okna wychodzące na wodę, a wysoko ponad nimi był szklany dach, przez który można było obserwować piękne gwiazdziste niebo, w miarę jak zapadał wieczór. Niestety musiał wcześniej wyjść, ponieważ bliźnięta były chore i obiecał nie wracać późno. Nie był zadowolony. Chciał wprowadzić Berg, wówczas świeżo zatrudnioną, do kręgu pracowników wydziału. Jego szlachetne zamierzenie musiało jednak ustąpić rodzinnym obowiązkom. Później, podczas ich podróży do Skanderborga, jednak ją wprowadził. Dwukrotnie.

- Jasne, że tak.

- Śniło mi się, że z tobą tańczę. Jest wpół do dwunastej, impreza jest w najlepszym momencie, wszyscy się śmieją i są zadowoleni; niektórzy na gazie, ale nie my. Podczas tańca prowadzę cię w stronę schodów. Pamiętasz je?

Pamiętał szerokie kręcone schody w jednym z kątów, które wysoko w górze łączyły się z galerijką biegnącą wzdłuż tylnej ściany. Schody zagrodzone były jednak łańcuchem. Skinął głową, ale nic nie powiedział.

- Idziesz za mną. Jestem w sukni z tajskiego jedwabiu, albo nie, poczekaj, nieprawda, pożyczylam małą, wyzywającą kieckę z mieniącego się aksamitu w burdelowym kolorze, ukazującą ciut za wiele ud, ale za to bardzo wygodną w tańcu. W połowie schodów zdejmuję buty, nieprzyzwyczajona do wysokich obcasów. Pochyliam się i je odstawiam. Od szczytu schodów idziemy mostkiem, jego poręcze są zabezpieczone solidnymi płytami z hartowanego szkła. Jest wysoko, pod sobą widzimy resztę towarzystwa. Wielu kolegów do nas macha, wszyscy są zadowoleni.

Ukradkiem na niego zerknęła i stwierdziła, że jest skupiony.

- Zatrzymuję się na końcu mostku. Te wielkie szklane płyty są przytwierdzone do poręczy, ale nie do ścian, a między tylną ścianą a ostatnią z płyt jest miejsce, żeby się przecisnąć. Zdejmuję buty i przechodzę, stoję teraz na niewielkim wysunięciu przeznaczonym do przymocowywania rusztowania. Nie jest to bezpieczne, bo do podłogi jest osiemnaście metrów. Gdy na chwilę puszczam balustradę, ty też się przeciskasz i mocno obejmujesz mnie w talii, jednocześnie stabilnie trzymając się balustrady. Tak stoimy, ty i ja, pośrodku, między niebem a ziemią.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę.

- Pod nami jest światło, muzyka, zabawa, kolory; nad nami: wiecznie zimne, gwiazdziste niebo. Pokazujesz mi Pas Oriona i wyjaśniasz, że Wenus nie jest gwiazdą, tylko tak wygląda. Opieram głowę o twoją twarz, odgarniam włosy na bok, a ty czule całujesz mnie w ucho. Przesyłam Troulsenowi pocałunek, siedzi tam, gdzie go zostawiłam, i pije piwo. Obok stoi moja torebka, której on pilnuje, bo byłabym zażenowana, gdyby ktoś ją otworzył. Moje policzki czerwienieją na samą myśl, bo wiem, co leży na samym wierzchu, i ty też to wiesz, odkąd na schodach zdjęłam buty. Moje majtki.

Potwierdził swoje przypuszczenia, mimo że ona nie zadała mu kontrolnego pytania.

- Powoli przywieram do twojego krocza. Poruszam się przód i w tył, z jednej strony na drugą i oboje czujemy, jak sztywniejesz. Protestujesz, ale ja to ignoruję. Nie spiesząc się, pomagam sobie dłonią: najpierw jednym palcem, potem pozostałymi, luzuję twój pasek i rozpinam rozporek, drugą ręką podtrzymując twoje spodnie. Z dołu wszystko wygląda niepozornie: wyprowadziłeś nową dziewczynę z wydziału na manowce, każdy to zauważył, ale moje ciało przyzwyczajone skrywa, jak daleko to zaszło. Zsuwam przednią część twoich majtek, tak że gumka sama z siebie je podtrzymuje, powoli rozsuwam stopy, aż moje uda są rozchylone, potem lekko podciągam sukienkę z tyłu i popycham cię w głąb siebie. Sapiesz mi do ucha ostrzeżenia, ale też pełne czułości słowa i słowa, które nie istnieją. Mięśnie twoich ramion napinają się i zaczynasz mocniej mnie przytulać, lecz i tak stanie się to, co nieuniknione, bo już nadchodzi najlepsze.

Uśmiechnęła się zawadiacko, nie otwierając oczu.

- Mówię ci, że puszczę twoje spodnie, i masz poważny problem. Jedną dłoń mocno zaciskasz na poręczy, druga ręka obejmuje mnie i zabrakło ci ręki do przytrzymania spodni, opadłyby do kostek. Na oczach wszystkich szefów i współpracowników, którzy gadaliby o tobie w nieskończoność, więc twoje poważanie, twoja kariera, twoja przyzwoitość, wszystko znalazło się na szali. Puszczam spodnie chwilę po tym, jak ty puściłeś mnie, sięgam ramionami twoich pleców, najdalej jak mogę, a jednocześnie się koncentruję. Myślę o tym, czego do znudzenia uczyłam się na lekcjach baletu. Elastyczność, siła, postawa, kontrola, to cztery słowa klucze. Rozluźniam uchwyt i pozwalam, żeby moje ciało miękko zataczało małe kółka. Wykrzykujesz moje imię, mimo że jesteśmy tuż obok siebie, choć już nie tak blisko. Nasze ciała się rozdzielają. Niemal. Teraz wóz albo przewóz. Wirowanie jest coraz intensywniejsze. Elastyczność, siła, postawa, kontrola. Nabieram odwagi, centymetr za centymetrem, aż wreszcie odnajduję skrajnie niestabilną równowagę. W geście triumfu wyciągam ramiona w górę do gwiazd, jednocześnie to wspinając się na palce, to opadając na całe stopy.

Mówiła szybciej.

- „Elastyczność”, na palce, „siła”, w dół, „postawa”, na palce, „kontrola”, w dół. Nagle otworzyła oczy i brzmienie jej głosu się zmieniło.

- Oho, jesteśmy na miejscu.

Od jakiegoś czasu stali na parkingu przed szkołą Langebæk.

Podniosła torebkę z podłogi. Pedersen zaprotestował.

- Nie, poczekaj. I co się stało?

- Stało? Stało gdzie?

- No, oczywiście, w twoim śnie.

- Aaa, o to chodzi. Nie bardzo pamiętam. Chyba zamieniłam się w anioła i odfrunęłam.

- W anioła?

- Tak, w anioła. Jak byłam mała, tata często nazywał mnie aniołem, a gdy byłam niegrzeczna, to stawałam się aniołem z głównym na skrzydłach, poetyckie, nie? Ale mogło się też zdarzyć, że się obudziłam.

Odpięła pas bezpieczeństwa.

- Nie bądź skwaszony, kochany Arne, sny przecież nie trwają wiecznie.

Bez skrępowania sięgnęła między jego nogi.

- A może po prostu baby ci trzeba?

## Rozdział 18

Dwaj mężczyźni stojący przed Hrabianką wyglądali jak zakłopotani głupcy, którymi zresztą byli. Ich kariera wisiała na włosku. Na ich korzyść należało zapisać, że nie próbowali tuszować swoich błędów i przedstawiali okoliczności zniknięcia Pera Clausena w sposób precyzyjny i bez koloryzowania, podobnie jak nie próbowali usprawiedliwiać się idiotycznymi wymówkami. Było to rozsądne posunięcie, bo Hrabianka bezlitośnie by ich zaatakowała przy najmniejszej próbie owijania w bawełnę. A teraz nie miała się do czego przyczepić. Zmierzyła ich od stóp do głów, jakby chciała wystawić im oceny za prezencję. Obaj się skurczyli, ale się nie odezwali, a ona okazała im miłosierdzie.

- Jeśli się pośpieszycie, to zdązycie zniknąć, zanim pojawi się tu ogromny i wielce wściekły facet, którego na pewno nie chcecie spotkać.

Ku jej zaskoczeniu nie ruszyli się z miejsca. Czekala kilka sekund na pytanie, które nie padło. Ustawiła więc kciuk i palec przed sobą, jakby coś w nich trzymała, i powiedziała:

- W mojej kryształowej kuli widzę dwóch kolegów, którzy pracują w biurze rzeczy znalezionych, ponieważ nie zdążyli ulotnić się na czas.

To pomogło.

Konrad Simonsen nie podzielał skłonności Hrabianki do przesadnego miłosierdzia, a jego zachwyt był ograniczony, gdy okazało się, że musi zadowolić się relacją z drugiej ręki, zamiast dowiedzieć się wszystkiego bezpośrednio od tych osłów. Z braku innej możliwości rozsiadł się na krześle, gotowy do słuchania.

Hrabianka zerkała do swoich notatek, by potem przekazać hiobowe wieści.

- Około godziny dwunastej Per Clausen jest na zakupach w lokalnym supermarkecie, zapełnia wózek towarami codziennego użytku i winem. Po zapłaceniu wkłada zakupy z powrotem do wózka i idzie z nim ulicą Bagsværd Hovedgade. U rzeźnika kupuje cztery kanapki i dwa pilznera, które także umieszcza w wózku, a w kiosku karton papierosów. Zanim wejdzie do kolejnych sklepów, pieczołowicie przykrywa wózek z zakupami peleryną przeciwdeszczową, żeby przechodnie nie mieli bezpośredniego dostępu do jego zawartości. Następnym przystankiem jest sklep z artykułami gospodarstwa domowego, przy Bagsværd Hovedgade dwieście sześćdziesiąt sześć A. Sklep znajduje się na parterze trzypiętrowego bloku z osmioma klatkami. Był wówczas pod obserwacją pięciu funkcjonariuszy oraz grupy wsparcia w samochodzie.

Do pokoju weszli Arne Pedersen i Pauline Berg, a Simonsen posłał im rozeźlone spojrzynie. Sprawnie uniknęli kontaktu wzrokowego; szef najwyraźniej był wściekły, więc lepiej było pilnować swoich spraw. Hrabianka relacjonowała fakty.

- W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego ogląda towary znajdujące się na najdalszych regałach, nagle wchodzi na zaplecze i zatraskuje drzwi, uprzednio łamie zapałkę w zamku. Z zaplecza jest przejście na parking za sklepem, ale

także na schody prowadzące do magazynu w piwnicy i zanim zejdziesz na dół, blokuje klinem drzwi zewnętrzne. Magazyn ma drzwi przeciwpożarowe wychodzące na korytarz, który ciągnie się pod całym blokiem, przechodzi przez piwnicę, która, jak wspomniałam, jest długa na osiem klatek. Na jej końcu znajduje się pomieszczenie na rowery, gdzie ukrył wózek z odzieżą na przebranie: czarny strój muzulmanki, do narzucenia na zwykłe ciuchy.

- O nie.

Simonsen westchnął.

- O tak. Szybko i skutecznie. Z dziecięcym wózkiem i nowym przyodziewkiem, to się chyba nazywa nikab albo czador; obchodzi budynek, przechodząc pod nosami wszystkich swoich aniołów stróżów. Większość z nich doskonale go pamięta. Następnie idzie spokojnym krokiem wzdłuż głównej ulicy i skręca w stronę stacji Bagsværd. Ciągle z dziecięcym wózkiem wsiada do kolejki miejskiej o dwunastej trzydzieści dziewięć, jadącej w stronę Kopenhagi, ale wysiada na stacji Buddinge. Zostawia strój i wózek w windzie, a z postoju bierze taksówkę do centrum handlowego Ballerup. Tu ślad się urywa.

Simonsen z wściekłością uderzył dłonią w ścianę i powiedział:

- Powinienem być go wczoraj zatrzymać. Jego zachowanie było tak dziwaczne, że szaleństwem było pozostawić go na wolności. A jeszcze większym szaleństwem powierzyć go tym bałwanom, którzy nie znają się na swojej robocie.

Hrabianka, która nie powiedziała jeszcze o najgorszym, patrzyła na niego z zaniepokojeniem.

Pedersen spróbował znaleźć coś pozytywnego:

- Powinniśmy bez problemu dostać zgodę na przeszukanie jego domu.

Jego szef podjął wątek, z nutą nadziei w głosie.

- To prawda. Pizze i jego zniknięcie wystarczą. Postaraj się o to, Arne. Teraz!

Hrabianka zgasiła nadzieję.

- Niestety to niemożliwe. Jego willa stoi w ogniu. Przyjechali strażacy, ale nie mieli czego ratować. Dostałam wiadomość dziesięć minut temu. Pożar widać z okna, gdyby ktoś chciał popatrzeć.

Nikt nie miał ochoty. Nastrój zrobił się mroczny; Simonsen sprawiał wrażenie otumanionego i milczał. I znowu to Pedersen pierwszy się pozbierał. Próbował uratować to, co zostało:

- Teraz przynajmniej możemy go poszukiwać za podłożenie ognia.

Berg dodała swój komentarz, usiłując zabrzmieć optymistycznie.

- Z tym nagłośnieniem medialnym, jakie teraz mamy, możemy być całkowicie pewni, że jego zdjęcie ukaże się w wiadomościach.

- To prawda. Nie ma zbyt wielu możliwości, jeśli jednocześnie sprawdzimy lotnisko i większe stacje, bo musimy założyć, że nie wróci do domu - stwierdził Pedersen.

Hrabianka podniosła rękę do góry.

- Chwileczkę. Niestety jest jeszcze coś.

Wszyscy zamilkli, posłańcy złych wiadomości mieli pierwszeństwo.

- Zostawił dla nas wiadomość w wózku dziecięcym, a raczej dla ciebie zostawił, Simonie.

To była koperta z poczty kwiatowej, a na wierzchu wypisano nie mniej, ni więcej, tylko „Konrad”. Kartka znajdująca się w środku była biała i bez ozdobników.

- „Przynies tym, w których smutek gości, światło nadziei i pieśń radości!” - przeczytał na głos Simonsen. - Co to ma znaczyć?

- Nie jestem pewna, ale mam pewne obawy - odpowiedziała Hrabianka smutno.

- A mianowicie?

- Strofy pochodzą z psalmu Grundtviga pod tytułem Wieczorne westchnięcie, nocny płacz.

Simonsen cisnął wiadomość na stół, jak przegraną kartę, która musi ustąpić pola asowi, a tym samym potwierdził złowróżbne przewidywania Hrabianki, zanim ta wyraziła je słowami.

- To psalm pogrzebowy. Nie sądzę, byśmy jeszcze kiedykolwiek mieli okazję porozmawiać z Clausenem.

## Rozdział 19

Per Clausen zagrzebał się głęboko w poduszki i uśmiechnął melancholijnie, patrząc w sufit. Pozwolił, by całe jego ciało się rozluźniło. To był cudowny dzień. Najpierw pojawiło się parę nieprzewidzianych spraw, które trzeba było załatwić. Powód, dla którego Konrad Simonsen poprzedniego dnia przyprowadził na przesłuchanie młodą kobietę zamiast starego wyjadacza, nie był trudny do odgadnięcia, a on chciał odplacić pięknym za nadobne. Kupił aparat fotograficzny i miał szczęście spotkać swój motyw bez długiego oczekiwania. Zdjęcia wydrukował w bibliotece i przesłał je ze wskazówkami do Drzewołaza. Resztę dnia miał tylko dla siebie.

Był w domu, po raz ostatni powrócił do swojego dzieciństwa.

Wiele się zmieniło, ale jeśli ktoś potrafił patrzeć, dostrzegał, że ulica była taka sama jak pięćdziesiąt lat temu. Asfalt był nadal równy i gładki, i o nieco ładniejszej powierzchni niż gdziekolwiek indziej w świecie, dlatego też ulica przez dziesiątki lat była ulubionym miejscem do gry kurzymi obrączkami albo w kule. Młodzież w każdym wieku przybywała tu z daleka i bliska; jasne letnie wieczory tętniły życiem. Spory tłumek dzieci krzyczał i wydawał odgłosy radości, wygrywał i przegrywał, śmiał się i płakał, kłócąc się o zasady lub zawiązując przelotne sojusze. Chłopcy w krótkich spodenkach i skarpetach w biało-czarne romby, obcięci na jeża, z brudnymi uszami i wiecznie zakatarzonymi nosami, dziewczynki w elastycznych spódnicach w szkocką kratę, które dawały się łatwo zsunąć, tak że każdy mógł zobaczyć majtki w kolorze świńskiego różu.

Usiadł w kucki, lewe kolano oparł na ziemi, a prawą nogę wyciągnął do tyłu i długim zamiatającym ruchem ostatni raz przejechał palcami po ulicy.

Przez jakiś czas próbował wysledzić jakiegoś kota, zmierzwionego kociaka, który ożywiłby przeszłość, ale żadnego nie zobaczył. W czasach jego dzieciństwa między blokami roilo się od kotów. Za dnia leżały na śmietniku albo na stopniach schodów i łąpały promienie słońca, cierpliwie wypatrując kocicy matki, która wiernie, trzy razy w tygodniu, wpadała z rybimi odpadkami na miłą pogawędkę. Nocami rozdierały ciszę odgłosami godowymi i walkami o terytorium. Gdy na ulicy zjawiał się rakarz, wszystkie niesnaski szły w kąt i każdy znał swoją rolę. Dziewczynki zbierały się w małe grupy i rozpędzały koty. Chłopcy atakowali z rurek i proc. Najmniejsi biegali od mieszkania do mieszkania, przywołując wsparcie, podczas gdy inni zeszkrobywali celuloid z kierownicy roweru i wykorzystywali szkiełka do rozpalania śmierzdzących ognisk pod samochodem rakarza. Zazwyczaj hycel był zmuszony odjechać, nie wykonawszy zadania, rozsierdzony, przeklinający, ale bez zdobyczy i z guzami z tyłu głowy.

Ostatnie okno złotego bloku, na drugim piętrze, to było okno pokoju jego matki. Stąd żegnała go rankiem, gdy szedł do szkoły, i wołała wieczorem, gdy miał iść spać. Szyba w oknie była zarysowana i tylko on i jego matka wiedzieli dlaczego.

Siedział na parapecie, gdy szyba została naznaczona. Ceglane gzymsy budynku były popękane z powodu mrozu i niebezpieczne, wzniesiono więc rusztowanie i duży wesoły murarzabrał się do pracy. Podczas pracy pięknie śpiewał. Smutna pieśń dzikiej kaczki brzmiąca tak dobrze, że mógłby być ulicznym grajkiem. Panie domu nagradzały go kawą - niektóre też piwem - serwowaną bezpośrednio z okna. Stał tu, na rusztowaniu, śpiewał i wywijał wiadrem z zaprawą i szpachlą, gdy zauważył jego matkę w oknie. Wesoło zamachnął się szpachlą, rzucając uwagę, że najpiękniejsza kobieta w tej klatce też powinna dostać kapkę. Pojemnik wiszący przy szybie lekko w nią uderzył. Nakrzyczała na niego za te wygłupy, ale przez resztę życia cieszyła się z rysy na oknie.

Długo tak stał, błakając się w myślach po przeszłości i obserwując niebo odbijające się w oknie matki, zanim naokoło, cichymi uliczkami wrócił do punktu wyjścia.

Teraz był na końcu drogi.

Zdjął pasek i zacisnął go na lewym przedramieniu, aż żyły stały się wyraźne. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął strzykawkę, założył igłę i napełnił ją zawartością dwóch ampułek. Mimo że nie było zbyt jasno, igła łatwo wślizgnęła się w żyłę między kciukiem a palcem wskazującym; miejsce, w które wkłułby się nawet początkujący student medycyny. Spokojnie wcisnął tłok strzykawki do końca, poluzował pasek i zamknął oczy.

Poczuł lekką irytację, zorientowawszy się, że ktoś wszedł do pomieszczenia, i zdziwił się, że widzi drzwi, skoro jest zagrzebany w poduszkach. Potem usłyszał jej głos i zapomniał o wszystkim innym. Miała na sobie piękną sukienkę z zdobnymi wykończeniami, którą jej kupił, gdy skończyła sześć lat. Tę, którą tak lubił. Promieniejąca, zdrowa i zadowolona stała przed nim, a on poczuł, że po policzkach płyną mu łzy. Rozłożył ramiona i pobiegł na jej spotkanie. Przez wiele, wiele lat była daleko, ale teraz znów ją obejmował.

Swoją cudną małą córeczkę.



## Rozdział 20

Gość Almy Clausen, kiedy do niej przybył, miał sprecyzowane wyobrażenie na jej temat. Wdowa po rolniku, kobieta po pięćdziesiątce, pobożna i z Tarm – dane, które z perspektywy Poula Troulsena nieprzyjemnie kojarzyły się z oborą, tradycyjnym duńskim sosem, wąskimi horyzontami i brakami na płaszczyźnie intelektualnej. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna.

W pierwszej chwili utwierdził się jednak w swoich uprzedzeniach, jako że Clausen była przyjazną, nieco powściągliwą osobą niewielkiej postury i ubierającą się w stylu, który najłatwiej było określić jako „szara brzydota”. Jej dom był skromny i jakby pogrążony we śnie. Tapeta w wielkie kwiaty, haftowane obrazy, tradycyjna trójkątna półeczka z porcelanowymi figurkami z Salzburga – przeciętność w kolorze pasztetu. Żałośnie późno Troulsen zrozumiał, że kobieta była niezwykle bystra. Wtedy gdy – powoli i głośno – zapytał o szczegóły jej życia.

– Myślałam, że dostał pan raport na mój temat. Nie zdążył go pan przeczytać?

„Nie zdążył” było ładniejszą wersją „nie chciało się”, co bardziej przystawało do faktów.

– Dlaczego pani myśli, że mamy raport na pani temat?

Jej odpowiedź pozbawiona była sarkazmu:

– Między innymi dlatego, że wczoraj wieczorem przez godzinę rozmawiałam przez telefon z policjantem z Ringkøbingu, który miał go przygotować.

– Wolę dowiedzieć się wszystkiego bezpośrednio od pani.

Sam słyszał, że wyjaśnienie było naciągane. Zerknęła na jego torbę, potem spojrzała mu w oczy i przyłapała go, jakby był dzieckiem, które nie odrobiło pracy domowej.

– To jest bezpośrednio ode mnie. Zrobie nam coś do jedzenia. Dostanie pan kawę do lektury.

I tak się stało.

Alma Clausen w 1972 roku ukończyła Uniwersytet Kopenhaski z tytułem magistra fizyki teoretycznej i została zatrudniona w Instytucie Nielsa Bohra w Kopenhadze. W 1977 napisała doktorat. W tym samym roku zrezygnowała z kariery akademickiej, żeby żyć jako żona rolnika w Ådum. Ona i jej mąż dożyli wspólnie srebrnych godów. Gdy zmarł, sprzedała gospodarstwo i przeniósła się do Tarmu. Następnie odświeżyła dawne umiejętności i zaczęła uczyć przez internet na uniwersytetach w Kopenhadze, Berlinie i Sztokholmie. Dzieci nie miała.

Zawołała z kuchni, niemal dokładnie w momencie, gdy skończył czytać:

– Proszę tu przyjść i pomóc mi z sałatką, to opowiem o mojej pracy.

– Nie jestem pewien, czy zrozumie.

– Bzdura. Każdy to rozumie w mniejszym lub większym stopniu, ale nikt nie pojmuje do końca. To jest właśnie w fizyce fascynujące.

Miała rację, to było bezsprzecznie interesujące. Siekał i słuchał zafascynowany.

Była prawie dziewiąta, gdy doszedł do sedna swojej misji, a mianowicie – osowości Clausena. Wtedy już od dawna nie myślał o magnetofonie, który wydawał się ją irytować. W zamian spróbowała jeszcze wierniej i bardziej szczegółowo odpowiedzieć na jego pytania, jakby pierwsza przysługa była warta drugiej.

- Właściwie jak dobrze pani zna swojego brata?

- Trudno powiedzieć. Nie widzimy się często, a jeśli do tego dochodzi, zazwyczaj to ja go odwiedzam, to znaczy z wyjątkiem zeszłego tygodnia. Zdarzają się okresy, w których piszemy do siebie więcej mejli, czasami też dzwoniemy, zazwyczaj w sprawach merytorycznych, często chodzi o problemy matematyczne.

- Pomaga mu pani w matematyce?

- Niestety nie, zawsze jest na odwrót. On pomaga mnie. Per jest najbystrzejszy w rodzinie.

- A jeśli się kontaktujecie, to tylko w sprawach zawodowych?

- Można tak powiedzieć. Matematyka, fizyka i statystyka zajmują wiele miejsca, ale dyskutujemy też na inne tematy, jak na przykład religia.

- Religia? Czy pani brat jest wierzący?

- Przeciwnie. Ja jestem, on nie.

- Jak jest między wami? Rozmawiacie o tym?

Nie odpowiedziała, ale pogłębiła swoją myśl:

- Dopiero w ostatnich latach Per zaczął się interesować kwestiami duchowymi i należy to rozumieć bardzo szeroko. Nie tylko chrześcijaństwo, raczej wiara, etyka, moralność, nienawiść, miłość, przebaczenie, kara... zagadnienia tego typu.

- Brzmi to dość pusto. Nie, to złe określenie, miałem raczej na myśli „teoretycznie”.

- Przeciwnie, Per zawsze jest bardzo konkretny. Podać panu przykład?

- Poproszę.

- W ostatni czwartek rozmawialiśmy o demonizacji; o moralności ludowej i miłości bliźniego. Per zaczął tę rozmowę od problemu dużej liczby niemieckich uchodźców, których Dania zmuszona była przyjąć w czterdziestym piątym, a więc przede wszystkim ludzi, którzy uciekli przed naporem Armii Czerwonej na wschodzie. Po wyzwoleniu instytucje publiczne odmówiły im pomocy lekarskiej, nie dlatego, że brakowało lekarzy czy nie była potrzebna, ale po prostu dlatego, że byli Niemcami. W rezultacie wielu z nich zmarło, także dzieci, które łatwo można było uratować. „Jeśli się wyryje »my« i »oni« wystarczająco silnie w narodowej świadomości, to większa część społeczeństwa biernie zaakceptuje cokolwiek. Szczególnie w czasach, gdy nie istnieje wspólny moralny punkt zaczepienia” – wyrecytowała.

- Tak powiedział pani brat?

- O ile dobrze pamiętam jego słowa, a tak mi się wydaje, to owszem. Oczywiście nie zgadzam się z tym, nie mogę się z tym zgodzić.

- Według mnie trąci to trochę faszyzmem.

- Per nie jest faszystą. Nie sędzę, aby miał jakiegokolwiek poglądy polityczne, a jeśli już, to jest cynikiem.

- Wydał nam się osobą lubiącą się drażnić z innymi, żeby nie użyć mocniejszego słowa. Jak pani oceniłaby taką charakterystykę?

- Powiedziałabym, że jest poprawna. Per od zawsze się drażni, ale rzadko złości-  
wie i jeśli próbuje was wywieść w pole, to tylko by pokazać, że potrafi.

- Co by mu to miało dać?

- Nic oprócz małego krzywego uśmiešku.

Sama się uśmiechnęła.

- Hm, interesujące. A co ze sprawami osobistymi? Rozmawiacie o nich?

- Nie bezpośrednio.

- W takim razie jak?

- Jeśli to robimy, dzieje się to samo przez się.

- Nie do końca rozumiem. Może to pani wyjaśnić?

Odpowiedziała po krótkim zastanowieniu.

- Jak pan zapewne wie, Per okresami dużo pił. Był alkoholikiem, bez dwóch  
zdań. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale gdy po kilku latach nauczył się jakoś  
kontrolować nałóg, czasami mówiliśmy, że zaczął zdrowiej żyć.

- Wypracowaliście rodzaj języka, kodu?

- Można to tak nazwać, ale lepiej pasuje określenie „krótkie, pośrednie uwagi”.  
To oczywiście głupawy sposób komunikowania się. Nigdy się nie wie, czy obie  
strony tak samo rozumieją użyte pojęcia, ale tak się to rozwinęło. Poza tym, jak  
wspominałam, nieczęsto się zdarza, byśmy rozmawiali o sprawach osobistych.

- Więc nie jest pani zbyt blisko z bratem?

- Chyba nikt nie jest. Ja również nie.

- Mówi pani, że dużo pił. Czy to się zaczęło po utonięciu pani bratanicy?

- Tak. Pił silnie i autodestrukcyjnie. Sądzę, że Per chciał ukarać samego siebie.

- Czuł się winny śmierci córki?

- Z pewnością, a do tego dochodziło oczywiście to, że był głęboko, głęboko nie-  
szczęśliwy.

- Jak się między nimi układało?

- Nie wiem, poza tym, że bardzo ją kochał. Helene była też uroczą dziewczyną.

- Proszę mi o niej opowiedzieć, jaka była?

- Krucha. Krucha i utalentowana. Odziedziczyła intelekt po ojcu, ale nie jego od-  
porność. Była też całkiem ładna. Zapewne po matce. Po nas tego nie miała.

Troulsen szczegółowo wypytywał o dziewczynkę. Simonsen omawiał z nim to  
przesłuchanie przez całą drogę z Nyborgu do Odense, a los Helene Clausen był  
jednym z tych punktów, które miał zbadać. Ale ciotka nie mogła szczególnie wiele  
dodać i poza tym, że dziewczynka była z natury nerwowa, inne ciekawe fakty nie  
wyszły na jaw. Skoncentrował się na jej śmierci:

- Czy zna pani bliżej okoliczności wypadku?

- Nie bardzo. Utonęła, ale to pan wie. W letni wieczór w dziewięćdziesiątym  
czwartym roku, na plaży Bellevue, była z kolegami z klasy. Nic więcej nie wiem.

- Mówi pani, że czuł się winny jej śmierci. Dlaczego?

- Trudno to wyjaśnić. Może uważał, że niedostatecznie się nią opiekował.

- A tak było?

Tym razem myślała tak długo, że zaczął wątpić, czy zechce odpowiedzieć. Gdy  
się wreszcie odezwała, okazało się, że namysł nie wydał oczekiwanych owoców.

- Nie wiem.

Spróbował ostrożnie:

- Czy podzieli się pani swoimi przypuszczeniami?

Znowu przerwa; prawie tak samo długa.

- Sądzę, że Per przyjechał w zeszłym tygodniu, żeby się pożegnać. Sądzę, że mój brat zamierza odebrać sobie życie. Sądzę, że Helene była psychicznym wrakiem po powrocie ze Szwecji. I sądzę, że Per jest wplątany w tę straszną rzecz, która wydarzyła się w jego szkole.

Troulsona poraził ten potok słów.

- To niemało.

- Nie, ale dalsze wypytywanie nic panu nie da. Nie mam nic konkretnego do dodania, a to, co powiedziałam, to wyłącznie wątłe przeczucia, prawdopodobnie nieprawdziwe.

Znów miała rację. Drążył i drążył niemal dwie godziny, zanim się poddał, po czym ona, mimo jego połowicznych protestów, pościeliła mu łóżko w pokoju gościnnym.

# Rozdział 21

Konrad Simonsen i Kasper Planck grali w szachy.

Od czasu do czasu mówili o śledztwie; niekiedy uwagi padały w przestrzeń, bez odpowiedzi. Jedną z zalet gry w szachy jest to, że nie trzeba być uprzejmym. Jako przeciwnicy byli sobie godni, może dlatego, że mocną stroną każdego z nich było co innego. Planck miał przewagę w taktyce i kombinacji, a Simonsen celował w teorii i strategii i chociaż był wykończony po tym o wiele za długim dniem, jak zwykle na początku miał przewagę. Właściwie tego wieczora najchętniej odpuściłby sobie szachy, ale w obecności byłego szefa rzadko on podejmował decyzje. Jego subtelne sygnały, by po prostu porozmawiać o śledztwie, zostały zignorowane; starszy mężczyzna przyniósł szachownicę, pionki i koniak. Sprawy miały biec swoim torem, masowe zabójstwo nie mogło tego zmienić.

Simonsen wykonał ruch, który sprawił, że jego przeciwnik się skoncentrował. Planck był statecznym starszym panem o szczupłym, żylastym ciele i siwych włosach, które niesfornymi lokami otaczały śniadą twarz. Jego jasne, zielonkawe oczy omiały szachownicę.

Był surowym szefem, przełożonym starej daty. Jednocześnie cieszył się szacunkiem, a w ostatnich latach pracy niemal go kochano. Ale to nie umiejętności przywódcze sprawiły, że w swoim czasie stał się legendą; nie chodziło nawet o liczbę rozwikłanych przez niego spraw. Jego legenda powstała przede wszystkim z powodu umiejętności obchodzenia się z prasą, która się odwdzięczyła, czyniąc z niego ikonę, a jego rewolucyjna taktyka polegała na traktowaniu dziennikarzy jak ludzi. Sztuki tej nie udało mu się przekazać następcy.

Bez zbędnego zastanawiania się Planck oddał wieżę, zbijając środkowego pionka.

- Dlaczego w ogóle włączyłeś mnie w tę sprawę, Simon?

- Przecież po przejściu na emeryturę pomagałeś przy innych śledztwach. Nic tym niezwykłego.

- Bzdura. Nigdy dotąd nie prosiłeś mnie z góry o pomoc. A na pewno nie oficjalnie.

- Elvang uważał, że to dobry pomysł.

- Idiotyczna odpowiedź.

Prostym wyjaśnieniem byłoby to, że Planck miał zdolności, których Simonsen bardzo potrzebował przy tej sprawie, tak różniącej się od wszystkiego, z czym dotąd miał do czynienia. Raz za razem w toku śledztwa jego poprzednik wykazywał wręcz niesamowitą intuicję. Odbierał i interpretował informacje w sposób tak odmienny i często bardziej precyzyjny niż reszta ludzkości, że jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak szósty zmysł, to on bez wątpienia go posiada. Mówiąc precyzyjniej, chodziło o to, że w zawiłe działającym mózgu starego zawsze jedna lub więcej równoległych niemożliwości pozostawało otwartych, w przeciwieństwie do

podporządkowanej regułom systematyczności, która cechowała tradycyjny sposób pracy policji.

Zrobili kilka ruchów, po czym Simonsen cicho powiedział:

- Kiedy wynieśli zwłoki z sali gimnastycznej, czułem się jak w pierwszych miesiącach po twoim przejściu na emeryturę i...

Przerwa była długa, zbyt długa, więc Planck uszczypliwie wtrącił:

- Nie spiesz się. Noc jest młoda.

- No więc, chciałybym mieć mocne przeświadczenie, coś dającego otuchę, rozumiesz, co mam na myśli. Na przykład że niezależnie od wszystkiego znajdę sprawców. Ale ja myślałem głównie o tym, że czuję się osamotniony, i delikatnie rzecz ujmując, dzisiaj nie jest wiele lepiej.

- Aha.

Simonsen pomyślał, że już długo ze sobą nie pracowali. Teraz znów to sobie przypomniał: jego były szef nie był sentymentalny. W gruncie rzeczy on też nie. Mimo to liczył na jakieś wsparcie. Ostrożnie zapytał:

- Czy to brzmi bardzo głupio?

- Cholernie idiotycznie.

- Ale, do jasnej ciasnej, człowieku, kto buduje podest, żeby stracić pięciu nagich ludzi? W dodatku w takim miejscu jak szkoła.

Planck powoli kiwał głową.

- Taaa, to właśnie musimy ustalić.

Forma liczby mnogiej rozgrzała od środka. Tego właśnie chciał. Wypił odrobinę koniaku, ten także rozgrzewał. Potem skoncentrował się na szachach.

W środku partii, gdy siły były niemal wyrównane, Kasper Planck wtrącił od niechcienia:

- Mam od dzisiaj nową przyjaciółkę.

- Aha, a kto to?

- Przypuszczam, że bardziej cię interesuje, kim jest?

- A zatem kim jest?

- Dziennikarką z „Dziennika”. Dziś po południu spędziła tu trzy godziny. Jutro być może ty i ja znajdziemy się na pierwszej stronie, jeśli się nam poszczęści.

Simonsenowi wypadł z ręki zbity właśnie pion i musiał poszukać go na podłodze. Ta przerwa stłumiła jego bezpośrednią reakcję; opanował poirytowanie.

- Wolałbym, żebyś się ze mną konsultował przed rozmowami z prasą.

- W życiu bym tego nie zrobił.

- Nie, ale powinieneś. Dobrze, to kto to jest i dlaczego jest interesująca?

- Anita Dahlgren, praktykantka. No, zgadnij czyja?

- O nie, tylko nie jej!

- Jeśli to cię pocieszy, to ona lubi Anni Staal tak samo jak ty. Albo nawet jeszcze mniej.

- Niemożliwe. Dlaczego w ogóle tu przyszła?

- Jej szefowa wie, że wyciągnąłeś mnie z lamusa. Chce z tego zrobić newsa.

Simonsen westchnął. Nietrudno zgadnąć, jaka będzie wymowa tego artykułu, ale z pewnością sobie z tym poradzi. Gorzej, że z jego wydziału najwyraźniej jak przez sito wyciekały informacje, choć udział Kaspra Plancka w śledztwie nie był żadną tajemnicą. Rozzłoszczony powiedział:

- Stalowa Anni ma niezłe źródła informacji.

- Tak i stara się je pomnożyć.

- Co masz na myśli?

- Anita powiedziała, że przygotowuje ofertę dla tego młodego Pedersena: nieco nieopodatkowanej gotówki w zamian za sensację na pierwszej stronie od czasu od czasu.

- Masz na myśli Arnego Pedersena?

- Tak, Arnego Pedersena. Chodzą słuchy, że przydałoby mu się dodatkowe źródło dochodów.

Simonsen potrząsnął głową.

- To jej się nie uda.

- Może tak, może nie.

- Mylisz się. Arne taki nie jest. O czym jeszcze rozmawiałeś z tą praktykantką?

- O wszystkim po trochu. Podobało jej się tutaj.

- Skąd wiesz?

- Jestem przekonany, że tak jest.

Simonsen miał wątpliwości. Kasper Planck nienaturalnie długo milczał, zanim znów podjął wątek:

- A także ponieważ tak powiedziała. Zresztą za kilka dni tu wróci.

Uśmiechnął się od ucha do ucha; jego przeciwnik burknął:

- Wykonaj ruch, ty stary, próżny szelmo.

Partia szachowa miała się ku końcowi. Simonsen stracił piona, ale z ruchu na ruch poprawiał swoje położenie, wyrównywał, wymusił opozycję i bezkompromisowo odpierał propozycje remisu składane przez przeciwnika.

Planck pozwolił, żeby gra przez pewien czas była po prostu grą.

- Czytałem o tym, oglądałem zdjęcia, rozmawiałem z Arthurem Elvangiem i jest jedna rzecz, której jestem coraz bardziej pewny: ci, którzy stoją za tą egzekucją, chcą rozgłosu, jak się mówiło w moich czasach. Dziś mówi się o „potrzebie autoekspozycji”, ale chodzi o to samo: chcą coś opowiedzieć. Jest w tym jednocześnie zimno i ciepło, logika i pasja.

- Twoja mała praktykantka trafiła w doskonałe miejsce, Panie Poliszynel?

- To ona do mnie przyszła, a nie odwrotnie. Więc co najwyżej wykorzystam szansę i ty też powinieneś.

- Chodzi ci o to, że...?

- Może uda się przekonać tego Pedersena, żeby nie był taki zasadniczy.

Simonsen odpowiedział z wahaniem:

- Wygląda to na wyjątkowo kiepski pomysł.

- Nie wydaje mi się.

Nie był to najgorszy argument.

- Pozwól, że to przemyślę. Chyba chciałeś coś dodać.

- Chcą coś opowiedzieć, o tym wspomniałem. A ty nie dostrzegasz tego, co oczywiste, Simon.

Planck wykonał ruch, a Simonsen się zastanawiał. Nie znosił zagadek, w których jego były szef wręcz się lubował.

- Pomogę ci: z czego składa się opowieść?

Ukrył swoją irytację, wykonując ruch.

- Ze słów.

- No właśnie, słowa są istotne. Żadne cię nie zdziwiło? Bo powinno. Padło podczas dzisiejszej konferencji prasowej, ale nikt nie zareagował. Zresztą aż dwa razy, a media bezustannie się nim posługują. Chyba właśnie tego życzą sobie ci niegrzeczni chłopcy, więc to słowo jest kluczem. Zapomnij o tożsamości ofiar, transporcie, podeście, do tego wszystkiego dojdiesz prędzej czy później, pomyśl o tym słowie. Użyłem go dziś wieczorem wielokrotnie, a ty nie protestowałeś. Także całkiem niedawno.

Oczy Plancka promieniwały. Simonsenowi nic nie przychodziło do głowy, wykonał nieudany ruch. Jego przeciwnik atakował jak wąż - jeden odkryty atak i układ pionków Simonsena legł w gruzach. Partia była przegrana. Zrezygnował i poddał się.

- Stary diabeł z ciebie. Powiedz, jakie to słowo.

- Sam na to wpadnij. Wam, młodym, wydaje się, że wszystko w życiu można mieć za darmo. Jeszcze jedna partyjka?

- Nie, dziękuję, wynik i tak by się nie zmienił. Jedno słowo... Chodzi ci o egzekucję?

- Brawo, Simon, troszkę ślamazarnie, ale całkiem nieźle. Choć za cenę przegranej partyjki.



## Rozdział 22

Pracownia zajęć praktyczno-technicznych w szkole Langebæk nie była romantycznym miejscem, a Pauline Berg sceptycznie spoglądała to na jeden rząd stołów do heblowania, to na drugi. Na końcu pomieszczenia stała piła taśmowa. Policjantka zdecydowanie pokręciła głową i odsunęła od siebie Arnego Pedersena – chwilę później jego palce znów zaczęły wędrować. Jej opowieść z samochodu najwyraźniej podziałała na niego, więc w pewnym sensie sama sobie nawarzyła tego piwa. Pomyślawszy to, ugięła się pod jego natarczywą nieustępliwością.

- Chodźmy przynajmniej do świetlicy czwartoklasistów.

Propozycja została przyjęta.

Szli korytarzem w stronę klasy, trzymając się za ręce. W ten późny jesienny wieczór na zewnątrz wył wiatr, więc musieli podnosić głos, żeby się słyszeć.

- Jak było w willi? - zapytał Pedersen.

Rozdrażniona Pauline potrząsnęła głową. Czy było o co pytać? Mógł wybrać jakiś bardziej pasujący do sytuacji, romantyczny temat. Pomyślała o willi. Zgliszcza wyglądały rozpaczliwie. Tylko mury zewnętrzne nadal stały, dach się zapadł, a po czerniałe belki nośne leżały w nieładzie jak wielkowymiarowa gra w bierki. Odpychający smród sodu i dymu wisiał w powietrzu jak ciężka pierzyna; zaczęła nieładnie kaszleć. Opowiedziała mu poirytowana:

- Okropnie, nie podobało mi się tam. Dogaszali ogień, od czasu do czasu pękały mury, brzmiało to jak strzały z pistoletu. Niezbyt przyjemnie.

- Co powiedzieli spece od pożarów?

- Że ogień został podłożony i że nikt nie spłonął w środku. Sprawca podpalenia rozlał naftę we wszystkich pomieszczeniach, po czym postawił na płycie kuchenki kanister i nastawił minutnik. Myślisz, że go znajdziemy?

- No nie wiem, w każdym razie zarzuciliśmy wielką sieć. Rozmawiałem z Hrabianką. Dowodzi poszukiwaniami z HS, sprawa jest na pierwszym miejscu listy priorytetów dla każdego patrolu dziś wieczorem i w nocy. Obserwujemy nawet cmentarz, na którym leży jego córka. I plażę, na której utonęła. Poza tym nadaliśmy komunikat w wiadomościach telewizyjnych, ze zdjęciem i w ogóle, ale, jak powiedziałem, nie mam przekonania.

- Gdzie jest Simon?

- U Kaspra Plancka.

- Dzwonił?

- Tak, rozmawiałem z nim, zanim przyszedł.

- Mówił coś ciekawego?

Pedersen ociągał się z odpowiedzią. Rozmowa dotyczyła Anni Staal z „Dziennika” i była, delikatnie mówiąc, zaskakująca. Poza tym częściowo wiązała się z jego życiem prywatnym, chociaż Simonsen z dyplomatyczną ostrożnością stonował ten element. Odpowiedział zagadkowo:

- Przekazał pozdrowienia od Kaspra Plancka. Powiedz, byłeś tam całe trzy godziny?

- Nie, na szczęście nie, tylko kwadrans, ale być może znaleźliśmy świadka. Dwóch chłopców było w zeszłą środę na terenie szkoły. Szukali tych małych metalowych wihajstrów od puszek po piwie i napojach, tych do otwierania. No nie wiem, jak to się nazywa; jeden z chłopców chodzi do zerówki w tutejszej szkole. Niestety nie jest rozwinięty stosownie do swojego wieku, więc on nam nie pomoże, za to ten drugi, zresztą jego kuzyn, jest w normie. Ma pięć lat i mieszka w Roskilde. Jestem umówiona na jutro.

- To bardziej obiecujące niż mój dzisiejszy dzień. Simon wysłał mnie do Szwecji.

- Córka Pera Clausena?

- Tak, w zasadzie rozsądnie jest się jej przyjrzeć, ale nie rozumiem, dlaczego nie mogłem tego załatwić przez telefon. To jedna ze słabości Simona: wysyłanie nas w różne miejsca, choć nie jest to konieczne. Przynajmniej moim zdaniem.

Berg wzięła go za rękę.

- Dowiedziałeś się, o co chodzi z tym podestem?

- Szkoła już taki miała, do występów i tym podobnych. Taki rozkładany. Teraz zniknął, więc to właśnie on został użyty, ale to wiemy od dawna.

- Więc co robisz?

- Marnuję czas. To znaczy do tej chwili marnowałem.

- Zmarnowany czas to część roboty. Ile razy powtarzałeś to zdanie? Ale może dotyczy to jedynie czasu innych?

- Jasne, że tak! Zaczynam mieć serdecznie dość tej szkoły. Jeśli Per Clausen zamontował zapadnie w płytach podestu, to dokładnie po sobie posprzątał. Cieszę się, że od jutra pracujemy głównie w HS, bo dzisiaj przeszedłem ciężką próbę. Cztery godziny w sali gimnastycznej, pomieszczenie woźnego i pracownia do zajęć praktyczno-technicznych, gdzie oczekiwano ode mnie, że dostrzegę coś, co inni przeoczyli.

- I tak się stało?

- Czy co się stało?

- Dostrzegłeś coś?

- Nic a nic.

Gdy tylko dotarli do klasy, Pedersen zaczął się metodycznie rozbierać, układając na jednej z ławek stosik ze starannie złożonych części garderoby. Zwinął nawet skarpetki. Berg opadła na poduszki.

- Nie rozbierzesz się?

- Czy to znaczy, że pomijamy grę wstępną?

W jej głosie pobrzmiwała raczej złość niż sarkazm. Ściągnęła sweter.

- Au, do cholery, co to jest?

Coś ukłuło ją w łokieć. Najpierw, zapominając o porze roku, pomyślała, że to osa. Przesunęła jedną z poduszek i po raz drugi w ciągu doby znalazła Pera Clausena.

## Rozdział 23

Było po pierwszej w nocy, gdy technicy skończyli pracę i zwłoki Pera Clausena mogły zostać przeniesione.

Pojawił się Konrad Simonsen i odesłał Arnego Pedersena i Pauline Berg do domu. Nie było powodów, żeby tu tkwili, a on wolał się od nich uwolnić. Poza tym Pedersen był dość wstrząśnięty odkryciem, zaś, o dziwo, Berg nie. On sam też był poruszony; nie pomyślał, że także on jest tu zbędny i że bardziej przysłuży się śledztwu, przesypiając noc. Zamiast tego usiadł za katedrą, wystarczająco daleko od kąta z poduszkami, żeby żaden technik nie wyprosił go z klasy, i cierpliwie czekał na wyniesienie woźnego. Od czasu do czasu sennie kiwał głową i na chwilę odpląwał. Przed nim na stole leżał paragon za aparat Canon SX100 – jedyna interesująca rzecz, jaką znalazł w portfelu zmarłego. Został kupiony tego dnia – albo raczej poprzedniego – w sklepie fotograficznym w centrum Kopenhagi i kosztował dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt koron. Simonsen nie wiedział, gdzie znajdował się sam aparat, tak samo jak nie miał pojęcia, co zostało nim sfotografowane. Był pewny jedynie tego, że Clausen nie zachował paragonu przez przypadek, przeciwnie – policjant miał go zobaczyć.

W którymś momencie musiał całkiem odpląnąć, ponieważ wzdrzgnął się, gdy jedna z techniczek ostrożnie chwyciła go za bark i powiedziała:

– Skończyliśmy, możemy wezwać karetkę?

Minęło kilka sekund, zanim się pozbierał i odpowiedział:

– Nie, chcę mu się przyjrzeć.

– Ale ludzie są zmęczeni i chcą jechać do domu.

Simonsen podniósł się i zignorował jej argumenty:

– Zadała mi pani pytanie i otrzymała odpowiedź. Chcę go mieć teraz dla siebie, ale nie zajmie mi to więcej niż dziesięć minut.

– Okej, w porządku. Wyjdzie pan, jak skończy?

Pytanie było głupie. Przełknął ironiczną uwagę o tym, czy wydaje jej się, że chce tutaj przenocować, i tylko odpowiedział:

– Tak, jasne.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Postawił krzesło obok ciała Clausena. Następnie usiadł i długo patrzył na zmarłego, jakby w ten sposób mógł odkryć jego tajemnice. Oczy i usta zmarłego były otwarte, więc przezarte próchnicą zęby i mętne źrenice groteskowo śmiały się w jego kierunku – ostatni drwiący grymas z zaświatów.

Po chwili powiedział:

– Jesteś dziwnym mężczyzną, Per. Wszystko, co łatwe, czynisz tak trudnym i zawiłym, jak to tylko możliwe. Mogłeś sobie odebrać życie wczoraj rano w swoim domu, ze spokojem, jeśli można to tak ująć, ale to by było o wiele za proste dla człowieka twojego formatu. Musiałeś mi najpierw pokazać, na co cię stać. Pizze,

podpalenie, absurdalne przesłuchanie, drobiazgowo zaplanowana ucieczka, a teraz ta sala z poduszkami jako miejsce samobójstwa. I nie jestem wcale pewien, że wszystko spa pamiętałem.

Pochylił się i zamknął zmarłemu oczy.

## Rozdział 24

*Five pedophiles executed in Denmark.* Nagłówek mejla trafiał w sedno, jego treść była zmanipulowanym pomieszaniem faktów i fikcji. Według jego autorów żeby ochronić eksport dziecięcej pornografii z kraju, duńskie państwo ukryło, że tych pięciu straconych mężczyzn z Kopenhagi to pedofile, co pasowało do faktu, że Dania akceptowała i wspierała organizacje pedofilskie i strony internetowe o takich treściach, a także nie pozwalała na zawarcie wiążącej współpracy policyjnej z pozostałymi państwami UE. Wymiar kar za seksualne wykorzystywanie dzieci był śmiesznie niski i w praktyce zdawał się oficjalną akceptacją tego niegodziwego postępowania. Krótko i poprawnie przedstawiono dwa konkretne przypadki. Na końcu zachęcano odbiorcę do przesłania wiadomości dalej oraz do napisania listu protestacyjnego do duńskiej ambasady w Waszyngtonie.

Pół miliona mejli wysłano w nocy z wtorku na środek czasu lokalnego na przypadkowe amerykańskie skrzynki pocztowe. Wyboru kraju dokonał Per Clausen, a jego argumentacja była nie do podważenia. Był wiosenny, majowy dzień i grupa rozkoszowała się słońcem i białym winem na tarasie Erika Mørka, planując kampanię internetową.

- Stany Zjednoczone to par excellence kolebka teorii spiskowych, z długą tradycją szerzenia dziwacznych hipotez - powiedział Clausen. - Kosmici z Roswell, zmanipulowane ujęcia lądowania na Księżycu, nie mówiąc już o ich własnych służbach specjalnych, które, jak każdy wie, usuwają prezydentów, gwiazdy filmowe czy muzyków, gdy mają chwilę wolnego od produkcji LSD. Możemy być pewni, że setki dziwnomózgich istot albo dziwaczne stowarzyszenia przekażą nasze przesłanie dalej, oczywiście we własnej interpretacji: jako niedającą się odrzucić prawdę, w którą wątpić mogą tylko idioci albo zawodowi wyprowadzacz w pole.

Drzewoław, Erik Mørk, Stig Åge Thorsen i Helle Smidt Jørgensen pokiwali głowami ze zrozumieniem. Nikt z obecnych nie zamierzał zarzucać Perowi Clausenowi czegokolwiek, on jednak nie przestawał wyważać otwartych drzwi:

- Poza tym Duńczycy podziwiają Amerykę. Wielu by się do tego nie przyznało, ale to, co dzieje się w Stanach, ma decydujący wpływ na nasze media i przeinaczona plotka, która wsiąknie w tamtejszy grunt, jest o wiele bardziej żywotna niż pięćdziesiąt tysięcy spamów w duńskich skrzynkach pocztowych. Czy to prawda, kłamstwo czy, jak w naszym wypadku, ich kompilacja, jest to rzecz drugorzędna. Jeśli stanie się tematem dyskusji w Stanach, to bez wątpienia przeniesie się do Danii.

Thorsen dokończył monolog Clausena, niepewnie mówiąc:

- Wiesz co, Per? Jak dla mnie, to możemy wysłać mejle do Stanów, ale... widziałem transmisję z tego rzekomego lądowania na Księżycu...

Clausen szeroko się uśmiechnął. Mørk zachnął się i zabrał głos:

- Już wszyscy rozumiemy, o co ci chodzi. Mówisz, że ile mam załatwić tych adresów?

- Pół miliona. To ogromny kraj.

Pierwszy prawdziwy sukces kampania odniosła w Baltimore, gdzie jakiś niedoceniany programista bez zastanowienia przesłał wiadomości dalej. Właśnie został zwolniony po dziewięciu latach pełnej sukcesów pracy dla szwedzkiego producenta telefonów LM Ericsson. Powodem była racjonalizacja, co jemu wydało się głęboko niesprawiedliwe i co potraktował bardzo osobiście. Nie był też orłem z geografii i uznał, że Dania to jeden z największych stanów w Szwecji. Treść mejla nie budziła wątpliwości. Szwedzki brak moralności był powszechnie znany i nie zaskoczyło go, że jeszcze gorzej dzieje się na prowincji. By zemścić się za zwolnienie z pracy, działając w słusznej sprawie, przesłał wiadomość do wszystkich sześćdziesięciu tysięcy zatrudnionych w przedsiębiorstwie. Poza tym stworzył własną krótką notatkę o tym skandalu, którą rozesał do ćwierci miliona klientów Vodafone z serwera SMS w Londynie, słusznie uznając, że może zostać zwolniony tylko raz.

Wiele z tych mejli zniknęło po naciśnięciu klawisza Delete albo zawisło na zaparach antyspamowych, ale niektóre jakimś cudem przycisnęły się i uległy rozmnożeniu, na przykład za sprawą niekoronowanego barona branży drzewnej i właściciela koncernu z Knoxville w Teksasie.

Baron drzewny był dziewięćdziesięcioletnim mężczyzną, który jako dziecko wyemigrował z rodzicami z Onsild w Himmerlandii i od tamtego czasu nie zawitał do Danii ani razu, ale bardzo dobrze pamiętał stary kraj ze złocistymi, falującymi na wietrze łanami zbóż i idyllicznymi, małymi zagrodami chłopskimi, gdzie mały opierał się o koślawe okna, podczas gdy słońce szybko zachodziło, a Duńczyk zapalał łojową świecę, o ile nie zakładał szlafmocy i nie zagrzebywał się w sianie, wycieczony po całym dniu ciężkiej walki ze sporkiem polnym i chwastami. Przeczytawszy wiadomość, ów duński emigrant porządnie się wściekł - takie reakcje były dla niego typowe i ta cecha nie złagodniała z upływem czasu.

W Stanach radził sobie wyśmienicie, a nawet lepiej niż wyśmienicie. Był wyłącznym właścicielem niemal osiemdziesięciu punktów sprzedaży drewna w całym stanie. Lokalne imperium drzewne, które zbudował, prowadził twardą ręką przez większość dorosłego życia. Przed kilku laty musiał przekazać następcom prowadzenie firmy i odtąd zadawała się nadzorowaniem swoich licznych składów budowlanych jako przewodniczący zarządu, co czynił, wtrącając się we wszystko i codziennie uprzykrzając życie dyrektorom, którzy musieli tańczyć, jak im zagrały nastroje starego mężczyzny. Tak było i teraz.

Drobne ciało starca trzęsło się z wściekłości wywołanej tym, że ktoś pozwolił sobie na oskarżenie jego narodu o pobłażliwość dla dewiantów molestujących dzieci, a dwie z czołowych osób w koncernie otrzymały zadanie przygotowania stosownej odpowiedzi na ten znieślawiający mejl. Wspólnie napisali memorandum, z którego wynikało, że nierząd i perwersja karane są w Danii niezwykle surowo. Przestępców seksualnych czekają lata niewolnictwa, wypełnione ociosywaniem kocich łbów w królewskich kamieniołomach, bo starzec uważał, że tak właśnie na mocy prawa sprawy były ze sobą powiązane. Jego podważalni doskonale zdawali sobie sprawę, że było to, w najlepszym razie, myślenie życzeniowe, w najgorszym - demencja, ale obaj mieli rodziny na utrzymaniu i żaden nie chciał stra-

cić pracy z powodu stanu prawnego jakiegoś marginalnego europejskiego królestwa. Poza tym przyzwyczajeni byli do różnych dziwactw starca.

Pismo zostało wywieszane na tablicach ogłoszeniowych w blisko osiemdziesięciu punktach sprzedaży drewna, gdzie nikt go nie czytał – poza personelem, któremu przedziwne wymysły starego dziwaka raz po raz dostarczały mnóstwa radości. Plotka wydawała się więc wpuszczona do jeszcze jednej ślepej odnogi, ale w jednym z punktów znalazła się klientka czekająca na dorobienie klucza. Jako gospodyni najpopularniejszego programu radiowego w Chattanooga w Tennessee zawsze była na tropie niezwykłych historii i irracjonalnych hipotez. Zapytała pracowników punktu, z czego się śmieją.

Przemierzając się na zachód, kampania nabrała przyśpieszenia, a mejl w jednej z wielu krążących wersji przybrał formę rysunku. Był to obrazek o sile znacznie większej niż słowa precyzyjnie wykoncypowane przez Clausena i Mørka.

Dwie całkiem poważne agencje prasowe, z Madison i Indianapolis, podały informację o powieszeniu pięciu pedofilów, dodając, że duńska policja ukrywa prawdę przed opinią publiczną. Obie jako jej źródło wymieniły internet, co w praktyce równoznaczne było z przyznaniem, że nikt nie może zagwarantować jej prawdziwości, ale tylko nieliczni odbiorcy zwrócili na to uwagę. Mężczyzna w średnim wieku z Tucson w Arizonie usłyszał wiadomość od swojej sąsiadki, którą najwyraźniej ekscytowało jej przekazywanie. Egzekucja bez procesu i późniejsze zbezczeszczenie były jej zdaniem odpowiednim sposobem traktowania bydłaków tego pokroju, a parlament stanowy w Phoenix na pewno mógłby się czegoś nauczyć na tym przykładzie. Krótka rozmowa przy żywości zarówno go ucieszyła, jak i zainspirowała. Zarabiał na życie jako artysta malarz, specjalizował się w płaczących dzieciach i nieźle zarabiał. Wiele z jego malowideł przedstawiających nieszcześliwie chłpiące twarze ozdabiało ściany salonów na Środkowym Zachodzie; jego obrazy cieszyły się popularnością w szerokich kręgach. Może i nie był wielkim artystą, jego repertuar był zbyt ograniczony, żeby mogło być inaczej, a talent nikły. Niewielu jednak potrafiło tak jak on oddać pełną bezradności rozpacz w oczach małych chłopców, zapomnianych przez Boga, ale nie przez księdza. Ostre, zimne ukłucia i krótkie, niedające się kontrolować tiki zaczęły przeszywać jego twarz, szyję i okolice żołądka, co było częste, gdy pracował. Zmówił żarliwą modlitwę, zanim poszedł do swojego atelier i zaczął rysować. Osiem lat w Cleveland Catholic Mercy School naznaczyło go bojaźnią bożą na duszy i świeckim lękiem na ciele.

## Rozdział 25

W śróde śledztwo nabrało tempa. Przedpołudnie było leniwe i raczej pozbawione rezultatów, za to popołudnie w nie obfitowało. Konrad Simonsen kierował podsumowaniem wydarzeń dnia we własnym biurze w Komendzie Głównej w Kopenhadze. Na początku nie miał nic do przekazania, więc oddał głos Poulowi Troulsenowi.

System eksploracji danych przygotowany przez Maltego Borupa uzasadnił swoje istnienie. Aplikacja została zaprogramowana do odkrywania zbiegów okoliczności, po tym jak stopniowo wpisywano kolejne fakty. To ludzki umysł decydował, które z nich uznano za ciekawe i które należało prześledzić. Większość wyników była bez znaczenia: dwoje pedagogów, którzy przypadkowo w tym samym czasie byli w Oslo podczas wakacji jesiennych, sąsiad nazywający się tak samo jak zastępca dyrektora szkoły, za to rachunek z tartaku w Bagsværdzie połączono z zeznaniami nauczycieli o wieczornym korzystaniu przez woźnego z narzędzi w sali do zajęć praktyczno-technicznych.

Wizyta Troulsena u sprzedawcy drewna przyniosła bonus, o którym teraz opowiadał:

- Per Clausen na początku marca zakupił materiały do skonstruowania zapadni w podeście z sali gimnastycznej. To była prywatna transakcja, z wykorzystaniem konta szkoły Langebæk. Zapewne żeby dostać rabat, co nie jest ani niezwykcyjne, ani zabronione, ale zakup mówi sam za siebie.

Pokazał wszystkim zieloną fakturę i przeczytał:

- Wkręty do desek, zawiasy splatane, blokady, haki oczkowe, łączniki do drewna typu Bulldog i nie zapominajmy o trzech rolkach folii malarskiej. Oczywiście dzięki temu możemy określić horyzont czasowy związany z planowaniem egzekucji. Ponadto potwierdza się ostatecznie przypuszczenie techników dotyczące sceny, na której...

- Niezła robota, Poul, ale zostawimy sobie twoje dalsze przemyślenia na później - rzucił krótko Simonsen, z lekką irytacją w głosie. - Niestety nie mam zbyt wiele czasu, czeka na mnie dyrektor finansowy.

- Wydawało mi się, że masz wolną rękę w kwestiach finansowych.

- Wolna ręka nie oznacza, że wydatki mogą się wymknąć spod kontroli.

- A wymknęły się?

Simonsen pozwolił sobie na uśmiech.

- Nie mam pojęcia, ale jestem pewien, że ta trójka księgowych, która wezwała mnie na spotkanie, wie na ten temat wszystko. Arne, twoja kolej.

Pedersen był w Malmö. Jego zadaniem było prześledzenie życia rodzinnego Helene Clausen w okresie od 1987 do 1993. Sama podróż okazała się zbędna, telefoniczne zapytanie, które na prośbę Simonsena Komendant Główny Policji skierował do swojego kolegi w Sztokholmie, w zupełności by wystarczyło. Szwedzka policja



pracowała efektywnie i przyznała sprawie wysoki priorytet, ale nikt nie miał zamiaru angażować w to Pedersena - z tego prostego powodu, że nie było to konieczne, więc spędził on trzy interesujące godziny na zamku w Malmö mieszczącym muzeum miejskie. Na posterunku policji w Kirsebergu otrzymał dwa raporty: jeden po szwedzku, drugi po angielsku. Pięć gęsto zapisanych stron, stanowiących świetny przykład efektywnej współpracy policyjnej w krajach nordyckich, pomniawszy, że to Szwedzi wykonali całą robotę.

Jego prezentacja była krótka:

- Wszystko wskazuje na to, że Helene Clausen w dzieciństwie spędzonym w Szwecji była wykorzystywana seksualnie przez ojczyma. Ani jej matka, ani ojczym nie chcą się na ten temat wypowiadać, ale wiele niezależnych źródeł zbliżonych do rodziny potwierdza taki scenariusz. Także fakt, że później ojczym znalazł inne pole działania, silnie przemawia za poszlakami. W dziewięćdziesiątym drugim został oskarżony o dwa przypadki molestowania seksualnego nieletnich. Oskarżenia zostały jednak oddalone ze względu na brak dowodów. - Uderzył dłonią w raport. - Ponadto jest tu dość jednoznaczna wypowiedź psycholożki, która już nie czuje się związana obowiązkiem milczenia. Zresztą to ona zaleciła, żeby Helene Clausen wróciła do Danii.

- A co z samą Helene? - wtrąciła pytanie Hrabianka. - Nikomu się nie zwierzyła?

- Prawdopodobnie nie, w każdym razie nie bezpośrednio psychologowi. Zdaje się, że zamknęła się w sobie i usiłowała zapomnieć, co jest przecież częstym mechanizmem. Z drugiej strony nie wiemy, co się z nią działo przez ten rok, który spędziła w Danii.

- Przyjrzymy się temu, zlecć to paru ludziom. Coś jeszcze, Arne? - poganiał znowu Simonsen.

Właściwie była jeszcze jedna rzecz. Szwedzcy koledzy dwukrotnie dyskretnie go pytali, czy duńska policja zatrzymała w tajemnicy seksualne preferencje ofiar, cokolwiek to miało znaczyć. Zaprzeczył, ale było jasne, że mu nie ufali. Chciał o tym opowiedzieć, o ile plan Simonsena zakładałby czas na swobodną dyskusję. Najwyraźniej tak nie było, więc pokręcił głową. A jednak sprawa była dziwna.

Także wyprawa Berg do Roskilde była dziwna, ale nie bezowocna. Chłopiec, który w zeszłą środę bawił się w szkole Langebæk ze swoim kuzynem, okazał się miłym i bystrym dzieckiem z niesforną jasną czupryną, odstającymi uszami, piegami i naturalnym, bezpośrednim podejściem do dorosłych. Z pomocą jego matki zaskakująco szybko udało się jej naprowadzić go na wydarzenia tego dnia podczas wakacji jesiennych, gdy on i jego towarzysz zbierali kółka z puszek. Żeby wspomóc pamięć chłopca, w trójkę odtworzyli grę na podłodze w salonie i ta metoda pedagogiczna przyniosła rezultaty, ponieważ chłopiec przypomniał sobie, że w którymś momencie został odgoniony z miejsca zabawy. Przez mężczyznę, który przypominał ojca Bullera. Buller okazał się towarzyszem zabaw. Berg dosłownie przeszył dreszcz, a matka, która zdawała sobie sprawę z tego, że wypowiedzi chłopca mogą być istotne, robiła, co mogła, aby zachęcić go do rozwinięcia tego opisu, krok po kroku omawiała różne cechy wyglądu na bazie porównań. W związku z tym doszło jednak do małego kryzysu - dokładnie prześwietlili tatę Bullera, ale nie odnaleźli żadnych szczególnych cech, które pasowałyby do nieznanego mężczyzny ze szkoły.

Wtedy zadzwonił telefon i matka wyszła z pokoju. Wówczas chłopczyk wyjaśnił tajemniczym tonem, że ten mężczyzna przypominał ojca Bullera, ponieważ prowadził autobus. W dodatku znał określenie „kierowca autobusu”. Ta informacja miała decydujące znaczenie i oczywiście zrodziła dodatkowe pytania, które Berg odłożyła do momentu, kiedy przy dziecku znowu będą dwie dorosłe osoby. Jednak gdy matka chłopca wróciła, zimnym i zupełnie nieuzasadnionym tonem głosu poprosiła ją o opuszczenie domu. Bez żadnych wyjaśnień, ot tak, w jednej chwili znalazła się za drzwiami, które natychmiast się za nią zatrzasnęły.

- Dziwaczne zachowanie - stwierdził Simonsen. - I nie masz pojęcia dlaczego?  
- Zupełnie nie. Wymiotła mnie w okamgnieniu. Co miałam zrobić?  
- Wyjść, co zresztą zrobiłaś, nic poza tym. To się zdarza. Nie można mieć farta za każdym razem.

Berg się zaczerwieńiła; Pedersen wpatrywał się w sufit; Simonsen kontynuował jakby nigdy nic.

- Co przywodzi mi na myśl informację, że Per Clausen popełnił samobójstwo za pomocą roztworu wapnia. Dzwonili z Medycyny Sądowej. Poza tym wstrzymałem dalsze badania, bo to by była tylko strata czasu i pieniędzy. Musiało być dziesiątki osób, które...

Hrabianka mu przerwała, przez co natychmiast skupiła na sobie uwagę. Nikt inny nie przerywał szefowi.

- Simon, mam informacje o busie. Chcesz posłuchać?  
- Jasne, jasne. Już skończyłem.

Kilka godzin wcześniej zdarzył się cud, ponieważ naczelną psycholożką szkolną Ditte Lubert mocno przyparta do muru musiała się poddać i zacząć współpracować. Hrabianka opowiedziała:

- W ratuszu w Gładsaxe przeprowadzili własne dochodzenie, pod lupą studiując wydatki szkoły Langebæk z ostatnich dwóch lat. Jeden z pracowników znalazł trzy rozmowy telefoniczne z Pretorią w Republice Południowej Afryki, skontaktował się z operatorem sieci, żeby zapytać, czy podobne rozmowy miały miejsce w czasie wakacji jesiennych, co się oczywiście potwierdziło. Następnie mnie o tym poinformował.

Troulsen przewidział obrót spraw, wściekły na psycholożkę.

- Więc niechęć tego babola wynikała z banalnego lęku, że ktoś odkryje kradzież impulsów telefonicznych.

- Właśnie. Zadzwoniłam pod ten numer i usłyszałam automatyczną sekretarkę mówiącą, że Ingrid Lubert nie ma w tej chwili w domu. Więc skontaktowałam się z jej szwagrem, wiecie, tym adwokatem, a on był jak najbardziej skory do współpracy. Po pierwsze, potwierdził, że jego druga szwagierka pracuje w RPA dla Danidy, po drugie, obiecał, że pogada jeszcze z Ditte Lubert, ale wówczas, najwyraźniej na skutek jakiegoś zaburzenia atmosferycznego, nastąpiły zakłócenia sygnału.

Uformowała dłoń na kształt telefonu komórkowego i z talentem wykonała pantomimę nieudanego połączenia telefonicznego. Potem zaniósł się śmiechem.

- Gdy znowu się dodzwoniłam, chciałam się upewnić, że dobrze mnie zrozumiał, to znaczy, czy właśnie powiedziałam, że takie prywatne użycie minut opłacanych przez gminę może doprowadzić do zredukowania pozycji jego szwagierki z głównego do zwykłego psychologa szkolnego, o ile nie naprawi szkód, pomagając poli-

cji, czemu nie mogłam zaprzeczyć; Ditte Lubert pojawiła się po dwudziestu minutach. Bez adwokata.

- Istna rozkosz - skomentował znowu Troulsen.

- Zupełnie jak wizyta u dentysty. Była co prawda zła, ale się ugięła i przyznała, że dzwoniła do swojej siostry w zeszłą środę. Chcąc zaoszczędzić, przyszła do szkoły, gdzie skorzystała z telefonu służbowego logopedy, żeby ukryć swoje przevinienie. Rozmowa trwała od trzynastej dwadzieścia jeden do trzynastej pięćdziesiąt cztery, wiemy to z bilingu, a w drodze do domu zobaczyła białego minibus, jadącego od strony tylnego wejścia do szkoły. Było około czternastej, ale to niestety wszystko, co widziała, bo niezależnie od tego jak bardzo ją przyciskałam, nie potrafiła uzupełnić tych informacji. Tym razem nie ze złej woli. Ona już po prostu nie ma nic do dodania.

- Ale jest pewna, że to był minibus? - zapytał Pedersen.

- Całkowicie pewna. Niestety jest wiele ich rodzajów, od najmniejszych, ośmiuosobowych, po największe, czyli dwudziestoosobowe. Wyślę do niej jutro eksperta motoryzacyjnego, ale wątpię, by to coś dało.

- Teraz przynajmniej wiemy, jak ofiary znalazły się w szkole - zabrał głos Simonsen. - Kim byli ci mężczyźni, dlaczego zostali zabici, dlaczego nikt za nimi nie tęskni, to ciągle nie jest jasne. Dostaliśmy, oczywiście, mnóstwo zgłoszeń, ale żadnego przydatnego. Nadal musimy zakładać, że ich bliscy myślą, że oni są na wakacjach, i zaczną ich szukać dopiero za jakiś czas. Hrabianko, obejdiesz ponownie domy sąsiadów i zapytasz o białego minibus? Najlepiej dziś wieczorem, niestety.

Hrabianka się zgodziła, a Berg przyłączyła się do niej; uważała, że jest coś winna.

Podsumowanie dobiegło końca, Simonsen wstał i poszedł na środek pomieszczenia. Jego współpracownicy śledzili go wzrokiem, gdy przez chwilę kołysał się z boku na bok, zbierając myśli. Wziął głęboki oddech i skopiował zwyczaj Kaspara Plancka, na wstępie rzucając słuchaczom pytanie, choć sam nie znosił, gdy ktoś stawiał go w roli egzaminowanego.

- Jaka jest różnica między egzekucją a zabójstwem?

Nikt nie zdradził miłą, że chce odpowiedzieć, ponieważ to zdanie było najwyraźniej pomyślane jako hasło samo w sobie.

- Egzekucja jest zgodna z prawem, zabójstwo jest z nim sprzeczne. Państwo ma prawo zabijać swoich obywateli. Obywatele nie mają takiego samego prawa w stosunku do siebie nawzajem. Sam akt jest w gruncie rzeczy taki sam, a dla człowieka pozbawianego życia nie ma większego znaczenia, czy jest on skrócony o głowę przez kata czy uduszony przez sąsiada, ale zarówno pod względem prawnym, jak i socjologicznym istnieje oczywiście ogromna różnica. Kat potwierdza istniejący porządek społeczny, morderczy sąsiad go narusza, a to właśnie „porządek” jest w tym kontekście słowem kluczem.

Słów padło wiele, a puenta została nazbyt rozbudowana. Być może dlatego, że Simonsen był człowiekiem, który wolał proste odpowiedzi i podlegające regułom związki przyczynowo-skutkowe. Gdy w końcu zamilkł, żaden ze słuchaczy nie miał już wątpliwości co do aspektu porządku wpisanego w egzekucję. Hrabianka uprzejmie podsumowała:

- Ceremonia egzekucji miała sprawić, że czyn dokonany tutaj będziemy postrzegać inaczej niż jako zabójstwo zbiorowe. Ale...

Utknęła na początku zdania, a Simonsen znów przejął pałeczkę.

- Właśnie, „ale”! To wyjątek od reguły jest ciekawy, lecz pozwólcie, że jednocześnie zwrócę wam uwagę, byście już nie używali określenia „egzekucja”. I przechodzimy do wielkiego pytania: po co to zbezczeszczenie? Nie pasuje do szablonu, tak, i w zasadzie przeczy wszystkiemu, co właśnie omówiłem, ergo albo popełniam błąd, mówiąc o porządku i zgodności z prawem, albo było to tak absolutnie konieczne, że sprawy musieli pogodzić się z tym całym bałaganem.

Hrabianka podążyła tym tropem.

- Identyfikacja?

- Tak, to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, ale ci, którzy za tym stoją, muszą wiedzieć, że wcześniej czy później zidentyfikujemy zabitych, nieważne, jak bardzo uszkodzili zwłoki.

Tym razem włączył się Pedersen.

- Zyskali nieco na czasie.

- Być może. W każdym razie prowokuje to wiele interesujących pytań. Jeśli masz rację, to dlaczego sprawcy potrzebują czasu? Poza tym logiczne jest zniszczenie twarzy mężczyzn, podobnie jak usunięcie ich odzieży, ale dlaczego pozbawiono ich dłoni? Ma to sens, tylko jeśli ich odciski palców są zarejestrowane, czyli jeżeli byli karani. A co z ich organami płciowymi, które nie mają żadnego znaczenia przy identyfikacji? Przemyślcie to. Przedyskutujcie to w waszym długim wolnym czasie i poinformujcie mnie, jeśli uznacie, że znaleźliście jakieś odpowiedzi albo, co równie ważne, jakieś dobre pytania.

Wygłaszając ostatnie słowa, Simonsen przemieszczał się w kierunku drzwi. Chciał niepostrzeżenie zniknąć zaraz po zakończeniu tego miniwykładu. To mu się jednak zupełnie nie udało. Za drzwiami stał Malte Borup z kartką papieru. Tkwił tam od dłuższej chwili, nie mając odwagi przerwać, a czas oczekiwania jeszcze się wydłużył, gdy Arne Pedersen pospiesznie się zbliżył i go odepchnął. Simonsen okazał zniecierpliwienie:

- Czy to nie może poczekać, Arne?

Pytanie zostało zignorowane, co tym samym stanowiło odpowiedź.

- Zadzwoń do mnie przed godziną. Tak jak przewidziałeś.

- Kto zadzwonił?

- Ta Anni Staal z „Dziennika”.

- No i co powiedziała?

- Chwilę się to przeciągnęło. Była bardzo ostrożna, ja oczywiście zgrywałem niedostępnego i miałem zastrzeżenia... Niezły teatr...

- Skończyło się tym, że...? - przerwał mu Simonsen.

- Że będę jej dostarczał informacje, jeśli jakieś zdobędę, a ona... jak to powiedzieć... zrekompensuje mi ten trud. Do diabła, Simon, to jak w jakimś tanim, amerykańskim serialu, to w ogóle do ciebie niepodobne. I co mam zrobić z tymi piekną...

Simonsen wyciągnął dłoń, dając mu znak, żeby przerwał.

- O tym ostatnim nie chcę nic wiedzieć.

- Okej, okej, zapomnijmy o tym. To pomysł Plancka, co?

- W przeważającej części.

- Jest nielogiczny, niemal głupi.

- On ma przecucie, że to się może przydać.

- To nieuzasadnione i idiotyczne przeczucie.

W końcu Simonsen postanowił poświęcić trochę czasu na rozmowę. Powiedział spokojnie, ale z naciskiem:

- Masz rację, ale pracowałem z Kasperem Planckiem ponad dwadzieścia lat i od razu mogę przytoczyć co najmniej dwie sprawy, w których jego nieuzasadnione i idiotyczne przeczucia uratowały ludzkie życie. Nie mówiąc już o licznych przypadkach, gdy jego nieuzasadnione i idiotyczne przeczucia rozwiązały śledztwo. Ale oczywiście możesz się z tego wycofać, jeśli nie...

Tym razem Pedersen zdecydował się mu przerwać. Pozbawiony argumentów zakończył rozmowę:

- Nie, w porządku. Chciałem cię tylko poinformować.

Pedersen przesunął się w bok; Malte Borup był następny w kolejce. Śpiesznie zbliżył się do szefa, widząc, że droga wolna.

Simonsen rozwinął kartkę papieru przyniesioną przez chłopaka, spojrzał na nią i zapytał:

- Co mam z tym zrobić?

- To jest wszędzie. Wszędzie i ciągle ich przybywa. Blogi, newsgroups, sites, także te największe. FOX TV to pokazuje, MTV też. Jest jak superwirus, ale ludzie sami biorą to do domu i wysyłają dalej, już można kupić T-shirty z...

Zawahał się, przyjrzał się szefowi i zakończył pośpiesznie:

- ...a więc może...

Simonsen słuchał z wymuszonym spokojem. Zniecierpliwienie należało do repertuaru złych nawyków, jakie ujawniał w toku bardziej zawiłych spraw, ale w przeciwieństwie do reszty zespołu chłopak źle odczytał jego reakcje. W każdym razie znajdował się w strefie zagrożenia, przekonany, że to, co ma do przekazania, nie może czekać. Samemu Simonsenowi brakowało wglądu w detale, by w pełni rozumieć powagę sytuacji. Ponownie spojrzał na kartkę. Trudno było się powstrzymać.

Rysunek był zaskakująco prosty, jak szkic nakreślony czarną kreską. Artysta uchwycił ciemną, nieznajującą ukojenia powagę z dużą pewnością. Perspektywa podążała za kątem widzenia, który musiał mieć jeden z wiszących z tyłu, bezpośrednio przed opuszczeniem zapadni. Oglądający rysunek patrzył, można powiedzieć, oczami delikwenta. Z boku, nieco poniżej, widać było tyły głów jego już straconych kompanów. Kilka szybko naszkicowanych drabinek po prawej wskazywało, że scena rozgrywa się w sali gimnastycznej, ale tym, co przyciągało wzrok oglądającego, byli widzowie. Na górze zasiadał sędzia wyglądający jak zjedzony przez mole wszechojciec - na poły bóg, na poły clown, a zakurzone atrybuty władzy spoczywały obok jego zwiędłej dłoni - kodeks, piorun, waga szalkowa. Tragicomiczna interpretacja motywu zaczerpniętego z zaśnieżonego antycznego skarbcza, z wyrazem nonsensu w oku i zdechłymi muchami wplątanymi w jego perukę. Poniżej, na podłodze przed szafotem, siedziały dzieci w różnym wieku i patrzyły smutno na skazanych na śmierć, obecne w teraźniejszości, jak dziesiątki małych możliwości. Cierpliwe, sprawiedliwe, bezlitosne. Niemal czuło się sznur zaciskający się na szyi i Simonsenowi zrobiło się nieswojo. Nad obrazkiem widniał napis Too late.

## Rozdział 26

- Wielu z was dobrze mnie zna, ale jest w moim życiu pewna istotna rzecz, o której nie wiecie, i jest to niestety coś, co wpływa na mnie każdego dnia, a od czego nigdy się nie uwolnię, choćbym żył sto lat.

Erik Mørk był zdenerwowany. Wypowiedział te słowa bez przekonania, a niecodzienne uczucie braku kontroli czało się w podświadomości. Mimo że mówił nerwowo i niepewnie, od razu skupił uwagę słuchaczy. Większość z nich była zatrudniona w jego firmie, garstkę stanowili przyjaciele, ostatnią część - obcy, których zwerbował Per Clausen. Skąd i jak - tego nie wiedział, wiadomo było jedynie, że będą lojalni. I właśnie we wzroku jednej z tych nieznanym sobie osób znalazł wsparcie, które pozwoliło mu kontynuować - była to dziewczyna niezwykle urody o jasnych, skręconych jak korkociąg lokach i wyrażających wsparcie niebieskich oczach. Podniósł nieco głos i przeszedł do sedna.

- Kiedy miałem pięć lat, umarł mój ojciec i pojawił się w naszym domu ojczym. Od tego momentu do chwili, gdy jako dziesięcioletek trafiłem do domu dziecka, byłem gwałcony trzy, cztery albo pięć razy w tygodniu. Latem i zimą, w weekendy i dni powszednie, rano i wieczorem, rok po roku. Gwałt był tak integralną częścią mojego dzieciństwa, że długo myślałem, że tak właśnie musi być, to znaczy że wszystkie dzieci spotyka to co mnie. O tym się po prostu nie rozmawiało, tak samo, jak nie rozmawiamy o robieniu kupy, robimy ją, ale rzadko o niej dyskutujemy. Jako dorosły zrozumiałem, że zarówno miałem, jak i nie miałem racji; racja, że się o tym nie mówi. Nie miałem jej, myśląc, że gwałt na dzieciach to normalna sprawa. To bardziej powszechne, niż wielu sobie wyobraża, albo raczej niż chce sobie wyobrażać, ale na szczęście to nie jest normalne.

Unikał wytartych słów jak „tabu” i „poczucie winy”. Związek między jednym a drugim był prosty i bezpośrednio zrozumiały; zanurzanie go w psychologii byłoby błędem.

- Jako dziesięcioletek próbowałem zabić matkę, co było nielogiczne, skoro swoje dorastanie uważałem za zwyczajne. Dlaczego nie ojczyma? To dopiero dziwne. On był moim złym duchem, nie ona. Ona nawet ostrzegała mnie, gdy się zbliżał, nastawiała głośniej telewizor. Usiłowałem rozbić jej głowę żeliwnym garnkiem, który wyrzuciłem przez okno swojego pokoju, pewnego dnia, gdy wyszła z praniem na podwórze. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze, chybiłem o wiele metrów, ale nie było wątpliwości co do moich zamiarów, więc trafiłem do domu dziecka Kejsersstræde. Pierwszego dnia potwornie tam oberwałem. Ten rodzaj powitania spotykał wszystkich. Leżąc wieczorem w moim nowym łóżku, pobity, żółty, siny i obolały jak wrzód nazeębny, byłem najszcześliwszym dzieckiem na świecie.

Powiół wzrokiem po słuchaczach. Atmosfera stała się ciężka, nikt nie jadł, nikt nie pił, nikt na nikogo nie patrzył. Wszyscy słuchali go w skupieniu - w bezruchu, ze wstrzymanym oddechem, jakby zwierzał się każdemu z osobna. Poczul łyzy ci-

snące się do oczu. Nie na wspomnienie dzieciństwa, ale ponieważ słuchali i okazali mu szacunek, solidarność. Mimo to jego głos był mocny, gdy znów przemówił:

- Inni też byli wykorzystywani, może nawet należą do szczęściarzy, choć tak mnie to zniszczyło. Bardziej tragicznym przypadkiem była moja młodsza siostra. Ona zajęła moje miejsce, gdy trafiłem do domu dziecka, ale niestety była delikatniejsza i nigdy się po tym nie pozbierała. Pewnego ranka usiadła na torach, z chustą zawiniętą wokół głowy. Miała dwadzieścia dwa lata.

Palcem wytarł wilgoć z kącików oczu i kontynuował:

- Często zastanawiałem się, o czym myślała, siedząc na tych szynach i słysząc piszczące, wciśnięte do oporu hamulce nadjeżdżającego pociągu. O ojczyźnie? O niczym? O sobie? O mnie? Tego nigdy się nie dowiem, ale ciągle będę zadawał to pytanie, a w dniu jej śmierci poprzysiągłem sobie, że gdy będę miał taką możliwość i będzie na to dobry czas, napiszę jej nekrolog. Nie po to, by opowiedzieć jej historię, ta jest zbyt banalna i została by szybko zapomniana, ale by postawić szereg pytań. Dzisiaj mam odpowiednie środki i mam zamiar je wykorzystać. Poza tym moment jest odpowiedni. Tych pięciu mężczyzn straconych w Bagsværdzie było aktywnymi pedofilami, każdy z nich miał na sumieniu wiele gwałtów. Jak wiecie, plotki krążyły już od jakiegoś czasu, a moje źródło w Wydziale Zabójstw mówi, że policja potwierdzi je w ciągu najbliższych dni, lecz na razie informacja jest wstrzymywana. Pedofilia z pewnością wkrótce stanie się dominującym tematem w mediach. Moje pytania podążą tym torem, pokażą inną prawdę, inny punkt widzenia.

Włączył rzutnik z wystudiowanym wyczuciem chwili, żeby nie zwracać nadmiernej uwagi na zabitych mężczyzn; wszyscy automatycznie skierowali wzrok na ekran.

- To ogłoszenie ukaże się jutro w dużych dziennikach i we wszystkich darmowych gazetach.

Dał im minutę; czytali zaskoczeni. Potem przedstawił swoje obliczenia.

- Liczby nie są, oczywiście, pewne, ale wielu badaczy ocenia, że od jednego do dziesięciu procent społeczeństwa jest wykorzystywane seksualnie w okresie dorastania, to znaczy, że około pięciu tysięcy dzieci między piątym a dziesiątym rokiem życia jest w tej chwili narażonych na przemoc. Ja sam zostałem w dzieciństwie zgwałcony około ośmiuset razy, tyłu się doliczyłem, ale może byłem nieszczęśliwym wyjątkiem wśród nieszczęśliwych. Szacuję średnią liczbę gwałtów przypadających na wykorzystywane seksualnie dziecko w tej grupie wiekowej na dwieście. Każdy może teraz sięgnąć po kalkulator, oszczędzę wam obliczeń cząstkowych, ale zakładam, że każdego dnia w Danii gwałconych jest około pięciuset dzieci. Jeśli mam rację, to powiedzcie, co stanowi największy problem społeczny? Domy opieki? Szkoły? Autostrady? Czy może te pięćset dzieci, które jutro zostaną zgwałcone?

Zatrzymał się. Statystyka stwarzała dystans, jak to statystyka; i wcześniejsza, pełna napięcia cisza zniknęła. Był najwyższy czas, by zakończyć.

- Jak widać w ogłoszeniu, chcę spróbować nakłonić ludzi do samodzielnych obliczeń i właśnie do tego potrzebuję waszej pomocy, ale czy zechcecie mi pomóc czy też nie, zdecydujecie, oczywiście, sami. Ci z was, którzy są moimi pracownikami, też mają wybór. Możecie na najbliższe trzy tygodnie wziąć wolne, pełnopłatne i nieodliczone od urlopu, albo zostać i mi pomóc. Jeśli w głębi duszy czujecie, że

nie możecie się w to zaangażować, wolałbym, żebyście wzięli wolne. Przejdźcie się, porozmawiajcie, zastanówcie się i poinformujcie mnie, co wybieracie.

Wyłączył rzutnik.

- Pozwólcie, że zakończę wspomnieniem mądrego mężczyzny, którego kiedyś znałem, a który niestety już nie żyje. Zapytał, czy wierzę, że garstka osób walcząca o jakąś sprawę może zmienić świat. I sam sobie odpowiedział, prosto, ale jak prawdziwie: świat zawsze był zmieniany w taki sposób.

Erik Mørk w napięciu czekał na pierwsze deklaracje. W tworzonych nocami scenariuszach wyobrażał sobie dziesiątki różnych reakcji, ale żadna z nich nie pokrywała się z rzeczywistością. Kobieta siedząca naprzeciwko przemówiła najwyraźniej w imieniu większości, choć on z góry spisał ją na straty jako osobę zbyt analityczną, na którą nie podziałają emocje. I się pomylił.

- Nie muszę iść na spacer. Proszę powiedzieć, co mam robić.



## Rozdział 27

Noc była zimna i Drzewołaż marzył na rynku w Allerslevie.

Od czasu do czasu próbował się rozgrzewać, uderzając i obejmując ramionami tułów, ale na niewiele się to zdawało. Dzięki pracy przywykł do przebywania na świeżym powietrzu, a w doborze stosownych do pogody ubrań miał wieloletnie doświadczenie. Mimo tego nie docenił chłodu tej nocy, a jego żyłaste ciało nie zawierało nazbyt wielu gramów zbędnego tłuszczu, brakowało mu więc naturalnej ochrony przed zimnym północnym wiatrem, który z rosnącą siłą omiatał rynek.

Po podmuchu, który był nieco silniejszy i zdecydowanie mu się nie spodobał, spojrzął na koronę drzewa, pod którym stał. Jej górna część oświetlona była równo światłem ulicy, jak i jasną, srebrzystą poświatą księżycy. Drzewo zostało przygotowane do ścięcia i nie było odporne na zbyt silny wiatr. Zmrużył oczy i ze znanstwem wykluczył bezpośrednie niebezpieczeństwo, że drzewo złamie się samo z siebie, zanim jego ofiara przyjdzie do pracy. Już ponad pół godziny temu przywieziono gazety; porzucono je w nieładzie przed budką z kiełbaskami. Znów zatrząśł się z zimna i wycofał za pień drzewa, który osłaniał od wiatru.

Nagle zobaczył mężczyźną z butelką w dłoni, chwiejnym krokiem idącego ku niemu przez rynek. Mocniej wcisnął się w cień. Chwilę później opary uryny wzbily się z obu stron, usłyszał, że mężczyzna coś bełkocze. Ostrożnym ruchem głębiej nasunął kaptur, żeby choć twarz była schowana, jeśli zostanie nakryty. Potem bezgłośnie wyszeptał w noc:

- Tylko nie to, Allan, nikt nie ma takiego fuksa.

Słowa skierowane były do właściciela budki. W tej samej chwili zapaliły się w niej światła. Ciemność ustąpiła i przez kilka następnych sekund Drzewołaż z napięcia wstrzymywał oddech, aż z ulgą usłyszał, że mężczyzna po drugiej stronie drzewa się oddala. Ostrożnie wyjrzał zza pnia i odprowadził pijaka wzrokiem, dopóki ten nie zniknął za rogami. Wtedy chwycił odcięty konar i ruszył w kierunku budki.

Sprzedawca kiełbasek, który porządkował stosy gazet, siedząc w kucki, w pierwszej chwili nie zauważył gościa. Głos, ten dobrze znany głos, to nie mogła być prawda, sprawił, że niemile zaskoczony spojrzął w górę.

- Dzień dobry, Allanie, pozdrów brata.

Solidny bukowy kostur Drzewołaża trafił mężczyźną w ciemność. Jego ciało opadło bezwładnie, a głowa wygodnie ułożyła się na stercie gazet. Z nosa pociekła mu krew i spłynęła po wiadomościach dnia. Kat zrobił krok w lewo i w następny cios włożył całą swoją siłę. Dobrze posługiwał się siekierą i bez problemu trafił swoją ofiarę prosto w kark. Dziesięć sekund później znowu stał przy drzewie i nie przejmując się hałasem, włączył piłę motorową.

Ogłuszający huk rozerwał ciszę poranka. Hałas przetaczał się ulicami, odbijał się od ścian budynków, zatrząśł ziemią i zbudził miasto ze snu.

Drzewołaz uśmiechnął się w mrok i zanim zniknął, dał sobie czas, żeby nacieszyć się swoim dziełem.

## Rozdział 28

Na rynku w Allerslevie, gdzie prawie pięć godzin wcześniej Drzewołaz ściął drzewo, policyjna fotografka podniosła gazetę. Jedno z ogłoszeń przykuło jej uwagę. Wiatr porywał papier i zwinął strony gazety tak, że tylko ono było widoczne. Wzdrygnęła się, czytając, ale nie mogła uwolnić się od pytań. Stojący za nią strażak położył jej rękę na ramieniu.

- Chyba musisz się przesunąć, paniusiu.

Zirytowała ją ta uwaga, odwróciła się więc ze złością i odkryła, że go zna. Mężczyzna się roześmiał.

- Przepraszam, kiedy zobaczyłem, że to ty, nie mogłem się opanować, ale też stoisz za blisko. Takie drzewo kryje wielkie siły, nieprzewidywalne napięcia. Nigdy nie słyszałaś o wiatrolomach? Silny konar, który się odegnie, może cię przeszyć jak szpilka motyla; byłby niezły bałagan, a jeden zabity wystarczy.

Skinął głową w stronę pnia, a ona podążyła za jego wzrokiem. Ogromne drzewo przykrywało prawie cały rynek, pięciu ludzi pracowało przy jego koronie, pięciu mężczyzn. Działali metodycznie, ale ostrożnie, chcąc za pomocą małych pił motorycznych dostać się do budki z kiełbaskami. Cofnęła się i pozwoliła gazecie odfrunąć. Zresztą były wszędzie i jedna mniej czy więcej nie stanowiła różnicy. Strażak przeszedł się z nią.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Bo jestem. Pracowałam przez całą noc i powinnam teraz leżeć w łóżku. Jak sądzisz, kiedy będę mogła zacząć?

- Za jakieś dziesięć minut, już prawie dotarliśmy. Gdzie pracowałaś w nocy?

- W Instytucie Medycyny Sądowej w Kopenhadze. Było cholernie ciężko, dosyć makabrycznie, ale bardzo ciekawie. Jestem w zespole z chirurgami szczękowo-twarzowymi, ludźmi od robienia modeli, ekspertami medycyny sądowej i komputerowcami. Niektórzy to obcokrajowcy. Wszystkim kieruje przesympatyczny starzec, który jednak ma zapędy despotyczne i niestety nie uważa, by sen miał większe znaczenie, więc do Odense wróciłam o dziewiątej, a potem wezwano mnie tutaj.

- Chodzi o tych pedofilów z Bagsværdu?

- Tak. Chociaż nie wiem, czy byli pedofilami. Trochę to trudno rozpoznać, gdy są martwi.

Zawołał ją jeden z techników policyjnych. Wskazywał na do połowy pustą butelkę z piwem, która stała przy drzewie. Spojrzała pytająco na strażaka, podeszła tam dopiero, gdy skinieniem głowy potwierdził, że to bezpieczne, i ustawiła aparat. Piwo było z gatunku mocnych. Kucnęła obok i poczuła ostry smród uryny. Z wprawą zrobiła zbliżenie butelki, nie dając się podczas pracy zdekoncentrować zapachowi. Dopiero gdy skończyła, pokręciła nosem i wzięła głęboki oddech pod wiatr. Prawie w tym samym czasie ktoś krzyknął, że jest dojsćcie.

Technik policyjny, który wskazał butelkę, zaprowadził ją do zmarłego. Mężczyzna upadł pod ciosem, teraz leżał na brzuchu, z głową odwróconą w jej stronę, przygnieciony do podłoża. Mocna bukowa gałąź wbiła się w dolną część kręgosłupa i przeszła przez brzuch, jakby w szaleńczej niebiańskiej wściekłości wypuszczono ogromną, żądną zemsty strzałę. Ledwie zerknęła, a już otworzyła usta z zaskoczenia, co jej towarzysz niewłaściwie zinterpretował i troskliwie otoczył ją ramieniem. Odepchnęła go i z niedowierzaniem gapiła się na zmarłego. Nie było wątpliwości.

Dziś w nocy fotografowała tę twarz.

## Rozdział 29

Ogłoszenie zajmowało w gazecie pół strony. Było kolorowe i sporo kosztowało.

Na górze umieszczono fotografię ośmioletniego dziecka, a ziarnista jakość zdjęcia oraz jasne włosy chłopca zasłaniające uszy świadczyły o tym, że uwieczniono go w latach siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych. Poza tym nie było w nim nic szczególnego. Twarz uśmiechała się wstydliwie w stronę obiektywu, a przy odrobinie fantazji można było zgadnąć, że dzieciak chciałby jak najszybciej zakończyć sesję fotograficzną, by wyjść i pograć w piłkę. Na dole ogłoszenia widniał jeszcze jeden portret, przystojny mężczyzna po trzydziestce patrzył wprost na osobę czytającą. Jego spojrzenie było silne i zdecydowane, wyraz twarzy poważny, pozbawiony uśmiechu, ale także złości. Porównanie obu twarzy samo się nasuwało, jakkolwiek dla niewprawnego oka nie było między nimi wielu podobieństw.

Tekst pomiędzy zdjęciami wydrukowany był czcionką starego, maszynowego typu, co podkreślało surowość i bezpośredniość przekazu. Cztery krótkie akapity, utrzymane w formie pierwszoosobowej, mówiły, że chłopczyk był wykorzystywany seksualnie. Że ci, którzy mieli się nim opiekować, zawiedli, od tamtej pory czuł wstyd i jako dorosły ukrywał swoje dzieciństwo. Aż do teraz. Na ostatni akapit składały się same pytania. „Jak wiele dzieci dorasta tak jak ja? Ile dzieci zostanie zgwałconych dziś wieczorem w Danii? 10? 100? 500? 1000? Co obstawiasz? A może jest ci wszystko jedno?”

W liceum przy Roskildevej klasa 3y czytała ogłoszenie. Jedna z uczennic rozdała jego kopię jako materiał pomocniczy do tego, o czym chciała opowiedzieć. Stała teraz przy katedrze i cierpliwie czekała, aż nauczyciel zasiądzie na krześle w kącie sali. Dziewczyna była jedną z jego ulubionych uczennic i nie trzeba było nazbyt wielu słodkich uśmiechów, by pozwolił jej wykorzystać pierwsze dziesięć minut lekcji na osobistą refleksję. Poza tym, że była uzdolniona, była też bardzo ładna i po kryjomu taksował ją od stóp do głów spojrzeniem, które zdradzało coś więcej niż tylko pedagogiczne zainteresowanie.

Gdy skończyli czytać, dziewczyna spokojnie opowiedziała o swoim dorastaniu. Bez nienawiści, ale też nie próbując wzbudzić współczucia. Opowieść chwytiała za serce, a klasa 3y nigdy dotąd nie siedziała tak cicho. Każde słowo kielkowało, każde zdanie ich jednoczyło, a ona, jak nikt wcześniej, porwała ich historią, która i z kamienia wycisnęłaby łzy. Szybko stało się jasne, że klasa miała ważną sprawę. Jej sprawę. Ich sprawę. Sprawę wszystkich. Każdy z osobna to poczuł – po raz pierwszy w swoim młodym życiu.

Nikt nie podejrzewał, że dziewczyna drobiazgowo przygotowała swoje wystąpienie. Wiedziała, że ogłoszenie wkrótce się ukaże i że wtedy jej opowieść musi być gotowa. Wiele razy stała przed lustrem, trenując środki wyrazu, aż wszystko było dokładnie wyćwiczone: ton głosu, frazowanie, ściśnięte gardło, spontaniczne zaczerwienienie się – także lok włosów, który w pewnej chwili przypadkowo przysło-

nił jej oko. Wewnątrz nie czuła nic, poza palącą ambicją, żeby dobrze odegrać rolę podżegaczki. Ambicją, którą miała mimo świadomości, że to tylko próba generalna i że ważniejsza publiczność jest jeszcze przed nią.

Po dziesięciu minutach było po wszystkim. Zakończyła z łezką błyszczącą w oku i poprosiła kolegów, żeby pomogli przekazać jej przeżycia innym. Tak jak to zrobił mężczyzna z gazety, tyle że jej nie było stać na drogie ogłoszenia. Kilka sekund później jej zachęta została podjęta, zręczne kciuki bębniły jak pałeczki od perkusji w klawisze telefonów komórkowych, wysyłając jej historię w obieg. Dwie przyjaciółki o zmyśle praktycznym szybko wymieniły poglądy i stwierdziły, że się ze sobą zgadzają. Zrezygnowały z zakupów, dzinsy mogły poczekać. Bez zbędnych słów położyły na katedrze pieniądze - z przeznaczeniem na karty telefoniczne dla mniej zamożnych. Także inni sięgnęli do swoich kieszeni.

Poszła iskra. Potrzeba odkrywania tajemnic dzieciństwa rozprzestrzeniła się wśród duńskich licealistów jak ogień w stogu siana.

## Rozdział 30

Simonsen przyjrzał się salonowi Hammera. Pokój był pięknie odrestaurowany, dzięki czemu odzyskał pierwotną formę - z wysokimi panelami z kubańskiego mahoni i misternymi sztukateriami na suficie. Podłogi zostały wyheblowane i wyszorowane kaolinem do białości. Wyglądał na zewnątrz, dopóki widok uprawiającego jogging mężczyznę o jego posturze, który biegł wokół jeziora, nie wywołał w nim wyrzutów sumienia. Odszedł od okna i przyjrzał się obrazom na przeciwnej ścianie pomieszczenia - były to cztery oryginalne litografie naiwistycznych słoni Hansa Scherfiga. Były świetne i dobrze tu pasowały.

- Wie pan, że był komunistą?

Odwrócił się zaskoczony, za jego plecami stała dziewczyna. Miała około szesnastu lat, czarne splątane włosy, wysłużone dżinsy, kolczyk w nosie i paznokcie pomalowane jaskrawoczerwonym lakierem, który miejscami odpadł. Jej dzianinowa koszulka była poszarpana przy jednym rękawku, a na nogach miała dwa różne, bardzo znoszone trampki. W jednym brakowało sznurówki, w drugim była niezawiązana. Jej klarowne spojrzenie skrzyło się bystrością.

- Tata ma jego wszystkie książki, nawet roczniki gazety „Kraj i Lud”. Zbierał je w swoim socjalistycznym okresie.

Simonsen nie bardzo wiedział, co powiedzieć, zadowolił się więc powierzchownym i przesadnie uprzejmym uśmiechem.

- Tata wyszedł z domu?

- Odebrał telefon, to chyba jakaś ważna sprawa. Tak jest cały czas, zawsze to jakaś ważna sprawa, strasznie to wkurzające. To pan ma znaleźć tych, którzy stracili tych pięciu facetów w Bagsværdzie?

- Tak. Ja i wiele innych osób.

- Mam nadzieję, że ich pan nie złapie.

Wypowiedziała to zdanie bez agresji, raczej jako przyczynek do uprzejmej konwersacji, który należało uszanować. Simonsenowi mimowolnie zaimponowała jej pewność siebie.

- A dlaczego masz taką nadzieję?

- Oczywiście dlatego, że ci faceci byli pedofilami.

Wczoraj co najmniej dziesięciokrotnie dementował właśnie tę plotkę. Wydano poza tym oświadczenie dla prasy, co, o ile wiedział, było precedensem. Jeszcze nie zidentyfikowano ofiar, więc o ich seksualnych skłonnościach można było jedynie spekulować, chociaż otrzymane później informacje zaskakująco wskazywały na to, że plotka się potwierdza. Nie miał jednak siły zaczynać dnia w tym samym punkcie, w którym skończył poprzedni, a już na pewno nie przed śniadaniem, więc zrezygnował z napomnienia jej. Nie wydawało mu się też bardzo prawdopodobne, by fakty mogły zachwiać jej poglądami. Dlaczego by miały, skoro na innych też nie wpłynęły? Wybrał inne podejście, patrząc jej prosto w oczy.

- Gdy ostatnio zaglądałem do prawa karnego, nie było w nim mowy o tym, że można zabijać pedofilów.

Bez zawahania odwzajemniła jego spojrzenie. Jej głos brzmiał przyjaźnie, choć kryła się w nim mała domieszka kpiny, jakby doradzała miłemu, ale niezbyt bystremu młodszemu bratu.

- Jeśli szuka pan rzeczy dozwolonych, to prawo karne jest kiepskim adresem. Gniewnie odwrócił wzrok.

Uratował go jej ojciec, który wreszcie skończył rozmowę.

- Jeśli zaraz nie znajdziesz swojej teczki i nie pójdziesz tam, gdzie powinnaś, to możesz zacząć szukać pracy jako gazeciarka, żeby odrobić utracone kieszonkowe.

Wściekłość Helmera Hammera łatwo było przejrzeć. Widać było, że jest dumny ze swojej latorośli, czego nie można mu było mieć za złe.

- Tak, tatusiu.

Przelotnie pocałowała go w policzek i zniknęła. Prawie. W drzwiach odwróciła się i posłała ku nim uśmiech, który rozmroziłby przenośną lodówkę. Ostatnie słowa skierowane były do Simonsena.

- Tata zawsze dobrze o panu mówi, lubi pana, po prostu tego nie okazuje. To jedna z jego słabości. Smacznego.

Oddaliła się, ciągnąc za sobą rozwiązaną sznurówkę.

Śniadanie było wyśmienite, a rozmowa, która po nim nastąpiła - dość przybijająca. Simonsen miał zarówno dobre, jak i złe wieści z Medycyny Sądowej. Zaczął od tych dobrych:

- Dzisiaj będę miał zdjęcia rekonstrukcji twarzy co najmniej dwóch ofiar i z tego co słyszałem, będą na tyle dobre, że nadadzą się do pokazania w mediach. Z pewnością doprowadzą do identyfikacji.

- To dobrze. Pozwoliłem sobie zadzwonić wczoraj do profesora, ale ech...

Sekretarz stanu się zawahał.

- ...twierdził, że jestem iluzją, nawet o tym nie wiedząc.

- Tak, on zachowuje się dość „oryginalnie”.

- Trzeba przyznać.

- Może następnym razem skorzystałby pan z mojego pośrednictwa, mam na niego sposób.

Było to kłamstwo. Nikt nie miał sposobu na Arthura Elvanga, a już na pewno nie Simonsen. Był po prostu bardziej przyzwyczajony do różnych odzywek i tym samym - bardziej na nie odporny.

Hammer skinął głową i zmienił temat.

- W mojej pracy nie używa się określeń „szkoda”, „denerwujące”. Albo są efekty, albo ich nie ma. Chodziło o to, żebym ustalił plan działania, uspokoił opinię publiczną, stworzył panu spokojne warunki do pracy, ale niezbyt dobrze wyszło. Prawie wcale nie wyszło.

Milczał przez kilka sekund, po czym dalej snuł wątek:

- Jeśli trzeba by wskazać na jedną rzecz, której nienawidzą politycy, to byłaby to sytuacja, gdy stawiane im są istotne pytania, na które nie potrafią odpowiedzieć, co w gruncie rzeczy rozumiem.

Simonsen wszedł mu w słowo.

- Nie jest pan czarodziejem. Jak miałby pan skontrolować te wszystkie możliwe i niemożliwe doniesienia, z których większość jest nieprawdziwa, a niektóre po



prostu głupie?

Sekretarz stanu udał, że nie słyszy jego wsparcia, i kontynuował na tę samą nutę:

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych donosi o istnym zasypaniu naszych ambasad mejlami, wszystkie dotyczą rzekomego ukrywania przez duńskie urzędy państwowe faktu, że tych pięciu zabitych było pedofilami, a media rzucają się w wir szeroko zakrojonych spekulacji na ten temat. Poza tym jak jakaś piramida finansowa szeregą się kampanie i protesty przeciw tak zwanemu leseferystycznemu nastawieniu społeczeństwa wobec seksualnej przemocy w stosunku do dzieci. Przede wszystkim w szkołach średnich. Przynajmniej na razie. Do tego minister sprawiedliwości się ukrył, sam nie wiem, czy to dobrze czy źle.

Simonsen skierował rozmowę ponownie na właściwy tor. Skutecznie, acz niezbyt elegancko.

- Obawiam się, że będzie jeszcze gorzej.
- Naprawdę pan tak myśli?
- Niestety tak.

Opowiedział, jak wczoraj wieczorem skontaktował się z nim Elvang i rechocząc, oznajmił, że Pan Środek został zabity dwukrotnie. Rysy twarzy właściciela budki z kiełbaskami z Fionii i ofiary wiszącej pośrodku sali gimnastycznej były tak podobne, że nie było mowy o przypadku. Pomiął jednak wzmiankę o ucieście starszego mężczyzny.

Hammer wyglądał na udręczonego.

- Jeszcze jedno zabójstwo?

- Wiele na to wskazuje. Profesor rzadko się myli, ale jak powiedziałem, dziś dostaniemy ostateczną odpowiedź. Oczywiście zadzwonię.

- Widzę, że jest tego więcej.

- Tak. Właściciel budki nazywał się Allan Ditlevsen, miał czterdzieści dziewięć lat i dwa wyroki za molestowanie seksualne, jeden za niestosowne zachowania seksualne wobec dwunastolatka, drugi za wykorzystanie seksualne ośmiolatki, którą stręczył ojciec, gdy sam jej nie wykorzystywał. Za to ostatnie dostał półtora roku więzienia bez zawieszenia.

- Więc jednak wątek pedofilski.

- To prawda, o ile można to tak nazwać, a teraz chyba można, bo niestety są i inne poszlaki, które na to wskazują. Jakaś kobieta z Århus zgłosiła się wczoraj na lokalną komendę policji i wyjaśniła, że jej małżonek Jens Allan Karlsen został zabity w Bagsværdzie. Po prostu tak twierdziła. Miał być na wakacjach w Tajlandii, ale nie zadzwonił zgodnie z umową. Mamy zgodność ucha między zdjęciem rodzinnym a Panem Południowy Zachód. Technicy nie mają wątpliwości, ale materiał genetyczny pobrany od jego brata da nam dzisiaj ostateczną odpowiedź.

- Jens Allan Karlsen też był pedofilem?

- Jens Allan lubił zabawiać się z dziećmi. Tak powiedziała jego żona, której zresztą zabronił się do tego mieszać. Teraz nie żyje i dlatego uznała, że chce pomóc policji, o ile mogłaby się na coś przydać. Ta kobieta jest w najwyższym stopniu wiarygodna. Sam rozmawiałem z nią przez telefon.

Pomiął opowieść o dorastaniu Helene Clausen w Szwecji; dodatkowe spekulacje były bezsensowne.

- Czyli mówi pan, że plotki dotyczące pedofilii się potwierdzają.

Simonsen dał sobie sporo czasu na przemyślenia. Wiele było wątpliwości i nieznanymi czynnikami, które można by przytoczyć, ale pominął je wszystkie i pewnym głosem odrzekł:

- Tak.

Odpowiedź ta była dodatkowym obciążeniem wyraźnie rysującym się na i tak już napiętej twarzy Hammera.

- Ma pan papierosa?

- Nie.

- Kłamie pan.

- Tak, ale i tak panu nie dam.

Zaśmiali się. W jakiś dziwny sposób było to wyzwalające - jakby znaleźli schronienie w oku cyklonu. Głos sekretarza stanu brzmiał nieco jaśniej, gdy znowu się odezwał:

- Zabrzmi to jak przyznanie się do winy, jeśli ma pan rację. Jakbyśmy zostali zmuszeni do wyjawienia tej prawdy. To w pewnym stopniu pańskie zmartwienie.

- Moje? - Simonsen był szczerze zadziwiony. - Dlaczego to moje zmartwienie?

- Właśnie spotkał pan moją córkę. Jest zwyczajną dziewczyną, mimo że robi wszystko, żeby sprawiać inne wrażenie, i sam pan słyszał, co myśli o śledztwie. Proszę sobie wyobrazić, że jej postawa stanie się powszechna, na co ona i jej koleżdy z klasy, nawiasem mówiąc, pracują obecnie dzień i noc.

- No ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie myśli poważnie, że możemy pozbyć się problemu pedofilii, mordując pedofilów.

- Nie, nie aż tak skrajnie. Ale jak cicha akceptacja tego, co już się wydarzyło, wpłynie na pańską pracę?

- Znacznie ją utrudni.

- No właśnie. Przypuszcza pan, że ktoś tym steruje?

Simonsen zauważył, że zaczyna się pocić. Nie pod wpływem rozmowy, lecz jego wewnętrzny aparat grzewczy od czasu do czasu źle działał, szczególnie w ostatnich miesiącach. Poluzował krawat, wytarł czoło serwetką. Trochę to pomogło. Następnie zapytał:

- W jakim sensie steruje?

- Steruje to znaczy planuje, układa program działań, przewiduje. To się rozumie samo przez się.

- Kto miałby za tym stać?

- Nie wiem, ale skoro te mejle o pedofilach mówią prawdę, nie można ich traktować jako zwykłej plotki. Ktoś musiał wcześniej coś na ten temat wiedzieć. Takich rzeczy nie da się odgadnąć. Prawdopodobnie sam pan już to rozważał.

Tak było, ale odsunął od siebie tę myśl. Zgadywanki na niepewnym gruncie były stratą czasu, skoro później i tak ten grunt się ustali. Do ostatniego wieczora miał mnóstwo czasu, ale wczorajsze zabójstwo i mroczny obraz wrogiej opinii publicznej odmalowany przez sekretarza stanu zmieniły sytuację, co w pełni uświadomił sobie dopiero teraz.

Simonsen wsunął dłoń do wewnętrznej kieszonki marynarki i wyciągnął papierosa.

## Rozdział 31

Kościół dobrze się prezentował w promieniach wiszącego nisko, jesiennego słońca. Od pokrytych wapnem cegieł biło oślepiające światło, a kwarc w wielkich kamiennych płytach tworzących fundament skrzył się jak tysiące małych kropli wody.

Erik Mørk przysłonił oczy dłonią, oglądając budynek. Nawa główna i chór były wyraźnie romańskie, z zaokrąglonymi oknami, ozdobami na murze i pięknie wyprofilowanymi gzymsami. Wieżę, kruchtę i zakrystię wzniesiono z granitowych bloków i cegieł, podobnie jak późnogotyckie przybudówki zbudowane kilkaset lat później. Mur cmentarny był jeszcze średniowieczny, a zegar na wieży miał mechanizm z wychwytem szpindlowym z połowy osiemnastego wieku, wykonany z polakierowanego na czarno kutego żelaza, o czym wiedział.

W dziedzinie architektury Mørk nie był orłem. Ale przybył wcześniej, żeby w spokoju i ciszy przyjrzeć się terenowi i ewentualnym działaniom policji. Szybko się z tym uporał, a następnie spędził sporo czasu w czytelni lokalnej biblioteki, jak się okazało, sąsiadującej z kościołem. Przeczytał wszystko, co mógł znaleźć na temat parafii, wspólnoty kościelnej i historii kościoła. Wydało mu się to odpowiednim sposobem na zabicie czasu oczekiwania.

Teraz siedział pod wiatą przystanku autobusowego, w pewnej odległości od wydarzeń, ale z dobrym widokiem na całość. Najbliżej, jak miał odwagę podejść. Obok niego usadowił się Drzewołaz, zły, że nie może być w kościele. Mørk wciągnął go pod wiatę, gdy zupełnie przypadkowo się na niego natknął, co uznał za bardzo niepokojące. Ale prawdę mówiąc, żaden z nich nie miał drugiemu nic do wyjaśniania. Obaj sprzeciwili się zakazowi Pera Clausena dotyczącemu przyścia na jego pogrzeb.

Drzewołazowi nadal trudno się było pogodzić z tym, że przyglądali się wszystkiemu z tego właśnie miejsca.

- Dziwnie się tak żegnać, siedzimy tu i gapimy się na kościół. Jesteś pewien, że tam są fotografowie z policji?

- Tak, i mnóstwo innych fotoreporterów, co prawie na to samo wychodzi. Zaczniemy od tego, że w ogóle nie powinno nas tu być. Żadnego z nas, a na pewno nie nas obu. To najlepsze możliwe miejsce i bliżej nie podejździemy. To by było szaleństwo.

Drzewołaz niechętnie zaakceptował tę argumentację.

- Wkurza mnie to.

Usiadł ponownie na ławeczce i dodał, chichocząc:

- Per by się wściekł, gdyby nas teraz zobaczył. Nigdy byśmy się na to nie odważyli, gdyby żył.

Brzmiał jak niegrzeczny uczeń, rozkoszujący się własną śmiałością. Mørk poczuł ukłucie irytacji. Wolałby, żeby Drzewołaz znajdował się możliwie najdalej, naj-

lepiej za granicą. Wykonał swoją robotę, w świetny sposób, ale teraz był zbędny, a w dodatku stanowił chodzące zagrożenie.

- Masz rację. Jego siła perswazji znacznie zmalała, odkąd umarł.

Jego sarkazm trafił w próżnię.

- Dlaczego tak mówisz? To jasne.

Mørk pożałował swoich słów i bez większego zapału spróbował wyjaśnić. Nie czuł się najlepiej w towarzystwie Drzewołaza i wolałby być sam. Przypadek ich połączył, ale nie nadawali na tej samej fali - wręcz odwrotnie. Musieli, cholera, współpracować, w każdym razie jeszcze przez jakiś czas. Dlatego za żadną cenę nie mogli się pokłócić.

Była jednak pewna paląca kwestia, którą musiał wyjaśnić, skoro już trafiła się nieoczekiwana okazja. Po krótkiej, niewinnej rozmowie o niczym zebrał się w sobie.

- Przeczytałem w gazecie, że nie wystarczyło ci pocięcie ich twarzy i rąk, ale że jeszcze uszkodziłeś ich genitalia. Zgadza się?

- Tak.

- Na to się nie umawialiśmy. Po co to było?

- Wtedy wydało mi się to sensowne.

Mørkowi niełatwo przyszło powstrzymanie pomruków złości.

- Mógłbyś dokładniej to wyjaśnić?

- To tylko kilka drobnych nacięć.

- Kilka drobnych nacięć? Piłą motorową?

- Tak.

- Na wszystkich?

- Właśnie tak.

- Dlaczego?

- Prawda jest chyba taka, że piła przejęła nade mną kontrolę. Gdy zacząłem ciąć, nie mogłem przestać i chciałem pokazać Frankowi, co się z nim stanie po śmierci. W wiadomym miejscu, wiesz, o czym myślę.

Nie była to cała prawda. Ostatniego okaleczenia dokonał już po zdemontowaniu podestu i wyniesieniu go do minibusa, ale zanim sprzątnął podłogę.

Mørk zaakceptował wyjaśnienie bez dalszego drążenia tematu. Tak właśnie podejrzewał, a co się stało, to się nie odstanie. Z marketingowego punktu widzenia było to dość niewygodne - takie wydarzenia trudno sprzedawać - ale teraz już nie da się nic zmienić. Dlatego ograniczył się do skinięcia głową, a Drzewołaz dodał:

- Miałem ogromną ochotę rozszarpać mu krocze, gdy jeszcze żył.

- Ale tego nie zrobiłeś?

- Nie, mimo wszystko.

- Cieszę się.

Nie mieli już o czym rozmawiać. Drzewołaz nie zapytał o kampanię, a Erik Mørk wolał nie znać innych szczegółów zabójstw.

Ludzie napływali do kościoła łagodnym strumieniem, pojedynczo albo małymi grupkami. Wśród nich było wielu młodych. Część z nich zostawiała kwiaty i odchodziła. Niektórzy układali wiązanki na kościelnych schodach, inni zapalali małe świeczki przyniesione z domu. Do samej ceremonii pozostało jeszcze trochę czasu.

Mørk próbował wypełnić chwile oczekiwania.

- Cztery lata temu w tej parafii spalono dwie czarownice.

Drzewołaż nie odpowiedział. Zamiast tego spojrział w stronę kościoła, na drzewo przy wejściu na cmentarz. Zmrużył oczy z powodu słońca. To kasztanowiec zwyczajny; w jego koronie tu i ówdzie nadal wisiały brązowe, kolczaste torebki i czekały na opadnięcie.

- Nocami porywały chłopskie dzieci i leciały z nimi na sabat - kontynuował Mørk bez zachęty. - Po torturach ich zeznania były jednakowe, więc nie było wątpliwości, że są winne, ale pastor zaapelował o łaskę, o użycie szubienicy zamiast stosu. Niemal przyplącił to suknią kapłańską i życiem, bo wspólnota się zbuntowała i wybrano stos. Postawiono go przed kościołem w roku tysiąc sześćset trzy nastym. Myślenie o tym napawa optymizmem.

Drzewołaż odwrócił głowę i znów był obecny.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Eriku. Szkoda tych kobiet.

- Tak, tak, oczywiście, ale nie chodzi o te kobiety; myślę o tym, jak wszyscy doszli do porozumienia i stworzyli wspólny front przeciw złu, a jednocześnie o tym, do czego mogą doprowadzić wspólny strach i wściekłość.

Rozmowa się urwała, ponieważ Drzewołaż nie odpowiedział. Chwilę później nad okolicą rozległ się dźwięk kościelnych dzwonów, a przybyli zaczęli wchodzić do kościoła. Było ich wielu, co Mørk skomentował:

- Nie sądzę, żeby któryś z naszych pięciu napaleńców miał równie ładny pochówek.

- Sześciu.

- Sześciu? Co masz na myśli?

- Jest ich teraz sześciu. Doszedł jeszcze jeden.

Upłynęło trochę czasu, zanim Mørk zrozumiał, ale gdy znaczenie tych słów w końcu do niego dotarło, podskoczył. Zaczął wrzeszczeć, nie zważając na dyskrecję. Kilku spóźnialskich, którzy rączym truchtem pędzili w stronę kościoła, przyglądało mu się z niepokojem.

- Powiedz, kompletnie ci odwalilo? Masz totalnie narypane w głowie.

Drzewołaż zachował spokój.

- Uspokój się. Mam dobre wyjaśnienie i na pewno bym cię odwiedził i osobiście o tym opowiedział, gdybyśmy się tu nie spotkali. Jest powód, dla którego w ogóle tu przyjechałem. Pogrzeb był spontanicznym pomysłem, skoro już i tak byłem w tej okolicy.

Mørk nie słuchał.

- Nie możesz po prostu zabijać ludzi gdzie popadnie.

Drzewołaż szeroko się uśmiechnął i powiedział z opowianiem:

- Allan Ditlevsen, wiesz, ten od kielbasek, trafił do szpitala z kamieniami żółciowymi na wieczór przed naszą akcją. Frank, starszy brat Allana, załatwił zastępstwo. Ale gdyby młodszy brat się dowiedział, że starszego wysłano do piekła, a nie do niebiańskiego raj, policja by przecież... Tak, sam sobie możesz dopowiedzieć.

Mørk wziął się w garść, energicznie skinął głową, a Drzewołaż opowiedział o sprzedawcy kielbasek z Allerslevu, którego już nie było.

- Allan Ditlevsen niczego nie podejrzewał? - zapytał.

- Nie wiem, ale z jednej strony nie był przecież powszechnie znany ze sprytu, z drugiej, delikatnie mówiąc, nie miał zwyczaju zadawać się z policją. Poza tym dwukrotnie zadzwoniłem do niego do szpitala, żeby zapytać o zdrowie. Mówiłem

o słońcu, lecie, tanich drinkach i dzieciach, pozdrowiłem od starszego brata, który niestety nie mógł podejść do telefonu, to ostatnie było zresztą prawdą.

- Dlaczego nas o tym nie poinformowałeś?
- Bałem się, że Per wszystko odwoła.
- Hm, przynajmniej jesteś szczery. A na co był ten cały trud z drzewem?
- Uwierz, że to był wieniec pogrzebowy, który idealnie do niego pasował.
- Nie możesz mi normalnie odpowiedzieć?
- Mogę. Po prostu sprzeciwiłem się złu.

## Rozdział 32

Wokół kłamliwego lekarza zaciskała się sieć. Trzy kobiety z podmiejskiego osiedla wkrótce zdobędą wystarczające dowody, by sprawiedliwość mogła zwyciężyć. Kłamał, składając przysięgę Hipokratesa, tak było i nie zasługiwał na żadną łaskę, nieważne, jak był przystojny.

Pauline Berg połknęła zakończenie romansidła o lekarzu. Najmłodsza pracownica wydziału zabójstw wymknęła się z pracy, by spędzić przerwę na lunch w ulubionej kafeterii na dworcu głównym. Tak jak wszyscy z wydziału miała swoją kryjówkę, w której od czasu do czasu zaszywała się na pół godziny odpoczynku od śmierci, zabójstw i tej bardziej zwierzęcej strony ludzkiej natury. Tak jej się wydawało.

Hrabianka usiadła przy tym samym stoliku i odchrząknęła aż trzy razy, a że to nie zwróciło uwagi Pauline, położyła dłoń na kolorowym tygodniku.

- Halo, halo, zewnętrzny świat wzywa. Całkiem odpłynęłaś?

W końcu Berg spojrzała znad magazynu i zaczerwieniła się od ucha do ucha, jak osoba z nadwagą przyłapana na wbijaniu zębów w ciastko. Gorączkowo złożyła gazetę i schowała do torby. Hrabianka udała, że nie widzi jej lektury. Ani koloru twarzy.

- Jedziesz do Middelfartu, skarbie.

- Sama?

- Nie, ze mną. Właśnie zidentyfikowaliśmy dwie ofiary. Pana Środka już nie ma, zastąpił go konsultant sieciowy Frank Ditlevsen, lat pięćdziesiąt dwa, z Middelfartu. Tak samo jak Pan Południowy Zachód to z pewnością emerytowany fabrykant Jens Allan Karlsen z dzielnicy Trøjborg w Århus. Miał sześćdziesiąt trzy lata. Arne się nim zajmie. Karlsen został zresztą zidentyfikowany podwójnie, sama pomyśl, niecałe pięć minut po tym, jak otrzymaliśmy wyniki testu DNA, przyszła wiadomość ze szpitala Skejby, gdzie jego serce było kontrolowane cztery razy w roku, jak mówił Arthur Elvang.

- Pięć minut za późno by to było użyteczne.

- Taaa, można tak powiedzieć. A tak poza tym czy to ty ochrzciłaś Allana Ditlevsena na tablicy ogłoszeniowej mianem Pana Ekstra? Bo jeśli tak, to czeka cię repymenda od Simona, chodzi o moralność i szacunek.

- Nie, to był...

Przerwała i zmieniła sformułowanie:

- To nie ja.

- To się ciesz.

Grzesznikiem był Pedersen. Berg widziała, jak to pisał... i niestety, rozbawiło ją to. Przeskoczyła na bezpieczniejszy temat:

- Czyli Frank Ditlevsen jest bratem tego sprzedawcy kielbasek?

- Właśnie. Frank to starszy brat, był w sali gimnastycznej; Allan, młodszy, to ten od kiełbasek.

- Zabity przez drzewo?

- Nie całkiem. Technicy są niemal pewni, że został śmiertelnie uderzony konarem, tuż przed tym, jak drzewo spadło mu na głowę. Tyle na razie. Jakkolwiek sprawy się mają, ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby obalić to drzewo, a samo ścięcie wykonano bardzo profesjonalnie, ale nie po to, by go zabić, bo on już był martwy.

- Więc po co?

- Tego nie wiem.

- Co mówi Simon?

- Mówi, że musisz dopić kawę, żebyśmy już mogły jechać. Bracia mieszkają, albo raczej mieszkali, pod tym samym adresem w Middelfarcie. Wszyscy pracują na najwyższych obrotach, żeby zebrać więcej danych, jesteśmy informowani na bieżąco.

- To dobre wieści. W końcu mamy przełom.

- Tak się wydaje, ale jest coś jeszcze. Mamy teraz niezłe fotografie rekonstrukcji twarzy Pana Północny Zachód i Pana Północny Wschód, pojawią się dziś w wiadomościach, o ile nie zdążymy ich wcześniej zidentyfikować. W mniej nieprzyjemny sposób.

- Co masz na myśli?

- To słowa Simona. Dla bliskich takie pojawienie się zdjęć w telewizji, bez uprzedzenia, może być dość szokujące, ale chyba nie mamy innego wyjścia. Jeśli jakiś szalenięc pozostający na wolności zabija pedofilów, to czas jest decydujący.

Berg to nie przekonało - istnieli ludzie, których miała większą ochotę chronić.

- Tak, coś w tym oczywiście jest.

Hrabianka wyczuła cień wahania w słowach współpracownicy i zareagowała zaskakująco ostro.

- Zakładam, że się z tym zgadzasz, jeśli nie, to możesz zostać w domu... a poza tym złożyć wniosek o przeniesienie.

Formalnie nie była jej przełożoną, ale dla obu kobiet było jasne, że jej słowa nie były bezpodstawne. Berg natychmiast się podporządkowała.

- Oczywiście, że się zgadzam, na sto procent.

Hrabianka uznała jej zapewnienie za wystarczające i się uśmiechnęła.

- To co, ruszamy na Fionię? - zapytała Berg, odwzajemniając uśmiech.

Przydzielone im zadanie nie zaskoczyło jej. Było bardziej niż jasne, że kiedy tylko zidentyfikują ofiary, będą musieli ruszyć na łowy, nieważne, gdzie leżeć będą łowiska. Już przedwczoraj wiedziała, co się święci, i poprosiła sąsiadów o opiekę nad kotem.

- Ruszamy i jak wspominałam, nie ma chwili do stracenia. Podjedziemy do ciebie, żebyś mogła wziąć coś do przebrania. Zakładam, że już się spakowałaś?

- Tak, Arne powiedział, że na bank będziemy jeździć po kraju. Nie mam pojęcia, skąd wiedział.

- Przewidywania oparte na doświadczeniu. Ale może ci przykro, że jedziesz ze mną, a nie z nim?

Powiedziała to zaczepnie, ale poważny ton był wyraźnie wyczuwalny. Berg odebrała jej pytanie bezpośrednio i szczerze odpowiedziała:



- Nie, nie jest. To, co jest między nami... sama nie wiem, ale zaczyna się z tego robić bagno. O ile już nim nie jest.

- Skoro tak mówisz, to wierzę.

- Jemu jest dobrze tak, jak jest? Znaczący z dziećmi i w ogóle.

- To jego musisz zapytać. Jeśli ze sobą sypiacie, to chyba możecie też porozmawiać.

- Ale teraz pytam ciebie.

- Chcesz usłyszeć, co naprawdę myślę?

Berg skinęła głową.

- Arne nigdy nie zostawi dzieciaków i nie powinien, a ty nie powinnaś próbować go do tego nakłaniać. Nic dobrego z tego nie będzie. Ale teraz musimy już wyruszać na stopy, niezbyt pięknie zaparkowałam.

Berg wiedziała, jak wielka jest pogarda Hrabianki dla mandatów za złe parkowanie, ale nie pozwoliła, by z takiego powodu źle ją potraktowano, i nie spiesząc się, dopiła kawę. Otrzymała potwierdzenie tego, co właściwie i tak wiedziała, i chociaż jej koleżanka z pracy raczej nie była pobłażliwa, miło było to usłyszeć. Zmieniła temat i zapytała:

- Skąd wiedziałas, gdzie jestem? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Ależ dzwoniłam, cztery razy bez skutku, więc albo wyczerpała ci się bateria, albo wyłączyłaś telefon, ale Simon powiedział, że najpewniej siedzisz tutaj i czytasz babskie gazety.

Czerwień natychmiast wróciła na półeczki Pauline.

- Skąd wiedział?

Hrabianka się zaśmiała. Bez empatii.

- Skąd ja mam to wiedzieć?

Po czym dodała nieco bardziej pojednawczo:

- Sieć kontaktów Simona w policji jest ogromna, a ty na kryjówkę wybrałaś miejsce z największą liczbą patroli w Danii, więc myślę, że ktoś doniósł. Z pewnością którąś z facetów, oni zwracają na ciebie uwagę. Często tu przychodzisz?

Berg schwyciła się brzytwy i zignorowała pytanie.

- Tak, na pewno ktoś podkablował. To typowo męskie.

Hrabianka zgodziła się.

- No właśnie. A teraz już chodź, po drodze opowiem ci miłą historyjkę o tym, jak pewien dyrektor referatu z urzędu gminy wysłał psychologa do psychologa.

## Rozdział 33

Anni Staal siedziała za swoim redakcyjnym biurkiem, niecierpliwie czekając, aż jej praktykantka będzie gotowa do złożenia raportu, podczas gdy Anita Dahlgren bez pośpiechu przeglądała przyniesione przez siebie papiery, doskonale wiedząc, że powolność irytuje jej szefową.

Stosunki między tymi dwiema kobietami zmieniły się w ostatnich dniach ze złych na jeszcze gorsze i dla obu stało się jasne, że się nie cierpią. Żadna z nich nie mogła jednak podważać kompetencji zawodowych drugiej. Od zeszłego poniedziałku, gdy wypłynęła sprawa zabójstw w Bagsværdzie, Staal była w stanie nieustannej mobilizacji. Jej materiały codziennie wypełniały sporą część gazety i wiele wskazywało na to, że tak będzie jeszcze przez jakiś czas, ale mimo dużego obłożenia pracą czuła się w tej sytuacji wyśmienicie. Jak szczur w kloace, pomyślała Anita Dahlgren, jednocześnie przyznając, że wiele mogłaby się nauczyć od swojej niesympatycznej opiekunki. Pomijając wszechobecny cynizm tej kobiety oraz jej niepokojący brak innych celów niż ona sama, jej szefowa była znakomitą dziennikarką.

Z drugiej strony Staal też dostrzegała talent swojej uczennicy. Dziewczyna szybko łączyła fakty, była pracowita, empatyczna, a przede wszystkim miała cudownie kreatywne podejście do spraw, co często okazywało się użyteczne. A że pod względem czysto ludzkim wydawała się zbyt uczciwa i porządna, by funkcjonować w prawdziwym świecie, odgrywało mniejszą rolę. Staal miała wystarczająco wielu współpracowników o przeciwnych cechach, a ze zwyczajowym brakiem oglądy tej dziewczyny i jej nieznośną przemądrzałością mogła żyć. Była odporna psychicznie i doświadczyła już gorszych rzeczy.

Wynik tego równania był taki, że pod względem merytorycznym ich współpraca przebiegała bez zarzutu.

Wycucie czasu Dahlgren było perfekcyjne, bo słowa Staal o ruszeniu tyłkiem nie zdążyły wypłynąć z jej gardła.

- Prosiłaś mnie o raport dotyczący nastrojów w naszych szkołach średnich. Ogólnie ujmując, wiele klas zbojkotowało dzisiaj lekcje i zamiast tego zajęło się kwestiami w ten czy inny sposób dotyczącymi seksualnego wykorzystywania dzieci. Trudno jest przedstawić łączny wynik, ale według mojego ostrożnego szacunku dotknęło to od jednej trzeciej do połowy wszystkich klas licealnych w kraju. Jednak występują duże różnice geograficzne, zjawisko najsilniejsze jest w Kopenhadzie i większych miastach prowincjonalnych. Działania te będą z pewnością kontynuowane w poniedziałek. Zapewne na jeszcze większą skalę, prawdopodobnie obejmą też klasy gimnazjalne. Tak się już stało w pojedynczych wypadkach.

- Co chcą osiągnąć? Kto za tym stoi?

- Na to ostatnie pytanie łatwo odpowiedzieć: nikt. To spontaniczne i przenosi się z jednej szkoły na drugą, ale nie ma wątpliwości, że wczorajsze ogłoszenie o mole-

stowaniu dało początek całemu zamieszaniu.

Staal skinęła głową.

- I oczywiście wszystkie te plotki na temat zabójstwa. Ale działania uczniów są różne. W niektórych szkołach próbują oszacować, ile dzieci dziennie narażonych jest na przemoc, zgodnie z zachętą z ogłoszenia. W innych opowiadają o własnych przeżyciach, w jeszcze innych pedofilia stała się głównym tematem, tak z grubsza ujmując. Kanały przekazu są różne: blogi, plakaty czy tablica ogłoszeń w miejscowym supermarkecie, you name it; ulotki, happeningi, eventy, listy do redakcji to inne przykłady. Pomysłowość jest spora.

- Muszą mieć, do cholery, jakiś cel!

- Jakiś mają na pewno, ale jest on trochę niejasny. Można powiedzieć, że chodzi o zwrócenie publicznej uwagi na problem pedofilii, czyli zmuszenie społeczeństwa do wzmożenia działań przeciw przemocy, coś w tym rodzaju. Ale to moje słowa. Słyszę różne wyjaśnienia, w zależności od tego, kogo pytam.

- Wszyscy jesteśmy przeciw pedofilii, nic w tym nowego, więc jeśli to ma być ten przekaz, to jest on, cholera, zbyt banalny.

Dahlgren przejrzała notatki. Tym razem obyło się bez niepotrzebnych scysji. Napisała kilka zdań, które później mogły stać się częścią artykułu, jeśli by poproszono ją o jego napisanie. Przeczytała na głos:

- Wielu młodych licealistów uważa, że znaleźli wspólną sprawę. W świecie, w którym codziennie nabija im się uszy twardymi żądaniem stawianymi przez globalizację, by pracowali nad intelektem zdolnym wytrzymać konkurencję, oraz tym, że diabeł nieubłaganie kosi średniaków, łatwe do zrozumienia antypedofilskie przesłanie, z którym wszyscy się zgadzają, jawi się jako dar od wyższej instancji. Zdecydowanie wyższej niż Ministerstwo Edukacji. Opozycja wobec świata dorosłych, który ich zdaniem przez lata przyzwalał na wykorzystywanie dzieci, jest oczywista i katalizuje odczucie, że oto stają ramię w ramię z osobami, które jedno- czy wspólny szlachetny zamiar, jakkolwiek precyzyjny cel rozplywa się we mgle.

Staal skinęła głową z zastanowieniem, po czym powiedziała:

- „Młodzi licealiści” to pleonazm. Zastąp „katalizuje” słowem „wzmaga”, wyrzuć „szlachetny” i ostatnie zdanie podrzędne. I, dziewczyno, postaw parę kropek. Zakładam, że masz też kilka sylwetek konkretnych osób.

- Jasne. Między innymi dwóch siostr z liceum w Virum, chcesz posłuchać?

- Tak.

Staal wykorzystała ten czas na jednoczesne przejrzenie mejli. Normalnie Dahlgren nie zaakceptowałaby tak poniżającego potraktowania, ale z doświadczenia wiedziała, że jej szefowa należała do tych niewielu osób, które były w stanie wykonywać kilka czynności naraz; nie było to tylko powiedzenie, ale jej życiowa praktyka. Tej właściwości, niestety, ona sama jeszcze nie posiadała. Dlatego kontynuowała, jakby nigdy nic, często cytując ze swoich notatek. Dopiero gdy w pewnej chwili niemal przez przypadek skoncentrowała się na szefowej, odkryła, że ta jej nie słucha. Siedziała z pełną niedowierzania miną, wpatrując się w ekran komputera.

- Powiedz, w ogóle interesuje cię to, co mówię?

Staal na chwilę przeniosła uwagę na praktykantkę. Odpowiadając, brzmiała dosyć nieobecnie. Była za to szczerą.

- Nie. Masz jakieś uchawki?

- Chodzi ci o słuchawki?

Dahlgren uśmiechnęła się w przesłodzony sposób.

- Tak, właśnie o to. Mogłabyś mi je pożyczyć?

Zaczepta odpowiedź Dahlgren nie wywołała choćby pomruku niezadowolenia, zatem szefowa musiała znaleźć w komputerze coś wyjątkowego, co zostało potwierdzone kolejnym zdaniem:

- Ja pieprzę!

Słowa zostały rzucone w przestrzeń, nie były skierowane do nikogo konkretnie. Dahlgren odchyliła się, żeby zerknąć na ekran. Nie udało się jej. Co prawda Staal pochłonęły własne sprawy, ale nie była stracona dla świata. Szybko odwróciła ekran i tym razem zawarczała.

Następna godzina była dla Staal niezwykle intensywna, ale też produktywna.

Zadzwoiła do swojego nowego policyjnego informatora, choć dobrze wiedziała, że się wścieknie. Zaledwie dwie doby wcześniej uroczyście przysięgała na wszystkie świętości, że to on będzie się z nią kontaktował i nigdy na odwrót; reguła, która najwyraźniej bardzo leżała mu na sercu. Teraz łamała ją przy pierwszej lepszej okazji. Takie sprawy były kosztowne i musiała wyskoczyć z ośmiu tysięcy - z najwyższej kwoty, jaką kiedykolwiek zapłaciła jakimkolwiek informatorowi. Oficjalnie „Dziennik” nie płacił za informacje, ale prawie każdy reporter od czasu do czasu robił wyjątek. Często w formie dyskretnie przekazanej setki albo dwóch, chętnie osobom z dołów społecznych. Niewielkie smarowanie, które później ukrywano w budżecie na kilometrówkę. Ale tym razem przekroczyła granicę drobnych wydatków i tę kwotę musiała wypłacić z własnego konta. Miała nadzieję, że to tylko tymczasowe, chyba że informacja okazałaby się kaczka dziennikarską. Wiązało się z tym ryzyko, a w odróżnieniu od swojego informatora nie przepadała ani za grami, ani za hazardem.

Staal i Pedersen spotkali się pod arkadami przy placu Ratuszowym. Jego koperta była brązowa, jej biała; dokonali wymiany. Tylko ona podziękowała. Pedersen pozwolił pieniądzom zniknąć w wewnętrznej kieszonce marynarki, po czym wyjaśnił:

- Tu są trzy zdjęcia, dwa z nich zostaną opublikowane dziś wieczorem. Płacisz za coś, co możesz mieć za darmo za kilka godzin.

To samo powiedział przez telefon, po tym jak udało się jej go udobruchać. Staal pomyślała, że w tym sensie był w porządku. Nie chciał jej oszukać.

- Doskonale to rozumiem. Pamiętaj, żeby zadzwonić, jak będzie więcej nazwisk. Są już w tej cenie.

- Zadzwonię, ale ty tego nie rób. Nigdy więcej.

Odwrócił się i odszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Powróciwszy do redakcji, stwierdziła, że dział informatyczny - tak jak chciała - odzyskał mejl, który usunęła w zeszły wtorek. Pozostało tylko porównać; napięcie niebezpiecznie podniosło jej ciśnienie. Szybko jednak zostało rozładowane, nie było wątpliwości, że ci trzej mężczyźni z nowego mejla byli osobami ze zdjęć z koperty, a do tego twarz jednego z nich była identyczna z twarzą z pierwszego mejla. Obejrzała, teraz z dźwiękiem, film wideo przysłany we wtorek, co sprawiło, że spontanicznie powiedziała:

- Nie mam dla ciebie współczucia. Dostałeś dokładnie to, na co zasłużyłeś, chociaż nie można tego powiedzieć na głos.

Redaktor działu kultury siedzący naprzeciwko podniósł wzrok znad czasopisma i uprzejmie zapytał:

- Dlaczego więc to zrobiłaś, Anni?

Staal wyłączyła komputer i pobiegła prosto do gabinetu redaktora naczelnego, mając nadzieję, że się jej poszczęści i będzie wolny. Ale nie był. Została skutecznie zatrzymana przez sekretarkę, nadgorliwie strzegącą dostępu do swojego pana i władcy. Skinęła w stronę zamkniętych drzwi znajdujących się w najdalszej części pomieszczenia.

- O której będzie wolny?

- To może potrwać. Chodzi o budżet.

- Posłuchaj, kochana, przerwij mu na chwilę i powiedz, że ma spotkanie ze mną w sali Viggo o osiemnastej, znajdź dyrektora i tę naszą nową gwiazdę prawniczą...

- Głównego doradcę prawnego.

- Jasne, zadbaj, żeby ta dwójka też się pojawiła. No i załatw komputer z głośnikami i połączenie intranetowe, trochę kanapek i, oczywiście, piwo i wodę.

- Wiesz, o co mnie prosisz? Co mam powiedzieć o treści spotkania?

- Nic. Ale zadbaj o to, żeby tam byli, nieważne, co mają do roboty. Wiem, że możesz to zrobić, jeśli zechcesz.

- A dlaczego miałabym zechcieć?

- Doskonale wiem, że wszystko inne poza cholernie dobrym powodem oznacza, że oberwie mi się po uszach.

Sekretarka spojrzała poważnie znad okularów w złotych oprawkach. Wołała, gdy wydarzenia następowały zgodnie z planem i przewidywalnie, co nie zdarzało się prawie nigdy. Mimo to dzień po dniu staczała beznadziejny bój o utrzymanie choćby minimum systematyczności w zawodowych obowiązkach swojego szefa. Wykraczająca poza grafik inicjatywa Staal nie pasowała do jej wizji.

- Nie tylko po uszach, urwą ci łeb, Anni.

- Wiem. Po prostu ich tu sprowadź.

Sekretarka przytaknęła bez przekonania, dodając mało uprzejmie:

- Jedzenie załatw sama, nie jestem firmą cateringową. Wyposażenie techniczne już tam jest. Powiedz, nie czytasz poczty wewnętrznej?

Staal wycofała się, nie kryjąc zadowolenia. Ani przez chwilę nie wierzyła w to, że sekretarka zajmie się praktycznymi drobiazгами - ale drugiej stronie zazwyczaj najłatwiej jest przełknąć wyśrubowane wymagania, jeśli część z nich może odrzucić.

## Rozdział 34

Konrad Simonsen siedział w swoim biurze i usiłował przedrzeć się przez stos raportów, które przez ostatnich kilka dni w niepokojącym tempie spiętrzały się na jego biurku. Zadanie było niewykonalne, ale starał się, jak mógł, większość z nich czytał pobieżnie i trzymał kciuki za to, żeby inni mieli lepsze oko do szczegółów. Po kilku godzinach intensywnych wysiłków zaczęły łzawić mu oczy, co jeszcze bardziej utrudniło mu pracę i sprawiło, że poczuł się stary. Poprawił lampkę na biurku i przez chwilę spróbował bez okularów – ale nic nie pomagało. Wtedy na dnie szuflady biurka znalazł kupkę serwetek i kontynuował lekturę, co jakiś czas na zmianę osuszając łzy i przeklinając brak zdolności swoich kolegów do związłego formułowania myśli. W ten sposób udało mu się przebrnąć przez jeszcze pięć akt sprawy i właśnie schwycił za szóste, gdy ktoś zapukał do drzwi. W pomieszczeniu pojawił się Arne Pedersen, mniej więcej w momencie, gdy on zdążył podnieść wzrok.

– Jesteś zajęty, Simon?

– Jak widać.

Wymownie opuścił dłoń na stos raportów, świadomie wybierając niewłaściwy – ten, który już przeczytał, a który teraz wreszcie był większy od tego drugiego. Pedersen przytaknął obojętnie i zapytał:

– Czemu ryczysz?

– To te moje oczy, już nie są takie jak kiedyś. Czy serwetki mogą być przeterminowane? Nie wchłaniają zbyt dobrze.

Zebrał zużyte serwetki leżące w małych kulkach wokół biurka i wrzucił je do kosza, podczas gdy Pedersen mu odpowiadał:

– Mogą być dobrej albo złej jakości, ale nie sądzę, żeby miały jakąś datę przydatności do użycia, jeśli o to pytasz. Może zastanów się, czy nie potrzebujesz mocniejszych szkieł. Mógłbyś zajrzeć do okulisty na kontrolę.

– Dziękuję za radę. Po co przyszedłeś? Masz coś ważnego?

– Nie, niespecjalnie. Mam coś na temat tego mejla o pedofilii, na który miałem zerknąć, jak prosiłeś, ale mogę ci przecież wysłać notatkę.

– Tylko nie to! Żadnych notatek. Raczej usiądź i opowiedz, przyda mi się przerwa.

Pedersen zajął miejsce, podczas gdy jego szef się podniósł, żeby rozprostować nogi. Przez krótką chwilę stał przy oknie i patrzył na miasto. Zachodziło słońce i było wietrznie. Wrócił na swoje miejsce i z zaciętym wyrazem twarzy skoncentrował uwagę na podwładnym.

– Skoro już cię tu mam, to jest jedna rzecz, którą równie dobrze możemy załatwić od ręki. Oczekuję, że w przyszłości będziesz tego przestrzegał.

Ton głosu bardziej niż słowa wskazywał na to, że Simonsen wszedł w rolę szefa. Pedersen poprawił się na krześle.

- W przyszłości oddzielaj swoje miłosne eskapady od pracy, a zwłaszcza od miejsc popełnienia zbrodni, co bardziej odpowiednio można zdefiniować jako cały budynek, w którym popełniono przestępstwo.

- Ale...

- I możesz sobie do kieszeni schować tę urażoną postawę. Mam naprawdę inne rzeczy na głowie niż namawianie Kurta Melsinga, żeby... powiedzmy, odstąpił od pewnych technicznych badań związanych ze śmiercią Pera Clausena...

Wyciągnął przed siebie dłoń na znak, żeby mu nie przerywano, i mówił dalej:

- I nie życzę sobie wiedzieć, czy było to konieczne czy nie. Za to życzę sobie, by podobna sytuacja więcej się nie powtórzyła. Rozumiemy się?

Runął cienki mur obronny Pedersena:

- Tak jest. Podobna sytuacja już się nie zdarzy.

Mężczyźni przez chwilę dochodzili do siebie w ciszy, po czym Simonsen powiedział pojednawczo:

- To co z tym mejlem? Czego się dowiedziałeś?

- Serwer był niemiecki; fizycznie znajduje się w Hamburgu i możesz się domyślić, kto go wynajął. Czy raczej wykupił na nim hosting.

- Per Clausen?

- Oczywiście. Miał go od dobrego roku i opłacał przez internet swoją kartą Visa/Dankort. Amerykańskie adresy mejlowe zostały załadowane w ciągu lata w wielu odsłonach z komputera bibliotecznego w szkole Langebæk, więc to znów Clausen, ale ciekawe jest to, jak rozpoczęło się wysyłanie mejli. Sygnał przyszedł z telefonu komórkowego, dzięki któremu namierzono maszt przesyłowy na przecięciu Jyllingevej z obwodnicą Motorning 3, a więc w dzielnicy Rødovre. Nasi maniacy komputerowi piszą teraz raport, który otrzymasz najpóźniej w poniedziałek.

- Telefon komórkowy, hm. A co z numerem?

- Karta SIM została sprzedana na jednej ze stacji Statoil, jeszcze nie wiemy, na której, ale nad tym pracujemy. Poza tym adresy kupiono z jednego lub więcej miejsc. Było ich niemal pięćset dwadzieścia tysięcy, więc trochę zapłacili. Także ten wątek bada kilku ludzi.

- Okej, Arne. Zapisuję sobie, że mejle są powiązane ze zbrodnią osobą Clausena, co jest, oczywiście, ciekawe, ale już to podejrzewaliśmy. Poza tym Clausen udał się do Rødovre, żeby... ups, nie, oczywiście, że tego nie zrobił. Był dobry powód. Chyba zaczynam się starzeć i jestem zbyt zmęczony do tej roboty.

Pedersen uśmiechnął się krzywo, wypowiadając wniosek za swojego szefa:

- Więc Rødovre jest miejscem, na które musimy zwrócić baczną uwagę, jeśli pojawi się w jakimś innym kontekście.

- Zgadza się. Inne sprawy? Coś nowego z identyfikacją?

- Nic a nic. Nikt nie tęskni za tymi pięcioma mężczyznami, w każdym razie jeszcze nie, ale właśnie prześwietlamy życiorys Jensa Allana Karlsena z Århus. Poza tym Hrabianka i Pauline są w Middelfarcie. Zdjęcia Elvanga zostały opublikowane, więc trzy ostatnie ofiary zostaną zidentyfikowane w najbliższym czasie, jeśli wszystko pójdzie normalnie.

- Co znaczy normalnie?

- Musimy się liczyć z zalewem fałszywych zgłoszeń. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby większość jutrzejszego dnia zesłała na oddzielaniu ziarna od plew. Wielu osobom

zależy na tym, żebyśmy nie rozwiązali tej sprawy.

- Powoli zaczyna to do mnie docierać. Miej w pogotowiu więcej ludzi do sprawdzania nazwisk. Nic innego nie możemy zrobić. Dowiedziałeś się, dlaczego Anni Staal tak bardzo zależało na otrzymaniu zdjęć kilka godzin przed innymi?

- Nie, ale może uda mi się ją przycisnąć wieczorem. Obiecałem do niej zadzwonić, kiedy tylko zidentyfikujemy twarz.

- Postaraj się. A co z pogrzebem Clausena?

- Hm, został sfotografowany z każdej strony, jak wiesz. Ale było bardzo wielu uczestników, większości nie znamy, więc bez materiału porównawczego nic nie wskóramy. Wstrzymałem prace nad identyfikacją konduktu.

- Z jakim uzasadnieniem?

- Wymaga to zbyt wielu środków w stosunku do oczekiwanej korzyści. Również dlatego, że od większości uczestników nie możemy oczekiwać chęci współpracy. Ale przecież wczoraj wysłałem ci to mejlem.

- Hm, jestem trochę do tyłu z mejlami. Brzmi to rozsądnie. Masz coś jeszcze?

- Nie, nic szczególnie istotnego.

Rozmowa najwyraźniej dobiegła końca i Arne Pedersen powinien się ulotnić, ale tego nie uczynił. Zamiast tego zakłopotany wiercił się na krześle i brał rozbieg do słów, które nigdy nie zabrzmiały.

Gdy milczenie stało się kłopotliwe, Simonsen powiedział:

- No, o co chodzi? Wyduś to, Arne. Nie mam oceanów czasu i ty też nie.

- Tak, wiem... po prostu... zawsze uważałem, że nieprzyjemnie jest dostać od ciebie ochrzan.

- Taki jest, do cholery, tego sens, ma być nieprzyjemnie, ale teraz to już przeszłość. O co ci chodzi? Mam nadzieję, że nie o to, żebym się nad tobą pouzalał?

- Nie, jasne, że nie. Nie, skąd. Ale pomyślałem ze względu na Pauline... mam na myśli, że odpowiedzialność przecież spoczywa na mnie... to ja zabrałem ją do tej klasy, w której znaleźliśmy Clausena i dlatego...

Znowu się zaciął.

- I dlatego co?

W końcu znalazł słowa:

- I dlatego mam nadzieję, że jej już nie ochrzanisz. Chodzi o to, żebyś poprzestał na mnie.

Simonsen nawet nie pomyślał o tym, że Berg, gwoli sprawiedliwości, też powinna dostać reprimendę. Teraz zmarszczył brwi, spojrział w dół na swoje splecione dłonie i skinął głową z namysłem - jak surowy, ale sprawiedliwy ojciec, który być może w tej sprawie, w drodze wyjątku, pozwoli, by łaska wzięła górę nad sprawiedliwością. Poza uttrzymała się niestety tylko do chwili, gdy podniósł wzrok i spojrział na Pedersena, bo wtedy wybuchnął śmiechem.

- Już i tak długo się namyślałem i zbierałem w sobie, żeby ciebie przywołać do porządku, i nawet biorąc pod uwagę równouprawnienie, to musi wystarczyć. Kto tam zresztą jest z kim, w to nie zamierzam wnikać, chociaż masz bezpośredni nakaz, żeby się dobrze obchodzić z Pauline, bo bardzo ją lubię. W przeciwieństwie do wielu innych, które sobie wybierałeś wcześniej.

Nastrój zelżał; szef zniknął, mogła się zacząć męska rozmowa.

- Wiem, że to niezły bałagan, Simon - powiedział Pedersen z ulgą. - Z moją rodziną, dziećmi i tym wszystkim. Ale zaczęło mi strasznie na niej zależeć. Jest tak,



jakbym dostał prezent, na który nie zasłużyłem.

- Hm, chyba po drodze przywłaszczyłeś sobie całą masę paczek poza okresem bożonarodzeniowym, o ile pamiętam...

Simonsen nie dokończył tego zdania. Nagle uderzyła go pewna myśl. Sam dostał ostatnio prezent, mianowicie książkę o szachach; książkę o szachach, za którą dotąd nie podziękował. Ze złością uderzył dłonią w stół i porządnie się zaczerwienił. Pedersen zapytał z zaciekawieniem:

- Co się stało? Powiedz.

Zachęta nie została podjęta. Simonsen wskazał na drzwi.

- Wykluczone! To sprawa prywatna. Spadaj.

## Rozdział 35

Kobieta na klatce schodowej tłumaczyła z zimną wściekłością:

- Drzwi nie można zamknąć, rygiel nie działa, jak widzicie. Poprosił, żebym popilnowała, gdy go nie będzie, tak jakby komuś chciało się wspinać na szóste piętro, żeby się włamać. Ale powiedziałam „tak”, tak zrobiłam, no żeby być dobrą sąsiadką, i teraz się z tego cieszę. Dwa razy byłam na klatce schodowej i sprawdzałam, ale za drugim razem usłyszałam jakieś hałasy i weszłam, okazało się, że to telewizor. Zapomniał wyłączyć wideo. Wejdźcie do środka i zobaczcie, czym zajmuje się wasz przyjaciel, to bydlę.

Zapraszającym gestem wskazywała na drzwi. Jeden z mężczyzn niepewnie zaprotestował:

- Aż tak dobrze to go nie znamy; nie możemy tak po prostu wtargnąć.

- Najpierw obejrzyjcie jego film, wtedy zmienicie zdanie; pomyślcie o Angelinie.

Silny przeciąg przeleciał nagle przez klatkę schodową, ponieważ drzwi za plecami kobiety się otworzyły. Czarne włosy dziewczynki zatrzępotały na wietrze. Milcząca i skoncentrowana tylko na jednym, prześlizgnęła się obok mężczyzn i palcem popchnęła sąsiednie drzwi. Nadal nic nie mówiąc, wróciła i z osobliwą godnością wciągnęła za sobą matkę, znikając w mieszkaniu. Wiatr ustał, a bliźniacy gapili się na zamknięte drzwi. Widniało na nich nazwisko Ea Kolt Jessen. Była ich kuzynką, ich czasami bardzo natarczywą i nieodmiennie trudną w obejściu kuzynką, która zadzwoniła i zażądała, żeby przyszli. Ociągając się, weszli do środka.

Kobieta miała rację. Wszystkie wątpliwości zniknęły, gdy zobaczyli wideo. Ciężko opadli na sofę i czekali. W bardzo minorowych nastrojach.

- Myślisz, że Angelina zaczęła się nas bać? Skoro nie powiedziała ani cześć, ani nic innego?

Przyzwyczajeni byli do tego, że widząc ich, ludzie zaczynali się czuć niepewnie. Obaj byli ogromni i o wyrazistych, grubych rysach. Poza tym obu opadała jedna powieka - wrodzona ułomność, która nadawała im niesprawiedliwie złowieszczy wygląd. Do tego dochodził ciemny, rockerski strój ze skóry, który był praktycznym i ciepłym odzieniem, jeśli się było postrzygaczem owiec w drodze do pracy, ale który być może przerażał czteroletnią dziewczynkę.

- Nie wiem. Nie wydawała się wystraszona.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Do cholery, nie mogę tego znieść.

Włączyli pauzę, ale zatrzymany kadr był wystarczająco nieprzyjemny.

Jeden z braci podniósł się i ze stolika kawowego ściągnął obrus, razem z wazonem, który rozbił się na podłodze. Zasłonił telewizor materiałem. Na ścianie za nim wisały dwa oprawione w szkło plakaty. „Welcome to Disneyland”, wielkie, radosne litery nad uśmiechniętą Myszka Miki, prawdopodobnie pamiątkowy plakat

z jakiejś podróży. Drugim z nich była reprodukcja portretu Friedricha Nietzschego, namalowanego przez Edwarda Muncha, ze słynnymi słowami filozofa o śmierci Boga, nakreślonymi czarnym odręcznym pismem. Brat, który wstał, schwycił krzesło i walnął nim w jeden z obrazów. Szkło pękło po przekątnej, jego wielki kawał spadł na podłogę, ale sam plakat pozostał nienaruszony. Oddał go wzdłuż kantu szkła i trzymał przed sobą rezultat swego dzieła – pół myszy i odezwany „neyland” nie miały sensu, więc zmiął papier i zabrał się do kolejnego plakatu. Drugi z braci poszedł do sypialni, żeby się wysikać.

Lokator mieszkania nie był wątlým mężczyzną, w dodatku utrzymywał dobrą formę, ale nie miał żadnych szans, bracia byli po prostu zbyt potężni.

Nie ulegając jego dzikim protestom, schwycili go i siłą umieścili jego głowę przed ekranem telewizora. Opakowanie kasety wideo upadło na podłogę. Sugerowało, że film dotyczy oblężenia Leningradu – fałszywy opis towaru, jeśli pominąć początek. Obrus został usunięty, a mocny chwyt za jego rude włosy gwarantował, że będzie gapił się prosto na nagie dziecko.

- Co to ma być? Odpowiadaj, ty obrzydliwa świno!

Nieszczęśnik próbował, jak tylko potrafił, ale niestety nieprzekonująco. Między innymi dlatego, że przeszkadzał mu w tym niezbyt subtelny chwyt za kark.

- To nie mój film. Pożyczyłem go od jednego z moich przyjaciół, który jest gliną. I nigdy dotąd czegoś podobnego nie widziałem, do diabła, przecież mnie znacie.

Ostatnia uwaga nie była najszcześliwsza. Żaden z braci nie życzył sobie przypominania o tej znajomości.

- Funkcjonariusz? A odkąd to policja zajmuje się wypożyczaniem pornografii dziecięcej?

Brak zaufania był głęboki i niemożliwy do przezwyciężenia.

- Lubisz małe dzieci? Jeśli tak, to coś nas łączy. Ja mianowicie też je lubię, ale trochę inaczej niż ty.

Silny i złośliwie wymierzony cios pięścią trafił mężczyznę w okolicę nerek i ten zawył z bólu. Kopniak przeznaczony na jego krocze nie trafił w cel i zsunął się po udzie. Następny był bardziej precyzyjny. Sąsiad z dołu zadzwonił po policję.

## Rozdział 36

Spotkanie w sali Viggo w redakcji „Dziennika” przesuwano trzy razy. Dyrektor wydawniczy był człowiekiem zajęтым, a Anni Staal nie miała żadnego innego wyjścia, niż tylko przyjąć te przesunięcia do wiadomości i mieć nadzieję, że kolejny termin zostanie dotrzymany. Nim to nastąpiło, zrobiło się późno.

W sali konferencyjnej siedzieli, oprócz samej Staal, redaktor naczelny oraz nowa szefowa doradców prawnych. Ekran projekcyjny na końcu stołu wyświetlał obraz z ekranu komputera, a zegar w prawym dolnym rogu pokazywał 22.41. Na stalowej paterze między trojgiem obecnych kilka kanapek na próżno walczyło o zachowanie świeżości, nikt nie miał na nie ochoty. Redaktor naczelny nacisnął kapsel od pilznera, rozległo się delikatne plum. Użył zapalniczki. Staal skinęła porozumiewawczo, a on otworzył jeszcze jednego i podał jej przez stół. Wtedy uchyliły się drzwi i do środka spiesznie wszedł mężczyzna tuż po sześćdziesiątce. Wydawca rzucił marynarkę na krzesło i usiadł. Pozdrowił wszystkich, łowiąc dla siebie butelkę piwa. Do tego – w przeciwieństwie do współpracowników – wziął plastikowy kubek, który bacznie zbadał pod światło, zanim w irytująco pedantyczny sposób przelał do niego napój. Dopiero gdy kubek był pełen, powiedział:

– Przepraszam za spóźnienie, ale niełatwo mi się było wyrwać, i powiem to od razu, Anni, lepiej żeby sprawa była cholernie ważna. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio uczestniczyłem w spotkaniu, nie znając jego programu, a już na pewno nie o tej porze.

Staal nie marnowała czasu.

– Sam oceń. Dziś po południu dostałam anonimowy mejl od osoby o pseudonimie Chelsea. Czy odnosi się to do żeńskiego imienia, dzielnicy miasta czy klubu piłkarskiego, nie wiem. Do mejla dołączono fragment filmu wideo. Cały film trwa około dziesięciu minut i składa się z wybranych, zmontowanych sekwencji, nie trzeba być ekspertem, żeby to stwierdzić. W zeszły poniedziałek też dostałam mejl od wspomnianej Chelsea, również z fragmentem filmu, do którego niestety wówczas nie przypisałam znaczenia. Najpierw zobaczymy filmik z poniedziałku, jest krótki.

Nikt z obecnych się nie odezwał, a Staal włączyła odtwarzanie.

Twarz z oceniającym spojrzeniem i zbyt czerwone usta wypełniły ekran.

– To z jakiegoś pojazdu, pewnie z autobusu, ale nie sądzę, żeby wiedział, że jest filmowany – powiedziała Staal.

Pozbawiony modulacji głos zadał przez głośniki pytanie: „No, to co ma być? Nie skusi się pan na żaden z tych towarów?”.

Twarz mężczyzny przez kilka sekund nawet nie drgnęła, po czym pojawił się na niej wyraz zrozumienia; oblizał wargi i zachęcony, odpowiedział: „To łyknę tego małego trolla z numerem trzy”.

Film zatrzymał się, podczas gdy słowa zawisły w powietrzu, powoli opadając.

Kubek dyrektora pękł, niechcący ściśnięty poza granicę wytrzymałości. Piwo rozlało się na rękawach i jednej nogawce. Jego złość rozładowała ogólne napięcie:

- Do cholery, co za pierdolone szambo.

Prawniczka podskoczyła z garścią serwetek, ale została odesłana skinieniem dłoni. Wybuch nie dotyczył piwa, a dyrektor nawet nie zamierzał osuszyć ubrań. Zadowolili się zmianą krzesła. Nikt wcześniej nie słyszał, żeby on przeklinał.

- Wiesz, co on ogląda? - zapytał redaktor naczelny Staal.

- Nie, ale nietrudno zgadnąć.

Dyrektor wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Jadłospis z dziećmi.

Wskazał ręką na ekran, na którym nadal widniała twarz mężczyzny.

- Wyłącz to, Anni. Po prostu nie mogę na niego patrzeć.

- A więc najwyższy czas zobaczyć, co się z nim stało.

Na ekranie znów pokazała się twarz mężczyzny. Tym razem kamera była trzymana w ręce, a jakość filmu słaba, obraz momentami był bardzo nieostry. Od czasu do czasu kadr przesłaniała niewyraźna biała powierzchnia. Gdy kamera skierowana była w dół, co zdarzyło się raz, widać było, że mężczyzna jest nagi i prawdopodobnie ma związane z tyłu ręce. Na jego policzku i poniżej barku widniała plama krwi, a wokół szyi miał związany mocny niebieski sznur. Mówił niezbornie, ale wyraźnie. W afekcie. „Żadne dziecko nie będzie podlegało arbitralnej lub bezprawnej ingerencji w sferę jego życia prywatnego, rodzinnego lub domowego czy w korespondencję ani...”

Staal zatrzymała kadr i rozdzieliła trzy cienkie kupki papieru. Na pierwszej stronie widniał ten sam portret co na ekranie.

- Nazywał się Thor Gran i mieszkał w Århus. Zdjęcie, które wam dałam, mam od policji. Dostałam je dziś po południu, a później mój informator podał mi nazwisko mężczyzny. Fotografii wykonano po jego śmierci, po tym jak lekarze specjaliści zrekonstruowali jego twarz. Thor Gran jest jednym z pięciu zabitych w szkole Langebæk w Bagsværdzie, a film, który oglądacie, pochodzi z jego egzekucji. Pokazuje też trzy inne egzekucje. Mam jeszcze dwa nazwiska dopasowane do osób, co będziecie mogli zweryfikować za chwilę.

Wybuch redaktora naczelnego był nieartykułowany, niemal eksplozywny. Trudno było stwierdzić, czy był wściekły czy zaszokowany.

- Odbiło ci? Do diabła, to przecież... to przecież...

Dyrektor ostro mu przerwał.

- Zamknij się i posłuchaj, co ona mówi.

- Mamy prawdopodobnie do czynienia z informacją na wyłączność, bo żaden z kolegów z innych mediów, których odważyłam się wypytać, nie otrzymał niczego podobnego - kontynuowała Staal. - Policja również nie.

Ponownie włączyła film, mężczyzna na ekranie mówił dalej: „...bezprawnym zamachom na jego honor i reputację”.

Kąt patrzenia na głowę Thora Grana nagle się zmienił, co oznaczało, że film niewątpliwie został zmontowany.

„Dziecko ma prawo do ochrony prawnej przeciwko tego rodzaju ingerencji lub zamachom”.

- O czym on mówi? - zapytał dyrektor.

Staal zatrzymała film i wyjaśniła:

- Cytuje fragmenty konwencji o prawach dziecka ONZ. Przypuszczam, że kamerzysta jednocześnie trzyma przed nim kartkę papieru, z której on czyta. Czasami widać ją w kadrze, ale nie tu. A tak w ogóle to te informacje kosztowały mnie dwanaście tysięcy koron.

Dyrektor nie wahał się ani chwili.

- Dostaniesz je, dalej.

Posłuchała i budzący litość głos znowu wypełnił pomieszczenie.

„Państwa Strony będą podejmowały wszelkie właściwe kroki w dziedzinie ustawodawczej, administracyjnej, społecznej oraz wychowawczej dla ochrony dziecka przed wszelkimi formami przemocy fizycznej bądź psychicznej, krzywdy lub zaniedbania bądź złego traktowania”.

Podbródek mężczyzny trząsł się, jakby on sam marzył, z oczu ciekły mu łzy. Znowu nastąpiło cięcie.

„...zaniedbania bądź złego traktowania lub wyzysku, w tym wykorzystywania w celach seksualnych, dzieci pozostających pod opieką rodziców, opiekuna prawnego lub innej osoby sprawującej opiekę nad dzieckiem”.

Rozległo się wyraźne kliknięcie, twarz zniknęła z kadru i zastąpił ją niebieski sznur. Kamerę skierowano w dół. Thor Gran wyglądał na zaskoczonego, dyndając w przód i w tył, przez co obraz był ostry tylko co drugą sekundę. Anni Staal zatrzymała film i wyzerowała wyświetlacz.

- Są jeszcze trzy, które powinniście zobaczyć.

## Rozdział 37

Knajpa zapelniona była w trzech czwartych; atmosfera była gęsta, a powietrze ciężkie. Ludzie pili piwo, ale nikt nie podnosił głosu, nie mówiąc o byciu pijanym. Pod niskim sufitem kłębił się dym papierosowy, a gdy oświetlał go reflektor skierowany na kobietę na scenie, jego smugi wiły się jak skore do zabawy niebieskie węże. Kobieta grała na gitarze i śpiewała. Jej głos był głęboki i szorstki, brzmiał seksownie, pięknie rozchodził się po pomieszczeniu i porywał publiczność. Większość gości się przysłuchiwała, nawet barman stojący za stalowym blatem okazywał zainteresowanie. Śpiewała *The Crying Game* z filmu pod tym samym tytułem – smutny kawałek, pasujący do jej głosu; interpretowała go z dużym wyczuciem i odpowiednią dawką bólu.

Pauline Berg przetarła oczy, dym ją drażnił. Upiła mały łyk piwa i przyjrzała się Hrabiance siedzącej obok i przysłuchującej się wokalistce. Po raz pierwszy pracowały razem przy większym zadaniu, a Hrabianka pokazała dzisiaj takie strony siebie, jakich Pauline Berg dotąd nie widziała. Jej koleżanka z pracy potrafiła być dominująca, jeśli wymagała tego sytuacja. Tak jak dziś po południu, gdy dotarły do miejsca zamieszkania zabitych braci na obrzeżach Middelfartu.

Ich willa przypominała ogromną dwupoziomową skrzynkę z pełnowymiarową piwnicą i poddaszem, przybudówką oraz ogrodowym domkiem na narzędzia. Allan Ditlevsen mieszkał na piętrze, jego starszy brat Frank – na parterze. Siedmiu funkcjonariuszy przeszukiwało dom. Zgodnie z sugestią Hrabianki kobiety zaczęły od krótkiego obchodu, żeby się rozejrzeć; najpierw na górze, potem na dole. Zakończyły w kuchni Franka Ditlevsena, gdzie czekał na nie oficer dowodzący operacją. Był małomównym mężczyzną po pięćdziesiątce. Hrabianka zaczęła, zwracając się głównie do Pauline:

– Dwa dobrze utrzymane mieszkania, świadomość jakości i portfel pozwalający na spełnianie wszystkich mieszczących się w granicach rozsądku życzeń. Może bardziej dekoracyjnie niż przytulnie, ale w moim guście.

– Zgadzam się, jest ładnie i drogo, ale nic nie jest stare. To znaczy, mam na myśli odziedziczone przedmioty, wiesz, mahoniowe kredensy, witryny, półki typu Amager i tym podobne.

Hrabianka przytaknęła ze zrozumieniem. Berg polechtała ta niewypowiedziana pochwała i teraz próbowała podążyć ścieżką sukcesu, zadając pierwsze pytanie oficerowi dowodzącemu.

– Frank Ditlevsen był konsultantem i miał godziwe dochody, ale co z Allanem Ditlevsenem? Można dobrze zarobić jako sprzedawca kiełbasek w Middelfarcie?

– W Allerslev, nie w Middelfarcie, sześć kilometrów od Odense, poza kiełbaskami sprzedawał też prasę. Allan Ditlevsen według jego zeznania podatkowego zarobił w zeszłym roku dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a Frank Ditlevsen półtora miliona. Jako ekspert w zakresie knowlegde management zajmował się wyszuki-

waniem kursów i za to przedsiębiorstwa mu płaciły. We Fredericii przygotowują właśnie raport, który będziecie mogli przeczytać, jak skończą.

Kobiety wymieniły wymowne spojrzenia, oficer najwyraźniej nie był mistrzem słowa, a sama treść jego odpowiedzi też nie była wiele warta. Ale i tak wyglądał na zadowolonego.

Hrabianka przejęła pałeczkę:

- Masz siedmiu ludzi do dyspozycji, jest ich za mało, przyjdą inni?

- Ośmiu, bo jeden musiał odebrać dzieci. Wróci, gdy jego żona dotrze do domu. Ale moi ludzie najchętniej pojechaliby do domów na weekend i tak dalej. Niektórzy myślą też, że ta sprawa jest... tak, po prostu chcą stąd wyjść, rozumiesz, o co chodzi.

Liczba uczestniczących w operacji była zdecydowanie nie do zaakceptowania, czy nadchodził weekend czy nie, ale Hrabianka już tego nie skomentowała. Wyciągnęła z torebki telefon komórkowy. Oficer zerknął z niechęcią i zaskoczył je, gdy sam z siebie zaczął mówić.

- Frank Ditlevsen jest właścicielem domu, a młodszy brat wynajmuje od niego piętro. Brak wspólnego budżetu, oglądaliśmy rachunki. Jego poczta leży na kupce na stole kuchennym, na pewno ułożona przez tego drugiego. Kopenhaga powiedziała, że szukamy ulotek z biur podróży, pokwitowań albo przekazów bankowych, ale niczego takiego tu nie ma. Paszportu Ditlevsena też brak. Przynajmniej na razie.

Wypuścił powietrze, wziął rozbieg i mówił dalej. Nadal chaotycznie.

- Allan Ditlevsen był dwukrotnie skazany, raz za poważne czyny pedofilskie. Musimy ustalić, czy jego starszy brat też był zboczony, to ważne. Zakazane zdjęcia i tym podobne, ale obaj bracia mają wiele, wiele filmów wideo, kaset i dyskietek, więc rozdzieliłem je między kolegów. Tych, którzy mieli czas, ale na mojej liście widać, kto je dostał, więc mogę odhaczyć i kontrolować całość. Chodzi o filmy wojenne i filmy akcji, według opakowań, ale nikt przecież nie wie, co jest w środku. To właśnie chcemy zbadać.

Hrabianka schowała komórkę do wewnętrznej kieszonki, a jego sprawozdanie nabrało spójności.

- Sprawdzamy też komputery. Ditlevsen go nie miał. Byliśmy bardzo ostrożni, tak jak trzeba, a wkrótce przybędzie ekspert. Ale w komputerze nie ma nic niedozwolonego, z tego, co teraz wiemy. Tylko listy i tym podobne, żadnych zdjęć. I sam przesłuchiwałem byłą żonę Franka Ditlevsena, też pod kątem pedofilii, ale nie ma się czego ucześcić, bo ona odmawia współpracy, a córki nie ma w domu.

Skończył, a Hrabianka podziękowała chłodno, po czym odeszła, zostawiając Berg z kolegą po fachu w niezręcznej ciszy.

Dwadzieścia minut później wszystkich ośmiu funkcjonariuszy siedziało lub stało w salonie Ditlevsena i gapiło się na tyłek Hrabianki. Atmosfera była napięta, a kobiety ze stolicy nie wygrałyby konkursu na popularność. Zresztą nie o to też chodziło. Zupełnie inaczej zareagowały na negatywne nastawienie kolegów po fachu. Berg uśmiechała się przepraszając - za każdym razem, gdy miała ku temu okazję, i pragnęła być daleko stąd. Hrabianka pracowała.

Kłęcząca na podłodze ze śrubokrętem w ręce, a obok niej stał rozmontowany komputer osobisty Ditlevsena. Gąszcz kabli zwiślał z półki na książki. Komputer był podłączony do odtwarzacza wideo, zewnętrznej nagrywarki i czterdziestodwu-



calowego telewizora LCD z obrazem panoramicznym, zajmującego środek pomieszczenia. Kilkoma silnymi uderzeniami w bok poluzowała obudowę, następnie ją usuwając, i metodycznie studiowała wnętrze komputera. Zadzwoiła jej komórka, bez słów podała ją oficerowi dowodzącemu, który ją wziął i opuścił pokój.

Gdy wrócił, podniosła się i głośno i wyraźnie wydała rozkazy.

- Komisarz kryminalny z Århus pojawi się w ciągu godziny i przejmie dowodzenie. Nikt nie podejmuje żadnej akcji, dopóki on tu nie dotrze. Poza tym dwudziestu pięciu kolegów jest w drodze z Glostrup i z Århus. Dołączą stopniowo.

Młodszy funkcjonariusz zaprotestował. Wygodnie rozłożony na sofie, z kubkiem kawy i nieodpowiednim stosunkiem do pracy.

- Mamy tu siedzieć i się gapić przez godzinę, szanowna pani?

Hrabianka podeszła do niego groźnie; oficer, który nadal dowodził, był jednak szybszy. Może i nigdy nie zostanie wykładowcą, a jego uzdolnienia śledcze nie były na poziomie światowym, ale chronił swoich ludzi. Coś szepnął, po czym funkcjonariusz podniósł się i przeprosił. Wyglądało to, jakby naprawdę było mu przykro, a Hrabianka łaskawie odpuściła. Zamiast się złościć, podniosła kilka urządzeń elektronicznych.

- Ten duży przedmiot to twardego dysku, ten mały nazywa się reborn card. Czy ktoś z was natknął się na coś podobnego podczas przeszukania?

Mężczyźni patrzyli, kręcąc głowami.

- To teraz wicie, czego szukać. Gdzieś musi być twardego dysku, znajdźcie go.

- Przepraszam, ale skąd ta pewność?

Znów odezwał się ten sam młody mężczyzna, tym razem jednak grzecznie.

- Kurz, albo raczej jego brak. Ditlevsen regularnie wymieniał twardego dysku. To najlepszy i najprostszy sposób, żeby ukryć dane ze swojego komputera.

Rozejrzała się, czekając na dalsze pytania, jednak nie padły.

- Teraz jadę, ale wrócę tu wieczorem i wtedy wszyscy się zobaczymy. Powtarzam: wszyscy.

Arogancko wyszła z pokoju. Mężczyźni zaczęli mamrotać pod nosem, wściekli z powodu jej stylu kierowania zespołem - rodem z minionej epoki. Berg uśmiechała się niepewnie, spieszenie za nią podążając.

Kolejne godziny kobiety poświęciły na odszukanie córki Ditlevsena, co ostatecznie doprowadziło je do pubu, w którym teraz siedziały. Tutaj Hrabianka i Berg zdały sobie sprawę z tego, że niechętni policjanci byli ich najmniejszym zmartwieniem. Czymś innym byli koledzy pracujący z obowiązku, czymś zupełnie innym niechętna społeczność.

Wiele osób klaskało po skończonej piosence. Podczas aplauzu na scenę wszedł mężczyzna i przekazał artystce kartkę. Przeczytała i przeprosiła przez mikrofon, po czym gibko zeskoczyła z podwyższenia; z ukrytych głośników zaczęła sączyć się łagodna, neutralna muzyka.

Hrabianka i Berg kurtuazyjnie pochwaliły piosenkarkę, gdy usiadła przy ich stole. Jej podziękowanie świadczyło o dystansie. Barman postawił przed nią szklankę soku, zaczęła pić, a Hrabianka wyłożyła karty na stół:

- Jesteś córką Franka Ditlevsena?

- Wszystko na to wskazuje.

Głos, który podczas śpiewu brzmiał zmysłowo, teraz był szorstki. Skrzeczący i zużyty.

- Mam na imię Nathalie, a to jest Pauline. Jesteśmy z policji kryminalnej, chcesz zobaczyć odznakę?

- Nie, wszystko mi jedno.

- Czy wiesz, co się stało?

- Mój ojciec i wuj nie żyją? Tak, to wiem. Cały kraj wie.

- Zostali zamordowani.

- Tak mówią.

Kobieta próbowała udawać obojętną, ale jej głos drżał.

- Twoja matka powiedziała, że jesteś na wakacjach, dlaczego? - zapytała teraz Berg.

- Nie wiem.

- Skłamała.

- Nie ponoszę odpowiedzialności za to, co mówi moja matka. O tym z nią musicie pogadać.

Berg pomyślała, że dziewczyna może mieć rację. Problem tkwił w tym, że od jej matki trudno było cokolwiek wyciągnąć, a to, co mówiła, było nieprawdą. Tak jak informacja, że córka jest w Londynie albo Birmingham, czy może chodziło o Liverpool. Nawet nie próbowała ukryć, że zmyśla.

Hrabianka zmieniła temat.

- Nie jest ci przykro z powodu śmierci ojca?

To dopiero było pytanie.

- Nie widywałam się z nim.

- Dlaczego nie?

- Po prostu tak było.

- Ile miałaś lat, kiedy rodzice się rozwiedli?

- Dziewięć.

- Dziewięć lat, to musiał być szok.

Małe perelki potu pojawiły się na górnej wardze i czole kobiety. Na scenie była ładna, z bliska krucha i delikatna, niemal brzydka, a jej samokontrola wyraźnie się załamywała, mimo że pytania nie były niestosowne ani nazbyt trudne.

- Nie wiem. Możecie mnie zostawić w spokoju? Nic nie wiem, nie spotykałam się ani z ojcem, ani z wujem, okej?

Berg nie brakowało empatii:

- Twój ojciec i wuj zostali zamordowani. Nie możemy cię zostawić w spokoju.

- Ja nikogo nie zabiłam.

Mówienie przychodziło jej z trudem.

Hrabianka pokręciła głową ze smutkiem i przez chwilę zastanawiała się, czy nie poczekać do jutra. To było najgorsze z możliwych miejsce do zadawania intymnych pytań, ale odrzuciła tę myśl. Tuż przed przyjściem do pubu były w Allerslevie, rozbita w drzazgi budka z kiełbaskami była argumentem przeciw odsuwaniu spraw w czasie przez wzgląd na bliskich. Kimkolwiek by był pozostający na wolności, mógł znów uderzyć, w każdym momencie.

- Przykro mi, ale muszę zapytać: czy ojciec cię wykorzystywał, gdy byłaś dzieckiem?

To była ostatnia kropla. Odpowiedzią był krzyk rozpaczny:

- Dlaczego mi to robicie?!

Ludzie zaczęli się odwracać, ich sympatia nie leżała po stronie policji. Kobieta cicho płakała.

Dobrze wyszkolony bramkarz wstał od sąsiedniego stolika. Troskliwie położył dłoń na ramieniu piosenkarki i spokojnie powiedział:

- Powinnyście sobie stąd pójść.

Hrabianka wyciągnęła odznakę policyjną i podetknęła mu ją pod nos.

- Czy to była groźba? - zapytała.

Mężczyzna zachował spokój.

- Nie, żadna groźba. Nie jestem taki głupi, żeby grozić policji, ale może i tak powinnyście sobie pójść. Ona nie ma ochoty z wami rozmawiać, wy nie dajecie za wygraną, a ona już nie może z wami rozmawiać. Poza tym już dostałyście odpowiedź, spójrzcie na nią. Coś nie tak z wami?

Kobiety spojrzały po sobie. Podniosły się. Hrabianka znalazła wizytówkę i położyła ją na stole. Skinęła w stronę płaczącej piosenkarki.

- Jeśli zmieni zdanie albo gdyby ktoś inny mógł pomóc.

Bramkarz był nadal spokojny.

- Nie sądzę. W tym mieście nie lubimy krzywdzicieli dzieci.

Ludzie klaskali, gdy przedzierały się do wyjścia.

## Rozdział 38

W Kregme, przy jeziorze Arresø, Stig Åge Thorsen śledził wzrokiem radiowóz, który powoli wspinał się po drodze wśród pól; uśmiechnął się, widząc, że zatrzymał się przy ognisku. Czas oczekiwania wykorzystał, by powtórzyć sobie zasady.

„Unikaj długich zdań, mów tylko, jeśli zostaniesz zapytany. Milcz, jeśli masz wątpliwości. Milcz, jeśli będziesz zdezorientowany, i zignoruj wszelkie groźby. Milczenie jest twoim przyjacielem, twój przekaz to wyuczone formułki”.

Niemal słyszał głos Pera Clausena i szerzej się uśmiechnął. Nie był zdenerwowany, co dla niego samego było nieco zaskakujące; wyszedł na podwórze, żeby przyjąć gości. Blade popołudniowe słońce przebijało się przez ciężką pokrywę chmur, było chłodnawo, przeszył go dreszcz.

Radiowóz wtoczył się na podwórze. Skinął głową do kierowcy, przyglądając się, jak parkuje równoległe do parterowego domu, blisko ściany, chociaż było dużo miejsca, jakby wszystko poza kątami prostymi i równymi liniami świadczyło o nieuprzejmości. Z lekką złością stwierdził, że zna tego funkcjonariusza. To dawny kolega z klasy. A może z klasy równoległej? Nie pamiętał dokładnie, ale wolałby, by było inaczej, byłoby mu łatwiej. Policjant wysiadł z wozu i podszedł do niego. Był w mundurze.

- Cześć, Stig Åge.

- Hej.

- Chcę z tobą pogadać o ognisku na twoim polu. Dostaliśmy zgłoszenie.

To nie było pytanie, więc milczał. Policjant niepewnie zerknął, gdy dotarło do niego, że nie otrzymał odpowiedzi, i niemal niezauważalnie się cofnął, zanim znów spróbował.

- Co tam palisz?

- Zjawił się tu jakiś obcy mężczyzna i dał mi dwadzieścia tysięcy koron za wykopanie dziury na moim polu. Chciał spalić minibusa. Wykopałem dziurę i zadbałem o dopływ tlenu. Przed wyjazdem na urlop nawiozłem tam materiałów do spalenia: worków węgla, drzewa i nafty. Po powrocie do domu podtrzymywałem ogień dwa razy dziennie. Taka była umowa.

Wypowiedział swoją formułkę, wyklepał ją monotonnym tonem, nie ukrywając, że się przygotował.

Policjant odsunął się jeszcze o krok i sceptycznie mu się przyglądał. Słowo „minibus” uderzyło go, zaczął się zastanawiać, najwyraźniej zdezorientowany, intensywnie drapiąc się po głowie, jakby chciał dobrać się do jakiejś konkluzji. W końcu powiedział:

- W coś ty się wpakował, Stig Åge? Czy to ten sam autobus, którego poszukują w związku ze sprawą z Bagsværd?

- Zjawił się tu jakiś obcy mężczyzna...

Zdanie zostało wypowiedziane staccato, tak samo jak za pierwszym razem.

- Pojedziesz ze mną na komisariat.
- Jestem aresztowany?
- Nie, pomyślałem, że pojedziesz dobrowolnie.
- Nie ma mowy.

Policjant znów się podrapał; można było nabrać podejrzeń, że ma wszy.

- Możesz powtórzyć to, co powiedziałeś o ognisku?

Gotowe zdania zostały, jak wcześniej, mechanicznie wypowiedziane od początku do końca, policjant wsiadł do samochodu, podczas gdy Thorsen spokojnie czekał. Przez przednią szybę widział, że mężczyzna rozmawia. Minęło trochę czasu, zanim szyba w samochodzie została opuszczona.

- Stig Åge, jesteś zatrzymany. Jest sobota, dwudziestego ósmego października, godzina czternasta pięćdziesiąt trzy. Wsiądź, proszę.

Tył głowy znów został podrapany i mężczyzna dodał:

- Z przodu, obok mnie.

Stig Åge był posłuszny. Nic nie odpowiedział.

## Rozdział 39

Sen Hrabianki został przerwany o 5.15 w sobotę rano – zadzwonił nocny stróż i beznamytnie przekazał, że w recepcji czeka policjant z przesyłką dla niej. Pora była oczywiście małą zemstą tych wszystkich ludzi, których dzień wcześniej zmusiła do pracy w godzinach nadliczbowych; nie mogła nic na to poradzić. Nie skarżyła się więc, gdy zaspana i w szlafroku odbierała kopertę od policjanta na motorze. Dziwnym zbiegiem okoliczności było to, że materiał zaadresowany był właśnie do niej, podczas gdy Pauline Berg pozwolono spać.

Raport był obszerny i bardzo szczegółowy; prawie sześćdziesiąt stron o życiu braci Ditlevsenów; czekało ją zatem wiele pracy polegającej na oddzielaniu ziarna od plew. Długa kąpiel usunęła jej sennosc, a dwie paczuski orzeszków ziemnych z minibarku zaspokoily pierwszy głód. Oddała się lekturze.

Kilka godzin później w samochodzie jej przewaga była bardzo wyraźna. Berg siedziała z przodu, przeglądając materiał; Hrabianka prowadziła i się z nią drażniła.

- Nieźła robota, co? Zbliżasz się do końca?

- Do końca? Zwariowałaś? Nie da się tego przyswoić w kwadrans.

- O, to nie takie trudne. Musisz skupić się na najistotniejszych sprawach, a błahe pominąć.

Berg przytaknęła z głupim wyrazem twarzy i kartkowała z rezygnacją. Hrabianka przyszła jej z pomocą.

- Mam ci to streścić? Możesz jednocześnie śledzić raport.

- Pamiętasz go?

- Jasne, że nie, tylko najważniejsze punkty.

- Jak ty to robisz? Po prostu nie kapuję.

- Miałam przecież spokój i ciszę i mogłam się skoncentrować, zanim zesłaś na śniadanie. Nauczysz się tego z czasem.

- O ile do romansideł o lekarzach dodam od czasu do czasu wizytę w bibliotece?

Hrabianka wzruszyła ramionami, trochę zdezorientowana rozwojem rozmowy; samokrytyka koleżanki nie była częścią planu. Zachowała jednak w tajemnicy trzy godziny pracy o poranku i pospiesznie kontynuowała:

- Nie zaszkodziłoby, ale zacznijmy. Frank Ditlevsen urodził się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku w wiosce Ullerløse w gminie Odsherred, a jego brat trzy lata później. Nie mieli więcej rodzeństwa. Matka odchodzi z domu latem pięćdziesiątego szóstego, emigruje do Leeds w Anglii, gdzie u przyjaciółki z dzieciństwa rozpoczyna nowe życie. Może uciekła od ojca chłopców, trudno powiedzieć.

Berg potwierdziła. Śledziła raport i czuła się gorsza.

- W domu panują spartańskie warunki. Ojciec, Palle Ditlevsen, zarabia na życie jako robotnik, wolny strzelec, jeśli wolisz. Trochę pracy na czarno tu, małe kombi-

nacje tam; praca przy żniwach w sezonie, zastępstwa w pracach zleczanych przez gminę. Naprawianie rowerów, przez moment nawet handel kradzionymi w okolicy rowerami. Są dwa raporty policyjne, ale żadnych wyroków czy grzywien, sprawy zapewne załatwiono polubownie. Chłopcy są zaniedbywani, a okresami ojciec zagląda do kieliszka, więc się im nie przelewa. Gmina bada sytuację rodzinną, ocena nie jest dobra. Raporty urzędnika prowadzącego sprawę nie są miłą lekturą, jest pięć załączników. Pierwszy z sześćdziesiątego drugiego, ostatni z sześćdziesiątego siódmego roku. Chłopców powinno się odebrać, ale dobro dzieci ma niższy priorytet niż dobro podatników. Gmina zwleka, a czas płynie, bracia dorastają.

Hrabianka dała swojej pasażerce czas na potwierdzenie informacji. Berg kartkowała i czytała, szukając właściwych fragmentów. Gdy się z tym uporała, powiedziała:

- Wszystko się zgadza, mów dalej.

- Frank Ditlevsen dostaje się na praktykę zawodową i w siedemdziesiątym pierwszym zdobywa zawód drukarza litografii. Jego życie wydaje się ustabilizowane. Ten sam pracodawca aż do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, gdy zakład zostaje zamknięty ze względu na wejście nowej technologii. Dwa lata wcześniej Ditlevsen się żeni. Panną młodą jest sprzątaczką z Rørvigu, która w tym samym roku rodzi jedyne dziecko pary, naszą piosenkarkę. Allan Ditlevsen idzie w ślady ojca, jeśli tak można powiedzieć, pomijając to, że nie pije. W okresie od siedemdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego trzeciego urząd skarbowy zarejestrował, że był zatrudniony przez nie mniej niż czterdziestu sześciu różnych pracodawców. Niestety na liście jest też pomocnik pedagoga i zastępstwo za woźnego w przedszkolu.

- Świetnie, prawie żadnych pomyłek, jesteś niesamowita.

- W osiemdziesiątym piątym umiera ojciec braci. W tym samym roku Frank Ditlevsen w rekordowym czasie zostaje koordynatorem kursów oraz magistrem filologii duńskiej, to znaczy w czasie potrzebnym do sfalszowania dyplomu. Zakłada małą, dobrze prosperującą firmę ze stałą grupą klientów rekrutujących się wśród większych przedsiębiorstw z regionu kopenhaskiego. Nikt nie wątpi w jego kompetencje.

- Tak, widzę, że wyszło to na jaw dopiero teraz, w związku z naszym dochodzeniem.

- Jego klienci niczego nie podejrzewali albo też było im wszystko jedno, świetnie się spisywał. No, dalej, w dziewięćdziesiątym czwartym roku Ditlevsen kupuje willę w Middelfarcie, a dwa lata później się rozwodzi. Matka z córką się wyprowadzają. Po zakończeniu odsiadki w więzieniu Ditlevsen stabilizuje swoją sytuację zawodową, zostaje sprzedawcą kielbasek i dystrybutorem prasy w Allerslevie, a w kolejnych latach, według dokumentów, nie dzieje się zbyt wiele. Ludzie znający braci zgodnie mówią o ich spokojnym życiu, ale nie natrafiłszy na żadnych przyjaciół. Może ich nie mieli.

Hrabianka ostro zahamowała, jakiś lis umknął z życiem spod kół i zniknął w krzakach. Berg wreszcie połączyła fakty. Sceptycznie zapytała:

- Kiedy dostałaś ten raport?

- O piętej. Miałam go przez trzy godziny, więc nie musisz się czuć jak idiotka.

- To i tak imponujące, nieważne, że się przygotowałaś, mam na myśli to, że pamiętasz te wszystkie daty.

- Może i nie pamiętam. Przecież nie nadążasz ze sprawdzaniem.  
- Dlaczego mnie nie obudziłaś?  
- A po co? No, ale posłuchaj ostatniego. Zaraz będziemy na miejscu.  
- Okej, mów.  
- Jeśli pominąć dwa wyroki Allana i nieszczęsny pociąg Franka do strojenia się w cudze piórka, życie braci wydaje się najprawdziwszą historią społecznego sukcesu. Ich start życiowy nie był obiecujący, ale krok po kroku zdobywają porządne podstawy materialne i stabilizację w życiu zawodowym. Jedyną rysą na tym obrazie jest to, że nie zgadzają się budżety zmarłych. Trzech doświadczonych ekonomistów porównało wyposażenie willi i wyciągi bankowe braci z ich wspólnym budżetem domowym. Odliczając duńskie obciążenie podatkowe, wszystko zgadzałyby się o wiele lepiej, gdyby bracia mieli dodatkowe dochody, o których skarbowka nic nie wiedziała. Ale to spekulacje, dowodów nie mamy.

Przypuszczenie dotyczące nielegalnych źródeł dochodu zyskało silne podstawy w ciągu przedpołudnia, gdy podczas przeszukania domu odkryto sto sześćdziesiąt tysięcy koron w gotówce. Pieniądze znalazł policjant z sekcji kryminalnej, który dumnie przedłożył rezultat swojej pracy Berg.

- Banknoty leżały w czterech opakowaniach po mrożonym farszu rybnym, ukrytych głęboko w zamrażalniku. Farsz nie pasował do pozostałej zawartości zamrażarki, były tam głównie gotowe dania do odgrzewania w mikrofalówce. Pieniądze leżały na dnie opakowań w stosikach po czterdzieści tysięcy. Na wierzchu był farsz, a kartony dokładnie sklejkono na nowo. Pewnie wybrali te pudełka dlatego, że ich szerszy bok doskonale pasuje do długości banknotów.

Berg nie była pewna, czy policjant oczekuje pochwały. Był od niej ponad dwa razy starszy i taka sytuacja wydawała jej się dziwna. Bezskutecznie rozglądała się za Hrabianką.

- Dobra robota, naprawdę dobra robota.

Głupio się czuła, ale mężczyzna promieniał z zadowolenia.

- Skoro większość filmów wideo zawiera dziecięcą pornografię, sprawa jest wyjaśniona.

- Jasna jak słońce.

- Tak, a jeśli pytasz mnie o zdanie, to dostali to, na co zasłużyli.

Berg nie pytała. Liczyła pieniądze, aż odszedł. Były zimne.

Kolejny przełom w śledztwie nastąpił po południu, a los chciał, że stało się to dzięki obu kobietom z Kopenhagi. Było to głęboko niesprawiedliwe wobec stada ciężko pracujących policjantów, ale „wielki detektyw” na górze najwyraźniej tym razem nie miał zamiaru docenić klasycznej policyjnej pracy dochodzeniowej.

Większość zasług należało przypisać Hrabiance, jako że jej odkrycie było wynikiem znakomitej dedukcji. Nie było wątpliwości co do tego, że bracia sprzedawali dziecięcą pornografię; gotówka w zamrażalniku, ich własne filmy, wyposażenie techniczne należące do Franka Ditlevsena oraz wyroki Allana Ditlevsena na to wskazywały, a najbardziej oczywistym kanałem dystrybucji był internet. Szybkie, acz dokładne przepytanie dostawcy internetu Ditlevsena wykluczyło jednak przekazywanie zakazanego materiału drogą elektroniczną. Pozostało przypuszczać, że bracia być może korzystali z bardziej tradycyjnych kanałów, które były co prawda powolniejsze, ale jednocześnie bardziej pewne, a budka z kiełbaskami stanowiła w takim przypadku trzygwiazdkową przykrywkę.



Hrabianka zabrała czterech ludzi do ciężkiej roboty i pojechała do Allerslevu, gdzie resztki budki spoczywały w kontenerach na śmieci. Pamiętając o farszu, nakazała policjantom szukać towarów, które wcześniej przechowywano w zamrażarce budki; znaleziono i otworzono dwie duże plastikowe torby. Hrabianka była zadowolona. Zachęciła ich krótką motywującą gadką i odsunęła się od smrodu. Rezultat był zachęcający - prawie trzydzieści nieprzyjemnie pachnących CD-ROM-ów.

Swój wkład w dochodzenie Pauline zawdzięczała świadowi i przypadkowi. Gdy Hrabianka pojechała do Allerslevu, Pauline poczuła się zbędna. Było dla niej jasne, że oczekiwano od niej odkrycia tego i owego, tyle że nie bardzo wiedziała czego ani jak. Z braku bardziej sprecyzowanych pomysłów postanowiła przejść się po ogrodzie, czego jedynym rezultatem stało się uporczywe swędzenie łydki pod cholewą jednego z kozaków. Kilkukrotnie spróbowała pozbyć się tego problemu, kopiąc się piętą, co doprowadziło jedynie do tego, że podrażnienie stało się punktowe i wkrótce było nie do wytrzymania. Przystanąła na schodach prowadzących do drzwi wejściowych, rozsunęła zamek błyskawiczny kozaka, drugą ręką wspierając się na skrzynce pocztowej, która wisiała na kołku, na ścianie zewnętrznej na lewo od wejścia. Było to niezdarne, ale rozsądniejsze niż siadanie na mokrych płytkach. Podrapawszy się porządnie, zauważyła, że dolna część skrzynki wygląda cokolwiek dziwnie. Jej ścianki boczne były zrobione tak, że wystawały na kilka centymetrów poza krawędź spodu; pochyliła się i spojrzała od dołu. Na każdym końcu przyklejona była kieszeń komputerowa; dało się tu ukryć dwa twarde dyski.

## Rozdział 40

Sobota była dla Simonsena i jego dochodzenia dniem frustrującym. Pesymistyczna przepowiednia Pedersena o możliwym zalewie fałszywych zgłoszeń jako reakcji na opublikowanie fotografii rekonstrukcji twarzy ofiar mordu zbiorowego w Bagsværdzie wykonanych przez Arthura Elvanga spełniła się co do joty.

Już w piątek zgłoszenia telefoniczne zalały komisariaty w całym kraju, a Komendę Główną w szczególności, w większości były to wiadomości od ludzi usiłujących wcisnąć policji nieprawdziwe informacje o zabitych. Wiele z nich łatwo było odsiać, ale nie wszystkie, więc praca przy identyfikacji zmarłych się przeciągała. Wyjątek stanowił Pan Północny Zachód, którego rozpoznano jako Thora Grana, pięćdziesięcioczeroletniego architekta z Århus. Dwóch studentów architektury zgłosiło się osobiście na komisariat w Lyngby, przynosząc czasopismo branżowe „Architekt” z kwietnia 1999 roku, w którym Thor Gran opublikował artykuł o wartych zachowania budynkach. Nawet przeciętny człowiek mógł stwierdzić podobieństwo między osobą na zdjęciu w magazynie a portretem odtworzonym przez Elvanga. Po zidentyfikowaniu Thora Grana w śledztwie brakowało jedynie nazwisk Pana Północnego Wschodu i Pana Południowego Wschodu. Simonsen pojechał do domu w przeświadczeniu, że i oni zostaną odnalezieni do czasu, gdy następnego dnia pojawi się w pracy – był to optymizm zbudowany na niewiedzy o tym, że tych dwóch studentów architektury trzykrotnie odsyłano jako niewiarygodnych świadków i tylko ich własny upór zapewnił policji sukces.

Simonsen wrócił do biura dopiero około jedenastej w sobotnie przedpołudnie, poranek poświęcając na uporządkowanie wielu prywatnych spraw, które z powodu nawału pracy odsuwał od siebie w ciągu tygodnia. Wszedł do gabinetu uzbrojony w kubek z kawą i torebkę z croissantami, zasiadł za biurkiem i rozpoczął dzień od telefonu do córki. Był umówiony z Anną Mią do kina na wieczór i chciał się dowiedzieć, gdzie i kiedy mają się spotkać, zanim rzuci się w wir pracy. Jego telefon był głuchy. Ze zdziwieniem kilkukrotnie, bez skutku, nacisnął przycisk na telefonie stacjonarnym, po czym z wewnętrznej kieszonki wyciągnął komórkę. Była wyłączona, po tym jak w nocy odebrał liczne telefony od przypadkowych ludzi, którzy nie chcieli niczego poza obudzeniem go, i zapomniał ją rano włączyć, co było błędem. Aktywował ją, zaczął na sygnał i natychmiast odebrał połączenie. Jakaś kobieta albo starsza dziewczynka rozbawionym głosem powiedziała, że wśród portretów poszukiwanych rozpoznała swojego starszego brata. W tle słychać było nawoływania i śmiech. Nie odpowiadając, przerwał rozmowę, sekundę później odebrał następną. Tym razem dzwonił mężczyzna, który uważał, że widział jednego z poszukiwanych w zeszłym roku podczas meczu piłki nożnej na stadionie Brøndby. Znów wyłączył komórkę i poszedł do biura Pedersena, gdzie kartka na drzwiach odsyłała do Poula Troulsena.

Gabinet Troulsena był wyjątkowy. Najbardziej przytulny w wydziale zabójstw. Przez lata i dzięki wprawnemu oku właściciela udało się tu zgromadzić umeblowanie sprawiające, że biuro przypominało bardziej salon niż miejsce pracy. Obrazu dopełniał gigantyczny telewizor z płaskim ekranem, który pierwotnie został zakupiony jako tablica informacyjna do kantyny, ale przez godną pożałowania biurokratyczną pomyłkę został zamontowany na ścianie w tym gabinecie. Rozwiązanie, z którego wszyscy byli zadowoleni, ponieważ nikt nie życzył sobie zakłócania posiłków przez obojętne im informacje od kierownictwa policji. Teraz zyskali miejsce spotkań na czas rozgrywek sportowych, które po prostu obowiązkowo należało śledzić. W dodatku było to przyjemne pomieszczenie.

Gdy Simonsen wszedł do gabinetu, Troulsen leżał na sofie i oglądał film rysunkowy, podczas gdy Pedersen spoczywał w fotelu, czytając pismo o zakładach sportowych. Żaden z nich nie był skłonny do szybkiego przerwania swojego zajęcia, gdy zjawił się ich szef.

- Co się tu, do cholery, dzieje? - zapytał.

Troulsen wyłączył telewizor i odpowiedział:

- Nic, oprócz tego, że jestem zdziwiony, jak bardzo zmniejszyła się ilość krwi w kreskówkach, odkąd byłem dzieckiem, w sumie szkoda.

Pedersen odłożył pisemko i wyjaśnił:

- Połowa społeczeństwa wpadła na ten kiepski pomysł, żeby poinformować o czymś policję. Nasze linie telefoniczne tego nie wytrzymały, nie da się nigdzie zadzwonić ani odebrać żadnego połączenia.

- Jak to? - zapytał zdezorientowany Simonsen.

- Cóż, współczesne społeczeństwo łatwo zdestabilizować, na wiele sposobów. Połowa społeczeństwa to oczywiście przesada, nie trzeba wiele więcej niż kilku tysięcy osób i możliwości sieci telefonicznej się wyczerpują, a mówię o całym kraju, nie tylko o HS. Właśnie usłyszeliśmy, jak mówił o tym w wiadomościach jakiś ekspert od telekomunikacji, co zresztą pewnie spowoduje, że telefonów będzie jeszcze więcej.

- Na innych komisariatach też nie działają telefony?

- Raczej tak, sytuacja jest zróżnicowana, ale nikt nie ogarnia całości.

- A co z szefostwem? Zostało poinformowane?

Troulsen usiadł na sofie.

- Tak, właśnie wrzuciliśmy list do skrzynki - dodał, zaprawiając wypowiedź wiśliczym humorem.

Simonsen posłał mu wściekle spojrzenie.

- Komendant Główny jest na konferencji w Londynie - wyjaśnił Pedersen. - Szef policji kopenhaskiej jest na złotych godach na wyspie Falster.

- Czyli nikt nie próbuje opanować tego szaleństwa?

- Nie mam pojęcia. Dopiero ostatnie pół godziny było naprawdę fatalne. Przed trzema kwadransami telefony działały, ale czas oczekiwania na połączenie był absurdalnie długi. Byliśmy w centrali...

- Call center - przerwał mu Troulsen. - Pamiętaj, że to się nazywa call center. Centrala telefoniczna była w starych czasach, dawno temu w epoce żżarnej przez mole, gdy urzędzenia techniczne działały.

Simonsen z irytacją przywołał go do porządku.

- Przestań, Poul. Jeśli nie chcesz wnieść nic rozsądnego, idź do domu. Dalej, Arne.

- Hm, niestety, nie ma wiele więcej do dodania. Może poza tym, że niektórzy z naszych kolegów dolali oliwy do ognia, podając nasze numery prywatne i numery bezpośrednie w pracy na stronach internetowych, ale to już chyba odkryłeś? Obaj jesteśmy na liście, ale Poulowi, Hrabiance i Pauline się upiekło. Chcesz zobaczyć jedną z tych stron internetowych, na których podano nasze numery?

Simonsen zaprzeczył ruchem głowy. Troulsen się włączył; tym razem konstruktywnie.

- Kupiłem dwanaście pakietów startowych. Leżą w pokoju Arnego. Wymień kartę SIM, Simon, i zapisz swój nowy numer na tablicy.

- Dobrze pomyślane, ale to musi chwilę poczekać. Czy w centrali coś jeszcze powiedzieli? Czy pójście tam na coś się zda?

- Na dziurę w moście. Biegają w kółko jak bezgłowe kurczaki, przemawiają technicznym narzeczem, ale prawda jest taka, że są tak samo bezradni jak cała reszta. Poprawi się dopiero wtedy, gdy ludzie przestaną dzwonić.

- A kiedy to nastąpi?

Troulsen z rezygnacją wzruszył ramionami. Simonsen poszukał wzrokiem Peder-sena. On też nie potrafił odpowiedzieć, machnął rękoma i pokręcił głową.

- Czyli zostawiamy wszystko tak, jak jest?

Pytanie było retoryczne. Żaden z nich nie odpowiedział, ale obaj unikali wzroku szefa. Simonsen przez chwilę stał między nimi, milcząc; nagle wyszedł bez słowa.

Dopiero po godzinie wrócił do biura, w którym atmosfera nie zmieniła się znacząco od jego wyjścia. Troulsen obojętnie przekartkował stos raportów; Peder-sen znów schwytał piśmko o zakładach sportowych. Simonsen wyrwał ich z le-targu, mówiąc:

- Zaczyna się poprawiać. Możemy liczyć na to, że w ciągu godziny, najwyżej dwóch odzyskamy połączenia. Wykorzystajmy ten czas na ustalenie, co wiemy o Panu Północnym Wschodzie i Panu Południowym Wschodzie, zanim znowu zacząną spływać poważne informacje. Musimy się liczyć z tym, że uporządkowanie tego całego bałaganu może nam zająć cały dzień. Chcę też wiedzieć, co ustaliliście w sprawie Thora Grana. A poza tym możecie znowu włożyć swoje stare karty SIM do telefonów.

- Co się stało? Dlaczego się skończyło? - zapytał zaskoczony Pedersen.

- Jeszcze się nie skończyło, ale zaczyna słabnąć. Zabieramy się do pracy?

Troulsen zignorował zachętę i włączył telewizor. Znalazł kanał informacyjny, na którym portret Simonsena w młodszym wydaniu akurat zajmował pół ekranu. Lekko sepleniąca redaktorka pytała:

- Czy fakt, że ludzie w ogóle są gotowi do czegoś takiego, nie nadwyreża autorytetu policji?

Trzaski na linii jedynie częściowo ukryły irytację w głosie Simonsena:

- Proszę powiedzieć, czy pani w ogóle nie rozumie, co do pani mówię? Nie obchodzi mnie żadne „nadwyreżanie”. Proszę powiedzieć, co by pani zrobiła, gdyby napadnięto panią w drodze do domu?

- To ja zadaję pytania.

- A właśnie że nie. To u pani było włamanie. Pani dziecko zniknęło. Pani samochód został storpedowany przez pijanego kierowcę. I co pani robi?

Cisza przeciągnęła się o dwie sekundy dłużej, niż powinna. Dwie wymowne sekundy, wzmocnione tym, że Simonsen przerwał połączenie i tym samym zakończył wywiad.

# Rozdział 41

W niedzielę rozpętało się piekło.

Pięciu skazanych na śmierć mężczyzn patrzyło na czytelnika z pierwszej strony „Dziennika”. Każdy był pokazany w ostatniej sekundzie życia, z wyjątkiem jednego, który był już martwy. Grube niebieskie nylonowe sznury widoczne były wokół szyi każdego z nich. Z ich oczu wycierał strach, a gazeta z tymi fotografiami sprzedała się w większym nakładzie, niż gdyby zdradzano największe skandale z udziałem rodziny królewskiej. Redakcja nie okazała cienia litości, nagłówek był wyraźnie skierowany przeciw nieszczęśnikom: Dzień sądu, i kłuł oczy wysokimi na cał, czarnymi literami. Gazeta została na tę okazję zaopatrzona w ośmiostroni-cowy dodatek specjalny, fotomontaż, na którym sekwencje filmowe, które dostała Anni Staal, zamrożono niemal klatka po klatce, żeby żaden z odrażających szczegółów nie został oszczędzony jej czytelnikom.

Staal i wydawca stali przed wejściem głównym do redakcji i czekali. Dochodziła dziewiąta, a ulica była pusta, osnuta mgłą i szara w ten zimny poranek.

- Jesteś pewien, że nie powinnam uczestniczyć? - spróbowała kobieta po raz trzeci.

Jej szef ziewnął, noc okazała się długa, a on był zmęczony.

- Przestań już, Anni. Tak, jestem pewien. Pokażesz się i sobie pójdiesz. Nie mogą pomyśleć, że się chowasz. Nie chcę ryzykować, że zechcą cię poszukiwać czy co tam może im przyjść do głowy. Opowiedz mi raczej o atmosferze.

- O jakiej atmosferze?

- W redakcji, w społeczeństwie, dokoła. Mówi się, że wiesz, co w trawie piszczy.

Staal nie przyjęła pochwały. Była zbyt bezpośrednio wyrażona.

- Tyle się mówi, ale nasza strona internetowa jest rozpalona do czerwoności czy co tam się z taką stroną dzieje. Odnotowaliśmy sto tysięcy wejść, a to dopiero początek. Cały dział komputerowy jest postawiony na nogi, żeby opanować to natężenie. Już trzykrotnie podrasowali nasz serwer wideo, żeby skrócić czas oczekiwania.

Dyrektor nie był zainteresowany techniką.

- Wyśmienicie, wyśmienicie, ale co myślą ludzie? Wiesz, po obejrzeniu filmów. Jest zrozumienie dla naszego tytułu? Dobrze trafiliście?

- Fragment filmu z minibusu z Thorem Granem robi swoje. Wiesz, ten, w którym on decyduje się na tego małego...

- Cicho! Nie chcę znów słyszeć tego zdania. Nigdy więcej.

- Typowy odruch, prawie wszyscy tak reagują.

Dyrektor powiedział dobitnie:

- Zmieńmy temat.

Staal zignorowała jego prośbę.

- Thor Gran odebrał ci słowa: to, co czyste, uczynił brudnym. Teraz nie możesz się przemóc, żeby ich użyć. Nawet nie możesz znieść myślenia o nich.

- Zostałaś też psychologiem?

- Nie, ale z jednym rozmawiałam.

- Okej, może masz rację. W każdym razie niedobrze się od tego robi.

- Co ma decydujące znaczenie. Bezpośrednie współczucie trafia na śmietnik. Gdy ludzie kolejny raz zobaczą te egzekucje, będą je oglądać bez poruszenia i z milczącą akceptacją, jeśli akceptacja nie jest już oczywista. Otrzymuję sporo mejli.

- Taaa, wolność słowa jest po to, by z niej korzystać, a w konstytucji nic nie ma na temat bezwarunkowego dystansowania się wobec zabójstw.

- Zapewniam cię, że wielu nie zachowuje dystansu, wręcz przeciwnie. Ale piszą, oczywiście, ci najbardziej ekstremalni. Ogólnie przypuszczam, że większość ludzi nawet łyż nie uroni nad zabitymi, rozumiesz, co mam na myśli. Jestem pewna, że naprawdę wielu osobom, tak jak tobie, to zdanie, którego nie chcą wypowiedzieć i które najchętniej by wyparli z pamięci, siedzi w głowie, gdy myślą o tej sprawie.

Dyrektor nieznacznie się uśmiechnął. Potem spojrzął na zegarek i zatęsknił za swoją sofą; na próżno badał wzrokiem ulicę, stwierdził, że nic nowego nie pojawiło się w polu widzenia. Przez chwilę stali w milczeniu, po czym wrócił do rozmowy:

- Udało się zachować informacje w tajemnicy?

Staal przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Chyba tak. Zadaliliśmy sobie wiele trudu. Sprzedaż detaliczną w kioskach kopenhaskich wstrzymano wczoraj wieczorem, a zaufani ludzie pilnowali gazet, które załadowywano do pociągów nocnych jadących na prowincję. Poza tym żadnemu z pracowników nie pozwolono wziąć gazety do domu, więc szok nastąpił mniej więcej w tym samym czasie w całym kraju, że tak powiem. Bałeś się zakazu sądowego?

- Nie chodzi o to, czy się bałem, po prostu nie wyraziłaś się zbyt jasno, Anni. Czy informacja wyciekła wcześniej mimo naszych starań?

- Nie, chociaż nie jestem do końca pewna. W każdym razie policja została zaskoczona, a wielu funkcjonariuszy kryminalnych niezaangażowanych bezpośrednio w sprawę dziwi się, że za każdym razem, gdy dzieje się coś istotnego w kwestii tych morderstw na pedofilach, wydział jest daleko w tyle. Najwyraźniej to nie szef policji kryminalnej inspektor Simonsen dociska pedał gazu. A minister sprawiedliwości z pewnością też nie został ostrzeżony. Słyszałam wiadomości radiowe o dziewiątej, musiał w parlamencie umykać pod obstrzałem dziennikarzy jasno wyrażających swoje zdanie. Gadał bzdury.

- Biedaczysko, najpierw zostanie otoczony, a potem zaszlachtowany.

- Politycy przez cały rok są zwierzyną łowną, a krew ministra jest jednym z najszlachetniejszych płynów, jakie można utoczyć z danej sprawy. Ten rodzaj cieczy przydaje osobistego prestiżu, od czasu do czasu daje też podwyżkę. Nie miałaś z tym do czynienia?

- Nie, nie gadam z chciwymi gryzipiórkami. Powiedz, dlaczego zwlekałaś z odpowiedzią?

- Bez konkretnego powodu. Uważam po prostu, że to spotkanie jest zwołane zbyt pośpiesznie. Nie możesz nie doceniać sekretarza stanu Helmera Hammera,

on ma wpływowych przyjaciół. Bardzo wpływowych.

- Nie rozumiem związku.

- Być może go nie ma, ale nie możemy być ślepi na to, że te, nazwijmy to, tendencje wśród opinii publicznej, widoczne przez kilka ostatnich dni, od czasu do czasu dotyczą jakichś czułych punktów. Na przykład pojawiają się głosy, żeby pociągać do odpowiedzialności branżę turystyczną za ewentualne wakacje, podczas których goście zbytnio zbliżają się do miejscowych dzieci.

Na dyrektorze nie zrobiło to wrażenia.

- Branża turystyczna, och, przestań.

- Albo banki za przelewy internetowe za zakup pornografii dziecięcej. To jeden z tych nowych pomysłów, które zyskują coraz większe poparcie, ale teraz, jak widzę, przybywają tui goście.

Staal wskazała na taksówkę, która właśnie skręciła z za rogu. Musiała go lekko szturchnąć, żeby spojrzeć.

Także Hammer szturchnął - Troulsen otrzymał napominającego kuksańca w bok za swój krytyczny komentarz o wątpliwych kompetencjach komitetu powitalnego. Sekretarz stanu pochylił się i patrząc przez przednią szybę, stwierdził, że jego współpasażer poza wszystkim ma rację. Jeśli dwoje ludzi można było w ogóle nazwać komitetem. Przetarł oczy i zdusił ziewnięcie. Niedziela ledwie się zaczęła, a on był na nogach już od ponad pięciu godzin.

O 3.30 zadzwonił telefon, a głos, który znał i którego właścicielka absolutnie nie powinna była dzwonić do niego do domu, natychmiast go obudził. Kobieta, która przerwała jego sen, miała wiele imion. Jednego z nich używała na swoim wysoce wyspecjalizowanym stanowisku w świecie giełdowym, drugie było przeznaczone do bardziej towarzyskich okazji. Jako jeden z nielicznych znał oba. Wiedział także, że będąc w posiadaniu okazałego majątku i odpowiednich kontaktów, można ją było wynająć na doby oraz że warta była każdej wydanej korony. Słuchał, jednocześnie modląc się do wyższych instancji, żeby znalazło się uzasadnienie tego telefonu, niezgodnego z wszelką etyką biznesową. Jego modły zostały wysłuchane. Miała dla niego egzemplarz „Dziennika”. Jej penthouse znajdował się blisko jego domu, spotkali się w połowie drogi. Dostał gazetę, a do tego jeszcze cmoknięcie w policzki. Nawet nie musiała dodawać, że winny jest jej teraz wielką przysługę.

Hasłem przewodnim kolejnych godzin było damage control; fakt, że miał uzasadniony powód, by zburzyć nocny sen wielu innych osób, nie stanowił wielkiego pocieszenia. Stopniowo, rozmowa po rozmowie, zyskał jako taką kontrolę nad sytuacją.

Gdy podjechał taksówką po Troulsena, był już w nie najgorszym nastroju i miał siły, żeby poradzić sobie ze wściekłym potokiem słów, którym obrzucił go funkcjonariusz.

- Mogę równie dobrze powiedzieć to wprost: jeśli chce pan zaszkodzić Simonowi, to może mnie pan pocałować w wiadome miejsce, nieważne, jak wielką ma pan władzę. Proszę ani przez chwilę na mnie nie liczyć.

Mężczyzna, delikatnie rzecz ujmując, nie ulegał presji władz.

- Wcale nie o to chodzi - odpowiedział Hammer spokojnie. - Przeciwnie. Zresztą już to wyjaśniałem przez telefon.

- Nienawidzę samego siebie za knucie za jego plecami. Po co to całe straszenie tajemnicą?



- Pański szef jest świetny w kierowaniu dochodzeniem i kiepski w kontaktach z prasą. Ostatnie, czego teraz potrzebuję, to żeby zaczął rozmawiać z „Dziennikiem”. Poza tym policyjna część obecnego zadania może zostać wykonana na niższym poziomie, to znaczy przez pana.

Troulsen docenił szczerą i nieco się rozluźnił.

- Co teraz robi Simon? Gdzie jest?

- Leży w swoim łóżku i śpi, na co naprawdę zasłużył i czego bardzo potrzebuje.

Troulsen potakująco kiwnął głową. Trudno było nie poczuć sympatii do tego człowieka.

- Jak pan to zdobył?

- Miałem fart.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Dlaczego ja? Ja też nie znoszę tej wywłoki - zapytał w końcu Troulsen.

- Właśnie dlatego, że jej pan nie znosi, ale też dlatego, że pan nie kasa. Ponieważ zna pan swoje miejsce i trzyma dziób na kłódkę podczas spotkań. I ponieważ ta, którą nazywacie Hrabianką, jest w Odense.

Troulsen nieznacznie się uśmiechnął. Znowu przejechali kilka przecznic. Tym razem to Hammer przerwał ciszę.

- O czym pan myśli?

- Że szczeroci też można nadużyć. Zawsze jest pan taki bezpośredni?

Sekretarz stanu uchylił się od odpowiedzi. Zaczął się radiowy serwis informacyjny i obaj go słuchali. Punktem kulminacyjnym był krótki wywiad z ministrem sprawiedliwości; nic nie mogło ukryć jego żalostnej niewiedzy.

- Ale błazen! - skomentował Troulsen.

Hammer nie był taki ostry w ocenie. Minister sprawiedliwości był jego jedynym przeoczeniem, ale doszło do niego przez odcięcie się od świata.

- On przetrwa. Może nawet jest najbardziej odporny z nich wszystkich.

Taksówka prawie dotarła na miejsce.

- Niesłychane: komitet powitalny złożony z tabloidowych padlinożerców - powiedział prowokacyjnie Troulsen.

Hammer go szturchnął. Bez rezultatu.

- Urwę cycki tej wrednej babie.

- Nie, niczego jej pan nie urwie. Pan siedzi cicho. Dyplomacja nie jest pańską mocną stroną.

Taksówka się zatrzymała.

- Zresztą więksi od pana musieli przełknąć takie słowa - dodał Hammer. Nadał twarzy czarujący wyraz i wysiadł.

Zaprowadzono ich do tego samego pomieszczenia, w którym w piątkowy wieczór Anni Staal przedstawiła fragmenty filmów wideo. Przy suto zastawionym stole siedziała trzydziestokilkuletnia kobieta i czekała. Szefowa zespołu doradców prawnych z „Dziennika” podniosła się i podała dłoń na powitanie, jednocześnie się przedstawiając. Następnie usiadła w oczekiwaniu. Troulsen natychmiast poczuł z nią pewien rodzaj wspólnoty. Jasne było, że jej też przypadła w udziale rola drugoplanowa. Dwóch redaktorów prowadziło luźną rozmowę, częstując się tym, co na stole; kobieta zadowolona się szklanką soku, Troulsen filiżanką czarnej kawy. Po trzech bułkach i croissancie dyrektor wreszcie rozpoczął.

- To chyba wy prosiliście o tę rozmowę, więc może najlepiej będzie, jeśli od razu powiecie, w czym możemy wam pomóc.

- Proszę sobie łaskawie darować te bzdurne uwagi, nie uważa pan, że jesteście nam winni wyjaśnienia? - odpowiedział zaskakująco ostro Hammer.

Troulsen się odezwał, nie zważając, że według wcześniejszych ustaleń miał siedzieć cicho.

- To jest klasyczny przykład zatajenia materiałów dowodowych i wy...

Nie dokończył. Hammer przerwał mu ruchem ręki, czemu, ku własnemu zdziwieniu, się podporządkował i niedokończone zdanie zawisło w powietrzu. Ale gospodarz podjął wątek. Spojrzał zachęcająco na współpracownicę.

- Może powinniśmy najpierw zająć się materiałem dowodowym. Zechcesz?

Kobieta podjęła temat. Przez kolejne dziesięć minut przemawiała prawniczym żargonem, którego nikt nie słuchał. Zakończyła triumfalnie:

- Poza tym już w nocy z piątku na sobotę przestaliśmy sekwencje wideo z piśmem przewodnim do komisariatu policji przy Store Kongensgade. Materiał dostarczono około godziny drugiej. Z listu jasno wynika, że filmy prawdopodobnie mają znaczenie dla policyjnego śledztwa w sprawie zabójstw pedofilów, o czym zresztą nie jesteśmy zobowiązani informować.

- Ma pani kopię tego listu?

Szybciej, niż ktokolwiek zdołałby zarzucić im działanie pro forma, znalazła dwa egzemplarze w swoich papierach i przekazała je gościom. Troulsen i Hammer podziękowali. Zadowolony wydawca nalał sobie filiżankę kawy i szarmancko zaoferował dzbanek z kawą szefowej prawników, ale ta odmówiła, potrząsając głową. Goście czytali. Pismo było długie, niejasne i niepotrzebnie zawikłane. To, co można było wyjaśnić w kilku liniijkach, zostało rozciągnięte na trzy i pół strony i dopiero w połowie drugiej strony czytelnik mógł zorientować się, czego w ogóle dotyczy cała wiadomość. Hammer skończył pierwszy.

- Tak, dzięki temu mieliście niemal pewność, że to piśmanko trafi na sam spód stosu. Nawet nie wydrukowaliście go na swoim papierze firmowym.

Prawniczka wyraziła nieszczerze ubolewanie.

- To niedopatrzzenie, było późno. Ale moim zdaniem szczegółowo poinformowaliśmy policję.

Hammer odpowiedział kobiecie, zwracając się jednak do wydawcy.

- Może tak, może nie. Na razie mamy sześć ofiar i żadnej gwarancji, że nie będzie dalszych zabójstw. Jeśli później okaże się, że to, powiedzmy, „opóźnienie” przyczyni się do śmierci innych osób, obiecuję, że wasze postępowanie stanie się przedmiotem procesu sądowego, z pewnością bardzo długiego procesu.

Wydawca nie wyglądał na człowieka, który chciałby mieć na karku rozwlekłą sprawę sądową. Niespokojnie poruszył się na krześle. W przeciwieństwie do prawniczki, która suszyła swoje chemicznie wybielone zęby w szerokim, pełnym oczekiwania uśmiechu.

Następny krok należał do Hammera. Z wewnętrznej kieszonki wyjął kartkę papieru. Troulsen dostrzegł, że wiadomość była napisana odręcznie i niezbyt długa, ale nie zdołał dostrzec treści. Wydawca przeczytał, zbladł i przez chwilę milczał.

- Czego pan chce? - zapytał w końcu.

Hammer odebrał mu kartkę, mówiąc spokojnie, ale bez ogródek:

- Stenogramy rozmów, które Staal przeprowadziła z czytelnikami o godzinie dwunastej, włączając w to dostęp do danych osób, które miały istotne informacje o zabitych. Poza tym aktywnej i nieograniczonej współpracy Staal z Troulsenem przez następne godziny.

Kolor twarzy wydawcy zrobił się niezdrowy, a jego głos podniósł się o oktawę.

- To wykluczone. Nie przekazujemy nazwisk naszych...

Sam przerwał, gdy Hammer wyciągnął telefon komórkowy i zaczął stukać w klawisze. Wydawca z rezygnacją zwrócił się do prawniczki:

- Bardzo dziękuję. Ogromnie nam pomogłaś.

Minęła chwila, zanim do kobiety dotarło, że została wyproszona. Gdy się to wreszcie stało, szybko się podniosła, pozbierała swoje papiery i opuściła pomieszczenie ze złością i bez pożegnania. Mężczyźni odczekali, aż wyszła.

Gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, Hammer także wstał.

- Ja chyba też już pójdę, szczegóły omówicie sami. Jestem pewien, że znajdziecie rozsądne rozwiązanie. Poul, zadzwoni pan do mnie za pół godziny, kiedy dojdziecie do porozumienia?

Jego bezlitosna arogancja zapiekła. Wydawcy obce było traktowanie go jak osoby, która ustala szczegóły. Nie miał jednak wyjścia, przełknął więc to poniznie.

## Rozdział 42

Konrad Simonsen nie uczestniczył w wydarzeniach niedzielnego poranka. Spał. Biorąc pod uwagę nawał pracy minionego tygodnia, nikt nie mógł mu niczego zarzucić, szczególnie że miał już swoje lata. Ostatecznie jego sen przedłużyła Anna Mia, gdy wślizgnąwszy się do sypialni ojca, wyłączyła budzik nastawiony na szóstą. Księżyc jasno świecił za oknem, jego skradziony blask padał na twarz śpiącego; długo siedziała na brzegu łóżka i się mu przyglądała. Jego oddech był niepokojący, ciężki i nierówny; od czasu do czasu z trudem łapał powietrze. Ten odgłos ją zasmucał i obiecała sobie jak najszybciej zająć się leczeniem jego cukrzycy. I jego paleniem. Po jakimś czasie jego sen się uspokoił. Poglądziła go miękko po policzku i ostrożnie poprawiła kołdrę, zanim wyszła z jego sypialni.

Było po dziesiątej, gdy szef kryminalnych, zaspany i zdezorientowany, wkroczył do salonu, w którym jego córka i były szef cierpliwie czekali ze śniadaniem.

Starszy mężczyzna i młoda kobieta dawno rozdzielili między siebie role, zaczęła Anna Mia, jeszcze zanim jej ojciec na dobre się rozbudził:

- Mnóstwo się wydarzyło tego ranka, ale zawiązaliśmy koalicję przeciw tobie i pozwoliliśmy ci spać. My, to znaczy: ja, Kasper i ten Hammer.

Nalała mu kawy i przypaliła papierosa. To ostatnie nigdy dotąd się nie zdarzyło. Simonsen zaciągnął się zachłannie, a Kasper Planck kontynuował:

- Wszyscy zabici są już zidentyfikowani ze stuprocentową pewnością, właśnie odbyła się konferencja prasowa, ale najpierw przeczytaj to.

Anna Mia wyciągnęła „Dziennik”. Dotąd na nim siedziała. Simonsen patrzył z niedowierzaniem. Dali mu czas na lekturę, ale i tak jego pierwsze pytanie zdradzało, że nie jest jeszcze całkiem obudzony.

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Miałeś tymczasową kwarantannę - powiedział bez ogródek Planck.

W związku z podejrzeniem, że możesz się wygłupić, krótko mówiąc, zostałeś pominięty, postawiony do kąta.

- To akurat zaczynam rozumieć. Co jeszcze?

- Helmer Hammer zadzwonił do mnie dziś rano, czy raczej w nocy, i zgodziliśmy się co do tego, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli skoncentrujesz się na wy-poczynku. Czeka cię długi dzień. Potem zadzwoniłem do Anny Mii i miałem fart, że ją tu zastałem. Byliście wczoraj w kinie, jak rozumiem. Mam nadzieję, że film był dobry.

Tym razem odpowiedziała Anna Mia:

- Był dobry. Ja płakałam, tata spał.

Simonsen odchrząknął z irytacją i wstał.

- Chcę zobaczyć te filmy wideo.

- Nie powinieneś najpierw czegoś zjeść, tato? Kupiliśmy ci pyszne ciastka.

Nie miał zamiaru.

Gdy ponownie skierował wzrok na stół, nie skomentował tego, co zobaczył, ale na jego twarzy wyraźnie zarysowała się powaga. Jedli, podczas gdy Planck szczegółowo omawiał wydarzenia poranka. Simonsen przysłuchiwał się, nie przerywając, jego goście zauważyli z zadowoleniem, że się uśmiechnął, dowiedziawszy się, jak Anna Mia dokonała oszustwa z budzikiem. Tego się, mimo wszystko, nie spodziewał. Gdy chwilę później usłyszeli pogwizdywanie dochodzące z łazienki, jasne było, że ich plan się powiódł. Dla zabawy wychylili toast kawą, zanim Anna Mia sprzątnęła ze stołu, a Kasper Planck usiadł przed komputerem i jeszcze raz odtworzył filmy. Gdy trzeba było sprzątać, pojawiały się jego problemy z chodzeniem.

Anna Mia pożegnała się, gdy Simonsen wrócił do salonu ubrany. Obaj mężczyźni dostali po całusie, a Planck nalegał, by obdarować ją bonem na taksówkę z pliku, który podprowadził w dziale księgowości na Komendzie Głównej, ponieważ zwykłe wozy patrolowe nie dorównywały jego zdaniem niegdysiejszym standardom przewozowym.

Gdy mężczyźni zostali sami, ponownie usiedli przy stole.

- Wcale ładnie to przyjąłeś, Simon.

Simonsen nie odpowiedział od razu. Wyglądał przez okno, śledził sklepienie nieba tak daleko, jak sięgał wzrokiem. Zachłanna szarówka napływająca z zachodu szybko wgrzała się w dziewiczo niebieskie niebo nad nim; wkrótce będzie padać. Pomyślał, że pierwszy raz od dawna rano cieszy się na myśl o pracy; sen był dobrą rzeczą. Potem skupił uwagę na swoim nieproszonym gościu.

- Lubię Helmera Hammera, a zresztą wy dwaj nie daliście mi szansy - powiedział. - O ile mogę się doliczyć, mieliście kilka godzin forów.

- Pewnie tak, ale już koniec z tym. Co myślisz o filmach?

- Bardzo wiele, ale przede wszystkim to, że nigdy nie powinny zostać opublikowane. Są obrzydliwe w każdym szczególe.

- Taaa, ten przymiotnik przewinął się już parokrotnie. Jak i kilkanaście wariacji na jego temat. „Diabelskie”, „perwersyjne”, „odpychające”, „wywołujące mdłości”, „odrażające”, żeby podać tylko kilka z tych bardziej przyzwoitych.

- Gdzie się przewinęły?

- W komentarzach czytelników, są ich już setki.

- Większość ludzi nie lubi zabójstw. To nie powinno cię zaskoczyć. Do czego zmierzasz?

- Że złość w głównej mierze nie dotyczy samych zabójstw, ale prawie wyłącznie jest skierowana przeciw Thorowi Granowi i jego... decyzji o wyborze trzeciego dziecka. Nawet twoja córka tak zareagowała.

Simonsen ze zważeniem kiwnął głową i poczuł się bezsilny. Jako szef kryminalnych nie był przecież, do cholery, odpowiedzialny za reakcje opinii publicznej i nic nie mógł poradzić na kolektywne skrzywienie proporcji, mógł tylko żywić nadzieję, że wszystko samo z siebie wróci do normy. A poza tym wykonywać swoją robotę. Jego komentarz był niejednoznaczny:

- No tak, niemiło to słyszeć.

Planck odszedł od tematu i optymistycznie stwierdził:

- No, teraz przynajmniej mamy coś konkretnego, z czym można pracować, więc jedźmy do HS. Szczerze przynaję, że do tej pory prowadziłeś bardzo udane śledz-

two, ale dopiero w ciągu kolejnych dni będziesz musiał udowodnić, co naprawdę potrafisz.

- Niczego nie muszę udowadniać, a teraz cały ranek byłem odcięty od informacji, więc pół godziny w jedną czy w drugą nic nie zmieni. To pół godziny wystarczy akurat na opowiadanie, czego dowiedziałeś się, pijąc piwo w sklepiku przy Bagsværd Hovedgade. Nie można powiedzieć, że byłeś skory do wyjaśnień, a podczas tych kilku razy, gdy miałem czas zadzwonić, brzmiałeś jakbyś był wcięty. I jak sądzę, nie spędziłbyś tam tylu godzin, gdyby nic z tego nie wynikało. Od dawna chciałem cię o to zapytać, a teraz jest wysmienity moment.

Planck skinął głową z szacunkiem.

- Jesteś coraz lepszy, ale nie zabrałem notatek, a moja pamięć nie jest całkiem...

- A ty jesteś coraz gorszy. Te bzdury możesz zachować dla młodzieży, lepiej zaznij gadać. Nie chodzi o to, żebyś sam wyjaśnił to przestępstwo.

Starszy mężczyzna zmrużył oczy, a chytry uśmieszek przemknął przez jego twarz. Potem zaczął wydawać dziwne dźwięki. Minęła chwila, nim Konrad Simonsen zrozumiał, że nuci. Nie było to przyjemne dla ucha.

- Przestań, to okropne. Co jest nie tak?

- Lady in Red, chyba Chrisa de Burgha. Nie masz żadnej wiedzy o muzyce?

- Mam uszy, a tego nie da się słuchać. Nie możesz się wyrażać w normalny sposób? Opowiedz mi o kobiecie w czerwieni, jeśli jest istotna, ale zwykłymi słowami, z góry dziękuję.

Kasper Planck zaczął relacjonować monotonnym tonem:

- Sklepiak leży przy Bagsværd Hovedgade, a właściciel nazywa się Farshad Bakhtishû. Będę go nazywał po prostu Farshad. Farshad ma co najmniej sześćdziesiątkę, urodził się w Szirazie, w Iranie. Z wykształcenia jest astrofizykiem, ma doktorat, wykładał na Uniwersytecie Teherańskim do czasu, gdy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku uciekł przed reżimem ajatollaha Chomeiniego. W Danii nie uważa się jego wykształcenia za przydatne, co on sam rozumiał po kilku latach. Ożenił się w osiemdziesiątym ósmym, także jego żona jest uciekinierką z Iranu. Farshad jest utalentowanym i sympatycznym mężczyzną, który przez ostatnie dwadzieścia lat wykorzystywał swój potencjał intelektualny do kantowania skarbówki, by mieszkańcy gminy Gladsaxe nadal mogli kupować napoje orzeźwiające po dyskontowych cenach, a jego rodzina jako tako dawała sobie radę. Ma trzech synów i dwie córki i jest najbliższym, jakiego do tej pory zdołaliśmy znaleźć, przyjacielem Pera Clausena.

Przerwał na chwilę, żeby się zastanowić. Simonsen czekał w milczeniu.

- Zaprzyjaźniają się, sklepiak i woźny. Łączy ich między innymi zainteresowanie matematyką. Per Clausen odwiedza sklepiak raz, dwa razy w tygodniu, siedzi na zapleczu i rozmawia ze swoim przyjacielem. Najchętniej wieczorami, kiedy prawie nie ma klientów, a mimo tego zamykają budę dopiero około północy. Clausen często jest pijany, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy jednak częstokroć trzeźwy, a Farshad nie pije. Znajomość trwa od dobrych siedmiu lat. Wiele z ich rozmów oczywiście niezbyt nas interesuje, ale nie wszystkie. Na przykład kilkakrotnie rozmawiają o zemście, zemście za samobójstwo córki na tym, który ją molestował. To dotyczy Clausena, ale także Farshad jest ciężko doświadczonej. Dwie siostry i jeden z braci wpadli w spony islamskiej Gwardii Rewolucyjnej, przerażający los, pominę okropne szczegóły. Przyjaciele płaczą razem, zapalają świeczki na

urodziny swoich bliskich, w rocznice ich śmierci, od czasu do czasu zamykają sklep.

Simonsen miał właśnie przerwać, sprawozdanie stawało się coraz bardziej ogólnikowe, ale nagle Planck sam z siebie zmienił formę.

- Od wiosny zeszłego roku nie rozmawiają o Helene Clausen i o rodzinie Farshada. Clausen unika tych wątków i zmienia temat, gdy tylko się pojawią. Farshad nie wie dlaczego, ale jest wrażliwy, tak w ogóle to sympatyczny człowiek, który odbiera i szanuje nowe sygnały wysyłane przez przyjaciela. Jednocześnie zachodzi rzucająca się w oczy fizyczna przemiana Clausena, który gwałtownie zmniejsza spożycie alkoholu. Przez jakiś czas jest permanentnie trzeźwy, potem znów zaczyna pić, ale już nie tak niepohamowanie jak wcześniej. Zmiana nie zachodzi stopniowo i według Farshada ma podstawy w epizodzie, który miał miejsce w lutym lub marcu zeszłego roku.

- Kobieta w czerwieni?

- Dobrze zgadujesz, Simon. Musiała się w którymś momencie pojawić. I tak się stało. Dosłownie. W sklepiku, któregoś wieczoru, około dziesiątej, gdy Clausen leżał na zapleczu. Farshad pamięta, że Per był porządnie zalany. Tak napruty, że nie dało się z nim rozmawiać. W takich przypadkach Farshad pozwalał mu przespać się na leżance, aż do chwili, gdy po zamknięciu sklepu mógł go odprowadzić do domu. Kobieta jest po trzydziestce, zdaniem sklepikarza, elegancka i bogata, ale także uprzejma, zdeterminowana i sympatyczna. Budzi Clausena, zabiera go do swojego samochodu, ten nie protestuje. Jeździ srebrnoszarym porsche i jest ubrana w zwracający uwagę jaskrawoczerwony kostium. Zostawia karteczkę ze swoim nazwiskiem, adresem i numerem telefonu, mówiąc, żeby się z nią kontaktować, gdyby woźny znów urznął się w trupa. Niestety kartka została wyrzucona. Później Clausen o niej nie wspomina, ale zostaje odebrany jeszcze jeden raz, także w porsche. Tym razem nie jest pijany i wydaje się, że są umówieni. Poza tym jeden z synów Farshada, Farroukh Bakhtîshû, widzi Pera Clausena jadącego z nią przy innej okazji, ale niestety nie wiadomo kiedy.

Dokończenie tego ostatniego zdania zajęło Kasperowi Planckowi sporo czasu, ponieważ jednocześnie zastanawiał się, czy wszystko przekazał. Najwidoczniej tak było.

- To chyba w ogólnym zarysie wszystko, czego się dowiedziałem. Chciałbym móc zagwarantować, że to w ogóle jest ważne, ale nie mogę. Farshad jest człowiekiem otwartym, chętnie pomagającym policji, ale tylko przy podawaniu faktów. Absolutnie odmawia spekulowania na temat udziału swojego zmarłego przyjaciela w zabójstwach.

Simonsen powiedział po zastanowieniu:

- Ona mnie zaciekawiła, chciałbym z nią pogadać. Kontynuuj z Farshadem, jeśli uważasz, że to może coś przynieść. Każ komuś sprawdzić, ile srebrnych porsche porusza się w regionie stołecznym, i oceń, czy w ten sposób możemy trafić na jej ślad. Wyślij kilku ludzi do sąsiadów i pracowników szkoły, niech zapytają o samochód i kobietę.

- To ostatnie już zrobiłem, bez rezultatów, ale chętnie znów spotkam się z Farshadem, choć uważam, że już wszystko z niego wycisnąłem. Możemy razem jechać do HS, chcę się najpierw zorientować, jak daleko zaszliśmy w śledztwie. Potem pojedą do Bagsværd.

- Właśnie to możemy zrobić... - powiedział Konrad Simonsen, wstając energicznie jak człowiek wypoczęty.



## Rozdział 43

W komisariacie Odense Centrum Hrabianka przejęła jeden z pokoi.

Ktoś zapukał do drzwi, a ona pozwoliła mu wejść. Funkcjonariusz wprowadził ogromnego mężczyznę po trzydziestce i posadził naprzeciwko niej. Jedna z powiek nieładnie mu opadała, co nadawało jego wyrażającemu złe samopoczucie, niemal błagalnemu spojrzeniu komiczny rys. Policjant opuścił pomieszczenie, a ona pozwoliła, żeby mężczyzna poccił się przez dłuższy czas w ciszy, zanim rozpoczęła przesłuchanie.

- Nazywam się Nathalie von Rosen i zostałam przysłana przez policję kryminalną w Kopenhadze, a pan wplątany jest w jakiś szajs. Podobnie jak pański brat.

Górna warga mężczyzny zadrzała; po chwili padła odpowiedź:

- Przemyslałem to i sądzę, że chcę adwokata.

- Świetnie to rozumiem, bo będzie go pan bardzo potrzebował. Wracam ze szpitala, gdzie rozmawiałam z waszą ofiarą, o ile to, co z siebie wydał, można w ogóle nazwać wypowiedzią. Wie pan, trudno wyraźnie mówić ze złamaną szczęką.

- To był wypadek.

- Tak, tak można powiedzieć. W dodatku dosyć poważny. Złamany nadgarstek, dwa złamane żebra, złamany nos, jak wspomniałam, złamana szczeka, ślady pobicia i pokopania na niemal całym ciele, a na pewno nie zapamiętałam wszystkiego. Do tego dochodzi ten wypadek, który przemienił jego mieszkanie w wysypisko śmieci.

Olbrzym walczył ze łzami, adwokat poszedł w zapomnienie.

- Nie wiedzieliśmy, że to nie jego filmy.

- A jeśli należałyby do niego, to byłoby w porządku spuścić mu porządne lanie, tak?

- Nie cierpimy takich typków.

- Tak, to chyba teraz modne, ale z prawnego punktu widzenia nie ma żadnej różnicy, do kogo należał ten osławiony film. Za to różnicę mógłby robić fakt, że wasz zmaltretowany przyjaciel nie chce wnieść oskarżenia. Twierdzi, że was rozumie, a mi nie pozostaje nic innego, jak tylko powiedzieć, że musi być wyjątkowo tolerancyjnym człowiekiem.

Błysk nadziei pojawił się w oku mężczyzny.

- Nie chce nas oskarżyć?

- Nie chce. Ma nadzieję, że zgodzicie się na jakieś sensowne odszkodowanie za zniszczone mieszkanie, ale zostawmy to, bo to niestety w niczym nie pomoże, muszę panu mianowicie zdradzić, że chociaż on nie chce wnieść oskarżenia, to chcę to zrobić ja. To znaczy formalnie decyduje o tym prokurator policyjny, ale w praktyce wykonuje moje zalecenia. I od razu mogę powiedzieć, jak jest: zostaniecie potraktowani jak grupa bandytów. Mówimy o wyjątkowo brutalnej przemocy, co stanowi okoliczność zdecydowanie przemawiającą na waszą niekorzyść. Na tej pod-

stawie zgaduję, że dostaniecie co najmniej po sześć lat, bez zawieszenia, ale to naturalnie zależy od sądu. Może się wam poszczęści i dostaniecie tylko pięć.

Przypuszczenia były mocno przesadzone. Pomyślała, że mężczyzna nie był oblatany w kodeksie, i miała rację. Te sześć lat uderzyło go jak grom, zdezorientowany i błagający wyjąkał:

- Ale jeśli oskarżenia nie będzie, dlaczego chce nas pani wsadzić do więzienia? Przecież pani wie, że to był wypadek. Nie jesteśmy bandziorami.

- Jeśli wy nie jesteście bandziorami, to na pewno nie chciałabym spotkać tych, którzy nimi są.

Podniosła się i zaszła go od tyłu, zadowolona z dotychczasowego rozwoju sprawy.

- Dlaczego chcę wnieść oskarżenie? Właściwie powinnam powiedzieć coś o świadomości prawnej, sprawiedliwości, samosądzie i tym podobnych, ale prawda jest taka, że to dlatego, że jestem w złym humorze.

- Bo jest pani w złym humorze?!

- Właśnie! Gdy mój nastrój sięga dna, staję się niesympatyczna. Gdy nie jest mi dobrze, innym też nie powinno być. To oczywiście potwornie niesprawiedliwe, ale takie jest życie i to, że jestem w złym humorze, też jest potwornie niesprawiedliwe, nie uważa pan?

- Tak, oczywiście, ale... ale...

- Nie zapytał mnie pan w ogóle, dlaczego jestem w złym humorze.

- Oj, nie, przepraszam. Dlaczego?

- Miło, że pan pyta, i proszę posłuchać, dlaczego jestem w złym humorze. Wczoraj nagabywałam kobietę, którą jako dziecko wykorzystywał własny ojciec. Gówniana robota, ale ktoś ją musiał wykonać, padło na mnie. Poza tym jestem w złym humorze przez gazety. Nie podoba mi się to, o czym piszą. I do tego jestem w złym humorze, ponieważ nie mogę wrócić do domu, zanim nie zawiążę na ładną kokardkę tasiemki na teczce z wielką sprawą, przy której haruję dzień i noc. Biedna jestem, co?

- Tak, oczywiście. To naprawdę przykre.

Osiłek wyglądał raczej jak ktoś, kto uważa, że to jego należy żałować. Hrabianka wróciła na swoje miejsce i kontynuowała:

- Dzisiaj rano pomyślałam, że jest coś, co może poprawić mi nastrój. Dostałam mianowicie cynk o... powiedzmy, pewnym panu. Jest z Fredericii i w przeciwieństwie do pańskiego biednego przyjaciela jego preferencje seksualne naprawdę dotyczą młodszych grup wiekowych. Szczególnie tych najmłodszych, gdy nadarza się ku temu okazja. Jeśli zechce, to nie ma wątpliwości, że może pomóc i opowiedzieć mi o tym i owym; dotarcie do tego w inny sposób byłoby dla mnie bardzo czasochłonne. Więc zebrałam na jego temat trochę danych, nazwisko, zdjęcie i tym podobne.

Opuściła dłoń na dossier leżące pośrodku biurka.

- Właściwie myślałam, żeby pojechać do ośrodka sportowego w Gudme i zobaczyć, czy na niego nie wpadnę. Są zawody juniorów w zapasach, a on zazwyczaj się im przygląda, ale zrezygnowałam. Problem w tym, że niezależnie od tego, o co go zapytam, i chociaż informowanie mnie leży w jego interesie, wiem, że w ogóle nie zechce mi pomóc. Zamknie się jak ostryga. Odczeka, aż zrezygnuję i sobie pójdę. Bardzo bym chciała, żeby miał objawienie. Żeby nagle zrozumiał, że musi

wypełnić swój obywatelski obowiązek i podać mi informacje ze swojego... środowiska. To by mnie ucieszyło.

Jej słuchacz powoli zaczynał rozumieć.

- To by panią ucieszyło?

- Tak, z pewnością. Sama myśl o tym, że ktoś mógłby go namówić do spotkania ze mną, wprawia mnie w lepszy nastrój.

- Więc chciałaby pani, żebyśmy...

Ostro mu przerwała.

- Kto rozmawia z kim i o czym, nad tym nie mogę mieć kontroli. Ale, jak powiedziałam, będę zadowolona, jeśli on cały i w nienaruszonym stanie zechce się ze mną spotkać na małą pogawędkę. Proszę powtórzyć słowa „cały i w nienaruszonym stanie”.

- Cały i w nienaruszonym stanie. Rozumiem, ostrożnie jak z jajkiem. My nie bijemy. Nigdy więcej, nigdy, przenigdy.

- Uważam, że brzmi to bardzo rozsądnie, ale jejku, jak ten czas leci. Nie mam czasu, żeby tak tu z panem siedzieć i plotkować. Jak pan zobaczy „Dziennik”, to pan zrozumie, dlaczego mam tyle roboty, a dziś wieczorem piłkarki ręczne GOG z Odense grają na własnym boisku z drużyną z Randers. Ten mecz po prostu muszę obejrzeć, skoro już jestem w Odense. Najpierw piłka ręczna, a potem kawa w kawiarni. Od piętnaście po dziesiątej.

Hrabianka znów się podniosła z krzesła.

- Wyjdę zapytać, czy dyżurny może was już zwolnić. Podczas naszej rozmowy zrozumiałam, że dobrze się zastanowię, zanim zdecyduję się na oskarżenie. Ale proszę nie zaglądać do tej teczki, kiedy mnie nie będzie.

Zamknęła za sobą drzwi i zmęczona dodała:

- Masz fart, głupku.

## Rozdział 44

Komenda Główna Policji w Kopenhadze mieściła się w monumentalnym budynku, już on sam symbolizował władzę. Na zewnątrz sprawiał wrażenie surowego i tworzącego dystans – szary, przybrudzony mur z gruboziarnistą elewacją bez zdobień, jeśli pominąć wejście główne, gdzie z obu stron kolumnady zamontowano solidne żelazne klatki. Rzucające się w oczy i dosadne symbole, przesadnie ozdobione złotymi gwiazdami porannymi, przerośniętymi nad miarę, jeśli ktoś miałby mieć wątpliwości co do symboliki. Pozostała część budynku z wewnętrznym dziedzińcem o długich bokach ciągnęła się w zgrzebnym, neoklasykistycznym stylu wzdłuż ulic, okno za oknem, z których każde otwierało się do środka, żeby nie zaburzyć surowości fasady.

Kasper Planck nadał tempo, kiedy przechodzili przez plac Polititorvet, a Konrad Simonsen dostosowywał swoje kroki, co dało mu czas na podziwianie architektury. Zawsze podobał mu się prosty styl siedziby głównej, który dla niego był pełen rytmu i odpowiednio wyważony. Natomiast jego zdaniem wewnątrz budynek wyglądał znacznie gorzej, panowało tam zupełne pomieszanie stylów i był niezbyt funkcjonalny; przypominał hiszpański klasztor ozdobiony naśladowującą naturę mieszczańską ornamentyką i oświetleniem w stylu art déco w toaletach. Słynny wewnętrzny dziedzińiec z pseudoantycznym podwójnym rzędem kolumn i zbędną balustradą na trzecim piętrze uznawał za po prostu brzydki. Istnienie dziedzińca niosło za sobą nieszczęsną konsekwencję w postaci istnego labiryntu wijących się korytarzy różnej długości, które niemal uniemożliwiały orientację nowo przybyłym.

Simonsen poruszał się swobodnie po swoim miejscu pracy. Po drodze jednak zgubił Plancka, który natknął się na dawnego współpracownika. Wkrótce dotarł do wydziału zabójstw, gdzie zapukał do drzwi pokoju Arnego Pedersena; wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Pedersen stał na końcu pomieszczenia. Rozmawiał przez telefon, ale gwałtownie przerwał, gdy wszedł jego szef. Simonsen rzucił marynarkę na wieszak stojący w kącie.

– Co nowego?

– Jesteśmy już pewni tożsamości pięciu ofiar i ciągle napływają nowe informacje.

Pedersen ruchem ręki wskazał na tablicę za nim i dodał z chłopotem uśmiechem:

– A jak u ciebie? Słyszałem, że jesteś wypoczęty.

Simonsen zignorował tę uwagę i odwrócił się. Na środkowej tablicy nakreślony był schemat. Płachta papieru, przymocowana pinezkami w każdym rogu, wisiała krzywo. Pieczołowicie naprawił ten błąd, zanim zrobił krok do tyłu i skoncentrował się na treści.

**Thor Gran**

(Pan Północny Zachód)

Nieżonaty

Architekt

54 lata

Århus

**Palle Huldgård**

(Pan Północny Wschód)

Wdowiec

Dyrektor departamentu

63 lata

Århus

**Frank Ditlevsen**

(Pan Środek)

Rozwiedziony

Konsultant

52 lata

Middelfart

**Jens Allan Karlsen**

(Pan Południowy Zachód)

Żonaty

Emeryt

69 lat

Århus

**Peder Jacobsen**

(Pan Południowy Wschód)

Rozwiedziony

Szewc

44 lata

Vejle

Nad każdym nazwiskiem umieszczone było zdjęcie zmarłego. W dwóch przypadkach przerażone oblicza z filmów łatwo było rozpoznać, podczas gdy w trzech pozostałych były to zwykle fotografie z uśmiechem. Arne Pedersen skomentował:

- Tak, Elvang i jego zespół ekspertów harowali dzień i noc, żeby odtworzyć ich twarze, a tu dostajemy wszystko w ciągu kilku godzin.

Simonsen wzruszył ramionami.

- Tak to już jest. I nie zapominaj, że przecież sami ustaliliśmy trzy nazwiska.

- Z czego pewni byliśmy tylko jednego.

- Tak, tak, ale teraz to bez znaczenia. Inne informacje?

- Mnóstwo i cały czas napływają nowe. Każdą z ofiar zajmuje się dziesięciu ludzi, z wyjątkiem Franka Ditlevsena, oczywiście. Każda z grup ma osobę kontaktową w HS, lokalny komendant policji jest koordynatorem, ale, oczywiście, możesz to przeorganizować, jeśli uznasz za stosowne.

- Nie, jest w porządku. Wyroki za pedofilię albo inne dowody na zachowania seksualne wobec dzieci? Chcę dzisiaj potwierdzenia. Albo zaprzeczenia, o ile to możliwe. Dotyczy to każdego z nich.

- Peder Jacobsen był oskarżony, ale oskarżenie upadło, a było to dwanaście lat temu. Co do innych nie mamy jeszcze ustaleń, ale w ciągu dnia na pewno się dowiemy. Wszystkie grupy na tym się koncentrują.

Simonsen schwycił mazak i postawił grubo, czerwony znaczek przy Franku Dillevenie.

- Pamiętajcie o Jensie Allanie Karlsenie. Jego żona przecież opowiedziała o jego hobby, łózkowych zabawach z dziećmi.

Simonsen zastanawiał się nad jeszcze jednym znaczkiem i zdecydował się go nie stawiać.

- To nie wystarczy. Chcę mieć coś jeszcze oprócz zeznania żony. To samo dotyczy Pedera Jacobsena, odrzucone oskarżenie to za mało.

- Okej, na pewno to ustalimy. A co ze mną? Mam jechać do Århus?

- Nie, za to chcę mieć Hrabiankę z powrotem z Middelfartu, najpóźniej jutro. Pauline może zostać, jeśli uzna to za konieczne. To znaczy, jeśli Hrabianka tak uzna. Ty to załatwisz. Ustaliliśmy, czy zabici wybierali się na wakacje? A jeśli tak, to dokąd?

- Wiemy, że mieli jechać na wakacje. Wiemy, że na zagraniczne, i wiemy, że miały to być trzy tygodnie, chodziło zapewne o Tajlandię, ale nie znaleziono żadnego katalogu biura podróży ani niczego podobnego u żadnego z nich. Przyпускаjemy, że ich wakacje zaczynały się w minibusie w środę rano, w jakimś miejscu w Århus, i zgadujemy, że jechali w stronę lotniska Kastrup. Nie było jednak rezerwacji, które nie zostały wykorzystane. Tyle wiemy.

- Przypuszczamy i zgadujemy, robimy to już od niemal tygodnia. A co z mostem przez Wielki Bełt? Zakładam, że wyznaczyłeś ludzi do ustalenia, co tam mają ze środy rano?

- Tak, jasne, dwóch doświadczonych ludzi z Korsøru, ale... tak, to trochę gówniana sprawa...

Szukał słów, co nie zdarzało mu się często w sytuacjach związanych z pracą.

- Może zacznę inaczej. Widziałeś badania opinii publicznej na stronie internetowej „Dziennika”?

Simonsen nie ukrywał irytacji. Potrzebował snu, poczuł to wyraźnie teraz, gdy już się wyspał. A to, że nie znał wszystkich szczegółów, było po prostu logicznym następstwem dłuższego wypoczynku. Rozzłoszczony powiedział:

- Spałem, jak wiesz. A sen blokuje moją umiejętność czytania.

Pedersen udał, że nie słyszy sarkazmu.

- Pytają w nim ludzi, czy pomogliby policji w dochodzeniu w związku z zabójstwami pedofilów, tak je nazywają, czy też nie. To znaczy, zakładając, że mieliby istotne informacje. Sześćdziesiąt cztery procent odpowiedziało zdecydowanie, że nie. - Znacząco podniósł głos. - Pieprzone sześćdziesiąt cztery procent, Simon! To szaleństwo! Poza tym zamieścili link do strony jakiegoś wykładowcy z wydziału prawa, który daje przepis na to, jak ukryć przed nami informacje. Najbardziej efektywną i najprostszą metodą jest nie pamiętać niczego, niezależnie od tego, na jak bardzo umysłowo niesprawnego, debilnego czy niewiarygodnego się wyjdzie.

- A co wspólnego ma przejazd przez Wielki Bełt z tym, że czytelnicy bulwarówki zyczą sobie przywrócenia prawa dzungli?

- Obawiam się, niestety, że nie tylko czytelnicy „Dziennika” udają, że nic nie wiedzą. A film wideo z... no wiesz, z tym chłopcem, który określony jest jako mi-  
luški... uważam, że to jeszcze pognębiło sprawę. Nie widziałeś go?

- Widziałem. Przejazd przez Wielki Bełt?

- Tak, jasne. Więc te nagrania, które pokazują ruch na moście w przedziale czasowym, którym jesteśmy zainteresowani, w tajemniczy sposób gdzieś się zapodziały albo być może, przez przypadek, nagrano na nich coś innego. A do tego pracownicy mostu cierpią na zbiorową amnezję. A w każdym razie bardzo wielu z nich. Żaden niczego nie pamięta.

Simonsen miał przez chwilę mroczne myśli, ale szybko je od siebie odepchnął. Właściwy sens tego, co usłyszał, był niemożliwy do ogarnięcia i dlatego nie warto było na ten temat spekulować.

- Musimy brać rzeczy, jakimi są. Troulsen mówi, że Anni Staal dostała jeszcze dwa krótkie filmy z minibusa, których nie wrzucili na stronę. Co z nimi?

- Tak, to prawda. Trudno nazwać je filmami, to raczej sekwencje obrazów. Każda trwa krócej niż sekundę i nagrano je ze środka busa, przez okno na zewnątrz. Technicy uznali je za autentyczne; żadnych manipulacji przy zdjęciach czy innych sztuczek. Pierwsze pokazuje tylne wyjście z sali gimnastycznej, ale skąd jest drugie, tego nie wiemy. Widać tylko leżące odłogiem pole i fragment lasu w tle.

- Cholera wie, jakie to ma znaczenie. Jakieś pomysły?

- Nie, mnie też zdziwiły, ale nie mam żadnej rozsądnej propozycji. Nie miałem też ani chwili, żeby się nad tym zastanowić. W ogóle cierpię na potworny brak czasu. Zalewają nas raporty. Ilość papierów dotyczących sprawy rośnie w obłędnym tempie, a nikt nie nadąza z przeglądaniem informacji. Moja orientacja jest w najlepszym wypadku sporadyczna.

- To lepsze niż brak informacji.

- Masz rację.

- Ty zajmiesz się minibusem, Arne. Odjazd z Århus, skąd i kiedy, typ busa i miejsce rejestracji, miejsce drugiego ujęcia wideo i tak dalej, i tak dalej. Ja przejmuję odpowiedzialność za grupy na Jutlandii.

- W takim razie może to jest odpowiednie zadanie dla Arnego.

Obaj się odwrócili.

Planck wślizgnął się do środka. Trzymał telefon komórkowy.

- Jesteś chyba tym człowiekiem w Danii, z którym najtrudniej się skontaktować, Simon. Centrala zrobiła specjalną służę tylko dla ciebie, najwyraźniej trzeba pokonać trzy instancje, żeby cię usłyszeć w słuchawce.

- Żeby odsiać wszystkich wariatów. W przeciwnym razie nic bym nie robił poza gadaniem przez telefon. Już i tak jest źle.

- Ten tutaj nie jest ani wariatem, ani idiotą, a odesłano go dziewięć razy.

Simonsen wzruszył ramionami w teatralnym geście.

- Gdybyś tylko sam zechciał przestrzegać reguł. Dostanie minutę. Przekaż mu to.

- Generał kryminalny jest do pańskiej dyspozycji - dokonał wprowadzenia Plack.

- Proszę się nie spieszyć z wyjaśnieniami.

Następnie przekazał telefon.

Simonsen wziął go, wymamrotał swoje nazwisko i zaczął słuchać. Z jednej minuty zrobiło się pięć. Od czasu do czasu zadawał krótkie pytanie. Pedersen na próżno usiłował połączyć się w rozmowie, która najwyraźniej była istotna. Długo nie udawało mu się zgadnąć. Simonsen położył telefon na biurku, nie rozłączając się.

- Zdaje się, że zlokalizowano przystanek końcowy minibusa.

Wskazał na telefon.

- Zabierz go ze sobą, Arne. Wybierasz się do Frederiksværku. I nie masz czasu do stracenia.



## Rozdział 45

Rozkaz Konrada Simonsena, żeby możliwie najszybciej potwierdzić pedofilskie skłonności ofiar, rozszedł się po kraju jak kręgi po wodzie i mimo głośniejszej irytacji wielu funkcjonariuszy koniecznością pracy w weekend, policyjna maszyna miała efektywnie, więc uzyskano efekty. Poul Troulsen pospinał wątki. Wróciwszy właśnie z redakcji „Dziennika”, miał solidną wiedzę na temat każdego z zabitych. Kiedy uznał, że jest wystarczająco dużo materiału o każdej z ofiar, żeby ustalić ich preferencje seksualne, udał się do szefa. Simonsen czekał w swoim biurze, gdzie teraz wisiał schemat z charakterystyką zmarłych, po cichu wykradzony Arnemu Pedersenowi. Kolejny czerwony znaczek przypadł Jensowi Allanowi Karlsenowi z Århus alias Pan Południowy Zachód.

- Skrzynki pełne filmów wideo w piwniczce, a także liczne dyskietki, na których znaleziono również odciski palców Allana Ditlevsena, tego sprzedawcy kiełbasek z Middelfartu - referował Troulsen. - Poza tym polował na KidsOnTheLine.dk. Co najmniej cztery spotkania z wirtualnymi znajomymi, i to, niestety, spotkania jak najbardziej realne. Do tego jest osobą niepożądaną w organizacji duńskich skautów. Mam o tym opowiedzieć?

Simonsen zaprzeczył ruchem głowy i postawił przy nim znaczek.

Pedera Jacobsena, określanego jako Pan Południowy Wschód, trudniej było zaklasyfikować jako pedofila. Sprawa była z natury delikatna, a nikt wśród jego znajomych nie mógł albo nie chciał określić go tym mianem. W pozostałych po nim rzeczach również nie znaleziono niczego, co by wskazywało na pedofilskie preferencje seksualne. Policja pracowała ciężko i długo bezowocnie, ale w końcu wszystko rozstrzygnęło się w barze z hamburgerami w Brabrandzie:

Przy stoliku pod oknem siedzieli mniej więcej czternastoletni chłopiec i mężczyzna po czterdziestce. Dwóch policjantów w cywilu przeszło na ukos przez bar i jeden z nich podstawił mężczyźnie pod nos swoją odznakę.

- Spadaj - rozkazał policjant.

Drugi złapał jego kurtkę i rzucił mu ją na kolana. Uzupełnił zdanie swojego partnera:

- Teraz!

Mężczyzna posłuchał, nie protestując, a policjanci usiedli.

- Tommy, kiedy ostatnio coś jadłeś?

Warczący ton zniknął.

- Chyba wczoraj.

- Co byś chciał?

- Cheeseburger byłby ok.

- Wychodząc, kupimy ci dwa cheeseburgery.

Funkcjonariusz siedzący obok chłopca wyciągnął zdjęcie z wewnętrznej kieszonki. Było zwinięte w rulonik, kilkakrotnie potarł nim w tę i w tę o kant

stołu, żeby je wyprostować.

- Znasz go?

Chłopiec przelotnie spojrzął na fotografię.

- To jeden z tych, których zarżnięto, prawda? Widziałem w gazecie. Czy to prawda, co piszą?

- Tak, to prawda. Znałeś go?

- Kilka lat temu, teraz jestem za stary. Woli młodszych. Pogadajcie z Jørgenem albo Kasperem. Chyba też z Osmarkaną Sofie.

- Perwersyjny? Brutalny?

- Ani trochę. Straightforward, do środka, na zewnątrz, po sprawie.

Policjanci skinęli na siebie. To wystarczyło. Starszy z nich smutno spojrzął na chłopca. Jego syn był w tym wieku. Grał w gry wideo, był bramkarzem i czerwienił się, gdy wspomniało się coś o dziewczynach.

- Masz gdzie dzisiaj spać?

- Nie, właśnie o to zadbaliście.

- A może odwiozę cię do mamy? Na pewno się ucieszy na twój widok. Choćby na parę dni.

Chłopiec zastanawiał się nad propozycją, nieprzyzwyczajony do uprzejmości bez ukrytych intencji.

- Nie, dziękuję, ale miło, że pan zapytał.

Nie wytłumaczył przyczyn swojej odmowy. Policjanci podnieśli się, a wychodząc, jeden z nich kupił dwa cheeseburgery i sok. Dziesięć minut później Simonsen stawił czerwony znaczek przy nazwisku Pedera Jacobsena.

Także Palle Huldgård, który widniał na tablicy jako Pan Północny Wschód, przysporzył problemów. Przełom nastąpił dzięki pewnej policjantce. Mężczyzna, z którym się skontaktowała, był psychologiem z prywatną praktyką, miał akurat wolny dzień, jak większość ludzi w niedzielę. Wizyta u niego była jej własnym pomysłem, który początkowo wydawał się dobry, choć niesztampowy; teraz była tego mniej pewna. Psycholog był podejrzliwy, odpowiadał krótko i zwięźle, tak jakby już odgadł, czego chciała. Powiedziała otwarcie:

- Jestem w zespole, który bada Huldgård. Zabito go dziesięć dni temu w szkole Langebæk w Bagsværdzie. Wiemy, że obie jego córki przychodzą do pana na konsultacje. Nazywają się Pia i Eva Huldgård.

Patrzyła mu prosto w oczy, nie widząc reakcji na imiona, tylko wzrastającą wściekłość. Odrzuciła uprzejmości i zaostrzyła ton:

- Właśnie teraz moich dwudziestu kolegów od podszewki sprawdza życie Huldgård. Musimy między innymi ustalić, czy był pedofilem, a wielu świadków zeznało, że zapewne wykorzystywał własne córki, gdy były małe. Brutalne kazirodztwo przez wiele lat. Wspominali też o panu.

- „Brutalne kazirodztwo”. No proszę. Nigdy nie słyszałem o jego delikatnym wydaniu. Proszę mówić dalej.

- To wszystko, zgadł pan przecież, do czego zmierzam. Albo potwierdzi pan molestowanie, o ile tak było, albo zabierzemy się do przepytывania córek.

Nie zdradziła, że obie jakby zapadły się pod ziemię, co było właściwym powodem jej wizyty. Przeciwnie, z konieczności uczyniła cnotę:

- Czego zarówno one, jak i ja najchętniej byśmy uniknęły. Potrafię to zrozumieć. Wyobrażam sobie, jak nieprzyjemna by była taka rozmowa.

- Wątpię, że może to sobie pani wyobrazić. Tylko garstka ludzi może. Dzięki Bogu.

Nie odniosła się do tego, zamiast tego go zachęcała:

- To zostanie między nami. Nigdzie nie padnie pana nazwisko.

Zastanawiał się długo, a ona czekała.

- Jeśli nie złamię wszelakich zasad etycznych, odbije się to na Pii i Evie. Czy tak mam to rozumieć?

- Niestety tak.

- Ma pani potwierdzenie, proszę sobie iść.

Tak zrobiła. Bardziej zadowolona z tego, że już wyszła, niż z samego efektu wizyty.

W Kopenhadze przy nazwisku Huldgård postawiony został znaczek.

Późnym popołudniem zarysował się jednoznaczny obraz.

- Otrzymałem wiele podwójnych potwierdzeń, a nawet potrójnych, i to z niezależnych od siebie źródeł - podsumował Troulsen. - Pojawiają się jak bąble powietrza w zbiorniku z gnojówką, chcesz znać więcej szczegółów?

- Na pewno nie. A co z Thorem Granem?

Thor Gran był Panem Północnym Zachodem i przy jego nazwisku, jako przy ostatnim, brakowało znaczka.

- Pomijając osławiony film z minibusa, najwyraźniej wychodzi poza nawias. Miał co prawda w domu liczne albumy z fotografiami, których podejrzenie duża część przedstawiała nagie dzieci, ale chodzi o artystyczną formę wyrazu, bez podtekstów seksualnych, co sytuuje materiał w zakresie estetyki, a nie pornografii, zarówno w prawnym, jak i zwykłym moralnym rozumieniu.

- Tak, oczywiście. Nie możemy tego do niczego wykorzystać. Nie ma nic innego?

- Pięć albo sześć razy w roku wyjeżdżał na krótkie wakacje. Wyprawy trwały około tygodnia, najczęściej jeździł do miejsc, w których dzieci mogły być główną atrakcją, więc może na co dzień utrzymywał preferencje na wodzy, a folgował sobie tylko za granicą. Ale to tylko spekulacje. Faktem jest, że badamy jego życie w coraz to szerszych kręgach i niczego nie znajdujemy...

\*

Kiedy Simonsen zadzwonił, Berg i Hrabianka były w Middelfarcie i jadły. Ta ostatnia opuściła restaurację na czas rozmowy. Berg została i dziobała swoje danie, ale nie smakowało jej i wolała być później głodna, niż zmuszać się do jedzenia. Hrabianka szybko wróciła. Położyła przed nią bilet, zanim usiadła.

- Idziesz na mecz piłki ręcznej, skarbie, a ja niestety jadę do Århus. Jest problem z jednym z zabitych, chodzi o to, czy był pedofilem czy nie. Nawet nie wiem, czy zdołam coś wskórać, ale Simon maniakalnie wręcz naciska na wyjaśnienie sprawy jeszcze dzisiaj.

- To znaczy, że mam przejąć twój kontakt? Nie da się tego przełożyć?

- A dlaczego? Ty się tym zajmiesz, na pewno dasz radę. Zaraz powiem ci, jak załatwiłam to spotkanie. W nieco specyficzny sposób.

- Okej, niech będzie, ale nie mogłybyśmy najpierw dokończyć z filmem?

Hrabianka patrzyła przez parę sekund w przestrzeń, następnie wolno powiedziała:

- Odpowiedź na twoje pytanie jest taka, że obejrzenie jednego z tych filmów będzie dla ciebie z pewnością ważne. Coś podobnego widziałam ostatnio parę lat temu i, tak, cieszę się, że widziałam. Zaczęłam patrzeć na sprawy z innej perspektywy. Podjedziemy do willi, weźmiemy wideo i laptopa do hotelu, ale ostrzegam cię. To niezbyt miłe, przeciwnie, to gorsze, niż się wydaje.

Berg z powagą pokiwała głową. Potem zmieniła temat:

- A co z tą piłką ręczną? Muszę obejrzeć mecz? Nie mogę wykorzystać biletu tylko po to, żeby wejść do kawiarni? Sport mnie nie pasjonuje.

Hrabianka się zaśmiała.

- Jeśli możesz oglądać dziecięcą pornografię, żeby poszerzyć swoją wiedzę merytoryczną, to możesz też iść na mecz piłki ręcznej.

I tak się stało.

Trzy godziny później Hrabianka marzyła wręcz, żeby role się odwróciły. Gdy Pauline Berg oglądała jej mecz, ona siedziała w Århus z lokalnym policjantem i pewną staruszką i aż krzyczała w środku z irytacji wywołanej polityczną skamieliną, która musiała być dobrze po dziewięćdziesiątce, a która - wedle słów jej pielęgniarki domowej - mogła opowiedzieć nieprzyjemne historyjki o Thorze Granie z lat jego młodości. Może i mogła, staruszka była wystarczająco sprawna umysłowo, ale tego po prostu nie robiła.

Starsza pani była komunistką, i to od ponad siedemdziesięciu pięciu lat. W dawnych czasach nazywano ją Stalin Sally albo Rosyjska Sally - były to przydomki, które nosiła z dumą. Jeszcze bardziej dumna była z tego, że raz słyszała przemówienie Berii na żywo. Jej głos był cienki, ale wyraźny:

- Sam Ławrientij Beria. Było to w Tbilisi w trzydziestym siódmym roku, podczas nadzwyczajnego kongresu partii. Siedziałam w drugim rzędzie i słuchałam tej słynnej mowy, w której demaskował istne węzowe kłębowisko zdradzieckiej działalności przeciwko Zakaukaziu, aż w samym armeńskim Komitecie Centralnym. Potrafił zachęcić ludzi do słuchania, ten drobny, uroczy Megrel. Wszyscy świętowali na ulicach i żądali sprawiedliwości wobec zbrodniarzy faszystowskich i trockistowskich odszczepieńców, odbył się krótki proces, rozumiecie, co mam na myśli.

Pomarszczoną dłonią przejechała po szyi, podkreślając właściwe znaczenie tego ostatniego. Hrabianka spokojnie pokręciła głową i co najmniej po raz piąty powiedziała:

- Ale co z Thorem Granem? Obiecała pani opowiedzieć o Thorze Granie. Dlatego tu jesteście.

- Dojdę do niego, ale sprawy się ze sobą łączą. Mam na jego temat kilka pikantnych szczegółów, coś, co możecie wykorzystać, uwierzcie.

Po czym kontynuowała tę nieistotną dla sprawy opowieść. Gdy jakiś czas później skończyła wychwalać Berię, przeszła do Kołontaj. Samej Aleksandry Kołontaj, którą spotkała w Sztokholmie podczas wojny. Później był Richard Jensen. Ów palacz na statku, we własnej osobie, który zdemaskował przewodniczącego partii jako renegata, na długo zanim ten się zdradził.

Po godzinie pustego przebiegu i tour de force przez uroki komunizmu funkcjonariusz policji kryminalnej się poddał. Wychodząc, rzucił cicho uwagę o tym, że

sam był w tej samej kasie chorych co Vivi Beck. Poza tym srał w tym samym kiblu co książę Joachim, dokładnie w tym samym kiblu. Potem sam znalazł drogę do drzwi wyjściowych.

Hrabianka została. Była przekonana, że wyczuła starszą panią. Ta kobieta była snobką na swój własny czerwony sposób, a ona sama miała nieco do zaoferowania w tym zakresie. Zwłaszcza gdyby, zgodnie z najlepszą komunistyczną tradycją, nieco nagięła rzeczywistość. Głośno przerwała staruszce:

- Mój dziadek znał Dymitrowa.

Kobieta przerwała swój monolog i spojrzała podejrzliwie.

- Tego Dymitrowa? Przewodniczącego Kominternu?

- Właśnie tak. Georgiego Dymitrowa w jego własnej szacownej osobie.

Hrabianka nasłuchiwała się tego nazwiska aż do znudzenia. Sąsiedzi z dołu w jej domu rodzinnym byli uciekinierami z Bułgarii; uprzejme starsze małżeństwo, które małym dziewczynkom dawało cukierki i oranżadę i opowiadało historie z odległego świata śmiesznym, łamanym duńskim. A także przeklinało Georgiego Dymitrowa tak zaciekłe, że to nazwisko po czterdziestu latach nadal było wyryte w jej pamięci. Starsza kobieta okazała zainteresowanie.

- Proszę opowiedzieć.

- Nie, nie, coś za coś, najpierw pani. O Thorze Granie i tylko o Thorze Granie, jeśli w ogóle wie pani coś na jego temat. Później ja opowiem o przewodniczącym komitetu.

Kobieta rozważała propozycje z podejrzliwością.

- Kominternu. On był przewodniczącym Kominternu.

- Tak, oczywiście, jasne, że tak. Każdy to wie.

Wreszcie staruszka zaczęła opowiadać.

- Jestem wykwalifikowaną szwaczką obuwia, a na początku lat sześćdziesiątych pracowałam u ojca Thora Grana, właściciela fabryki obuwia i giełdowego spekulanta. Byłam mężem zaufania, pracowało tam, kurenka, ponad sto osób, więc to było coś. Dom właściciela stał obok fabryki, więc śledziliśmy dorastanie jego syna. Zepsuty i wyniosły chłopak, który nie potrafił utrzymać rąk przy sobie, gdy nadszedł wiadomy czas. I nie inaczej było. My umiałyśmy usadzić takiego szczeniaka. Gorzej było z córeczkami ogrodnika. O takich rzeczach chce pani posłuchać, prawda?

Hrabianka potwierdziła. Niepewna, czy kobieta zmyśla czy najpierw chce się upewnić, na ile jej mylne założenie odpowiada wyobrażeniom policjantki.

- Działo się tak przez pewien czas, aż pewnego dnia złapano go ze spuszczonymi spodniami, dosłownie, i wtedy rozpętało się piekło. Ogrodnik, który kochał swoje dzieci, groził policją, ale stary odwiódł go od tego, a sprawę załatwiono za pomocą pieniędzy. Co się stało, to się przecież nie odstanie, a dziewczynkom mimo wszystko przydała się ta spora sumka, chociaż ten zboczony szczeniak powinien był trafić za kratki. Prowadziłam negocjacje, tak chciał ogrodnik. Nadają pani?

- Całkowicie, proszę kontynuować.

- Tak, fabrykant był oczywiście zgniłym kapitalistą, ale też uczciwym człowiekiem i muszę powiedzieć, że musiał głęboko sięgnąć do kieszeni. Osiemdziesiąt tysięcy koron dla każdego dziecka, a ponadto dwadzieścia tysięcy na nowy dom na Bornholmie dla rodziny. Wtedy to było sporo pieniędzy, ale chyba żadna

z dziewczynek nie doszła potem całkiem do siebie, więc nie wiem, na ile to pomogło. Po porządnym laniu od ojca synalek został wysłany do szkoły w Anglii. Ta kara była częścią umowy, ale ją akurat najłatwiej było przeprowadzić.

Hrabianka nie była pod wrażeniem. Z jednej strony ten epizod miał miejsce ponad czterdzieści lat temu, a z drugiej wiarygodność kobiety była znikoma, żeby nie rzec rodem ze Związku Radzieckiego, a uzyskanie potwierdzenia od kogoś innego nie byłoby łatwym zadaniem. Jednocześnie czuła, że ta stara wiedźma coś przed nią ukrywa. Zaryzykowała.

- Ale opowiedziała pani oczywiście tę historię partyjnym kolegom. A gdy Thor Gran wrócił z Anglii...

Zdanie zawisło w powietrzu. Kobieta odpowiedziała niechętnie:

- Tak, oddawał nam od czasu do czasu pewne przysługi. Chyba.

- Po rozpadzie partii nadal oddawał pani przysługi?

Stara tryskała jadem wściekłości.

- Partia istnieje. Partia zawsze będzie istnieć. Poza tym miał wystarczająco dużo pieniędzy, był właścicielem biura architektonicznego.

- Jak dużo?

Minęło trochę czasu, zanim odpowiedziała:

- Różnie, kilkaset, gdy tu przychodził.

Hrabianka ukryła zaskoczenie.

- Odwiedzał panią?

Kobieta wskazała na wazon stojący na regale z drzewa tekowego, znajdującym się za nimi.

- Proszę go zdjąć.

Hrabianka przyniosła wazon. Był tani, z greckim motywem trzech tańczących kobiet. Potrząsnęła nim, rozległ się metaliczny odgłos.

- Co przechowują te trzy gracje?

Starsza kobieta syknęła.

- Gracje! Miałabym mieć w domu jakieś gracje? Proszę odwrócić wazon do góry dnem.

Posłuchała, a ze środka wypadł klucz.

- Co teraz?

- Pod łóżkiem, duża drewniana skrzynka z okuciami, sama nie mogę jej wyciągnąć.

Ale Hrabianka mogła; otworzyła ją z zaciekawieniem. Na wierzchu leżała domowej roboty broszurka o trzytygodniowych wakacjach w Chiang Mai, w Tajlandii. Dwie strony pokazywały azjatyckie dzieci.

Były przy nich numery.

Wzrok Hrabianki zatrzymał się na chwilę przy chłopcu w górnym rzędzie, na prawo. Nie mogła się powstrzymać, chociaż nie było w nim nic szczególnego w porównaniu z innymi. Zwyczajny, uśmiechnięty chłopiec z białymi zębami i o nadto dziecięcych rysach.

Starsza pani odwróciła się plecami do skrzynki.

- Nie mam nic wspólnego z tymi świństwami, które przechowujesz. Proszę opowiedzieć o Dymitrowie, skąd pani dziadek go znał?

- Mogę zacząć od traktowania osadzonych w pewnym bułgarskim więzieniu w czterdziestym szóstym. Dużo o tym słyszałam, potem o tym pomówimy, ale naj-

pierw muszę zadzwonić.

Gospodyni syczała, Hrabianka dzwoniła, a Simonsen postawił ostatni znaczek.

## Rozdział 46

Pauline Berg pierwszy raz w życiu była na meczu piłki ręcznej. Przyszła przed czasem i ze swojego miejsca z niejakim zaciekawieniem obserwowała, jak do hali stopniowo napływają pełni nadziei kibice lokalnej drużyny. Wokół niej toczyły się rozmowy o piłce, ale dyskutowano też o dzisiejszych filmach wideo, a w powietrzu wirowały pełne nienawiści, kakofoniczne urywki: „nikomu to nie wadzi; dostali, na co zasłużyli; wreszcie jakieś rozwiązanie na to łajdactwo; dobrze widzieć, jak te kanalie dyndają; zgnieście jaja kolejnym”.

Czuła się obco. Omyłkowo umieszczona wśród tej agresywnej publiki, która tak bardzo różniła się od widzów na przedstawieniach baletowych i tanecznych. Już same stroje były odstrasżające. W rzędzie za nią trzy kobiety miały twarze pomalowane w barwy wojenne, a w swoich krzykliwych koszulkach klubowych i takich samych szalach przypominały bardziej boginie zemsty niż entuzjastki sportu. Na lewo siedział mężczyzna z wielkim brzuchem, w spranych spodniach roboczych, który wyglądał na murarza. Od czasu do czasu złowróźnie uderzał zwiniętym w rulon programem meczu, na zmianę to w jedno, to w drugie udo, chyba tylko dla samego hałasu. Siedzenie po prawej długo pozostawało puste, ale w ostatniej chwili zjawił się także jej drugi sąsiad – wysoki i chudy jak tyczka wijąca się między ludźmi i forsująca rząd długim eleganckim ślizgiem, który znalazł finał obok niej. Mężczyzna przywitał się przymilnie, lekko sepleniąc; skinęła pośpiesznie głową i na jej twarzy wykwitł udawany uśmiech.

Sędzia rozpoczął grę, a ona usiłowała za nią nadążyć. Było to trudne, bo przedstawienie przebiegało szybko i rutynowo. Nagle publiczność eksplodowała zsynchronizowanym wrzaskiem. Przestraszona wcisnęła się w fotel, murarz wykorzystał zamieszanie, żeby chwycić ją za ramię, a na wrzaskliwy sygnał komentatora dźwięki przerodziły się w wyuczoną zabawę w imiona. Jej tyczkowaty sąsiad nie brał w niej udziału i pomyślała, że może kibicuje przeciwnej drużynie.

Stopniowo jednak poddawała się atmosferze, nauczyła się na własny użytek odszyfrowywać grę, a nawet okrzyki znajdujących się na rzeczy fanów drużyn, wprawnie interpretujących wydarzenia na boisku; zaczęła poddawać się tym pełnym pasji wyładowaniom i urzekającym zbiorowym wzorcom poruszania się. Jak liście na drzewie, umiejętnie dopasowujące się do kierunku wiatru. Powoli zaczynała kłaskać z innymi, podnosić się z siedzenia, gdy padała bramka, i wyć w odpowiednich momentach.

W przerwie widzowie zbierali siły, oszczędzali gardła i uzupełniali zapasy. Sprzedawano popcorn, czekoladę, jabłka, banany, podczas gdy trącące myszką piosenki wypełniały eter. Uśmiechnęła się do murarza, który przyjaźnie ją poklepał.

Była gotowa od pierwszego gwizdka drugiej połowy. Cała hala świszczała i szumiała, a ona razem z nią. Punkt kulminacyjny dotychczasowej gry nastąpił, gdy lokalna drużyna wreszcie wyrównała wynik; chwila ta wybuchła euforycznym desz-



czem triumfu i popcornu. Wrzeszczała z radości i podskakiwała. Jakieś jabłko przeleciało miękkim łukiem, nie rzucone, ale upuszczone w euforii. Jej wysoki sąsiad złapał je z prędkością błyskawicy, wykazując się imponującym refleksem. Przyjrzał się swojej zdobyczy, szybko, kilkakrotnie oblizując usta. Wyszuszony zaskroniec z rozdwojonym językiem; jego połowiczne zaangażowanie sprowokowało ją, niedelikatnie go popchnęła i krzyknęła ze złością:

- Dzisiaj wygramy my!

Westchnienie niosące się po hali najprawdopodobniej zagłuszyło jej słowa, nie usłyszał ich i źle zinterpretował jej złość. Usłużnie wysunął dłoń z owocem. Schwyciła prezent i obojętnie wrzuciła go do torby, chcąc uwolnić się od jego uprzejmości.

Grze drużyn towarzyszyło nieznośne napięcie, zegar odliczał czas i krótko przed końcem wszystko wskazywało na remis, ale wtedy nastąpił atak przesądzający o wyniku meczu. Pięć podań w kontrataku, nim piłka trafiła do bramki przeciwników. Gol spowodował, że jedna ze sprężyn w ciele Berg wystrzeliła, a ona sama z dzikiej radości wyskoczyła na niebezpieczną wysokość. Potem w zachwycie rzuciła się w objęcia murarza, szczęśliwa pociągnęła go za policzki i przyjęła ślinę jego radości na szyi. Następnie wskoczyła na krzesło i pozwoliła ciału opaść do tyłu z ramionami rozpostartymi w geście zwycięstwa, pewna, że wspólnota ją złapie.

Po meczu pospieszyła do kawiarni. Przystawienie się na pracę wydawało się niewłaściwe, musiała się skoncentrować, żeby pozbyć się uczucia euforii. Całkowicie udało się to dopiero, gdy zobaczyła mężczyznę siedzącego z tyłu pomieszczenia i łatwego do namierzenia. Przyjemny z wyglądu pan pod pięćdziesiątkę, schludny, dobrze ubrany, porządnie przystrzyżony. Berg nie podała mu ręki, to by było nieprofesjonalne, ograniczyła się do krótkiego skinienia głową, zanim usiadła.

Zaczęła od przetestowania, czy on kłamie:

- Dziękuję za przyjsście. Czy Allan Ditlevsen sprzedawał w swojej budce z kiełbaskami zakazane filmy?

Musiała czekać na odpowiedź. Gapił się na jej szyję, a ona walczyła z obrzydzeniem.

- Proszę sobie nie robić złudzeń. Jestem tu wyłącznie z powodu pani gestapowskich metod, a pani, jak widzę, jest tak w ogóle chrześcijanką. W tym znaku zwyciężaj.

Wskazał na naszyjnik, który w czasie wybuchów zachwytu wysunął jej się na wierzch bluzki i wisiał w widocznym miejscu. Ładnie zespolone ze sobą litery X i P ze złota, które lata temu dostała od swojego greckiego chłopaka, pierwsze litery ich imion.

- A nie potrafi pani nawet zaakceptować zapatrywania innych ludzi na miłość.

Zirytowana schowała ozdobę pod ubranie.

- Proszę skończyć z tymi bredniami, niedobrze mi od tego.

- Kulturalna politura jest cienka, jak słyszę.

- Jeśli rzeczywiście chce pan wiedzieć, to tak. Gwałcić i krzywdzić dzieci jednego dnia, a następnego krzyczeć o kulturze i ochronie prawnej. Czasami żyć byłym sobie, żeby społeczeństwo chrzaniło kulturę i normy prawne.

- Tak, to życzenie chyba się właśnie spełnia.

Rozmowa zbczyła z właściwego toru. Berg pozbierała się.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, żebyśmy oboje mieli to już za sobą.

Mężczyzna docenił rozsądek.

- Tak, Allan sprzedawał filmy.

Więcej informacji padło dopiero, gdy Berg zagroziła przerwą.

- Proszę zacząć mówić. Nie chce mi się wyciągać z pana każdego słowa. Albo pan opowie, albo przerywamy.

Mężczyzna dodał ze złością:

- Allan sprzedawał filmy wideo w budce z kielbaskami i miał wielu klientów, zwłaszcza z Jutlandii. Był bardzo ostrożny i handlował jedynie z tymi, których znał, przyjmował tylko gotówkę. Poza tym był drogi, ale jakość też była dobra. Klienci musieli kupować co najmniej trzy razy w roku, inaczej wypadali z gry, ale wielu kupowało co miesiąc. Od dawna sprzedawał, wcześniej to były kasety. Jednak nie były takie dobre. Wydaje mi się, że zmienił dostawcę rok albo dwa lata temu. Materiał przywożono chyba z Niemiec, a bracia sami go montowali.

- Frank Ditlevsen był w to zaangażowany?

- Tak, Allan niczego nie robił bez Franka, potwornie się go bał. Frank był moim zgiem, Allan był o wiele za głupi na samodzielne prowadzenie takiego interesu.

Berg wyciągnęła „Dziennik” i położyła przed mężczyzną. Uśmiechnęła się pod nosem, zobaczywszy, jak się w sobie skurczył.

- Którego z nich pan znał?

- Wszystkich.

- Czy mieli taki sam stosunek do dzieci jak pan?

- Tak.

- Mieli wyjechać?

- Trzy tygodnie w Tajlandii, a wyjazd zorganizował Frank. Było wyjątkowo tanio, poniżej dziesięciu tysięcy, włączając luksusowy hotel, posiłki i wycieczki.

- Jak zwerbowali uczestników?

- Tego nie wiem, prawdopodobnie przez budkę z kielbaskami, ale wszystko załatwiono po cichu. Jak we wszystkich działaniach braci.

- Pan nie został zaproszony?

- Nie mogłem dostać wolnego.

- A co z Allanem Ditlevsenem, też nie mógł wziąć wolnego?

- Zachorował i wzięli go do szpitala na usunięcie kamieni żółciowych, więc Frank musiał załatwić zastępstwo. Nie wiem kogo, ale to raczej nie było trudne.

- Czy Frank Ditlevsen sam zorganizował wyjazd?

- Nie sądzę, ale to tylko przypuszczenia.

- Proszę je zdradzić.

- Zapewne był w to zaangażowany także jeden z dawnych chłopców Franka, który przywoził filmy z Niemiec; miałem wrażenie, że on także miał coś wspólnego z wycieczką, ale nigdy go nie widziałem. Frank trzymał go w ukryciu, a Allan nie mógł nic mówić. Jestem jednym z niewielu, którzy w ogóle wiedzieli, że on istnieje.

- Dawnych chłopców, kogo ma pan na myśli?

- Jednego stamtąd, gdzie dawniej mieszkali. Na Zelandii, nie pamiętam gdzie.

Berg przepełniała radość i duma. Informacje, które właśnie uzyskała, były najprawdopodobniej najważniejszymi dotychczas tropami w sprawie. Na próżno zadawała kolejne pytania, mężczyzna nie znał na nie odpowiedzi.

- Tu skończymy, jeszcze ostatnia rzecz i będzie pan mógł sobie iść. Tak z czystej ciekawości, jak to możliwe, że żaden z was nie chce nam dobrowolnie pomóc, skoro wiecie, że sześciu z... waszych szeregów zostało zamordowanych. Przecież usiłujemy znaleźć waszych zabójców.

Mężczyzna parsknął pozbawionym radości śmiechem.

- Znaleźć naszych zabójców? To naiwne.

Podniósł się i pośpiesznie wyszedł.

Po powrocie do hotelu Berg wzięła długi, gorący prysznic. To był niesamowity wieczór, zarówno mecz, jak i przesłuchanie, nie mogła się doczekać, aż Hrabianka znów się pojawi, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. „Dawni chłopcy”, dwa małe słówka, które mogły być decydującym przełomem w dochodzeniu.

Po kąpeli usadowiła swoje ładne, nagie ciało na łóżku i nie spiesząc się, wcierała krem. Jej wzrok spoczął na laptopie i sama z sobą ustaliła, że chwila była odpowiednia na dziesięciominutową, nieprzyjemną informację pogładową. Nieprzygotowana zaczęła oglądać filmy i zapłaciła za to. Cena była wysoka, wpatrywała się w monitor z przerażeniem.

Chłopiec był mały, o wiele, wiele za mały, tak podły nie mógł być nikt. Wykrzyczała to w głąb pomieszczenia, chciała wyłączyć, nie mogła, wejrzała w piekło. Zaczęła płakać. Najpierw cicho, potem zanosząc się szlochem. Stopą zamknęła ekran, przykryła oczy dłońmi, ale obrazy nie przestały się przesuwac w jej głowie, zaczęła się kiwać w przód i w tył jakby była chora. Naszyjnik wplątał się w jej wilgotne włosy, walczyła, żeby go uwolnić, żeby skoncentrować się na czymś innym. Nic nie pomagało. Nagle przypomniała sobie mężczyznę z kawiarni i opanowała ją przysłaniająca wszystko wściekłość. „Wysoka jakość”. Tak właśnie ta kanalia nazwała to wykorzystywanie. „Wysoka jakość”. Wytarła oczy, najpierw nagim ramieniem, potem chusteczką wyciągniętą z torebki, gdzie także leżało jabłko z meczu. Zjadła je, pochłaniając cały ogryzek, łydźkę, wszystko, podczas gdy wściekłość stopniowo gęstniała ku kontrolowanej, palącej nienawiści. Zadzwoił telefon, na wyświetlaczu pojawił się numer Hrabianki. Wstała. Naszyjnik zaczępił się o loki, rozerwała go i wściekle rzuciła na podłogę. Z nim poleciała kępka włosów.

Cukier z owocu został wtłoczony przez krew do mózgu i znów myślała trzeźwo, zaskakująco klarownie; bez wahania skonfrontowała się z własnym problemem. W ostatni piątek Hrabianka groźbą zmusiła ją do spolegliwości, a ona się podporządkowała, pozwoliła się zdominować. Być może dlatego, że zazdrościła koleżance zdolności, a jeśli cała prawda miała wyjść na wierzch - to także jej odlotowego domku letniskowego. Który zresztą był sztuczką podatkową, sposobem na to, by stać się jeszcze bogatszą, ale to już była inna historia. Myśli kłębiły jej się w głowie, a ona skradła chwilę na przemyślenia:

- Poczekaj chwilkę, bateria mi się kończy, przyniosę ładowarkę.

Ze wspólną pracą jest jak z małżeństwem - jeśli niezgodność jest zbyt duża, trzeba się rozstać, znaleźć innego partnera do łóżka. Faktem było, że ona akceptowała zabójstwa, a Hrabianka nie. Molestowane dzieci nienawidziły swoich rodziców, ludzie prześladowali pedofilów, oczywiście, tak powinno być. Harowała całą niedzielę w imię sprawiedliwości, a złośliwy Bóg nagrodził ją zgwałconym dzieckiem. Jej wiara w miłosierną miłość bliźniego poszła precz, zniknęła w zagubionych oczach tego pięcioletniego dziecka i inna, bardziej pierwotna prawda dobi-

jała się do drzwi. Prawo przeciętnego człowieka; zdanie większości ludzi; stara, dobra zemsta.

Była gotowa. Najpierw słuchała: Hrabianka wróci za godzinę, sprawy się przeciągnęły; potem jej odpowiedź, która padła bez wahania:

- Okej, w takim razie idę spać. Do zobaczenia jutro. Ten od ręcznej okazał się niewypałem. Nic nie wiedział.

Skończyły rozmowę. Uśmiechnęła się gorzko i nagle poczuła zawstydenie z powodu swojej nagości.

## Rozdział 47

Dwóch mężczyzn przedzierało się przez pole, które naznaczyła już jesień i nie sprzyjało spacerom. Błoto kleiło się do gumiaków Stiga Ågego Thorsena, Erik Mørk miał zniszczone buty, a poza tym przemoczone nogawki. Mógł jednak winić za to tylko samego siebie. Mimo mżawki i szarości nieba kopenhawczanin nalegał, żeby wyjść na świeże powietrze. Rolnik się podporządkował i nie protestując, pozwolił swojemu przyjacielowi ustalić trasę.

- Jak właściwie było w Grecji? Wycieczka się udała?

Thorsen zwlekał z odpowiedzią.

- Najchętniej bym o niej zapomniał. Była tam pewna kobieta, ale... tak, nic z tego nie wyszło. Powiedz, jak rozwija się kampania, wolałbym o tym pogadać.

Mørk przytaknął, zadowolony, że nie musi słuchać o tej kobiecie.

- Jesteśmy potwornie zajęci. Ze wszystkich zakątków kraju napływa pomoc, telefony, mejle, faksy, SMS-y albo ludzie, którzy pojawiają się osobiście. Tyle się wydarzyło... Najlepsze jest chyba to, że stworzyliśmy bazę danych z pedofilami. Zbudowaliśmy ją na podstawie odpisów wyroków i centralnego rejestru osób, a także kartoteki klientów, którą Drzewołaż podprowadził w Middelfarcie. Najwidoczniej Per Clausen już dawno temu rozpoczął pracę z jakimś archiwistą jako primus motor. Jego raport nosi tytuł Zagrożeni recydywą i kompulsywni seksualni odszczepieńcy, tak, nie jest to może potencjalny kioskowy bestseller, ale rezultaty są wyborne. Poza tym w rekordowym czasie zbudowaliśmy świetną sieć informacyjną: o większości z tego, co się dzieje w mediach albo w Christiansborgu, wiem już po pięciu minutach. Dziś wieczorem mam spotkanie z producentem telewizyjnym. Jest legendą, jeśli chodzi o programy dokumentalne, ale obiecałem nie podawać jego nazwiska. Clausen skontaktował go z pewną dziewczyną, ponoć absolutnie fantastyczną. Jest jedną z nas, przygotowują ją do wywiadu.

- Dobrze, dobrze, ale co myślą zwyczajni ludzie? To chciałbym wiedzieć.

- No więc, zdjęcia w „Dzienniku”, te z dzisiejszego ranka, okazały się hitem, a tym, co najbardziej wpływa na ludzi, jest bez wątpienia lubieżne zdemaskowanie się Thora Grana... Tak, rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

- Tak, dziękuję. Ale nie przypominaj mi o tym.

- Dobrze; wszyscy tak, cholera, reagują. To jest naprawdę perełka i mówię ci, po prostu piałem z zachwytu, gdy pierwszy raz to zobaczyłem. Określenie „mały troll numer trzy” wgrzyzło się w mózgi wielu ludzi, a ci pokojowo nastawieni, przeciwni przemocy, nagle stali się... jak by to powiedzieć... bardziej otwarci na niuanse. Z jednej strony morderstwo jest oczywiście niewłaściwe, ale... no, rozumiesz, to tak jak z terroryzmem i torturami.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, ale nieważne. Ile dostałeś zgłoszeń przez stronę internetową?

- Prawie osiem tysięcy, przynajmniej do tej pory, ale dzisiaj na bank dobijemy do dwunastu tysięcy. Wola poświęcenia jest zresztą u ludzi zaskakująco silna: wielu jest gotowych robić rzeczy, które mogą pozbawić ich pracy, inni chcą przekazać pieniądze. Spotkałem się między innymi z kilkoma uroczymi panami reprezentującymi trzy wielkie amerykańskie organizacje kościelne, jeśli chodzi o poglądy polityczne: niezłe przesunięcie na prawo, ale mają masę środków. Chcą nas wesprzeć finansowo, najchętniej anonimowo, więc pozwolimy im później zapłacić za serię całostronicowych ogłoszeń w gazetach.

- Ale co z tymi, którzy po prostu się zgłaszają?

- Dzielimy ich na trzy kategorie. Większość z nich łączymy w lokalne grupy, które zaczynają działać na swoim terenie. Kategorię drugą prosimy o stawienie się i pomoc. Mamy teraz między innymi dwóch prawników, którzy porównują wymiar kar za pedofilię w Danii i za granicą. Ich ustalenia będą jutro na stronie internetowej, a raport wyślemy do wszystkich instancji podejmujących decyzje. Problem w tym, że wkrótce już nie będzie nas mogło być więcej, fizycznie. No i ostatnia kategoria: to ci... jak to powiedzieć? To temperamentni, a jest ich wielu, ale obchodzimy się z tym dyskretnie. Także wewnętrznie. Nie wszyscy moi współpracownicy wiedzą, że ich rejestrujemy, wiesz, co mam na myśli?

Thorsen potakująco skinął głową, mimo że wydało mu się to skomplikowane. Zapytał, szukając potwierdzenia:

- Czyli sterujemy przebiegiem bitwy, że tak powiem. Zgadza się?

- Na pewno mamy ogromne wsparcie, ale twierdzenie, że sami decydujemy o obrazie medialnym, byłoby grubą przesadą. Poza tym zdarzają się też wpadki, nie wszystko jest takie różowe. Sam zobacz.

Mørk wyciągnął z kieszeni plakietkę. Była podłużna, z czarnymi literami na złotym tle. Widniało na niej: „5, 6... 7, 10, 20!”.

- Kilku licealistów na to wpadło. No więc najpierw zabito pięciu pedofilów, potem szóstego, a później siedmiu, dziesięciu i dwudziestu. Ale to za daleko zaszło i odstrasza od nas wielu ludzi. Poza tym wszędzie wypisują ten slogan jako graffiti, a tego ludzie nie lubią. Niestety, nie udało nam się tego zatrzymać. Za to znaleźli się tacy, którzy nadrukowują na T-shirty... Tak, zgadnij co...

- Pera Clausena.

- No właśnie, widziałeś je?

- Tak, po tym jak wrzuciłeś artykuł o moim aresztowaniu w sieć, ludzie tu pielgrzymują. Przynoszą materiały łatwopalne i ładują je do dołu z minibusem, jak w jakimś rytuale. Często leją benzynę, ale wrzucają też wiele innych rzeczy. Wczoraj wieczorem nawrzucaли magnezu, świecił godzinami jak zimne ognie. Zajrzałem tam przed południem, było kilkanaście osób, a jedna z nich miała na sobie taką bluzę. Założoną na kurtkę, żeby było dobrze widać. W ogóle to policja ma problem z tym ogniskiem. Najpierw tylko otoczyli wykop plastikowymi taśmami, ale te szybko zostały zerwane, więc ustawili przenośne ogrodzenie, zajęło im to całe popołudnie, ale w nocy i ono zostało usunięte, więc muszą chyba trzymać straż przez całą dobę, jeśli chcą uniknąć sabotażu.

Doszli do skraju pola, niskie kamienne ogrodzenie, porośnięte zdziczałą leszczyną i tarniną, odcinało ich od łąki rozścielającej się nad wodą. Przecisnęli się między gałęziami. Poniżej rozciągał się jesienny las w całym swoim barwnym

splendorze, aż do jeziora, które było ciche i szare od deszczu. Mørk stanął na murku i podziwiał widok.

- Musi być cudownie tu mieszkać.

Zeskoczył i w zachwycie podążył przez łąkę w ubłoconych butach. Rolnik go zatrzymał. Był to nieprzejezdny bagnisty teren.

- W każdym razie lepiej niż w więzieniu. Ale nie idź tędy, o ile nie chcesz zaryzykować, że będę cię musiał wyciągać z tej brei traktorem.

Thorsen poprowadził ich zwierzęcą ścieżką wzdłuż murku.

- No, a jak twoje przesłuchanie? - zapytał Mørk. - Teraz ty opowiadaj.

- Zatrzymali mnie na prawie dobę, ale w pierwszych godzinach nie wydarzyło się szczególnie wiele. Od czasu do czasu byłem krótko przesłuchiwany, za każdym razem przez kogoś innego, ale nie postawili mi oskarżeń.

- Nie, bo o co mogliby cię oskarżyć? Palenie ogniska na własnym polu?

- Na pewno też do tego doszli. Z drugiej strony... no, nie ma wątpliwości, że najchętniej zatrzymaliby mnie w kiciu. Prawie co do minuty przesiedziałem te dwadzieścia cztery godziny, na które bez orzeczenia sądu mogli mnie wsadzić. No ale w końcu przyjechał inspektor Arne Pedersen z Kopenhagi. Był bardzo miły, a jednocześnie jakby bardziej niebezpieczny od pozostałych. Najbardziej interesowało go, co zrobiłem z tymi pieniędzmi, to znaczy z tymi, które niby dostałem od obcego mężczyzny.

- Co odpowiedziałeś?

- Że podarowałem je Sanlaap; to przecież w pewnym sensie prawda. Nie drażył tego zbyt długo, ale, jak wiesz, wezwali mnie na kolejną pogawędkę jutro, do Kopenhagi.

- Tak, a ja zadbam o to, żeby byli tam dziennikarze. Nie będzie to trudne, ale nadal masz się nie wypowiadać, oprócz tego, że możesz zareklamować swój czwartkowy wywiad u mnie.

- Wejdźcie na NienawidzimyIch.dk w czwartek wieczorem, jeśli chcecie się dowiedzieć więcej.

Thorsen się zaśmiał. Mørk natomiast nie, reklama była na poważnie.

- Tak, coś w tym rodzaju. Wypuścimy też zwiastun. W wielkim stylu. Coś jeszcze?

- Nie, w zasadzie nie. A właśnie, dostałem list od Helle, taki prawdziwy list. Napisała, że źle jej z myślą, że wiesz o jej nocach z wujem i tak dalej. Więc wczoraj wieczorem pojechałem do Hillerødu i zadzwoniłem do niej z budki telefonicznej. No i co mam powiedzieć? Wydawało mi się, że jest pijana i bardzo nieszczęśliwa, ale mam przekazać od niej pozdrowienia. Także Drzewoławowi, oczywiście, jeśli go spotkam, choć mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Bez obaw - odpowiedział pośpiesznie Mørk. - On już wkrótce będzie w drodze do Niemiec, w ciągu najbliższych dni, najpóźniej w przyszły weekend.

- Dlaczego jeszcze nie wyjechał? Nie czuję się bezpiecznie, myśląc o nim, nie po tym, co się stało z budką z kiełbaskami. Umowa była taka, że miał spadać od razu po wszystkim.

- Owszem. I tak właśnie będzie. Niestety jemu się wydaje, że jest nietykalny, ponieważ wspiera nas tylu ludzi, ale muszę przyznać, że też na niego nie naciskałem. W jakimś sensie dobrze go mieć w odwodzie. W pewien sposób jest moja

ostateczną kartą przetargową w kontaktach z mediami, jeszcze bardziej niż ty, o ile mnie rozumiesz.

Przeszli kawałek drogi, nie rozmawiając. Wiatr targał koronami drzew nad ich głowami, a one się pochylały. Mørk rozgrzewał się uderzeniami ramion, a Thorsen zapytał:

- Co teraz?

- Przygotujemy cię w ciągu następnych kilku dni i w czwartek przeprowadzimy wywiad online. Zapowiem to dziś po południu i wezwę na demonstrację w piątek.

- A co, jeśli mnie oskarżą i zamkną?

- Nie zrobią tego. Nawet nie mają wystarczających dowodów, żeby cię zatrzymać.

- A co potem? Co z naszymi żądaniem?

- Opublikujemy je zaraz po wywiadzie.

- Nie ma ich jeszcze na naszej stronie?

- Nie, na razie nie ma tam nic poza niekonkretnymi sformułowaniami o utrudnieniu pedofilom życia w Danii. Z tym zgadzają się wszyscy. W ostatecznym rozrachunku chodzi o polityków, i tutaj muszą przemówić grube ryby, ale poza tym, że nastrój społeczny zapewne mocno wpływa na naszego populistycznego ministra sprawiedliwości, to nikt inny nie wykonał żadnego ruchu. Rozsiadają się wygodnie w fotelach, czekają, co czas przyniesie, i mają nadzieję, że wszystko się ustabilizuje w ciągu kilku tygodni. I oczywiście, że nas znajdą. To ich musimy skłonić do działania, ale uwierz, nie spędzają bezsennych nocy z powodu kilkudniowego strajku licealistów. Nic ich nie zmusza do reakcji.

- A więc nie przejmą się również demonstracją ani wywiadem ze mną.

- Oczywiście, że nie. Ale sytuacja jest korzystna; brakuje im ostatniej małej zachęty. Niestety ten drobiazg negatywnie wpłynie na opinię publiczną. Nie da się tego uniknąć. Chodzi o to, żeby za wszelką cenę ukazywać nastrój społeczny jako niezmienny, i zakładam, że do pewnego stopnia jest to możliwe. W każdym razie przez parę dni, a to wystarczy. To głównie kwestia punktów widzenia i zgrania czasowego.

Thorsen zatrzymał się i położył dłoń na ramieniu towarzysza broni.

- Dobrze wiem, że ty i Per Clausen szczegółowo przedyskutowaliście to wszystko, ale od czasu do czasu zapominaliście poinformować pozostałych. Opowiadasz, jakbym wiedział, co ma się za chwilę zdarzyć, ale ja nie wiem. W ogóle nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

Mørk rozłożył ramiona w uspokajającym geście.

- Przykro mi, powinienem był to oczywiście powiedzieć, ale kolejny krok uczyniliśmy dzisiaj rano. Kartoteka pedofilów została wysłana do członków tej trzeciej kategorii.

Mina Thorsena zdradzała, że nadal nie rozumie. Mørk wyłożył kawę na ławę:

- Przemoc.



## Rozdział 48

Kartoteka Mørka opadła ciężką chmurą na cały kraj i spowodowała wiele nieszczęść. Jutlandia została szczególnie dotknięta, jako że najczęściej pojawiała się w adresach na liście klientów braci Ditlevsen.

I tak kilkanaście osób zebrało się przed kamienicą w dzielnicy Kvaglund w Esbjergu. Wszyscy stali z zadartymi głowami i wbijali nieprzyjazny wzrok w mężczyznę na piątym piętrze, który pół siedział, pół stał w oknie. Jedną ręką trzymał się poprzeczki oddzielającej dolne szyby od górnych i płakał. Od czasu do czasu spoglądał z przestraszeniem w dół. Kobieta w średnim wieku, której futro z lisa zdradzało, że raczej nie mieszka w tej dzielnicy, krzyczała wzburzona:

- No, skacz, ty bydlaku! No dalej, skacz, nie będę czekać w nieskończoność!

Dołączył do niej młodszy mężczyzna. Siedział na motorowerze trochę dalej od pozostałych.

- Racja, skacz teraz, do diabła! Już to zakończ, tchórze!

Otworzyło się okno kuchenne na parterze, wychyliła się przez nie puszysta kobieta w kraciastym fartuchu, o farbowanych na rudo włosach i spojrzała w górę. Kobieta w futrze wyjaśniła sama z siebie:

- Molestował dzieci. Odsiedział półtora roku za gwałt na dwojce maluchów w Naskovie. To niepokojące, że poruszał się swobodnie wśród naszych dzieci.

- „Naszyc dzieci”? Chyba nie ma tu pani żadnych dzieci.

Kobieta w futrze nie odpowiedziała, ale włączył się jeden z jej towarzyszy. Jego duński był kiepski.

- Mam cztery dzieciaka przed jego drzwiami.

Kobieta posłała grupie gest wyprostowanego palca środkowego i zatrasnęła okno. Okrzyki nie ustawały. Krótco potem przyjechał radiowóz, wysiadło z niego dwoje policjantów, kobieta i mężczyzna. Rozejrzawszy się po tłumie, który już napęczniał, oboje zniknęli w klatce schodowej. Na drzwiach na piątym piętrze wymalowano nie najpiękniejsze słowa: „parszywa świnia”, „gwałciciel dzieci”, „perwersyjny gnój”; do tego dochodziły znaki arabskie, które także nie wyrażały uprzejmych treści. Policjant wymierzył w drzwi źle skalkulowane kopnięcie, które trafiło w klamkę, ale i tak spowodowało, że ustąpiły, a jego koleżanka weszła do środka. Zatrzymała się kilka kroków przed kandydatem na samobójcę, a chwilę później, kuśtykając, dołączył do niej kolega. Mężczyzna siedzący w oknie był zdeperowany.

- Jeśli podejdziecie bliżej, to skoczę.

Policjantka złapała jakieś przypadkowe krzesło i spokojnie usiadła. Okrzyki zewnątrz zlały się w chór głosów zawodzących w jednym rytmie. „Skacz, skacz, skacz!”. Ta zachęta odbijała się echem od pozostałych budynków, skandowane słowa wracały z opóźnieniem, tocząc się jak zniekształcony bas.

- Zostaniemy tutaj, chcemy tylko z tobą pogadać.

Mężczyzna nie zareagował.

- Nie warto. Sprawy mogą się zmienić i może być znowu dobrze.

Policjantka mówiła powoli i przekonująco, ale jej słowa przerywał wykrzykiwany z ulicy wyrok, więc wysłała kolegę na dół, żeby uciszył krzyki. Mężczyzna z okna patrzył na nią błagalnym wzrokiem, jakby potrafiła zlikwidować zło całego świata, lecz w tej kwestii mylił się zdecydowanie. Gdy zostali sami, nagle zmieniła podejście. Jako dziecko była laleczką tatusia, aż ten zapił się na śmierć. Mały troll, laleczka - ostatnie dni coś w niej otworzyły. Wstała i podeszła do niego.

- Skacz albo wejdź do środka. Mi jest w sumie wszystko jedno.

Przez dłuższą chwilę gapił się na nią z niedowierzaniem, potem puścił poprzeczkę. Jego upadkowi towarzyszył pełen uciechy pomruk tłumu.

Sklepikarz z Arnborga, na południe od Herning, nie czuł radości, przeciwnie - dziwił się. Trzech stałych klientów przyszło do jego sklepiku, ale żaden z nich się nie przywitał. Stali milczący i poważni, każdy w innym miejscu i bez koszyków na zakupy. Jeden przy dżemach i konfiturach, drugi przy półkach z winem, ostatni przy ladzie. Nagle słoik z konfiturą spadł z półki i z głuchym odgłosem rozbił się o kamienną podłogę.

- Ojej, ależ ze mnie niezdarą.

Sprzedawca uspokoił:

- W porządku, Karsten, to się zdarza.

- No właśnie, ups, chyba znowu się zdarzyło. I bum, i bum, i znowu.

Po każdym z tych okrzyków następował głuchy odgłos roztrzaskującego się szkła.

- Słuchajcie, co wy, do cholery, robicie? Wyjdźcie, proszę, z mojego sklepu.

Mężczyzna przy półce z winem pieczołowicie wybrał dwie butelki.

- Wyglądają na dobre, chyba wezmę je na dzisiejszy wieczór. O nie, ja też chyba jestem fajtłapą, co za bajzel.

Milczący klient przy ladzie pochylił się i położył łapę na ramieniu sklepikarza. Sklepikarz był duży i silny, mężczyzna przy ladzie jeszcze większy.

- Ten wysoki chudzielec z Sørvadu jest u ciebie zatrudniony, tak?

- Już nie. Czy dlatego niszcycie mój towar? Zwolniłem go dziś przed południem, wiem przecież, że był... tak, sami wiecie.

Ta informacja wywołała uśmiech na twarzach wszystkich trzech mężczyzn, a jeden z nich wyciągnął portfel.

- Aha, zatem sprawy przedstawiają się inaczej. Dowiedzieliśmy się, że chcesz go zatrzymać mimo jego świńskich sprawek. To będzie chyba pięć dżemów i dwie butelki czerwonego wina i poproszę jeszcze paczkę papierosów King's. No i chyba powinniśmy postawić kolejkę czegoś zimnego.

Sklepikarz złagodniał, widząc pieniądze i słysząc o piwie.

- Raczej powinniście.

Krzyknął w stronę zaplecza:

- Magda, mogłabyś się tu przydać ze szmatą do podłogi i wiadrem wody!

Następnie zwrócił się do mężczyzn.

- Mogliście, do cholery, najpierw zapytać, przecież mnie znacie.

Przytaknęli nieco zakłopotani; to prawda - znali go.

## Rozdział 49

- Kobieta w czerwieni to niewątpliwie interesujący element w życiu Pera Clausena. Już sama różnica wieku i statusu społecznego pokazuje, że ich znajomość była wyjątkowa. Problemem jest oczywiście to, że nie wiemy, jak jej szukać; marka samochodu, czerwony strój i dwa spotkania w sklepie, wszystko to ponad dwa lata temu, po prostu za mało wiemy, żeby dalej pracować.

Simonsen burknął ze zniecierpliwieniem, ale Troulsen pozostał niewzruszony. Dobry raport wymagał czasu.

-Planck mówi, że właściciel kiosku Farshad Bakhtishû i jego synowie przypomnieli sobie, że ta kobieta w czerwieni nieznacznie utykała.

- Tak, z tym właśnie mamy problem. I co?

- Właściwie nic, ale jest jeszcze jedna nowa rzecz i ta dotyczy karteczki, która wisiała w kiosku, z nazwiskiem i adresem kobiety. Jednemu z synów przypomniał się pewien dziwaczny szczegół. Adres, który podała kobieta, kończył się na „-vej”. Oczywiście, to samo w sobie na nic się nie zda, ale charakterystyczne jest to, że kropka nad „j” miała kształt serduszka.

- Co oznacza, że...?

- Tak, wychowałem się przecież w Jægersborgu i wiem, że w gminie Gentofte tablice z nazwami ulic są charakterystyczne. Jeśli nazwa kończy się na „-vej”, to kropka nad „j” zwieńczona jest małym czerwonym serduszkim. Inne „j” czy też „i” mają zwyczajne czarne kropki. To oczywiście nie jest żadna tajemnica, ale w praktyce niemal wyłącznie mieszkańcy Gentofte znają to serduszko. Niektórzy uznają je za tak słodkie i zadomowione, że je kopiują, zapisując własne adresy. Na przykład moja mama zawsze rysowała „j” z serduszkim, gdy wysyłała kartki pocztowe. Poza tym możemy przypuszczać, że kobieta w czerwieni jest zamożna, co wśmienicie pasuje do tej gminy.

- Okej, przyznaję, to bardzo prawdopodobne, że nasza tajemnicza nieznamoma jest z Gentofte, idź dalej.

- Dwie sprawy łączyły Clausena z Gentofte. Po pierwsze, dorastał tam, po drugie, jego córka uczęszczała tam do szkoły. Przypuszczalny wiek kobiety wskazuje najbardziej na to, że jej kontakt z woźnym pierwotnie dotyczył córki.

- Nadal się zgadzam, ale teraz wywodzisz jedno może z drugiego może.

Troulsen zignorował zarzut.

- Po powrocie ze Szwecji w styczniu dziewięćdziesiątego trzeciego Helene Clausen skończyła dziewiątą klasę podstawówki w szkole Tranehøj w Gentofte. W kolejnym roku zaczęła pierwszą klasę w liceum Auregaard, znajdującym się tuż obok. To, że została przyjęta do szkoły w gminie Gentofte, mieszkając w Gladsaxe, powinno nas było od razu zdziwić. To nie jest normalne.

- Znam te szczegóły tak samo dobrze jak ty - przerwał mu znowu Simonsen.

Troulsen spojrział sceptycznie. Dotychczas sporządzono w tej sprawie setki raportów, a on sam dopiero wczoraj poznał te zależności. Simonsen wyczuł niedowierzanie. Wyklepał szybko i ze złością:

- Nie byliśmy uważni, no cóż, ale kilka dni później Arne odkrył to dzięki wizycie w Szwecji. Po powrocie do Danii Helene Clausen odmówiła podjęcia terapii. Jej ojciec zrobił więc to, co wydawało się najlepsze w tej sytuacji. Miał kolegę, którego żona pracowała ze skrzywdzonymi dziećmi w regionie kopenhaskim i jednocześnie była związana ze szkołą Tranhøj jako psycholog. Per Clausen ją odwiedził, a ona obiecała pomóc. Następnie porozmawiała z jedną z przyjaciółek o niewielkiej elastyczności międzygminnej w sprawie wyboru szkoły przez dziewczynkę. Przyjaciółka była żoną ówczesnego burmistrza Gentofte. Niestety, Helene nigdy nie uczestniczyła w prawdziwej terapii. Być może kosztowało to życie ośmiu osób. I łaskawie przestań wątpić, gdy mówię, że o czymś wiem.

- Przepraszam, pomyślałem, że ze względu na ilość papierów...

- Dalej, Poul, od czego chcesz zacząć? Mieliśmy jedną grupę w szkole i jedną w liceum, wykonali dobry kawał drobiazgowej roboty. Co nowego możesz dodać?

- Być może nic, ale ich głównym zadaniem było dowiedzieć się, czy Clausen narażona była na przemoc seksualną podczas pobytu w Szwecji, a także wyjaśnić okoliczności jej śmierci. Nie zajmowali się jednak ewentualnymi relacjami między Perem Clausenem a szkolnymi kolegami jego córki.

Simonsen skinął głową.

- Hm, dochodzisz do czegoś istotnego.

- Właśnie, a wcześniej wykonana praca daje mi wyśmienity punkt wyjścia. Z raportów wynika, że grupa dziewcząt w klasie pierwszej A w liceum Auregaard w roku dziewięćdziesiątym trzecim miała nieformalną przywódczynię. Dzisiaj jest właścicielką biura pracy dorywczej z Hellerupu i jestem z nią umówiony.

Simonsen splótł dłonie i wpatrywał się w sufit. Wreszcie podjął decyzję:

- Najpewniej tropisz duchy. Zacznij od nowa, od poszukiwania srebrnego posrache, teraz być może da się ograniczyć teren do Gentofte. Miej włączoną kómkę. Miłej podróży.

## Rozdział 50

Dochodzeniu postanowiono poświęcić dłuższą relację w programie „Nyhedsjournalen”, co było dobre. Optymizmem nie napawało jednak to, że poniedziałkowe robocze spotkanie przedstawicieli wydziału zabójstw i stacji telewizyjnej było wręcz jałowe. Policję reprezentowali Konrad Simonsen, Arne Pedersen, Hrabianka i Pauline Berg. Stacja telewizyjna wystawiła producenta i jego asystentkę. Pracowali w Komendzie Głównej w Kopenhadze, wszyscy byli zmęczeni i poirytowani.

Producent poddał się już na samym początku. Najpierw wygłosił niepotrzebnie długie i częściowo niespójne wprowadzenie, podkreślając wobec śledczych wagę prostych przekazów. Potem nie mówił prawie nic. Jego wygląd wskazywał na mocno zakrapiany weekend, a oddech nieładnie pachniał starym piwem, więc krzesła po jego obu stronach stały puste. Jego asystentka zajmowała się wyłącznie klawiszami swojego laptopa. Za to wszystko zapisywała, co przeszkadzało pozostałym, chociaż nikt tego nie skomentował.

Do transmisji przygotowano trzy zrekonstruowane filmy, każdy o długości około minuty. Pierwszy dotyczył transportu ofiar, drugi pokazywał same zabójstwa, a trzeci, który był najkrótszy i najpóźniejszy, opowiadał o drodze minibusu za szkoły na pole w Kregme przy jeziorze Arresø. Brakowało jeszcze komentarza. Wszystkie filmy były animacjami komputerowymi, z lalkami zamiast aktorów, co oczywiście redukowało realizm, ale miało tę zaletę, że filmy można było szybko skorygować. Po każdym z nich policja mogła dodać swój komentarz oraz apel do świadków wydarzeń. Problemem było ustalenie, jakie komentarze i do świadków czego.

Simonsen chwycił pilota i wycelował nim w telewizor. Nadal nie uporali się z pierwszym fragmentem.

- Obejrzymy go jeszcze raz?

Pozostała trójka zaprotestowała, wykazując niespotykaną zgodność. Producentowi ulżyło, asystentka notowała. Wszyscy zastanawiali się, co zapisuje. Pedersen powtórzył własny punkt widzenia.

- Postawiłbym na tę kobietę. Film nie pokazuje, że robi zastrzyki, ani że odmierza dawki diazepamu stosownie do wagi ciała, nie jest także jasne jej przypuszczalne medyczne wykształcenie. Lekarka, pielęgniarka, opiekunka medyczna, położna, weterynarz, studentka medycyny, to musimy podkreślić.

Nie było to nic nowego, jeszcze jedna wersja jego własnej argumentacji, wersja numer dwadzieścia, pomyślała Hrabianka i się włączyła:

- Nadal uważam, że minibus daje lepszy punkt zaczepienia. Tylko sześciu dorosłych świadków go widziało. Musiało ich być więcej i może moglibyśmy uzyskać informacje o jego marce, roczniku albo nawet numerze rejestracyjnym; mam na myśli to, że ten bus skądś musiał wyjechać, musiał zostać zakupiony, sprzedany, zarejestrowany i mieć właściciela. Inne wyjście jest takie, że zaczekamy, aż tech-

nicy wyskrobiać coś z pola w Kregme, tyle że ledwie co dostaliśmy nakaz sądowy. Zakrawa to na sabotaż.

Berg spapugowała stanowisko Hrabianki, używając dwa razy więcej słów, jakby świadomie zamierzała przysporzyć niewinnym mężczyznom bólu głowy, pomyślał Pedersen, przygotowując się do powtórzenia swojej opinii.

- Jak idzie z tym minibusem? Kiedy dostaniemy raport techniczny? - zapytał Simonsen.

- Były problemy z utrzymaniem ludzi na odległość - odpowiedział pesymistycznie Pedersen. - Wrzucają do wykopu co popadnie, powodując, że pali się jeszcze mocniej, ale jesteśmy na dobrej drodze do rozwiązania problemu. Gorzej, że technicy chcą, by ognisko zgasło samo z siebie, żeby dodatkowo nie niszczyć ewentualnych dowodów. Najwcześniej za trzy dni będą mogli poinformować nas o tym, kiedy czegoś się dowiedzą, rozumiesz? Mogą minąć całe tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim otrzymamy coś użytecznego, a nawet to nie jest pewne. Musisz się liczyć z tym, że w tym dole przez wiele dni temperatura mogła przekraczać tysiąc stopni.

Zirytowany Simonsen potrząsnął głową, jakby chciał odrzucić od siebie te złe wiadomości. Pocił się, stale bolały go nogi i od dłuższego czasu miotał się między opinią Hrabianki a Pedersena. Teraz usiłował znaleźć kompromis:

- Wspomnimy o minibusie i będziemy poszukiwać świadków, ale skupimy się na kobiecie.

Wszyscy byli zadowoleni. Z wyjątkiem asystentki producenta, która wiedziała, że ma przed sobą świetlaną karierę w świecie mediów. Na moment oderwała się od klawiatury i włączyła do rozmowy. Odezwała się po raz pierwszy, a jej cieniutki głosik skupił całą uwagę obecnych:

- Proste przekazy.

Znowu byli w punkcie wyjścia.

Berg ciekawsko przyglądała się jej białej szyi, zastanawiając się, czy jej nie uduścić. Simonsen otarł czoło chusteczką, producent ziewnął, nie próbując tego ukryć, a Pedersen podał jeszcze jeden wariant swojej argumentacji.

Praca postępowała w żółwym tempie. W końcu ustalili wspólną wersję komentarza, który miał nastąpić po pierwszym filmie. Prosty przekaz. Simonsen ostatecznie przychylił się do opinii Pedersena - skoncentrują się na kobiecie ze środkami usypiającymi. Przez moment widział ją jakiś kierowca, gdy wsiadała do minibusa zaparkowanego na końcu parkingu przy autostradzie między Slagelse i Ringsted. Świadek, który później wycofał swoje zeznania, ale żadne z nich nie przywiązywało do tego zbyt wielkiej wagi. Kolejny film odtworzono cztery razy, wprowadzono kilka drobnych poprawek, pozostawało pytanie, jaki ma nieść przekaz.

Producent na chwilę zniknął, funkcjonariusze przez moment obawiali się, że zaginął w labiryncie budynku. Gdy wrócił, na jego twarzy było więcej koloru. Poza tym przyniósł piwo bożonarodzeniowe, które skądś zdobył, i zaczął je pić bez skrupowania. Alkohol dał mu siłę, żeby włączyć się do rozmowy, co okazało się zaletą. Jeśli zignorować jego nieprzyjemny zapach i pouczający ton, był znakomitym moderatorem zebrania. Wszyscy się podporządkowali i zgodzili, że tytuł powinien brzmieć Mężczyzna z kamerą wideo. Potem zdania były już podzielone, ale dobrze wiedzieli, że tak się stanie.

- Alias ukryty przyjaciel Franka Ditlevsena? Alias zabójca i drwal z Allerslevu? Alias nieznany człowiek od Stiga Ågego Thorsena? Alias kierowca minibusa i kat z Bagsværd? - rozpoczął dyskusję Simonsen.

To było właściwe pytanie. Hrabianka była pewna swego i szybko odpowiedziała:

- Tak.

Pedersen znów stworzył biegun przeciwny:

- Być może, być może. To jednak zbyt niepewne, żeby to rozgłaszać, ryzykujemy przesunięciem całego dochodzenia na niewłaściwe tory. Zgadywanki i spekulacje, to jest po prostu za słabe.

Simonsen potakiwał z rozmysłem, podczas gdy Pedersen mówił dalej:

- Zwłaszcza w stosunku do tego obcego człowieka od Stiga Ågego Thorsena, nawet nie wiemy, czy on istnieje. Może to być mężczyzna, ale równie dobrze pięć lub dziesięć kobiet. Rolnik nie jest, delikatnie mówiąc, zbyt wiarygodnym świadkiem, a w każdym razie jego motywy nie są jasne, chociaż pewnie okaże się jeszcze jedną sensacją medialną. Nawet nie wiemy, czy w tym gównianym dole są jakieś resztki minibusa.

- Technicy stwierdzili zgodność między ostatnim dodatkowym ujęciem filmowym i krajobrazem jego pola - sprzeciwiła się Hrabianka.

- Tymczasową zgodność, a to jeszcze nie oznacza, że autobus tam skończył - odbił piłeczkę Pedersen.

- Zajmijmy się najpierw tym pierwszym, to znaczy cichym przyjacielem Franka Ditlevsena - wtrącił się Simonsen. - Pauline, streść nam to.

Berg wolałaby, żeby wybrał Hrabiankę. Zatajona wiedza o tym, że cichy przyjaciel Franka Ditlevsena był jednym z jego „dawnych chłopców”, ciążyła jej, a dzisiaj wiele by dała, żeby zmienić zdarzenia wczorajszego dnia. Poprawiła się na krześle. Producent lubieżnie gapił się na jej biust, a jego asystentka uderzała w klawiaturę.

- Jedyne, co mamy, to dwie wypowiedzi sąsiadów, z których tylko jedna jest coś warta. Sąsiedzi z naprzeciwka przy różnych okazjach widzieli mężczyznę po trzydziestce odwiedzającego braci w ciągu ostatniego roku. Sądzą, że miał własny klucz. Ale opis zawiera wiele niewiadomych, jasnowłosy, wzrostu powyżej średniego, szczupły i dobrze zbudowany, zawsze przychodził albo przyjeżdżał samochodem razem z Frankiem Ditlevsenem.

- Streść zabójstwo Allana Ditlevsena, skoncentruj się na ścięciu drzewa - prze-rwał nagle Simonsen.

Jego głos zabrzmiał nieoczekiwanie ostro, a Berg spojrzała na niego zdezorientowana. Pozostali milczeli, ale widziała po wyrazie ich twarzy, że byli tak samo zagubieni jak ona. Wypełniła jednak jego rozkaz. Wszystko inne byłoby nie do pomyślenia, gdy szef przybierał właśnie ten wyraz twarzy, lecz zmiana jego nastroju wydawała się dziwna, tak, niemal niepokojąca. Na szczęście znała dane na temat ścięcia drzewa niemal na pamięć:

- Morderca zrobił osiem nacięć, między godziną czwartą a czwartą pięćdziesiąt w nocy ze środy na czwartek w zeszłym tygodniu, drzewo upadło o godzinie piątej trzydzieści osiem. Chwilę wcześniej Allan Ditlevsen został mordercy uderzeniem bukowego konaru. Budka w kielbaskami została zmiotła, morderca zebrał swoje rzeczy, po czym zniknął w klatce kamienicy przy ulicy Ved Torvet osiemnaście. Tu wszedł do piwnicy, a potem wydostał się tylnym wyjściem na ulicę Garvergade. Na

całym tym odcinku znaleziono wióry z obalonego drzewa, ale potem nic już nie wiemy o jego posunięciach. Naszym najlepszym śladem są nadal cztery odciski stóp z klatki schodowej pod numerem osiemnastym. Kamienica stoi zresztą pusta, gotowa do rozbiórki.

Wreszcie Hrabianka także zrozumiała, o co chodzi. Podniosła się i wyszła, podczas gdy Berg kontynuowała swoje streszczenie. Nawet raport techników przytoczyła bez zagładania w papiery. Po chwili wróciła Hrabianka, ciągnąc za sobą zdeorientowanego Maltego Borupa. Simonsen przerwał Berg tak samo gwałtownie, jak wcześniej kazał jej mówić. Następnie zwrócił się do producenta:

- Pańska asystentka jest bardzo pilna, proszę powiedzieć, co ona właściwie zapisuje?

Zadziwiona, lekko nabrzmiała twarz producenta uwolniła go natychmiast od jakichkolwiek podejrzeń o konspirację.

- Też się dziwiłem. Dlaczego to wszystko zapisujesz, Marie?

Uderzenia w klawisze ustały, a Marie szybko sięgnęła po myszkę. Chwył Hrabianki zamknął się wokół jej nadgarstka kilka centymetrów nad urządzeniem; Borup przejął jej klawiaturę.

Pedersen był pierwszym, który skomentował sytuację.

- Do jasnej cholery.

Spotkanie zostało przerwane i przełożone na następne przedpołudnie, kiedy producent obiecał stawić się z nową asystentką. Był poruszony do głębi swojego zawodowego serca i o ile nie był wysmienitym aktorem, mało prawdopodobne, żeby maczał palce w szpiegowskich działaniach asystentki. Komu donosiła przez internet, tego również nie wiedział. Nastrój śledczych sięgnął dna. Nawet nie dlatego, że asystentka wyrządziła jakąś szkodę. To, że wewnętrzne rozmowy policji szybowały w cyberprzestrzeni, było naturalnie nieprzyjemne, ale nic poza tym. Naprawdę niepokojące było to, że ten epizod uzmysławiał mu, bez okoliczności łagodzących, że część społeczeństwa działała po prostu wbrew policji. Jeśli ktoś z obecnych miał wcześniej wątpliwości co do znaczenia tej przeszkody, to teraz zostały rozwiane.

Simonsen usiłował dodać ducha swojemu zespołowi.

- Szkada nie jest ogromna. Sytuacja zmienia się cały czas, a to, że gazety dostaną nieco informacji źródłowych z naszego własnego kręgu, nie przechylą szali. W każdym razie musimy pracować dalej i zapomnieć o tym.

Odpowiedział Borup, co było zaskakujące.

- To na pewno nie dla prasy, raczej dla jednej z tych anticop pages, które cały czas pojawiają się w sieci. Niektóre z nich są dość znaczące.

Inni spojrzeli na niego z zaskowaniem. Pauline Berg zapytała w imieniu wszystkich:

- Anticop pages? O co ci chodzi?

- Powiedźcie, w ogóle nie jesteście na czasie?

Wyrwało mu się. Pożałował i przeprosił, czerwony na twarzy.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli, oczywiście, że jesteście. We wszystkich innych sprawach, które...

Simonsen przyszedł mu z ratunkiem.

- Nie, Malte, obawiam się, że nie jesteśmy, a może powinniśmy. Nie mógłbyś nas w to wprowadzić?



- Tak, no więc jest Pręgierz.dk i SześćSiedemSiedemnaście.com, no i oczywiście ten, który sam się ujawnił w gazecie jako... molestowany w dzieciństwie. On jest największy. To NienawidzimyIch.dk.

Zatrzymał się. Wyczerpujące ustne raporty nadal nie były jego mocną stroną.

- Co oni robią, Malte? Opowiedz o tym - odpowiedziała mu Berg.

- No więc można się zgłosić jako popierający, a oni chcą, żeby karalne było... no wiecie, bycie... niedobrym dla dzieci.

Zaczerwienił się i utknął. Berg miała ochotę wziąć go za rękę. Po krótkiej przerwie znowu sam z siebie podjął wątek:

- To znaczy, tak prawdziwie zakazane. Tak jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie w ogóle niemożliwe są takie rzeczy.

Teraz była kolej Hrabianki:

- Co jeszcze robią, Malte?

- Na to niestety ja mogę odpowiedzieć.

W drzwiach stanął Pedersen. W ręce trzymał plik wydruków i spoglądał z powagą.

- Dbają o to, by niemogący się bronić ludzie nieźle oberwali, albo doprowadzają ich do śmierci. Dwadzieścia trzy przypadki, rozproszone po całej Danii. Jak kraj długi i szeroki, to nie frazes, dosłownie tak jest.

Rzucił papiery na stół, pozostali pochyłili się, żeby przeczytać. Potem już nikt nic nie powiedział, z wyjątkiem Borupa.

- Mogę wyrzucić ich strony z sieci, jeśli wy...

Berg przykryła mu usta dłonią, a on zaczerwienił się bardziej niż kiedykolwiek. Zadzwonila komórka Simonsena.

Odebrał niechętnie i przez chwilę słuchał. Gdy się rozłączył, wszyscy mieli nadzieję, że to nie była kolejna zła wiadomość. Przynajmniej tym jednym razem ich nadzieje nie okazały się płonne.

- Troulsen znalazł kobietę w czerwieni, wygląda to obiecująco. Jadą do nas.

# Rozdział 51

Właścicielka biura pracy tymczasowej okazała się uprzejmą kobietą. Poul Troulsen wcześniej znał jej wiek; była przed trzydziestką. Ale jego pozostałe wyobrażenia były tak nietrafione, jak tylko mogły. Obraz efektywnej, niezależnej kobiety skoncentrowanej na karierze pękł, zastąpiony przez jowialną mamuszkę z lekką nadwagą, która bez potrzeby nie wyrzucała pieniędzy na własny wygląd ani na urządzenie firmy. Wprowadziła go do pokoju spotkań, który bardziej przypominał świetlicę dla bezdomnych niż pomieszczenie konferencyjne, i bez pytania nałapała mu filiżankę letniej kawy do plastikowego kubka. Podziękował i uprzejmie wypił. Miała okropny smak.

- Jak pani wie, chodzi o licealne czasy Helene Clausen. Rozumiem, że była pani jedną z tych dziewczyn, które wiedziały, co się dzieje w klasie.

- Można tak powiedzieć. Byłam niezłą jędzą, delikatnie mówiąc. Jak się spotykamy na zjeździe klasowym, to nadal niektóre z dziewczyn mnie nienawidzą i ja to rozumiem. Nie byłam szczególnie sympatyczna, ale ma pan rację, mówiąc, że byłam dobrze zorientowana.

- I przez rok chodziła pani do klasy z Helene Clausen?

- Tak, aż utonęła, ale nie pamiętam jej zbyt dobrze, musiałam się porządnie zastanowić, żeby ją sobie przypomnieć, wie pan, przywołać sobie jej obraz. Pamiętam, że odkąd ją zobaczyłam, miałam się na baczności. Była zarówno ładna, jak i mądra, więc wyczułam potencjalną rywalkę.

Potrząsnęła głową.

- Hm, taka, niestety, byłam. No ale nie musiałam się nią martwić. Helene nie była towarzyska i później nie poświęcałam jej zbyt wiele uwagi. Jej śmierć pamiętam oczywiście bardzo dobrze. Ryczeliśmy jak bobry, lecz szybko o niej zapomnieliśmy.

- Mam jej zdjęcie, jeśli to może pomóc.

- Nie, wszystko jedno, w zasadzie wolę sobie nie przypominać. No ale nie byliśmy szczególnie żyte. Helene nie przyjaźniła się z nikim.

Troulsen pomyślał, że ta informacja powtarzała się w - z grubsza biorąc - wszystkich raportach, które czytał.

- Nie jest pani pierwszą osobą, która tak mówi.

- Tak, trzymała się na uboczu. Dlatego bliska byłam odwołania spotkania, nie myślałam, że coś mogę opowiedzieć.

Nastawił uszu.

- Ale pani tego nie zrobiła...

- Nie, nie zrobiłam, bo być może mimo wszystko mogę pomóc. W każdym razie choć trochę. Wie pan, w tamtych czasach prowadziłam pamiętnik, a po pańskim telefonie zerknęłam do dawnej bazgraniny. Nie była to żadna przyjemność, nie ma tam wiele o Helene. Prawie nic. Ale to spowodowało, że zaczęłam się zastanawiać

i przypominałam sobie coś, co w innym wypadku by mi umknęło. Kiedyś jechałam z Helene samochodem. Nie pamiętam dlaczego, ani czy ktoś inny z klasy też był z nami, tylko to, że mocno nalegała, byśmy obie zapięły pasy. Pewnie o to zapytałam, w każdym razie opowiedziała o przyjaciółce z dziewiątej klasy, która miała wypadek drogowy. Bardzo nieprzyjemny. Najciekawsze było oczywiście to, że opowiedziała „przyjaciółka”. Ale to niestety wszystko, co mogę dorzucić. Przykro mi.

Troulsen nie czuł przygnębienia.

- Nie powinno być pani przykro, może się okazać, że to cenna informacja.

- To w związku z tymi egzekucjami w szkole Langebæk?

- Tak.

- Nie jestem pewna, czy chcę, żebyście wyjaśnili sprawę.

- Hm, w takim razie nie jest pani odosobniona. Przynajmniej jest pani szczerą.

Troulsen się podniósł; kobieta pozostała na krześle.

- Uważam, że to trudne. Z jednej strony popełniono przestępstwo, z drugiej... jest to... dość trudne.

- Ja tak nie uważam, ale dziękuję za poświęcony przez panią czas i za pomoc.

Odprowadziła go do drzwi.

Troulsen pojechał do dawnej szkoły Helene Clausen, po drodze wesoło pogwizdując. W raportach nie wspomniano o przyjaciółce z podstawówki, więc może miał coś interesującego.

Szkoła Tranehøj była placówką w klasycznym stylu, czteropiętrowym i trzy-skrzydłowym klockiem z wyasfaltowanym boiskiem, dzwonekami na ścianie i staroświeckim nieczynnym poidłem dla spragnionych dzieci. Dojście do biur szkolnych było wyraźnie oznakowane, a w sekretariacie siedziała kobieta pod pięćdziesiątkę. W uchu miała słuchawkę i pisała na klawiaturze. Troulsen musiał kilkakrotnie chrząknąć, żeby zwrócić jej uwagę.

- Przepraszam, nie zauważyłam pana. Długo już pan tu stoi? W czym mogę pomóc?

- Nie, dopiero co przyszedłem. Czy pani jest sekretarką?

- Tak.

Wyciągnął odznakę policyjną.

- Poul Troulsen, wydział zabójstw.

Odłożyła na biurko słuchawkę, z której nadal wydobywał się hałas.

- Ulala, to brzmi poważnie.

- Wcale nie. Przyjechałem po informacje na temat dawnego ucznia.

- Który nazywa się?

- Tak, to właśnie ten problem. Od jak dawna pani tu pracuje?

- Dłużej, niż bym chciała. W przyszłym roku minie dwadzieścia pięć lat.

- Doskonale. Dziewiąta klasa, rocznik dziewięćdziesiąt dwa-dziewięćdziesiąt trzy, chodzi o dziewczynkę.

- Taaa, kilka się tutaj przewinęło. Mam nadzieję, że ma pan jeszcze jakieś dane.

W jej przyjemnym uśmiechu była radość życia. Troulsen go odwzajemnił.

- Tak, mam. Była ofiarą wypadku drogowego, najprawdopodobniej poważnego.

Chciał dodać coś jeszcze, wspomnieć o przyjaźni z Helene Clausen, ale sekretarka zmrugała oczy i pokiwała uniesionym palcem. Zrezygnował ze swojego zamiaru i czekał.

Po chwili jej twarz się rozjaśniła.

- Emilie, miała na imię Emilie. Tak, to był potworny wypadek. Obie dziewczynki były mocno poturbowane. Wydarzył się w okolicy Helsingøru i była to wina samej Emilie. Jechała za szybko, wcześniej piła alkohol, ale zdaje się, że obie z czasem wróciły do zdrowia.

Troulsen zamarszczył czoło. Coś nie pasowało. Dziewiątoklasiści nie mają praw jazdy, ale sekretarka wyjaśniła ten szczegół, zanim jeszcze zdążył zapytać.

- Tak, to była starsza siostra. Była starsza o cztery, pięć lat, coś koło tego, i to właśnie ją pamiętam. Była tu, gdy szkoła świętowała siedemdziesięciopięciolecie, zamieniłam z nią parę słów. Młodszej siostry nie pamiętam, tylko tyle, że miała wypadek krótko po wyjściu ze szkoły.

- Nazwisko?

Sekretarka potrząsnęła głową.

- Nie, ale została lekarką, jeśli to w czymś pomoże. Dziwne, wyraźnie ją widzę, podczas gdy młodszej siostry zupełnie nie pamiętam. No to będziemy musieli zejść do piwnicy.

- Do piwnicy?

- Tak jest, proszę ze mną, a na pewno znajdziemy jej nazwisko czy coś innego na jej temat. Trzymam tam stare roczniki. Nie jest to może Archiwum Państwowe, ale nie tak rzadko pomagam odnaleźć dawnych uczniów. Wie pan, zjazdy klasowe i tym podobne.

Niski, władczy głos przerwał ich rozmowę.

- Proszę powiedzieć, o co chodzi?

Dyrektor szkoły stanął w drzwiach do swojego gabinetu, postawny i emanujący siłą. Troulsen się mu przyjrzał. Potężny brzuch napinał czerwone szelki do granic wytrzymałości; męczyzna twarz miał pełną i nieprzystępną, a na czubku łysej głowy nosił okulary w stalowej oprawce.

- Jestem z policji kryminalnej i usiłuję zebrać informacje o...

- Tak, słyszałem - przerwał mu dyrektor. - Po co panu te informacje?

- Po co? Potrzebne mi są do wyjaśnienia pewnego przestępstwa.

- O jakie przestępstwo chodzi?

- Nie powinno to pana interesować - odpowiedział Troulsen z irytacją w głosie.

- Chyba już wiem, co to za przestępstwo. Widziałem pana w internecie.

- I?

- Ma pan nakaz?

- Nakaz? Do czego miałby być potrzebny?

- Szkolne archiwa nie są ogólnie dostępne.

Ciężką ręką popchnął sekretarkę, która właśnie wstała, z powrotem na krzesło.

- Wiem, że w tym punkcie się nie zgadzamy, ale musi pan zaakceptować, że to ja tu decyduję. Nie przekazujemy danych osobowych naszych uczniów bez uzasadnionej przyczyny.

W oczach sekretarki pojawiły się pioruny, odepchnęła jego dłoń ze złością i spojrzała na Troulensa zaklinającym wzrokiem. Niestety, na niewiele mógł się tu zdać.

- Czy mam rozumieć, że odmawia pan udzielenia pomocy w związku z moją pracą?

- Pańska praca mnie nie interesuje. Odmawiam panu dostępu do gromadzonych przez nas danych osobowych, chyba że ma pan nakaz albo pisemne polecenie od

jednego z moich przełożonych w zarządzie gminy, a poza tym nie będę z panem dyskutował.

- Wasze dane osobowe? Nie popadajmy w przesadę, potrzebne mi jedno nazwisko.

- Jak powiedziałem, nie będę z panem dyskutował.

- W takim razie jestem zmuszony udać się do ratusza i porozmawiać z pańskimi przełożonymi.

Jeśli Troulsen sądził, że wystraszy tym mężczyznę, to się mylił.

- To wyśmienity pomysł. Przewodniczący komisji do spraw szkolnictwa, szef wydziału do spraw dzieci i kultury, przewodniczący zarządu gminy, burmistrz, ma pan wolny wybór.

Był niepokojąco pewien wyniku, niezależnie od tego, któremu z wodzów przedłożono by tę sprawę.

- Pięknie dziękuję. Mam nadzieję, że wkrótce znów porozmawiamy.

- Mam nadzieję, że nie, ale kto wie?

Troulsen wyłowił swoją wizytówkę i nic nie mówiąc, przekazał ją sekretarce. Słowa nie były konieczne. Odebrała ją tuż przed nosem dyrektora, oboje zauważyli, że chciał w tym przeszkodzić.

- Niech pan tylko spróbuje, a z miejsca pana aresztuję. Za utrudnianie mi pracy albo za otyłość, jeśli tak mi się spodoba.

Groźba poskutkowała, dyrektor się powstrzymał. Niestety.

- Przewodniczący komisji do spraw szkolnictwa, szef wydziału do spraw dzieci i kultury, przewodniczący zarządu gminy, burmistrz.

Troulsen skorzystał z hierarchicznej rymowanki, którą zaserwował mu dyrektor szkoły. Recepcjonistka z urzędu gminy w Gentoftie nie sprawiała wrażenia, że możliwość wyboru jej wadzi. Stukała w klawisze i patrzyła na ekran.

- Może być ewentualnie szef wydziału do spraw dzieci i kultury, co mam powiedzieć na temat pańskiej sprawy?

Zaakcentowała słowo „ewentualnie”. Pokazał policyjną odznakę, której przyglądała się z podejrzliwością przesadnie długo, aż zdecydowała się uznać, że jest prawdziwa. Następnie wręczyła mu małą karteczkę z numerem gabinetu i długim fioletowym paznokciem pokierowała go we właściwym kierunku. Poszedł bez podziękowania.

Szef wydziału był niskim mężczyzną o przylizanym, indolentnym wyglądzie. Uścisk dłoni miał wiotki i lepki jak ciasto na bułki. Gość usiadł na wskazanym miejscu po drugiej stronie biurka i musiał zaczekać, aż gospodarz pedantycznie usunie z niego papiery. Wreszcie zasiadł z łokciami opartymi o blat, złączonymi dłońmi i głową spoczywającą na opuszkach palców - gotowy do audjencji. Troulsen krótko i precyzyjnie wyłożył sprawę. Słuchający jego wyjaśnień mężczyzna kiwał głową w głębokim zastanowieniu, jakby związek między faktami był skomplikowany, a jego zrozumienie dane tylko nielicznym. Potem jeszcze przez chwilę potakiwał, zanim nie skomentował prośby potokiem gładko brzmiących, acz niezrozumiałych zdań.

W środku jego wywodu zadzwonił telefon Troulsena; chcąc zdenerwować dyrektora, odebrał go, i dobrze, że tak się stało, ponieważ kobieta, której szukał, odezwała się w słuchawce. Szkolna sekretarka w tajemnicy zeszła do archiwum, by następnie przysłużyć się sprawie. Kobieta potwierdziła, że zjawi się w sklepiku

w Bagsværdzie, będzie tam czekała na niego w ciągu godziny. Nie mogło być lepiej. Zapisał nazwisko i adres i zakończył rozmowę.

Przerwa w spotkaniu trwała nie dłużej niż minutę, ale wszystko się teraz, oczywiście, zmieniło. Wizyta w ratuszu nagle okazała się zbędna, sam siebie upomniał, że powinien już pójść, że jest za stary, by tracić nad sobą panowanie, że nie potrzebuje kłopotów, które z tego wynikną, a mimo tego się nie podniósł.

Szef wydziału zrobił przerwę w wykładzie na czas rozmowy telefonicznej. Zamarł w swojej pozycji i gdy tylko Troulsen znów skupił na nim uwagę, kontynuował.

- Ale jak powiedziałem, nie jestem prawnikiem, więc możliwe, że są w tej sprawie aspekty, których nie dostrzegam...

- Czyli konkluzja jest taka, że mi pan nie pomoże -przerwał tasiemcowy wywód Troulsen.

Jego głos zabrzmiał bezczelnie i ostro. I znowu jego superego się odezwało, żądając, żeby się powściągnął, a najlepiej żeby sobie poszedł. Pomogło to tyle co nic.

- To absolutnie nie jest konkluzja, inspektorze Troulsen, wyprzedza pan bieg wypadków. Sprawa oczywiście zostanie rozpatrzona szczegółowo i bezstronnie.

- A kiedy według pana można oczekiwać wydania decyzji?

- Myślę, że wkrótce. Jest niezmiernie ważne, żeby szkolnictwo gminy Gentofte było wiarygodnym partnerem dla innych instytucji publicznych, również dla policji.

- A co znaczy wkrótce?

- Trudno mi określić konkretny termin.

Kąciki jego ust nieznacznie się podniosły. To był uśmiech, a Troulsen zrozumiał, że mężczyzna delektował się tą rozmową. Wstał z krzesła.

- Założę się, że jako dziecko był pan jednym z tych, którzy chowali się w najdalszym kącie boiska, gdy dochodziło do bójk.

- Proszę?

- Mówię, że na sto procent był pan zawsze potwornie przerażony bójkami, a czy kiedykolwiek był pan narażony na policyjną przemoc?

Myśl o przemocy cielesnej spowodowała, że z szefa wydziału uszła cała pewność siebie, jak powietrze z przebitej gumowej kaczuszki. Skrzyżował przez sobą ramiona, a jego głos podniósł się o kilka oktaw.

- Czy pan mi grozi?

- To właśnie robię, tak, a jeśli podoba się panu jego nos w obecnym stanie, to proszę siedzieć cicho.

Mężczyzna posłuchał. Perełki potu wystąpiły mu na czoło i wzdłuż nosa. Wzrok Troulsena padł na nożyczki leżące na biurku, przez chwilę bawił się myślą o tym, żeby obciąć temu głupkowi lok i zmusić go, żeby go zżarł. Jednak rozum przejął kontrolę i zadowolił się lekkim klepieniem mężczyzny w tył głowy.

- Zanim wyjdę, chętnie przybliżę panu procedurę składania skarg na policję. Zgłasza pan doniesienie na najbliższym posterunku i cyk, w ciągu zaledwie kilku lat otrzymuje pan odmowę.

Mówiąc to, przemieszczał się powoli w stronę drzwi. Z uśmiechem skinął głową na pożegnanie, zadowolony z całkiem skutecznego powściągnięcia własnego temperamentu.

## Rozdział 52

Epizod w ratuszu w Gentofte nie zepsuł Poulowi Troulsenowi humoru. Był niezmiernie zadowolony z rozwoju wypadków, teraz wystarczyło tylko, żeby kobieta w czerwieni okazała się osobą skłonną do współpracy, na co wyraźnie wskazywała ich krótka rozmowa telefoniczna. Oraz, oczywiście, żeby miała informacje, które pozwolą posunąć śledztwo do przodu. Najchętniej wykonać duży skok w przód, to by się mu przydało.

Emilie Mosberg Floyd była sprawiającą miłe wrażenie kobietą średniego wzrostu, po trzydziestce. Miała proporcjonalną i szczupłą figurę, ładną i pełną życia twarz, a jej ubranie było drogie i dziwacznie zestawione. Pomarańczowoczerwona, połyskująca spódnica z satyny, bawełniana bluzka z krótkimi rękawami w tym samym kolorze i przykrótka marynarka z grubej bawełny mieniąca się różnymi kolorami od pomarańczowego po fioletowy, z wystylizowanym wzorem w tulipany. Ciężkie buty były bardzo stosowne, o ile wybierała się na pieszą wędrówkę.

Przywitała go w drzwiach swojego zupełnie zwyczajnego domu z czerwonej cegły i zaprowadziła do kuchni na kawę. Wkrótce mieli już za sobą wstępne uprzejmości. Kobieta sama zaczęła mówić:

- Chce się pan dowiedzieć czegoś o Helene i Perze Clausenach, tak, przepraszam, że tak bez pardonu przechodzę do sedna, ale mam tylko pół godziny, potem muszę jechać do pracy.

Uśmiechnęła się ładnie. Miała równe zęby oraz zielone, bystre i pełne życia oczy. Jej głos brzmiał prowokacyjnie i na swój sposób uroczo.

- Tak, chętnie, znała pani ich oboje?

- Znałam, tak, ale Pera lepiej. Moje relacje z Helene były bardzo ograniczone, przyjaźniła się z moją młodszą siostrą, nie ze mną. Chodziły do tej samej klasy, ale to pan wie.

Odpowiedź była zaskakująca i brzmiała obiecująco. Troulsen był zdecydowanie bardziej zainteresowany ojcem niż córką i czuł pewien rodzaj napięcia. Mimo to sam na sobie wymusił odpowiednią metodykę zadawania pytań.

- Może mogłaby pani najpierw opowiedzieć coś o sobie?

Przytaknęła ze zrozumieniem.

- W porządku. Urodziłam się i wychowałam w Gentofte. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku zdałam maturę i zaczęłam studia medyczne. Rok później miałam wypadek razem z młodszą siostrą w samochodzie naszego ojca, byłam zawiana i zasnąłam za kierownicą. To było podczas wakacji. Obie byłyśmy niezłe poturbowane, rehabilitacja trwała niemal rok. Najgorsze były urazy psychiczne. Gdy wróciłam na studia, nie byłam jeszcze całkiem zdrowa, miałam problemy z koncentracją i niekontrolowane napady płaczu. Pewnego dnia odwiedził mnie psychiatra, nazywał się Jeremy Floyd, był ordynatorem Kliniki Seksuologii w Szpitalu Królewskim. Mimo że moje problemy nie mieściły się w jego dziedzi-

nie, obiecał jednemu z moich nauczycieli poświęcić mi kwadrans, głównie po to by nakłonić mnie do poszukania profesjonalnej pomocy. Cztery miesiące później wzięliśmy ślub i to zmieniło moje życie. Urodziłam i wykarmiłam naszych dwóch synków, jednocześnie studiując. Przez kilka lat nieustannie pracowałam, o ile akurat nie spałam. W dwa tysiące pierwszym skończyłam medycynę i od tamtego czasu jestem zatrudniona w Szpitalu Królewskim, w którym robię specjalizację z kardiologii. W zeszłym roku Jeremy zginął w wypadku. Poza rodziną i specjalizacją jego zainteresowaniem była wspinaczka i to go zabiło. Aconcagua go zabrała.

Spojrzała pytająco, a Troulsen skinął głową. Pomyślał, że Aconcagua to góra, jednak zrezygnował z przerwania pytaniem jej wypowiedzi. Ale ona nie miała wiele do dodania:

- Przez ostatni rok byłam sama z dziećmi, które zresztą teraz są na obozie.

Wyjaśnieniem aktualnego miejsca pobytu dzieci najwyraźniej dojrzała do końca drogi. Jej zestresowana mina stała się przerysowana, gdy zerknęła na zegarek. Troulsen zignorował to. Zamiast tego podrzucił jej kilka haseł:

- Helene i Per Clausenowie?

Opróżniła filiżankę i natychmiast dołączyła sobie kawy, po czym kontynuowała, nieznacznie zwiększając tempo opowieści:

- Helene była, jak powiedziałam, przyjaciółką mojej młodszej siostry. Moja siostra ma na imię Katja, Katja Mosberg, i mieszka w Austrii. Jej chłopak jest norweskim dyplomatą, wysłanym na placówkę przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, norweskie, ma się rozumieć. W dziewięćdziesiątym trzecim roku Helene dołączyła do klasy Katii. Przyjechała ze Szwecji, gdzie przez kilka lat mieszkała z matką i ojczymem. Helene była nieśmiała i zamknięta w sobie, ale ona i Katja dobrze się dogadywały i całkiem sporo czasu spędzały razem. Uczyły się razem i dobrze się w tym uzupełniały. Helene była wyjątkowo dobra z matematyki, fizyki i chemii, z wszystkiego, co pachniało naukami ścisłymi. Za to słaba z duńskiego, pewnie przez te lata spędzone w Szwecji. Katja stanowiła jej przeciwieństwo - dobra z duńskiego, słaba z matematyki. To ostatnie nie jest, niestety, rodzinnym talentem i można powiedzieć, że z tego powodu poznałam Pera, bo gdy Katja i Helene chodziły do dziewiątej klasy, byłam na pierwszym roku medycyny, a przedmiotem, z którym sobie słabo radziłam, była statystyka. Podczas gdy wszyscy inni na moim roku pocili się nad anatomią lub innymi bardziej klasycznymi przedmiotami lekarskimi, mi groziło przerwanie jeszcze nawet nierozpoczętej kariery przez kiepski poziom wiedzy ze statystyki. Po prostu tego nie łąpałam, nawet dzisiaj robi mi się niedobrze, gdy ktoś wymawia słowa „analiza regresji i poziom istotności”.

Uśmiechnęła się, jakby chciała przeprosić za swoje braki ze statystyki. Troulsen pomyślał, że jeśli kiedykolwiek będzie miał problemy z sercem, będzie mu całkowicie obojętne, czy jego chirurg umiał sobie radzić z prawdopodobieństwem. Znowu spojrzała na zegarek, tym razem bez demonstrowania, jak bardzo jest zajęta, a dla niego stało się jasne, że za chwilę będzie musiał uwzględnić jej brak czasu.

- Katja rozmawiała o mnie z Perem, zawsze była nadgorliwa, chciała wszystko za wszystkich załatwić, ale w tym wypadku akurat się jej udało. Per bardzo się cieszył z przyjaźni Katii i Helene, poza tym był miłym człowiekiem, chętnym nieść pomoc, jeśli tylko mógł. Zaczął mnie uczyć. Jeden, dwa wieczory w tygodniu, za



darmo. W ogóle nie chciał słyszeć o pieniądzach. Mój ojciec skądinąd chętnie sięgał do portfela, gdy chodziło o edukację córek. Ale wówczas Per oczywiście sam nieźle zarabiał.

Potrząsnęła głową i poprawiła się:

- Nie, ostatnią uwagę wycofuję, nie chciałby pieniędzy, nawet gdyby był biedny jak mysz kościelna. Taki był, zawsze pomocny.

Troulsen w jednej chwili wyczuł miłość tej kobiety do dawnego korepetytora, nie pierwszy raz zaobserwował coś podobnego. Per Clausen był mężczyzną, który silnie wpływał na swoje otoczenie.

- No ale zakończenie tej komedii było takie, że zdałam egzamin z zaszczytnym średnim stopniem, za co podziękowania należą się w gruncie rzeczy Perowi Clausenowi. Potem było to lato z wypadkiem, później umarła Helene, jak pan wie. Katja i ja jesteśmy chyba jedynymi, które znały powód, które wiedziały, że najprawdopodobniej popełniła samobójstwo, utopiła się. I oczywiście Per, ale potwierdzenie tego dostałam dopiero wiele lat później.

Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wie pan, że Helene wykorzystywał ojczym?

Troulsen potwierdził, a ona mówiła dalej:

- Przez wiele lat nie miałam kontaktu z Perem. Oczywiście od czasu do czasu o nim myślałam, ale nic z tego nie wynikało. Kiepska wymówka może być taka, że przez te lata, delikatnie mówiąc, miałam co robić przy dwójce małych dzieci i studiach, które musiałam skończyć. Ale zanim dojdę do tego, jak spotkałam Pera ponownie, powinnam zapewne powiedzieć nieco o moim mężu.

Zatrzymała się, czekając, aż Troulsen zaakceptuje taką kolejność. Skinął głową, co zrobiłby niezależnie od tego, o czym zamierzałyby opowiedzieć. Była świetną mówczynią, typem świadka, w którego zeznania można się było wsłuchiwać, wygodnie ułożwszy się w fotelu.

- Mój mąż nazywał się, jak wspominałam, Jeremy Floyd. Jego ojciec pochodził z Kanady, matka z Danii. On sam mieszkał przez pierwszych jedenaście lat życia w Quebecu, później jego rodzina przeprowadziła się tutaj. Skończył medycynę w Århus, potem zrobił specjalizację z psychiatrii w Szpitalu Królewskim. Jego konikiem były zachowania seksualne człowieka, a po obronie doktoratu o psychice przestępców seksualnych dostał stanowisko starszego specjalisty w klinice seksuologii. Obok pracy w szpitalu otworzył prywatny gabinet, tu w domu, w którym pomagał ofiarom kazirodztwa, a później wszystkim molestowanym w dzieciństwie. Z początku prywatni pacjenci byli jedynie sposobem na zaspokojenie jego merytorycznej ciekawości. Pracując zarówno z molestującymi, jak i ofiarami, przeszedł, jak mówił, wszystkie kręgi. Z czasem prywatna praktyka zajmowała mu coraz więcej czasu i miał długie listy oczekujących na wizytę. Poza tym nie potrafił odmawiać i tak, mogę to równie dobrze powiedzieć zupełnie wprost, bardzo lubił pieniądze.

Sięgnęła po termos i optymistycznie nim potrząsnęła. Był pusty. Podniosła się więc i wyciągnęła z lodówki kilka puszek coli, które postawiła na stole; co dziwne, nie stworzyła żadnej z nich. Troulsen zresztą nie czuł się skuszony, nie cierpiał coli.

- Jesienią dwa tysiące trzeciego odbył się zjazd dawnej dziewiątej klasy mojej siostry. Na nim Katja przypadkiem usłyszała, jak Per zszedł na psy po śmierci He-

lene. O pracy obróconej wniwecz, krótko mówiąc, o jego pijaństwie i upadku. Gdy mi o tym powiedziała, na poważnie postanowiłam go odwiedzić. Mógłby pan to pewnie określić jako „przysługa za przysługę”. Pomógł mi, gdy tego potrzebowałam, a teraz był najwyższy czas, żeby spłacić dług. Odwiedziłam go chyba z dziesięć razy. Często był pijany lub wstawiony, mimo to cieszył się, że mnie widzi. Najczęściej rozmawialiśmy o Helene, mimo że ten wątek z natury rzeczy szybko się wyczerpywał, więc nasze rozmowy stały się wiecznym powtarzaniem tego samego smutnego tematu, a jeśli mam być całkiem szczerą, te odwiedziny zaczęły mnie trochę męczyć, mimo że zawsze odbywały się z mojej inicjatywy. Ale wtedy wpadłam na pewien pomysł. Był zresztą dość oczywisty. Namówiłam Jeremy'ego, żeby przyjął Pera jako pacjenta; nie było to łatwe, ale się udało. Na swój sposób Per był oczywiście ofiarą molestowania, z drugiej strony jednak nie dotyczyło go ono bezpośrednio, więc musiałam użyć perswazji, żeby Jeremy zgodził się spróbować. Jeszcze trudniej było namówić Pera na wejście w rolę pacjenta i początkowo nie sądziłam, że to się powiedzie. Ale Jeremy był dobry i ambitny, gdy już się podejmował jakiegoś zadania, poza tym wydaje mi się, że Per z czasem zrozumiał, że potrzebuje pomocy. W każdym razie w końcu rozpoczęłam terapię, musiałam interweniować jedynie kilkukrotnie i przywieźć Pera, gdy pokpił sprawę. Dwa razy zawiozłam go na odwyk, o antabusie nie chciał słyszeć.

- Odebrała go pani za którymś razem z kiosku przy Bagsværd Hovedgade? - wtrącił uwagę Troulsen.

- Tak.

- Jeździła pani srebrnym porsche?

- To też się zgadza. Należy do mojego ojca, sama mam audi.

Troulsen skinął głową, to miało sens.

- Sprawdziliśmy drobiazgowo szpitale, w tym ambulatoria dla alkoholików. Per Clausen nigdy nie był ich pacjentem, o ile wiemy.

Uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem.

- Hm, zarówno ja, jak i Jeremy pracowaliśmy przecież w Królewskim. Powiedzmy, że przy kilku okazjach dostał wolne łóżko. Tak trochę poza systemem.

Troulsen zaklął w myślach. To właśnie takie rozwiązania czyniły śledztwo dwa razy trudniejszym.

- Cokolwiek by mówić, życie Pera stabilizowało się coraz bardziej, w miarę jak rozmawiał z Jeremym. Krótko mówiąc, terapia pomagała. Ale nie wiem zbyt wiele o jej przebiegu, bo Jeremy nigdy nie opowiadał o pacjentach. Mieli prawo do anonimowości, to było dla Jeremy'ego bardzo istotne. Pacjenci mieli osobne wejście i nie było dobrze widziane, żebym w ogóle pokazywała się w moim własnym ogródku, gdy przychodzili lub wychodzili. Coś niecoś się jednak dowiedziałam, ale paradoksalnie najwięcej od samego Pera. Po ponad roku konsultacji indywidualnych wszedł do grupy samopomocowej.

Przestała mówić. Ostatnie słowa wypełniły przestrzeń. Także ta niewielka wibracja w jej głosie, gdy o tym mówiła. Nie była głupia i z pewnością już dawno przemyślała znaczenie tego, co wiedziała, a Troulsen poczuł, jak nagle eksplozywnie wzrasta w nim niechęć. Musiał włożyć wiele wysiłku w opanowanie się, żeby mówić grzecznie.

- Dlaczego nie zgłosiła się pani na policję?

Tym pytaniem pominął wiele etapów, mogła je w prosty sposób sparować na początek, ale nie spróbowała się wywinąć.

- Właściwie nie wiem. Może nie chciałam się w to wplątywać. Poza tym nie znam nazwisk tych, którzy byli w grupie. Nawet nie jestem pewna, ilu ich było.

Patrzyła przez chwilę w przestrzeń, zanim ponownie podjęła wątek:

- Nie ma wątpliwości co do tego, że uważam zabicie tych ludzi za złe. Bardzo złe, Jeremy też by tak myślał, ale nie jest przecież pewne, że jedno z drugim ma...

Nie dokończyła zdania. Być może dlatego, że sama w to nie wierzyła. Troulsen powiedział z powagą:

- Nie pójdzie pani do pracy, będziemy musieli pojechać do Komendy Głównej w Kopenhadze.

Emilie natychmiast zrozumiała, że nie ma wyboru.

- Tak, chyba będziemy musieli - przytaknęła z namysłem i powtórzyła własne słowa: - Chyba będziemy musieli.

Troulsen zgadzał się z tym w najwyższym stopniu.

## Rozdział 53

Anita Dahlgren siedziała w stołówce „Dziennika”. Była sama przy stoliku, co się szczęśliwie składało, ponieważ jedna z niepisanych redakcyjnych zasad zakazywała rozmów przez telefon w kantinie, a ona właśnie teraz ją łamała. Z drugiej strony wyższe prawo nakazywało pracownikom dziennika zdobywanie interesujących newsów, więc zaproszenie na obiad, które właśnie dostała od Kaspra Plancka, usprawiedliwiało, jak sama uznała, jej działanie wbrew regułom. W każdym razie zignorowała zirytowane spojrzenia siedzących wokół niej kolegów. Zaproszenie było zaskoczeniem, w pierwszej chwili była zadowolona i podłehtana. Ale do tej beczki miodu dodano porządną porcję dziegciu i o tym właśnie teraz dyskutowała:

- Czyli mówisz, że mam zrobić zarówno zakupy, jak i jedzenie?

Słuchała. Bezcelność starszego mężczyzny nie znała granic.

- Wy tłumacz mi, dlaczego nie kończę tej rozmowy, sama tego nie rozumiem.

Kolega siedzący przy stoliku obok krzyknął, że uważa to za dobry pomysł. Jednocześnie Anni Staal usiadła naprzeciwko niej, jakby się właśnie zmaterializowała. Zadziwiający wyczyn, biorąc pod uwagę jej gabaryty. W jednej ręce wprawnie trzymała dwa piwa ze szklankami zatkniętymi na szyjkach butelek. Nie przerywając rozmowy, przesunęła jedno z piw na drugą stronę stołu.

- Tak, dobrze wiem, że jesteś starszym, słabowitym człowiekiem, ale... i... zrobię tak, jak mówisz - powiedziała na koniec Dahlgren. - Widzimy się jutro o piątej.

Nie potrafiła kontynuować rozmowy w obecności szefowej siedzącej metr dalej, dlatego się podporządkowała. Dwie minuty wcześniej, niż planowała, bo i tak w końcu na wszystko by się zgodziła. Z agresją przeniosła uwagę na kobietę naprzeciwko niej. Co stracone na zewnątrz, musiało zostać odzyskane na froncie wewnętrznym.

- Nie piję piwa o tej porze dnia. O co chodzi? Mam przerwę.

Staal uśmiechnęła się ironicznie.

- Ja właściwie też nie.

- No więc czemu, do cholery, je kupiłaś?

- Ponieważ ta sprawa jest osobista i ponieważ jesteśmy Dunkami. A my nie omawiamy spraw osobistych bez piwa, prawda?

Dahlgren dojrzała tkwiącą w tym logikę, od własnego dziedzictwa kulturowego nie powinno się uciekać. Nalała sobie i wypiła łyk, ale bez wznoszenia toastu. To by była przesada. Staal też się napiła. Później wierzchem dłoni wytarła piankę z ust.

- Chyba mnie nie lubisz, co?

Pytanie było głupie. Obie znały odpowiedź, która padła bez ogródek:

- Prawda, nie lubię cię. Jesteś dobra i mogę się od ciebie uczyć, ale lubić cię nie muszę.

- Taaa, nie jesteś jedyna, ale z czasem nauczyłam się z tym żyć.  
- W najlepszy możliwy arogancki sposób.  
- Jeśli tak uważasz. Nie dosiadłam się, żeby się z tobą kłócić.  
- Po co więc?  
- Masz bardzo dobrego informatora w Wydziale Zabójstw, tak?  
- Naprawdę myślisz, że ci odpowiem?  
- Zauważ, że nie zapytałam, kto to jest, tylko czy masz takiego informatora? Ale okej, łatwo oczywiście zgadnąć, kto nim jest, więc nie musisz nic mówić, załóżę, że tak właśnie jest.

- Przecież sama masz swoje źródła.  
- Zostawmy to na chwilę. Jaki jest twój stosunek do zabójstw pedofilów?  
- Dobrze go znasz.  
- Przestań być taka przekorna; streść go hasłowo.  
- Chętnie. Moje miejsce pracy zalicza nowy, smutny rekord w nawoływaniu do samosądu i dyktatury pospólstwa, polowania na czarownice w postaci pedofilów są odrażające, a my nie cofamy się przed niczym, by jeszcze pogorszyć sytuację. Politycy niemal rywalizują w konkursie, kto wypowie się na tyle mętnie, żeby właściwy przekaz nie zrobił wrażenia na nawet najbardziej debilnym wyborcy. „Pięć, sześć..., dziesięć, sto, dwieście, tysiąc, są zwierzętami, nie ludźmi, wybijmy ich”. Gdzie ja to już wcześniej słyszałam?

Mimowolnie Staal się rozzłościła i do tego poczuła nieco urażona, co skądinąd było dla niej obcym odczuciem. Ale historyczna paralela tej dziewczyny przewierciła jej zazwyczaj obojętną powierzchnię. Uważała jednak, żeby nie okazać nadmiernego wzburzenia.

- Nie popieram przemocy, ale nie popieram też gwałtów na dzieciach. A już zupełnie oburza mnie to, by dzieci można było zamawiać jak jakieś towary na wyprzedazy. Tak, tego filmu nawet ty nie możesz chyba zignorować?

Dahlgren machnęła ramionami z rezygnacją. Dyskusja do niczego nie prowadziła.

- A zresztą, uważasz, że z czego żyjemy? Widziałaś nasze słupki sprzedaży w ostatnim czasie?

- Nie, nie widziałam, za to czytałam relacje o pobiciach i zorganizowanych bojówkach w całym kraju, ale to akurat najprawdopodobniej postaramy się stonować w jutrzejszym wydaniu. Ze względu na brak miejsca.

Kipiała w niej złość.

- Powiedz, dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś innej pracy?

- Skąd wiesz, że nie szukam?

- Okej, wolę nie wiedzieć. Widziałaś nasz nowy sondaż? Był wczoraj na stronie internetowej.

- Nie, na całe szczęście.

- Pytanie: „Czy naprawdę chcesz, żeby morderstwa pedofilów zostały wyjaśnione?”. Zgadniesz?

- Wolę nie.

- Sześćdziesiąt cztery procent na nie, dwadzieścia osiem odpowiedziało „nie wiem”, a osiem „tak”. Wrzucimy to na pierwszą stronę.

- Mogę sobie wyobrazić, karmimy psa jego własną zólcia.

- Co masz na myśli?

Dahlgren nie od razu odpowiedziała, wypięła za to piwo do końca. Zniknęło niepokojąco szybko. Choroba zawodowa w młodym wieku. Nie powinna się obwiniać; uśmiechnęła się bez radości.

- Wszystko jedno, nie możesz powiedzieć, czego ode mnie chcesz?

- Pomocy. Pomyślałam, że największym problemem policji jest obecnie nastawienie Duńczyków. Wydział zabójstw ma problem nie tylko z wyjaśnieniem sprawy, ale też z mediami. Innymi słowy, jeśli nie uda im się zmienić nastroju społecznego, będzie im coraz bardziej pod górkę i prędzej czy później sami dojdą do tego wniosku.

- A jaka jest moja rola?

- Chcę mieć wywiad na wyłączność z Konradem Simonsenem.

- Ty go chcesz?

- Tak, ja. I to z nim, nie z żadną z tych osób, które wypycha do przodu, gdy trzeba poinformować opinię publiczną. Jeśli obie strony odsuną na bok osobiste antypatie, mogłyby się to odbyć z obopólną korzyścią.

Staal podkreśliła logikę swojego pomysłu, uderzając palcem w stół. Nie zdradziła, że ten pomysł podsunął jej w mejlu jeden z czytelników; cudze piórka zawsze ładnie przystrajały. Dahlgren po zastanowieniu przyznała, że jej szefowa ma rację.

- I chciałybyś, żebym to przekazała? Dlaczego takimi opłótkami? Dlaczego po prostu nie zadzwonisz i go nie zapytasz?

- Ponieważ chcę, żeby ta myśl najpierw nieco dojrzała i lepiej będzie zaprezentować ją trochę mniej bezpośrednio. Poza tym nie uda mi się chyba do niego dozwonić.

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Bzdura. Myślisz szybko, powiedz: czy to zrobisz czy nie?

Odpowiedź była wyniosła i niechętna:

- Może tak, może nie, dowiesz się.

Dahlgren wstała.

- Dziękuję za piwo.

Staal patrzyła, jak dziewczyna się oddala.

- Nie ma za co, suko.

## Rozdział 54

- Egoistyczna pinda.

Poul Troulsen syczał zawzięcie i ze złością, patrząc na Emilie Mosberg Floyd. Arne Pedersen i Pauline Berg zerkali na niego i wymieniali znaczące spojrzenia. Jego reakcja była nietypowa, zazwyczaj zachowywał się spokojnie i z równowagą – w każdym razie w towarzystwie kolegów – ale ta kobieta najwyraźniej załazła mu za skórę.

Wszyscy troje siedzieli w wąskiej kanciapie za salą do przesłuchań numer cztery w Komendzie Głównej w Kopenhadze. Szyba oddzielająca ich od sali, w której przesłuchiowano kobietę, zajmowała prawie całą ścianę. Z drugiej strony było lustro – tradycyjne rozwiązanie na komisariatach całego świata – które sprawia, że słuchacze mogą obserwować rozmowy, nie będąc widziani. Taki był w każdym razie zamysł, ale ukryty system głośników przekazujących dźwięk pochodził z czasów króla Ćwieczka, więc odbiór był kiepski, a głosem towarzyszyło metaliczne i niezwykle irytujące echo. Od czasu do czasu zupełnie zanikały. Zwłaszcza głos Hrabianki był zniekształcony, brzmiała jak postać z kreskówek. Głos Konrada Simonsena, który był sporo niższy, lepiej przechodził.

- Nie mieliście już isć? – zapytał Troulsen, nie odwracając głowy.

Berg podniosła się jak na rozkaz.

- Dlaczego jesteś taki wściekły właśnie na nią? – zapytał Pedersen.

- Sam nie wiem. Może dlatego, że ani trochę nie wierzę, że zgłosiłaby się, gdybyśmy jej nie znaleźli. Może dlatego, że jestem śmiertelnie zmęczony niechętną współpracą ze strony społeczeństwa. Delikatnie mówiąc, niechętną. Jeśliby to ode mnie zależało, wymieniłbym po prostu nasze społeczeństwo na nowe i lepsze, jak pewien poeta, który to błyskotliwie zaproponował elitom władzy. Nie czułem takiej awersji do pracy od czasu, gdy jako strażnik stałem przed amerykańską ambasadą, podczas demonstracji przeciw wojnie w Wietnamie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, a kilka godzin temu straciłem nad sobą panowanie w obecności małego, głupawego urzędnika gminnego z Gentofte, co mnie samego wkurza i co z pewnością skończy się niepotrzebną i idiotyczną skargą.

Pedersen zaraził się beznadziejnym nastrojem kolegi, on także miał swoje bitwy do stoczenia.

- Dobrze rozumiem, co masz na myśli. W piątek jednemu z moich chłopców szkolni koledzy dokuczali z powodu mojej pracy, no i zostaliśmy wezwani do szkoły na rozmowę, bo rozbił nos jednemu z prześladowców. Zazwyczaj staram się wpajając dzieciom, żeby radziły sobie, nie uciekając się do przemocy, ale tym razem zrobiłem wyjątek i powiedziałem, że jestem z niego dumny. Chciałbym, żeby ta duma była obustronna. Niestety aktualnie z tym trochę gorzej, choć on nie mówi niczego otwarcie.

Mógłby jeszcze dodać, że poza tym był niezłe wkurzony, bo co drugi dzień musiał dostarczać „Dziennikowi” ciekawostki ze śledztwa, ponieważ emerytowane znalezisko z bagien miało mgliste przecucie, którego konkretna treść rozplywała się w demencji. Ale w tej kwestii trzymał język za zębami.

- Dlaczego nie poprosicie, żeby was tymczasowo przeniesiono na...

Propozycja Berg była życzliwa. Także ona miała kłopoty. Ale ich pełne niedowierzania twarze sprawiły, że zamilkła.

- I zostawić go samego z tym głównym?

Zamaszysty ruch ręką Troulsena w stronę Simonsena wyrażał niemal poddańczy szacunek. Pedersen wstał i popchnął Berg przed sobą. Usprawiedliwił ją w myślach, należała do innej generacji. Być może niezadrażającą się tak bardzo, może po prostu głępszej.

Z drugiej strony szyby przesłuchanie Emilie Floyd przebiegało pomyślnie. Kobieta była skora do współpracy. Nie okazując niezadowolenia, powtórzyła to, co wcześniej wyjaśniła Troulsenowi. Nie spieszyła się z opowiadaniem; równie chętnie starała się oddać emocje, nastroje i przecucia, gdy była o nie pytana. Czasami, jeśli pytanie wydawało się jej skomplikowane, zastanawiała się intensywnie i długo. W przeciągającej się ciszy nie było nic kłopotliwego i zarówno Simonsen, jak i Hrabianka cierpliwie czekali. Tak jak teraz, mimo że przerwa wyjątkowo się wydłużyła. Za to odpowiedź była wyczerpująca:

- Nie wydaje mi się, że to szczególnie istotne, czy przestał pić. Per był alkoholikiem, gdy go odwiedziłam, nie ma co do tego wątpliwości, ledwie radził sobie z pracą i było mu wszystko jedno. Jego życie się rozpadło, gdy stracił Helene, i przypuszczalnie sam siebie karał, niszcząc własne zdrowie i psychikę. Ale jego rozmowy z Jeremym stopniowo przynosiły rezultaty. Jak mówiłam, często odbierałam go w Bagsværdzie i chętnie odwoziłam też do domu, a pomijając pierwszy okres, nigdy nie był pijany, kiedy przyjeżdżałam, nawet nie podchmielony. Jak sobie radził między tymi wizytami, nie wiem, między naszymi spotkaniami mogły mijać nawet dwa tygodnie. Dlatego nie mogę wam powiedzieć, czy skończył z pićciem, ale mogę z pewnością stwierdzić, że się zmienił. Przestało mu być wszystko jedno, stał się bardziej zaangażowany, o wiele bardziej zaangażowany. - Szukała słów. - I... jak to powiedzieć...? Bardziej klarowny. Per potrafił być bardzo... stymulującym człowiekiem, niemal dominującym. Nie, nie „niemal” dominującym, absolutnie dominującym. I niezwykle inteligentnym na swój własny spokojny sposób. Jakby udawało mu się jednocześnie zachować skromność i okazywać wyższość. Rzadka właściwość. Początkowo Jeremy był nim zafascynowany, na dobre i na złe, i nakłonił go do opowiedzenia o sobie pozostałym pacjentom.

Hrabianka wtrąciła oczywistą uwagę:

- A może było na odwrót?

- Nie rozumiem.

Nie zdążyła wyjaśnić, bo jej odpowiedź ubiegło pytanie Simonsena:

- Czy łączyła panią z Perem Clausenem zażyłość seksualna?

Wyłącznie wieloletni trening sprawił, że Hrabianka zdołała ukryć zaskoczenie. Miłosny związek między tą kobietą a wożnym był ostatnim, co mogła sobie wyobrazić, sama różnica wieku czyniła pytanie niegrzecznym. Do tego dochodziła odmiennosc w stylu życia. Ku jej wielkiemu zdziwieniu Floyd nie zaprotestowała. Poza tym nie wydawała się ani trochę urażona.



- Nie, nie seksualna, nie w tradycyjnym rozumieniu, nigdy ze sobą nie spaliśmy. Per nigdy by się na to nie zgodził.

- Ale w jakiś sposób byliście ze sobą?

- Można tak powiedzieć. Tak, byliśmy ze sobą.

Po raz pierwszy podczas tego przesłuchania kobieta była powściągliwa, a Hrabianka posłała swojemu szefowi ciepłe myśli. Gdy był w formie, był w bardzo dobrej formie. Słabym ogniwem psychiatry była oczywiście jego żona. To zaczynało mieć sens. Płynnie zadała kolejne pytanie.

- Czy zostawała pani na noc po odwiezieniu go do domu?

- Na początku rozmawialiśmy w samochodzie, później wchodziliśmy do środka i rozmawialiśmy, czasami przez całą noc. Albo ja spałam, a on przy mnie czuwał. Moje małżeństwo przechodziło wówczas kryzys, mąż był wiecznie w pracy i oczekiwał, że zajmę się całym domem. Poza tym miał inne kobiety, a wakacje często spędzał sam. Per mi pomógł, powiedział, jakie batalie i kiedy przeprowadzić, a które przez jakiś czas powinnam odpuścić. On korzystał z konsultacji Jeremy'ego, ja z jego, koniec końców wygraliśmy wszyscy. To znaczy, zanim doszło do tej... zbrodni. Potem Per umarł, a gazety pisały o nim co popadnie. To było trudne. Byłam jednocześnie sfrustrowana, wściekła i było mi przykro, i tak mi go strasznie brakuje, o wiele bardziej niż Jeremy'ego, ale nie dałam rady pojechać na jego pogrzeb, ograniczyłam się do złożenia kwiatów na jego grobie dzień później.

- Może też dlatego, że domyśliła się pani związku między tymi sprawami i nie chciała być w nie wmieszana? - dodała spokojnym tonem Hrabianka.

Floyd zerknęła na magnetofon i ograniczyła się do skinięcia głową. Pozwolili, żeby tak zostało.

- Trudno sobie wyobrazić, że nigdy nie rozmawialiście o postępach w jego terapii - powiedział Simonsen. - Zarówno wy dwoje, jak i pani mąż z panią.

- Niewiele tego było. Per wolał oddzielać te sprawy. Podobnie Jeremy, zresztą w ogóle mu się nie podobało, że rozmawiam z Perem, ale musiał to zaakceptować. Gdy mu to oświadczyłam, wściekł się i groził przerwaniem terapii Pera, ale wtedy ja pierwszy raz się postawiłam. Gdyby to zrobił, wyprowadziłabym się z dziećmi. Ugiął się i to było moje pierwsze zwycięstwo, potem było ich więcej.

- Ale od czasu do czasu mimo wszystko rozmawialiście o Clausenie?

- Tak. Po terapii indywidualnej Jeremy łączył pacjentów w grupy samopomocowe. Czas przygotowania danej osoby do wejścia w taką grupę był różny u poszczególnych pacjentów. Mogło minąć od sześciu miesięcy do dwóch lat. Jeremy był bardzo, bardzo pieczołowity w doborze grup, które by rokowały sukces; także pod względem geograficznym, o ile to było możliwe. Pacjenci często przyjeżdżali z daleka, niektórzy aż z Jutlandii. Grupa z reguły składała się z od czterech do sześciu osób, początkowo spotykali się u Jeremy'ego i działali pod jego nadzorem. Po jakimś czasie mieli funkcjonować na płaszczyźnie prywatnej, bez niego, zostawali, że tak powiem, wyprowadzeni w środowisko, proces, który mógł trwać nawet kilka miesięcy, ale mogło być różnie w zależności od grupy.

- A Clausen wszedł do takiej grupy?

- Właśnie to stanowiło problem. Kilka razy rozmawiałam o tym z Jeremym. Ociągał się z zakończeniem terapii Pera w ten sposób. Z drugiej strony sam Per bardzo chciał być w takiej grupie, mówił mi o tym przy wielu okazjach, a ja naciskałam na Jeremy'ego, żeby pomóc w spełnieniu tego życzenia.

Spojrzała przed siebie smutnym wzrokiem, po czym powtórzyła ostatnią informację:

- Tak, obawiam się, że go do tego zmusiłam, ale Jeremy'emu na pewno też zależało na pozbyciu się Pera. Wypchnięciu go z naszego życia, że tak powiem. Trudno mu było w przypadku Pera oddzielić pracę od rodziny.

- Dlaczego się ościagał? Bo Per sam nie był molestowany?

- Nie, chodziło o coś innego. Z jednej strony bał się, że Per zdominuje grupę, co zresztą było bardzo prawdopodobne. Per miał, jak wspomniałam, niezwykłą zdolność manipulacyjną, ale nie to było najgorsze. Chodziło raczej o to, że Per... Per nienawidził pedofilów. Zawziętą, rozjarzoną nienawiścią. Rozmawialiśmy kiedyś o ojczymie Helene, o tym, że jest poważnie chory. Per opowiedział o tym z radością, nie wiem, jak się o tym dowiedział. Innym razem wydarzyła się jedna z tych przygnębiających zbrodni, w wyniku której zabito dziecko. Reakcja Pera była chora. Nie dlatego, że był wzburzony, wręcz przeciwnie, był bardzo... opanowany, a jednocześnie udało mu się mnie przerazić, choć nie mówił wiele. Trudno to wyjaśnić, był... no nie wiem, jak to opisać, żebyście zrozumieli, był... przerażający. To było takie jego oblicze, którego nie lubiłam, ale być może było to jego właściwe oblicze, jeśli można tak powiedzieć. Jeremy stwierdził kiedyś, że na całym świecie nie ma wystarczająco dużo węgla, żeby naszkicować psychiczny portret Pera, ale to padło podczas kłótni i było, oczywiście, przesadzone.

Dla policjantów nie zabrzmiało to przekonująco, ale oboje zrezygnowali z komentowania. Za lustrem Troulsen zirytowany potrząsał głową. Opowieść kobiety była w ciężarze gatunkowym bardzo odmienna od tej, którą przedstawiła godzinę wcześniej.

- Czyli skończyło się na tym, że Per wszedł do grupy? - zapytał Simonsen.

- Tak, a Jeremy zestawiał ją z ludzi, o których wiedział, że są w stanie dać mu odpór, to znaczy którzy sami byli silnymi osobowościami. Przysporzyli mu sporo materiału do przemyśleń.

- Ale nazwisk pani nie poznała? Ani od męża, ani od Pera?

- Nie.

Zrobiła pauzę. Było coś więcej, a Hrabianka podrzuciła jej klasyczne hasło:

- Ale...

- Ale... było kilka... kilka epizodów, Per kiedyś stwierdził, że o pedofilach można było dużo powiedzieć, ale ich ofiary rozproszone były po wszystkich grupach społecznych, coś w tym rodzaju, i dodał: „pielęgniarka, rolnik, chłopak od reklamy, woźny, drzewołaz”. To było tuż po utworzeniu jego grupy.

- Drzewołaz, co to miałyby znaczyć?

- Nie wiem, też mnie to zdziwiło, gdy się chwilę nad tym zastanowiłam. Wtedy myślałam, że wskazuje na Jeremy'ego, który przecież w czasie wolnym był alpinistą, ale miał z pewnością na myśli kogoś innego. Per nie nazwałby Jeremy'ego drzewołazem, ale paradoksalnie uważam, że to słowo spowodowało, iż zapamiętałam całe zdanie, tak, pamiętam nawet kolejność. Za to nie wiem, czy wymienił wszystkich.

- Nigdy ich pani nie widziała?

- Nigdy, żadnej z tych osób, z wyjątkiem Pera, oczywiście. Zawsze przychodził trochę wcześniej i siedział ze mną w kuchni przy kawie, to znaczy, wtedy, kiedy go

nie przywoziłam. Potem szedł do Jeremy'ego. Pozostali korzystali z wejścia do piwnicy.

Hrabianka machnęła rękoma i pozwoliła, żeby opadły w geście wyrażającym lekką złość. Kobieta źle to zinterpretowała, jako pogardę dla prawa pacjentów do intymności. Nagle jej głos zabrzmiał ostro i pouczająco.

- Pozbawienie anonimowości w złym momencie może w tego rodzaju terapiach zamienić sukces w fiasko. Nie sądzę, żeby miała pani świadomość, co molestowanie seksualne w dzieciństwie robi z ludźmi i jak głęboko wgrzyza się w duszę. Wiedziała pani, że część ofiar pedofilów musi przez resztę życia chodzić do specjalnie przeszkolonego dentysty, bo otwieranie ust przy innych stanowi dla nich przekroczenie granicy intymnej, z którym nie potrafią sobie poradzić?

Pokazała oblicze, jakiego dotąd nie widzieli. To była lekarka kardiochirurgii in spe, komenderująca pielęgniarszem. Hrabianka zrezygnowała z wyjaśniania i po prostu przeprosiła. To było najprostsze. Simonsen skierował rozmowę ponownie na właściwe tory:

- Czy może pani opowiedzieć coś jeszcze o grupie Clausena? Cokolwiek, niezależnie, czy pani uważa, że to ma znaczenie, czy nie. Rozumie pani z pewnością, że interesuje nas tych pięć osób.

- Tak, załapałam, jest coś jeszcze. Jedna z osób w grupie Pera miała na imię Helle.

- Pielęgniarka?

Hrabiance udało się wygłupić dwa razy pod rząd w ciągu jednej minuty.

- Tak, o ile kobieta nie mogłaby być rolniczką albo, powiedzmy, drzewołazem, cokolwiek to znaczy.

Simonsen powściągnął uśmiech. Hrabianka nie usiłowała ukryć swojej wpadki:

- Przepraszam, może powinna pani sama opowiedzieć.

- Zostawiła sweter w piwnicy, a ja miałam odwiedzić Pera do domu. Siedzieliśmy w kuchni, gdy zadzwoniła do drzwi. Otworzył mój najstarszy, a nie miał wtedy więcej niż trzy lata. Pamiętam, że z dumą do mnie przyszedł i powiedział, że „ma się na imię Helle i zapomniało swetra”. Per i ja śmialiśmy się troszkę z tego zdania, chociaż znaczenie było wystarczająco jasne, ale Jeremy to usłyszał, przejął sprawę i nie widziałam jej na oczy.

Zrobiła jedną ze swoich długich przerw. Czekali, ale tym razem okazało się, że na próżno.

- To niestety już wszystko, w każdym razie nie przypominam sobie nic więcej.

Simonsen zmienił temat na bardziej konkretny.

- Archiwa pani męża?

- Zniszczyłam je po śmierci Jeremy'ego. Spaliłam akta w naszym kominku, nie zaglądając do żadnej z teczek. Było ich kilkaset, zajęło to kilka wieczorów. Zanim to zrobiłam, rozmawiałam z kilkoma jego kolegami, którzy zgodzili się ze mną, że to słuszne.

- A co z honorariami? W jaki sposób pani mąż dostawał pieniądze od pacjentów?

- Zawsze w gotówce i zawsze przed rozpoczęciem spotkania. Podkreślał, że działanie fizyczne, polegające na przekazywaniu banknotów, mobilizowało pacjentów, żeby coś wynieść ze spotkania.

- Pani chyba nie podziela tej opinii.

- To była jego działka, jego gabinet, nie mój. Osobiście sędzę, że częściowe wyjaśnienie można znaleźć w okolicznościach okołopodatkowych, a dokładniej tych dotyczących oszustw podatkowych. W każdym razie zawsze mieliśmy w domu dużo gotówki. Od czasu do czasu Jeremy kupował mi drogą biżuterię, nie zważając na to, że nie przepadam za takimi błyskotkami, a gdy po jego śmierci robiłam porządek w jego schowkach, znalazłam prawie sześćset tysięcy koron. Część wyciągnęłam z naszego sejfu, ale inne stosiki banknotów rozsiane były we wszystkich możliwych miejscach w całym domu. Całkiem niedawno znalazłam kolejną kopertę i nie zawaham się przed określeniem tego jako patologii, chociaż był moim mężem. Ale zanim podejmiecie jakieś kroki, musicie wiedzieć, że dobrowolnie zgłosiłam się do urzędu skarbowego, a po nieprzyzwoicie długim rozpatrywaniu sprawy wreszcie przyznali, że mogę zachować te pieniądze.

Hrabianka i Simonsen pokiwali głowami z akceptacją, chociaż wcale nie chcieli zapuszkować jej za uchylenie się od płacenia podatku. Następnie postawili jeszcze kilkanaście pytań, nie posuwając się naprzód. Nazwisko Thorsen nic jej nie mówiło, a zdjęcie mężczyzny też nie przywołało żadnych skojarzeń. Ponadto dowiedzieli się, że Jeremy umawiał się na prywatne wizyty w ciągu dnia, gdy był w Szpitalu Królewskim, więc ewentualne ustalenie numerów telefonicznych byłoby bardziej niż trudne.

To było na tyle. Tym razem dalej nie zaszli. Przesłuchanie trwało ponad dwie godziny, wszyscy troje chcieli już, by się skończyło. Ostatnie słowo należało jednak do Simonsena. Po tym jak bez skutku drążył w stosunkach między kobietą a jej młodszą siostrą i kilkakrotnie oddalił błagalny wzrok Hrabianki, wreszcie zdecydował, że na teraz wystarczy. Spojrzał na zegarek, nagrał na magnetofon informację o godzinie i formalnie zakończył przesłuchanie. Policjanci wstali, Emilie Mosberg Floyd nadal siedziała.

- Zatrzymał pan taśmę?

Pytanie skierowane było do Simonsena, który potwierdził.

- Jest coś, co chciałabym wam opowiedzieć, ale nie chcę, żeby to zostało nagrane.

Usiedli ponownie.

- Najpierw chciałabym, tak stanowczo, jak tylko mogę, stwierdzić, że nie należę do tych, którzy uważają, że morderstwo jest uzasadnionym działaniem wobec pedofilów. Można rozpatrywać to z perspektywy prawnej, moralnej czy na każdy inny sposób, a ja czuję, że Per bardzo mnie zawiódł, mimo to nadal go kocham. To dziwne, czuję się zdezorientowana, nie rozumiem dlaczego, ale tak właśnie jest. Nawet mimo tego, że dzisiaj wydaje mi się, że to on stał za włamaniem, które mieliśmy w marcu zeszłego roku, a może nawet zasiał pomysł o Aconcagui w głowie Jeremy'ego. O górze, na którą nie był przygotowany, teraz to wiem.

Walcząc z emocjami, rzuciła w przestrzeń:

- Obrzęk mózgu.

Po czym wyjaśniła:

- Nagła choroba wysokościowa.

Simonsen wtrącił spokojnym tonem:

- Włamanie.

- Tak, oczywiście, zaraz opowiem. Byliśmy w Kanadzie, u brata Jeremy'ego, gdy ktoś się włamał i uzyskał dostęp do akt jego pacjentów. Okno w piwnicy i regał

z aktami były zniszczone, ale niczego nie brakowało, nie zgłosiliśmy tego, choć Jeremy'ego bardzo to męczyło. Mówił o przeniesieniu akt do pracy, ale nie zdążył przed śmiercią. Per wiedział, że mieliśmy jechać do Kanady, i jak mówiłam, dzisiaj myślę, że to on stał za tym włamaniem.

- Jak się pani wydaje, do czego potrzebował tych informacji?

- A jak pan myśli? To był świetny punkt zaczepienia, jeśli chciał zwerbować zwolenników, jeśli tak to można ująć, a proszę pamiętać, że części osób Jeremy go już przedstawił. Nie chciał być obcy, gdyby któregoś dnia miał ich odwiedzić.

Tym razem to ona podniosła się pierwsza, a po drugiej stronie szklanej ściany Troulsen poszedł za jej przykładem. Rozpaczliwie chciało mu się sikać. Po drodze zdążył walnąć pięścią we framugę drzwi i niemiło o kimś pomyśleć. W przeciwieństwie do wcześniejszego epizodu jego wybuch nie był skierowany przeciw kobiecie, ale przeciw jej zmarłemu mężowi. Za niechlujne, kretyńskie i świadczące o debilizmie przechowywanie poufnych informacji.

## Rozdział 55

Jak wszystkie pielęgniarki w domu opieki Helle Smidt Jørgensen była ekspertką w liczeniu tabletek. Rozstawiła przed sobą wszystkie dziesięć rodzajów pigułek: siedem pochodziło ze zwyczajnych szklanych słoiczków z plastikowymi zakrętkami, ostatnie trzy były w blisterach. Wskazała na te ostatnie, wyjaśniając swojej uczennicy:

- Tych będziesz nienawidzić, powodują trwałe uszkodzenie prawego kciuka.

Uczennica spojrzała na swój kciuk, jakby chciała się z nim pożegnać.

- Spokojnie, nie od razu, ale teraz słuchaj uważnie - dodała zmęczonym głosem Jørgensen.

Najpierw zdejmujesz pokrywki ze wszystkich dozowników na leki, są na czternaście dni, rozdzielasz zgodnie z systemem: najpierw tabletki poranne, potem obiadowe, wieczorne, a na koniec nasenne, zatem łącznie dwadzieścia dwie tabletki dziennie dla Signe Petersen, jak widzisz, więc jeśli ona jeszcze nie jest chora, to pigułki z pewnością do tego doprowadzą.

Wyjaśniając, czuła, że sama nie ma się dobrze. Nie mogła nikogo krytykować za ilosc przyjmowanych leków. Pokój stał się niewyraźny, a jej mowa niespójna:

- ...nasennych i psychofarmaceutyków jest niepokojąco wysokie i tak dzieje się od lat. Niebezpiecznie jest przy nich pić, ale bez tego nie radzę sobie z dniem. Wcześniej była tylko noc, ale teraz jeszcze te głosy na korytarzu, jakby policja.

Skupiła wzrok na uczennicy, która wydawała się oddalona i wyglądała, jakby nie rozumiała. Ale one nigdy nie rozumiały. Wyjaśniła cierpliwie:

- Puls rośnie, trzęsą się ręce. To hormon stresu, adrenalina, wpływa na system nerwowy współczulny, kiedy kogoś przez całą dobę dręczą lęki. Przez całą dobę, jedną po drugiej. W nocy wuj, w dzień policja, zrozum. Jedna lufka i dodatkowy diazepam zwalczają najgorsze. I tak w kółko.

Coś było nie tak, ale nie wiedziała co. Wyszła ze swojego gabinetu, niepewnym krokiem przeszła przez korytarz i usiadła na schodach przed tylnym wejściem do domu opieki. Tu mogła pooddychać świeżym powietrzem i dojść do siebie. Chłodny wiatr przyjemnie owiewał czoło, pojedynczy promień słońca przeciwstawił się szarej aurze i ogrzewał ją swym blaskiem. Wzięła kilka głębokich wdechów i poczuła, że świat naraz się skurczył, tak jakby wszystko poza siedzeniem w tym właśnie miejscu było obojętne. Ogarnęło ją nieznanie uczucie, uczucie, które było bardzo odległe, a teraz znowu się zbliżyło. Była dzieckiem, żonglowała piłeczkami i to była ważna sprawa. „Karen, Maren, Mette bum, Anni, Anne, Annette bum, Kille, Pylle, Rylle bum, Bente bum”. Rymowanka była prosta, także ta nowa: „Aleko, Megera, Tysyfone bum, Nemezis bum”, ale trudno było kontrolować piłki. Zwłaszcza w podrzucie. Od czasu do czasu którąś gubiła i musiała zaczynać od nowa. Takie były zasady. Tak więc robiła, zdeterminowana, żeby być tak dobra jak starsze dziewczyny. Jedna z piłeczek odturlała się, musiała się wysilić, by ją zna-

leżć, więc otworzyła oczy i zaczęła szukać. Wokół niej stali ludzie, ludzie, którzy chcieli dla niej dobrze.

Wyjaśniła, że nie muszą się martwić, że wszystko się ułoży. Zrozumieli ją. Oczywiście, że zrozumieli, przecież łatwo to było zrozumieć. Łatwo jest też pływać, gdy się człowiek już tego nauczy. Bez korkowego pasa z dumą płynęła obok swojej mamy. Uwielbiała chodzić na pływalnię Østerbro, tylko z mamą i oczywiście z wieloma innymi osobami, których nie znała. Odważyła się odpłynąć, ale straciła śmiałość, gdy duży, co najmniej dziesięcioletni chłopak przyplął w jej stronę kraulem. Trudno było zawrócić, ale się udało. Wtedy usłyszała głos rozchodzący się po pływalni: „wszyscy z żółtymi opaskami, proszę wyjść z wody”. To one, one miały żółte opaski, żółte gumki, z kluczykiem do szafki w przebieralni, wokół kostki. Wykrzywiła twarz z niezadowoleniem, zerkając na mamę, pocałowały się i serdecznie zaśmiały, ponieważ jednocześnie musiały walczyć o utrzymanie się na powierzchni. Potem popłynęły powoli do brzegu basenu.

## Rozdział 56

W Wydziale Zabójstw Komendy Głównej Policji w Kopenhadze atmosfera była napięta.

W radiu przemawiał minister sprawiedliwości. Już i tak słynny był z kwiecistych zdań i pustych frazesów, ale w ten poniedziałek przeszedł sam siebie. Między innymi dlatego, że dziennikarz jedynie podrzucał hasła do jego monologu. Malte Borup nieporadnie rozglądał się wkoło, potrzebował pomocy w zrozumieniu. Gdy jej nie otrzymał, znalazł kartkę papieru i oówek i zatopił się we własnym świecie zagadkowych znaków i tajemniczych bytów. Chwilę potem wywiad dobiegł końca, a spiker zapowiedział kolejny punkt programu. Arne Pedersen wyłączył radio, podczas gdy Poul Troulsen wypowiedział na głos to, co wszyscy obecni myśleli:

- Populistyczny dupek.

Zadzwoił telefon Konrada Simonsena, to był Helmer Hammer; Simonsen wycofał się w najodleglejszy kąt pomieszczenia. W tym czasie także Pedersen poczuł, że musi odpowiednio pogardliwie skomentować wystąpienie ministra sprawiedliwości:

- Zdanie po zdaniu nic, tylko puste frazesy, ale ukryty pod nimi przekaz jest, cholera, wystarczająco jasny. „Urządzić gmach rządów ludu według gustu ludu. Dokręcić śrubę prawa, żeby zapobiec zrozumiałej złości zwykłego obywatela. Powrócić do dobrze znanych procedur, by zwykli ludzie mogli odzyskać opiekę policji”. Do jasnej cholery! Tyle powiem.

- „Dzieci, które zamawia się, jakby były proszkiem do prania. Wszyscy to widzieliśmy, we wszystkich nas budzi to wstręt”. Rzeczywiście, potrafi odwoływać się do negatywnych uczuć i nawet słowem się nie zająknął o tych pięciu zabójstwach, które potem nastąpiły - dodał ze złością Troulsen. - Powinno się go gdzieś odizolować.

Hrabianka i Pedersen pokręcili głowami z rezygnacją; Berg wbiła wzrok w podłogę.

Simonsen do nich wrócił i przekazał słowa sekretarza stanu.

- Minister sprawiedliwości przemawia we własnym imieniu, a jego sugestia, że powinno się wrócić do zwykłych procedur, nijak się ma do rzeczywistości. Gdyby tak się zresztą miało stać, byłoby to bez znaczenia. Składałem raporty szefowi policji kopenhaskiej i Komendantowi Głównemu, tak jak to zwykle robię. Pomysł stworzenia grupy specjalnej nie jest w końcu nasz i trzeba w nim widzieć polityczną sztuczkę do zasygnalizowania opinii publicznej, że w tej sprawie podejmuje się szczególne działania. Zbiorowe zabójstwo nie jest przecież chlebem powszednim, na całe szczęście.

Arne Pedersen zapytał sceptycznie:

- Czy Hammer rzeczywiście to powiedział?



- Nie, to moja interpretacja. Powiedział za to, że prawodawcy drobiazgowo analizują wymiar kar za pedofilię i że zostanie on prawdopodobnie podniesiony. Minister sprawiedliwości i kilku jego kompanów wybadali teren, inne partie dobrze przyjęły ten pomysł. Wielu cofa się jednak przed doraźnym rozwiązaniem. Na razie. Tak czy inaczej, nas to nie dotyczy. Mamy kontynuować pracę, a poza tym pod żadnym pozorem nie komentować sceny politycznej. To ostatnie dotyczy głównie mnie. De facto i tak miałem zakaz publicznego wypowiedzania się, teraz jest podwójny.

Hrabianka pokręciła głową.

- Nie chce mi się pracować dla takiej chorągiewki na wietrze.

Były to w jej ustach ostre słowa. Zawsze mówiła o ludziach dobrze. Simonsen stanął między nimi, postawny i emanujący władzą.

- I tak nie pracujesz dla kogoś takiego. Pracujesz dla mnie, no i dla demokracji. Jeśli nie jesteś zadowolona ze składu rządu, wstąp do jakiejś partii politycznej.

Wolały powiedzieć coś bardziej stosownego. Coś, co by ich zjednoczyło, ale brakowało mu pomysłu. I, do diabła, czego tak naprawdę oczekiwali? - nie był przecież ani politykiem, ani kaznodzieją. Postanowił trzymać się spraw przyziemnych, gdy niezdarnie machnąwszy rękami, powiedział:

- No i nie możemy zapominać, że dzisiejszy dzień był owocny. Dowiedzieliśmy się o nowych, mocnych powiązaniach, w które możemy się zagłębić. Również w odniesieniu do jutrzejszego przesłuchania Thorsena. Jeszcze nie wiem, kto je przeprowadzi, prawdopodobnie Hrabianka i ja, ale chciałbym, żeby wszyscy byli dobrze przygotowani. Za to tylko ja i Arne będziemy kontynuować pracę z telewizją. Ostatnio straciliśmy na to zbyt wiele czasu. Zresztą jutro pojawię się później, bo mam nieformalne spotkanie. Może uda mi się zyskać drugiego, bardziej wiarygodnego dostawcę informacji o połączeniach telefonicznych. Wydaje się, że to może nam się przydać, zważywszy na to, jak powolne są aktualnie nasze źródła oficjalne. No i wreszcie ostatnia sprawa...

Z premedytacją zrobił krótką przerwę, zanim zaczął mówić dalej.

- Są sygnały, że nasze wyjątkowe warunki finansowe nie będą wieczne, w związku z tym chciałbym wszystkich tu obecnych zaprosić na naprawdę elegancką i potwornie drogą kolację z państwem w roli sponsora, póki jeszcze mogę. Wysłanie kopii rachunku do żelaznej damy z „Dziennika” sprawi mi cholerną frajdę. Kto jest zainteresowany?

Hrabianka się zgłosiła, natomiast Troulsen podziękował. Od dawna lekcewałzył grypę, z tym rezultatem, że popołudniami był śmiertelnie zmęczony, wołał więc wrócić do domu i odpocząć. Także Pedersen musiał zrezygnować. Na jutrzejszy wieczór on i Simonsen byli zaproszeni na kolację do Kaspra Plancka, o czym nie można było wspomnieć w tym gronie, a dwa wieczory z rzędu poza domem, bez uzasadnienia związanego z pracą, nie wchodziły w grę. Szczególnie że nawet ten jeden trudno było wytłumaczyć. Zostali Berg i Borup, ale tym razem Pauline w lot pojęła powiązania międzyludzkie.

- My też nie. Malte obiecał zerknąć na mój domowy komputer. Dziwnie się zachowuje i najwyższy czas go naprawić.

Borup, słysząc swoje imię, na chwilę podniósł wzrok znad swoich formułek. Jak zwykle niczego nie rozumiał. Nawet nie tyle, żeby się zaczerwienić.

## Rozdział 57

Dziewczyna siedząca na krześle pośrodku studia wyglądała jak anioł. Była ubrana w skromną bluzkę z jasnego lnu. Nie nosiła biżuterii, poza prostym naszyjnikiem z bursztynu, który skrzył się kolorami lata na jej białej szyi. Złote loki kołysały się delikatnie wokół pięknej jak z obrazka twarzy, a jasne oczy lśniły życiem i od razu przykuwały wzrok. Niezwykle naturalna, czysta i właściwa, doskonała, jeśli pominąć jej modnie wytarte obcisłe dzinsy i prowokacyjne czarne kozaki. Tak jak robiła to kamera.

Erik Mørk nie mógł oderwać oczu; zniewoliła jego wzrok. Jak roszciska w lipcu.

Reżyser rozstawiał wszystkich po kątach. Nie patrząc bezpośrednio na dziewczynę, koncentrował się na olbrzymim ekranie telewizyjnym na tylnej ścianie, który pokazywał górną część jej ciała. Od czasu do czasu wydawał polecenia kamerzyście i dziennikarzowi.

- Powtórzmy to z molestowaniem.

Dziewczyna okazała niezadowolenie.

- Ech, to już chyba dziesiąty raz.

- Dopiero szósty, a ty jesteś dobra, bardzo dobra, ale możesz być jeszcze lepsza. Potrzebujemy tylko początku, reszta jest w porządku. Jesteś gotowa?

- Okej, okej, ale to już chyba też, do diabła, musi wystarczyć.

Wyraz jej twarzy zmienił się w ułamku sekundy, z surowego w słodki. Reżyser powiedział:

- Hasło: czy ty też byłaś wykorzystywana jako dziecko.

Dziennikarz powtórzył je jak echo, jednak z odpowiednim ładunkiem emocjonalnym:

- Czy ty też byłaś wykorzystywana jako dziecko?

Spuściła wzrok i nie odpowiedziała. Dwie łzy potoczyły się po jej twarzy, nadal jednak nic nie mówiła, a ta cisza wrzeszczała w kamerę. Potem podniosła głowę i otarła policzki. Jej pierwsze zdanie było niespieszne. Ostrożne i niepewne.

- Tak, byłam wykorzystywana jako dziecko.

Następnie się uspokoiła, jej głos stał się mocniejszy i zdradzał lekkie zdziwienie.

- Wykorzystywana, nazywa to pan wykorzystywaniem. To brzmi, jakbym była zmuszana do roznoszenia gazet bez wynagrodzenia. To piękny eufemizm dorosłych.

Teraz mówiła głośno i klarownie. Oskarżycielsko, ale nie histerycznie ani tym bardziej agresywnie.

- Byłam gwałcona. Między dziesiątym a czternastym rokiem życia byłam gwałcona często, naprawdę często; dobry tydzień był wtedy, jeśli byłam gwałcona mniej niż trzy razy, tak było miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Dlatego nie poszłam dziś do szkoły, a także dlatego, że los ofiar interesuje mnie bardziej niż los przestępców.

- Sądzisz, że to w czymś pomoże?

Zignorowała pytanie. Mørk już po raz trzeci słyszał właśnie tę formułkę, mimo wszystko zrobiła na nim tak samo silne wrażenie jak za pierwszym razem. Zwątpienie i bezsilność naraz zniknęły z jej pięknej twarzy.

- Powinien pan zobaczyć mojego brata. Nie mógł sobie z tym w ogóle dać rady, dzisiaj jest okropnie chory, a nawet nie mają dla niego łóżka w klinice.

Poczuł, że chciałyby ją po prostu przytulić. Delikatnie, na chwilę wziąć w ramiona, pocieszyć i ochronić. Odrzucił tę myśl jako absurdalną, ale nieświadomie zbliżył się o kilka kroków.

Dziennikarz pozwolił jej zrobić przerwę, nie przerwał kolejnymi pytaniami. Gdy znów zaczęła mówić, była bardziej opanowana, a ton jej głosu się obniżył.

- Gdzie byli dorośli, gdy najbardziej ich potrzebowałam? Gdzie była moja mama? Moja rodzina? Moi nauczyciele? Pedagodzy? Ci wszyscy, którzy mieli się mną opiekować?

Nagłym ruchem odwróciła głowę i zaczęła mówić prosto do kamery. Reżyser przerwał.

- Okej, cięcie. To odwrócenie głowy będziemy musieli przećwiczyć kilka razy, zanim uzyskamy efekt spontaniczności. Jest za szybkie.

Dziewczyna syknęła ze złością:

- Wcześniej było zbyt wolne.

- Tak, a teraz jest, jak powiedziałem, za szybkie. I najlepiej gdybyś była nieco mniej oskarżycielska, przydałaby się odrobina niepewności. Daj sobie więcej czasu, żebyś tego nie deklamowała. Dasz radę to zrobić?

Mørkowi trudno było wyobrazić sobie, co reżyser ma na myśli. Aż do chwili, gdy zobaczył dziewczynę; wtedy zrozumiał. Odegrała ten fragment z brawurą i pozwolono jej kontynuować.

- Gdzie byliście? I gdzie jesteście teraz? Dlaczego pozwalacie, by istniały pedofilskie stowarzyszenia? Dlaczego kary za gwałt w ogóle są surowsze niż kary za gwałt na dzieciach? Dlaczego...?

- Dziękuję, dziękuję, było znakomicie - przerwał jej reżyser.

Dziewczyna wyprostowała się, a jej twarz przybrała wyraz niewyrażający niczego.

- Co mam zrobić, gdy mi przerwą?

- Nie przerwą, ale jest pewien szczegół...

- Do cholery, nie odpuszczasz.

- Czy mogłoby ci być trochę bardziej przykro, gdy mówisz o bracie?

- Mogę się nawet śmiać, mówiąc o bracie.

Zrobili przerwę. Dziennikarz opuścił studio, dziewczyna, kamerzysta i reżyser podeszli do Erika Mørka.

- Jest najbardziej utalentowana wśród tych, z którymi pracowałem - powiedział reżyser. - Potrafi się zarumienić tak uroczo jak ucieleśnienie cnoty, płakać tak, że wzrusza się serce komornika, potrafi uśmiechem przywołać słońce w zimowy dzień, frazowanie, barwa głosu, wygląd, ma to wszystko, a na dodatek jest pojętna.

Mówił, jakby dziewczyny z nimi nie było. Mørk zgadzał się z nim. Jej potencjał medialny stanowił klasę samą w sobie; mimo to poczuł ukłucie niepokoju.

- Ale to, co mówi, czy to ją też spotkało...?

- Spotkało? Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Czy wydarzyło się w rzeczywistości?

Reżyser odszedł. Zdziwiony Mørk odprowadził go wzrokiem, potem zapytał operatora:

- Czemu sobie poszedł? Rozzłościł się czy co?

- Nie przejmuj się tym, jest trochę ekscentryczny. Są słowa, których nie znosi, ale mamy fart, że pracuje dla nas taki talent jak on, jest nieprawdopodobny.

Mørk przytaknął, jakby zrozumiał. Kamerzysta dodał:

- Powinieneś przeczytać jego książkę. „W globalnej wiosce kamera jest bogiem” albo „Wszyscy rozdeptują żuki, nikt biedronek”. To dwa najbardziej znane cytaty.

- Taaa, może coś w tym jest.

- Coś? Nic nie kapujesz?

- Nie, zupełnie nic.

Mężczyzna wyciągnął paczkę papierosów. Poczęstował nimi dziewczynę, która odmówiła, bez słów, jedynie kręcąc głową; wytrząsała jednego papierosa i włożyła go sobie za ucho, szukając zapalniczki po kieszeniach.

- Widziałeś wczoraj tę matkę? Tę w ruinach bloku. Materiał CNN.

Mørk potwierdził, widział jego fragment.

- Wybrali ją bez ładu i składu. Samo ustawienie sceny było katastrofą. Czarny kombinezon, brzydka cera i brwi jak grzywa kucyka, a pamiętasz, jak wylała? Uskarżała się tak, że niemal nie nadążali z tłumaczeniem, rzucała się w przód i w tył, machała rękami i nogami, wywracała oczami jak jakiś postrzelony kominiarz. Prawda jest taka, że schrzaniła swoją jedyną szansę. Milionom ludzi zrobiło się nieswojo, a jak sądzisz, gdzie są teraz jej martwe dzieci? Porzucone w najdalejszym zaułku pamięci. - Zapalił papierosa i dodał: - Pytałeś, co się stało, ale to, co się stało, ma mieć wpływ na przyszłość, nie dotyczy przeszłości. Dlatego robimy próby.

Mørk dostrzegł w tym logikę. Oczywiście, operator miał rację.

- Rozumiem. Po prostu wydawało to się takie... takie, no nie wiem... może znieślawiające.

- Nie jesteś przypadkiem z branży reklamowej?

- Tak.

- No to w czym problem? Była świetna, my sprawiliśmy, że stała się genialna. Tak, oczywiście, trzeba ją wystylizować, żeby wyglądała jak bez makijażu, ale to dopiero pojutrze, kiedy będzie prawdziwe nagranie. Na pewno dostaniesz zdjęcia na wyłączność na stronę internetową. Czarno-białe, jak sądzę; czarno-białe najbardziej do niej pasują. I poczekaj tylko, aż zobaczysz ten materiał, będziesz zachwycony.

Dziewczyna stała obok, wyglądając na wielce znudzoną. Nagle powiedziała:

- Powiedz, zostawiłeś mózg w domu? Per Clausen mówił, że jesteś mądry. Oczywiście, że muszę to przećwiczyć. Ty nie ćwiczyłeś tej mowy o swojej zmarłej siostrze?

- Skąd wiesz?

- No a jak myślisz? Bo byłam tam, gdy o niej mówiłeś. I co, ćwiczyłeś to czy nie?

- Tak, ale... było trochę inaczej.

Zrezygnowała z dalszej rozmowy, wzruszając ramionami, i niecierpliwie rzuciła w głąb studia:

- Może byśmy zaczęli, bo zaraz zarażę się świerzbem od tego starego dziada.

## Rozdział 58

W przedśionku dworca Østerport Konrad Simonsen kupił kawę i stanął z nią przy jednym z najdalszych stolików, przeznaczonych dla gości kafejki. Ranek rozpoczął się cudownie, a zakończył okropnie. Wieczór z Hrabianką był fantastyczny. Obiecali sobie jak najszybciej to powtórzyć, a on obudził się w świetnym humorze. Pod prysznicem zaczął nawet śpiewać, czego zresztą nie robił od wielu lat. Już był w drzwiach, gdy przyszła poczta i jego świat rozpadł się.

List był od Pera Clausena; żółta koperta formatu A4, ze stemplem pocztowym z Fredericii z poprzedniego dnia, zawierająca sześć nieostrych fotografii Anny Mii. Jedną, na której wychodzi z kamienicy, w której mieszka; dwie, jak przypina rower, i trzy, na których jedzie na rowerze w stronę fotografa. Do tego dwie linijki z psalmu, którego treść Simonsen znał aż nazbyt dobrze: „Jeśli noc ze śmiercią przyjdzie, Jezus z brzaskiem rannym wyjdzie”. Tysiące myśli przebiegło mu przez głowę, podczas gdy strach zaciskał mu przeponę, a pot występował na skronie. Papiery wypadły mu z ręki, usiadł wśród nich na podłodze, gdzie powoli opanował napad strachu i zmusił myśli do powrotu na bardziej racjonalne ścieżki. Anna Mia pojechała poprzedniego dnia na Bornholm, żeby odwiedzić przyjaciółkę, która właśnie została matką; więc nie była bezpośrednio zagrożona. Rozsądek podpowiadał mu poza tym, że ta ledwie zawołowana groźba miała wyprowadzić go z równowagi, nie było mowy o jej urzeczywistnieniu. Wysnuty na zimno i zapewne słuszny wniosek, którego jego ciało w pierwszej chwili nie chciało zaakceptować. Powoli wracało mu opanowanie, jednocześnie pojawiały się kolejne pytania. Skąd Clausen wiedział, że Anna Mia jest jego córką? Nie mówiąc o tym, jak dowiedział się, gdzie ona mieszka. Czy był śledzony? Czy gazety w zeszły wtorek pisały o jego przerwanych wakacjach z córką? Czy istniało jakieś inne wyjaśnienie? Nie mógł znaleźć odpowiedzi na te pytania, siedząc tutaj; tylko wzmacniały jego poczucie bezradności. Jednak ciągle je stawiał, aż do chwili, gdy inne emocje powoli przejęły kontrolę i postawiły go na nogi. Udało mu się, wysiłkiem woli, opanować się. Gdy wreszcie wyszedł z domu, wszystko na pozór wyglądało jak wcześniej, ale wewnątrz czuł rozżarzoną nienawiść o takiej intensywności, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył.

Myśli Simonsena krążyły wokół wydarzeń poranka, nie zobaczył więc osoby, na którą czekał, zanim stanęła obok niego. Usunął w cień swój zły nastrój i uprzejmie się przywitał:

- Dzień dobry.

Mężczyzna był dobrze ubrany, w dość zachowawczym stylu. Krawat wskazywał, że pracował na urzędniczym stanowisku. Był w średnim wieku, ale jego niemal лыsa głowa i przygarbiona postawa sprawiały, że wyglądał na starszego. Miał bezbarwny głos.

- Dzień dobry, panie inspektorze, czy kim tam już zdążyłeś zostać.

- Miło z twojej strony, że przyszedłeś.

Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

- Miałem jakiś wybór?

- To nie jest przesłuchanie, przeciwnie, chcę cię poprosić o przysługę.

- Kiedy policja prosi o przysługi, zazwyczaj ma w zanadru cały zestaw gróźb.

- Nie tym razem. To, czego chciałbym się od ciebie dowiedzieć, jest na granicy prawa, więc jeśli nie masz ochoty mi pomagać, i tak zostaniemy przyjaciółmi.

- A jesteście przyjaciółmi?

Pytanie było uzasadnione. Określenie ich przelotnej znajomości jako przyjaźni było nadużyciem. Przypadkowo grał z nim w szachy podczas kilku turniejów otwartych, poza tym nie widywali się, odkąd prawie dwanaście lat temu Simonsen przesłuchał go, a później zeznał przeciw niemu w sądzie.

- Nie, oczywiście, że nie jesteśmy, źle to ująłem - odpowiedział Simonsen po chwili zastanowienia. - Przepraszam. Przyjaciółmi nie jesteśmy.

Wypił łyk zimnej kawy. Przez moment zastanawiał się, czy wspomnieć o swojej przemożnej niechęci wobec dodatkowej kary w postaci wykluczenia społecznego. Rodziło ono jedynie większą przestępczość, poza tym nie było w porządku. Skoro ktoś odbył karę, jego konto znów było czyste, jeśliby rozmówca chciał znać jego zdanie, ale zachował te przemyślenia dla siebie i zapytał:

- Może opowiedziałbyś mi, jak ci się wiedzie?

Mężczyzna odrzekł z ociąganiem i bez wielkiej otwartości:

- Wiedzie mi się jak zwykle. Trzymam się mojej terapii, biorę leki, nie mam kontaktu z dziećmi, nie oglądam zdjęć, nie oglądam filmów, nie kupuję magazynów.

- To wiem. Sprawdziłem cię, najlepiej jak mogłem, ale nie to miałem na myśli, chciałem się dowiedzieć, jak się masz na co dzień.

Mężczyzna spojrział na niego zaskoczony, potem odpowiedział:

- Taaa, zazwyczaj nie jest zbyt dobrze, skoro już pytasz tak bezpośrednio. Najczęściej jestem sam, oglądam sporo telewizji, czasem idę do teatru, czytam jakieś książki, żeby zabić czas. Weekendy są długie, wakacje też, za to dni powszednie mijają jak trzeba. Mam przecież pracę.

Spojrzał w stół.

- Okropnie brakuje mi moich chłopców. Każdego dnia. Tak, już dorośli, ale się z nimi nie widuję, to z pewnością zupełnie normalne.

Simonsenowi trudno było na to odpowiedzieć.

- Pewnie tak.

- Tak, tak, oczywiście, że tak.

Mężczyzna podniósł wzrok. Jego ból był wyraźnie widoczny.

- Dziękuję, że zapytałeś, a teraz powiedz, w czym ci mogę pomóc.

- Powiedz najpierw, co sądzisz o tej debacie, która się obecnie toczy wokół pedofilii.

- „Debata”. No tak, tak też to można nazwać.

- Nie znalazłem lepszego określenia.

- Prawda jest taka, że się boję, ale mogę tylko spuścić głowę i czekać, aż się to uspokoji.

Simonsen pokiwał głową ze współczuciem i wyjaśnił swoją sprawę:

- Potrzebuję alternatywnego źródła informacji o rozmowach telefonicznych.

Wiesz: kto dzwonił do kogo, kiedy, jak długo, ale nie mam nakazu sądowego, a je-

ślibym nawet miał, to ryzyko, że ktoś mógłby przez godny pożałowania błąd skasować właśnie te dane, których potrzebuję, jest obecnie poważne. Więc nie mam odwagi polegać na naszych oficjalnych źródłach, a moje nieoficjalne już się wyczerpały.

To ostatnie potwierdzały słowa Hrabianki. Zazwyczaj potrafiła w okamgnieniu uzyskać dostęp do informacji o połączeniach telefonicznych.

- Wcale mnie to nie zaskakuje.

- Może się okazać, że będzie tego całkiem sporo. Zechcesz mi pomóc? I czy możesz?

- Przypuszczalnie tak. Mam kolegę w pracy, który odpowiada za bezpieczeństwo switchów i ma swobodny dostęp do naszych baz danych, włączając stare taśmy backupowe. Muszę najpierw z nim porozmawiać, ale jestem niemal pewny, że się zgodzi. Nawet jeśli moja przeszłość miałaby zostać... wyeksponowana.

- Obawiasz się tego?

- Powiedz, czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje?

Simonsen pomyślał, że powoli stawało się normą, że ludzie zadają mu właśnie to pytanie. Nie odpowiedział, ale wyciągnął z kieszeni kopertę i sięgnął do portfela po wizytówkę. Coś na niej zapisał.

- Proszę, weź. Moje numery prywatne są z tyłu. W kopercie jest lista spraw, które chętnie byśmy wyjaśnili, oczywiście to pilne, choć rozumiem, że nie jesteś cudotwórcą. Zadzwoń do mnie, jak pogadasz ze swoim przyjacielem, odezwiw się także, gdybyś miał problemy.

Mężczyzna wziął materiały. Wizytówkę wetknął do wewnętrznej kieszonki, a kopertę włożył do aktówki.

- Znajdziesz katów tamtych ludzi?

- O tak, znajdę. Dopadnę ich na pewno. Co do jednego. Jeśli nie dziś, to jutro, w przyszłym tygodniu albo w przyszłym roku, ale wytropię ich, a przy odrobinie szczęścia stanie się to szybko.

- Mam nadzieję, że spełni się to ostatnie. Wtedy nienawiść stopniowo wywietrzeje.

Nie brzmiało to przekonująco. Raczej jak zaklinanie rzeczywistości.

Szli razem jeszcze przez chwilę, po czym podali sobie ręce na pożegnanie.



## Rozdział 59

Pauline Berg entuzjastycznie przekonywała do swojego stanowiska, a Konrad Simonsen pozwolił się jej wygadać. Dopiero gdy zaczęła się powtarzać, przerwał i krótko podsumował jej punkt widzenia, nie sygnalizując, czy się z nim zgadza, czy nie:

- Twierdzisz, że Stig Åge Thorsen boi się kobiet, albo mówiąc ściślej, bliskiego kontaktu z kobietami w swoim wieku, i proponujesz, żebyśmy wykorzystali tę przypuszczalną niechęć podczas jego przesłuchania, co oznaczać ma tyle, że ty sama będziesz mu zadawać pytania, do czego, obiektywnie rzecz ujmując, jesteś najmniej wykwalifikowana z nas wszystkich. A twoje propozycje padają na mniej niż dwie godziny przed rozpoczęciem przesłuchania, na podstawie dziesięciominutowej rozmowy telefonicznej z jego znajomą z wakacji, poznaną podczas rejsu w Grecji. Czy dobrze zrozumiałem?

Najmłodsza w wydziale zabójstw obstawała przy swoim:

- Zgadza się.

- Kobieta z rejsu zadzwoniła z własnej inicjatywy i nie mamy żadnej pewności, że jej informacje są prawdziwe, czy to też się zgadza?

- Tak, nie mamy pewności.

- Mów dalej.

- Przesłuchanie powinienam przeprowadzić ja z Hrabianką, poza tym powinniśmy przestawić meble w pokoju przesłuchań, żeby było bardziej intymnie. Wszyscy powinni siedzieć bliżej siebie.

Arne Pedersen przyglądał się sufitowi. Simonsen natomiast kiwał głową z uznaniem. Nie chodziło o propozycję, co do której nie zajął jeszcze stanowiska, ale o jej konsekwencję.

- Ja też jestem wykluczony? - zapytał.

- Kobieta z jego wakacji odebrała te same małe znaki, które sama dostrzegałam u zdenerwowanych mężczyzn albo takich, którzy się mnie po prostu bali - odpowiedziała wymijająco Berg. - Czytałam, że ten typ reakcji jest charakterystyczny dla mężczyzn, którzy dorastali bez poczucia bezpieczeństwa. Co pasowałoby do faktu, że Thorsen szukał pomocy u doktora Jeremy'ego Floyda.

Pedersen spojrział z zaskoczeniem. Nie znał Berg od tej strony. Nie odwzajemniła jego spojrzenia, pozostała skupiona na Simonsenie, podczas gdy ten w zamyśleniu przypatrywał się nieregularnym torom kropli deszczu spływających po oknach biura. Jej wiara w siebie była w zenicie.

Ostatniego wieczoru, bez zaproszenia i chcąc wy badać sprawę, odbyła pokutną podróż do domu Kaspra Plancka. Ciężły jej wyrzuty sumienia po tym, jak okłamała Hrabiankę w sprawie przesłuchania w kantine hali sportowej Gudme. W końcu nie mogła już tego wytrzymać i złożyła wizytę byłemu szefowi wydziału zabójstw, uważając, że jest on jedyną osobą, która mogła ją zrozumieć.

Starszy człowiek podał jej chusteczkę i cierpliwie wysłuchał. Potem położył pomarszczoną dłoń na jej głowie i spokojnie powiedział:

- Sądzę, że policja ci wybaczy. Dlaczego miałabyś pozostać obojętna, skoro tak wielu innych popada w szaleństwo? Większość społeczeństwa nie życzy sobie, byś znalazł zabójców, jeśli wierzyć mediom.

- A co z przyjacielem Franka Ditlevsena? „Jeden z jego dawnych chłopców”. Przecież to ważna informacja. Powinam była już dawno ją przekazać.

- Pozwól, żeby Simon sam to sobie wykombinował. Powinien był na to wpaść.

- W jaki sposób? Przecież nie może tego wiedzieć.

- Jasne, że może. Zabójstwo braci było sprawą osobistą: Frank Ditlevsen został powieszony w środku, jako ostatni, Allan Ditlevsen był Panem Ekstra, to precyzyjny i wiele mówiący wybór określenia. A takie osobiste podejście zawsze z czegoś wynika.

Berg aż otworzyła usta z wrażenia.

- Od jak dawna wiedziałaś?

- Wiedziałem czy nie, na razie to tylko domysły, ale pod koniec tygodnia mam spotkanie, które z pewnością rzuci na to światło. Wtedy zobaczymy. Wszystko w swoim czasie. Ale podejź no tu, mam coś dla ciebie.

Ze schowka w mahoniowym sekretarzyku starszy mężczyzna wyjął pudełko. Podniósł ozdobę, ryбка była ze złota, bardzo ładna, łańcuszek prosty i lekki.

- Należał do mojej żony, teraz jest twój.

- Ale...

Położył palec na ustach, a ona zamilkła. Potem włożyła ozdobę. Elegancko opadła wokół szyi, nawet jej nie poczuła. Tak jakby nosiła ją od zawsze.

- Cudowna, ale...

I znów palec. Poczuła się wyzwolona, było jej lekko na duszy, a łzy znowu popłynęły, tym razem z radości. Sięgnęła po chusteczkę, a gdy się wyplakała, nadeszło zakłopotanie:

- Dajesz i dajesz, a czy ja mogłabym coś dla ciebie zrobić?

Twarz Kaspra Plancka się rozjaśniła.

- Możesz podlać mi kwiaty, bardzo tego potrzebują.

Berg uśmiechnęła się delikatnie na myśl o przemieszczaniu się z konewką pod dyktando starego człowieka i to przechyliło szalę. Simonsen stwierdził, że jeśli chodzi o męską nerwowość, to siedzi przed nim ekspert.

- Hrabianka będzie *primus motor*, a twoim zadaniem będzie towarzyszenie jej. Ostateczną decyzję podejmę, gdy Hrabianka porozmawia z tą wakacyjną przygodą i poprze twoją propozycję. I jeszcze jedno, Pauline. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Jeśli popełnisz błąd albo jeśli Hrabianka będzie potrzebować pomocy, zostaniesz natychmiast zastąpiona i nie chcę później słyszeć z tego powodu żadnych skarg. Czy to jasne?

- Jak słońce. I dziękuję za zaufanie. Myślę, że to dobry wybór.

- Jeszcze niczego nie wybrałem, masz niecałe dwie godziny na Hrabiankę, wykorzystaj ten czas.

Tak zrobiła. Była już za drzwiami, nim Pedersen zdążył się podnieść.

Stig Åge Thorsen i jego adwokat przybyli punktualnie, a co do tego, że Berg miała rację, nie było wątpliwości już od pierwszej chwili. Świadkowi najwyraźniej nie podobało się przebywanie w towarzystwie dwóch kobiet, szczególnie kontakt

z młodszą zdawał się mu przeszkadzać. Gwałtownie cofnął rękę, gdy Berg podczas powitania ciepło i przyjaźnie przykryła ją obiema dłońmi. Simonsen i Pedersen siedzieli za lustrem weneckim.

- Miała rację. - powiedziała Simonsen. - Widziałeś to? Gdy już się wie, widać to wyraźnie, spójrz, jak wycofuje się rakiem. Może nawet sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Jego adwokat w każdym razie nie.

W pokoju przesłuchań Hrabianka zatoczyła ręką krąg i jednocześnie wyjaśniła adwokatowi:

- Proszę usiąść. Jak pan widzi, że względu na inwentaryzację musieliśmy zrobić tymczasowe przemeblowanie, ale jakoś sobie poradzimy.

W pośpiechu odszukali stosunkowo mały kwadratowy stół; cztery krzesła stały po jednym z każdej strony, więc Berg mogła usiąść blisko Thorsena, niezależnie od tego, które z nich wybrał adwokat.

- Ależ to genialne! - skomentował z zachwytem Simonsen.

- Co się właściwie stało z tym programem telewizyjnym? - spytał z lekką irytacją w głosie Pedersen. - Nie mieli go nadać dzisiaj?

- Przesunęli na razie transmisję, cokolwiek to znaczy. Chyba mają jakiś inny materiał, który uznali za istotniejszy, ale teraz buzia na kłódkę, musimy się przysłuchiwać.

Kolejne półtorej godziny było dla Thorsena brutalnym przeżyciem. Jego wyuczone środki obronne działały tylko przez chwilę, a Hrabianka przeganiała go po ringu ciosami, które padały ze wszystkich stron.

- Osiemnastego listopada dwa tysiące trzeciego roku ktoś wjechał w pański samochód zaparkowany na Lille Strandvej w Gentofte. Co pan tam robił?

Nigdy nie był w Gentofte. Odsunął od siebie kopię zgłoszenia o szkodzie. Musiało zająć jakieś nieporozumienie.

- Kto zapłacił za pański rejs do Grecji? Też ten obcy mężczyzna?

Plątał się, nie pamiętał, potem odmówił odpowiedzi, a w końcu stwierdził, że sam zapłacił i że oszczędzał na to przez wiele lat.

- W kwietniu zwrócił się pan do huty żelaza Frederiksværk i zakupił dużą ilość węgla, który przez lata zalegał na starym placu portowym fabryki. Po co był panu ten węgiel?

Fajnie było go mieć, tak, wykorzystał go do podtrzymania ognia w dole z minibusem, ale nie, to nie było zaplanowane.

- Jakie było pańskie dzieciństwo? Pana dawny wychowawca ze szkoły w Kregme powiedział, że pana dorastanie było trudne. Czy to prawda?

Miał normalne dzieciństwo, zupełnie zwyczajne, na sto procent normalne dzieciństwo, a nauczyciel to pomyłony, stary, sklerotyczny głupiec.

- Napadł pan kobietę na plaży w Salonikach. Co tam się stało?

Włączył się adwokat, ale to stwierdzenie pozostawiło ślad. Thorsen wyglądał jak zbity pies.

Hrabianka nie przerywała, przeskakiwała z tematu na temat, zahaczała to tu, to tam, zmieniała zagadnienia, gdy wyraźnie go to rozbijało, po to tylko, żeby wracać do już zadanych pytań ze zdwojoną siłą po dziesięć minutach, i wkrótce u rolnika zaczęły pojawiać się nagle znaki psychicznego zmęczenia. Nieporadne zdanie, palec pocierający oko, drgający mięsień na skroni, złość, irytacja i tym samym nieostrość. Próba generalna zakończyła się sukcesem:

- Czy zna pan Jeremy'ego Floyda?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Mogę go tu poprosić, żeby pana rozpoznał. Życzy pan sobie tego?

Berg się włączyła. Do tej pory się nie odzywała. Teraz ostrożnie sprzeciwiła się Hrabiance:

- Ale, ale on...

- Wiem przecież, że jest psychiatrą, ale tajemnica lekarska nie obowiązuje w takich sprawach karnych jak ta - przerwała jej z irytacją Hrabianka. - No więc, panie Thorsen, czy mam zorganizować konfrontację?

- Ale, ale... - naciskała Berg.

- Siedź cicho.

Hrabianka syknęła, adwokat się zdziwił, a Thorsen dał się złapać.

- On nie żyje, guzik pani zorganizuje.

- Hm, tak, no to niech mi pan powie jedną rzecz. Dziwi mnie, że...

Uśmiech Simonsena był szeroki i kąśliwy.

- Nawet się nie zorientował, że się wygłupił.

- Adwokat też nie - odpowiedział Pedersen. - Siedzi tam jak jakiś sfinks. Na niewiele się zdaje.

- Nie daj się zwieść jego minie. Jest dobry. Znam go. Ale masz rację, nie sprawia wrażenia, jakby chciał zrobić więcej niż to, za co mu płacą.

Kwadrans później Hrabianka zdecydowała, że nadszedł właściwy moment.

Przesunęła się do przodu i położyła ręce na stole.

- Te dwadzieścia tysięcy koron, które dostał pan od nieznanego mężczyzny, przekazał pan przez internet indyjskiej organizacji charytatywnej, która nazywa się Sanlaap. Dlaczego właśnie tej organizacji?

Najwyraźniej Thorsen spodziewał się tego pytania.

- Chyba mówili o niej w telewizji, ale nie jestem pewny, może to był przypadek, sam nie wiem.

Skrzyżował ramiona. Temat został, jego zdaniem, wyczerpany.

Ale nie dla Berg. Pochyliła się w stronę mężczyzny.

- Sanlaap działa w Bombaju, dokładniej mówiąc w największej dzielnicy burdeli na świecie, w Kamthipurze. Żyje tam dwieście tysięcy kobiet i dzieci, od których kupuje się seks. Nawet siedmioletnich. Dzieci trzyma się jako seksualnych niewolników w rozpadających się burdelach i codziennie muszą obsłużyć po piętnastu, dwudziestu klientów. Większość z nich pochodzi z Katmandu w Nepalu, skąd z wykorzystaniem różnych odrażających sztuczek porywają je handlarze niewolnikami i wywożą za granicę, do Indii, gdzie się je sprzedaje do burdeli. Przez pierwszych kilka tygodni są bite, albo nawet torturowane, aż się załamią i pogodzą z nowym zajęciem. Kiedy nie są gwałcone, burdelmamy zamykają je w ciemnych, ciasnych pomieszczeniach, takich jak niskie piwnice albo poddasza, żeby nie znalazła ich policja. W przeciwnym wypadku żąda udziału w zyskach. Większość dziewczynek jest zarażona wirusem HIV. Nie są leczone i chorują na AIDS. Wiele zachodzi w ciążę i wychowuje swoje dzieci w warunkach nie do opisania.

Mówiła powoli i wyraźnie, bezpośrednio do Thorsena. Odsunął się od niej tak daleko, jak na to pozwoliło oparcie krzesła, ale nie był w stanie uniknąć jej wzroku. Gdy skończyła, odpowiedział bez zastanowienia się nad tym, że o nic go nie zapytała.

- Tak, to okropne, a świat jest na to zupełnie obojętny.

Hrabianka mu przerwała. Jej głos brzmiał oskarżycielsko i ostro jak brzytwa.

- Wpłacił pan pieniądze na konto Sanlaap, żeby zyskać moralne odpuszczenie grzechów, prawda? Był pan leczony przez Jeremy'ego Floyda, ponieważ nie może pan utrzymać rąk z dala od małych dzieci. Czy to prawda?

Adwokat zareagował złością.

- Co to ma być?!

Reakcja Thorsena była jednak jeszcze silniejsza. Jego wybuch był głośny, prawie jak krzyk.

- Nie, nie, jest na odwrót, to mnie skrzywdzono!

Także Berg podniosła głos, nieźle wkurzona na Hrabiankę.

- Źle zrozumiałaś, on nic złego nie robi dzieciom. Niczego nie skumałaś?

Troskliwie położyła dłoń na ramieniu mężczyzny.

Hrabianka nawet nie próbowała zamaskować niezgody między sobą a koleżanką z pracy.

- Bzdura, był w grupie terapeutycznej ze szkolnym woźnym Perem Clausenem i z pielęgniarką Helle... Helle... jak ona się nazywa? Helle...?

Kilkukrotnie strzeliła palcami, szukając odpowiedzi, jakby adresując to pytanie do Thorsena, i zdarzył się cud.

- Jørgensen, Helle Schmidt Jørgensen, ale to nas...

Więcej nie zdążył powiedzieć. Adwokat wreszcie zrozumiał, co się dzieje, i skutecznie przerwał przesłuchanie, zasłaniając dłonią usta swojego klienta.

- Dosyć tego, drogie panie, nawet bardziej niż dosyć. Nie wiem, co to ma być.

Był rozjuszony. Rzucił w przestrzeń bardzo formalnym tonem:

- Niech na taśmie zostanie nagrane, że zakryłem usta mojemu klientowi, a poza tym domagam się przerwania przesłuchania.

Potem wstał i niemal poderwał Thorsena do góry, osłaniając go przed kobietami. Zwrócił się w stronę lustra.

- To psychiczny terror, chodź tutaj, Simon.

Simonsen podniósł się ociężale.

- Muszę tam chyba iść i załagodzić sprawę. Zapamiętałeś nazwisko, Arne?

- Pielęgniarka Helle Schmidt Jørgensen.

- Znajdź ją, jak najszybciej.

## Rozdział 60

Po przesłuchaniu Stiga Ågego Thorsena Hrabianka złapała swojego szefa na korytarzu, gdzie przez kwadrans cierpliwie czekała, żeby się jej nie wymknął. Podeszła do niego, kiedy tylko pożegnał się z adwokatem.

- Simon, musimy pogadać.

Konrad Simonsen odwrócił się zaskoczony. Mówiła stanowczo, niemal ostrym tonem. Zbył ją najgrzeczniej, jak potrafił:

- Przykro mi, Hrabianko, ale to musi poczekać. Jestem w drodze na briefing z wodzami, a potem...

Pociągnęła go za rękę do jego biura. Ku własnemu zaskoczeniu poszedł za nią, nie protestując, i posłuchał, gdy niemal rozkazała:

- Siadaj.

Sama stała obok niego. Zerknął na nią i zapytał:

- Coś nie tak?

- Ze mną wszystko w porządku, za to z tobą nie.

- Co masz na myśli?

- Chociażby to, że kiedy tylko masz dziesięciosekundową przerwę, zaraz gdzieś odpływasz. Przestań się wykręcać i powiedz mi, co się stało.

To raczej jej ręka na jego ramieniu niż słowa sprawiła, że się poddał. Otworzył szufladę biurka i podał jej kopertę, którą dostał rano. Potem wstał i stanął przy oknie plecami do niej. Chwilę później usłyszał, że usiadła na jego miejscu, po czym nastąpiło długie milczenie, aż nagle jej ramiona oplótły jego ciało. Mówiła cicho, ale wyraźnie:

- Co z tym zrobiłeś?

Simonsen nie odpowiedział. Słowa zgaasty, zanim je wypowiedział, gdy nagle poczuł w ustach intensywny, słodko-kwaśny posmak. Przyszedł bez ostrzeżenia i przypomniał mu dropsy z dzieciństwa, które można było kupić w sklepiku przy głównej ulicy, pięć øre za sztukę, a może dwa - nie pamiętał, tylko ten czysty, silny smak cytryny i cukru wypełniający usta i utrzymujący się długo po tym, jak cukierek się rozpuścił. Dokładnie tak jak teraz.

To doznanie smakowe go przestraszyło, ale obrazy, które po nim nastąpiły, były przerażające. W krótkich przebłyskach widział Annę Mię dyndającą na końcu sznura. Wierzgającą rękami i nogami w towarzyszących śmierci skurczach, podczas gdy jej błagalne spojrzenie na próżno go wzywało. Wizja trwała nie dłużej niż sekundę, potem opanowała go nienawiść, a on kiwał głową z wdzięcznością, w miarę jak szatańskie idee grzecznie ustawiały się w kolejce w jego myślach, tak by mógł je smakować jedna po drugiej. Przecięty dół podkolanowy, kilka złamanych kciuków, albo jeszcze gorzej - silne wbicie stopy w tył głowy, podczas gdy jego ofiara leży na brzuchu i jest zmuszona do otwarcia ust nad krawężnikiem. Tak powinno być. Jego córce nikt nie powinien grozić... Zacisnął pięść i uderzył

nią we wnętrze dłoni. Raz, dwa razy, wiele razy, małymi ruchami, żeby nie zrzucić z siebie ramion Hrabianki. Powtórzyła pytanie, przywołując go z powrotem do rzeczywistości.

- Simon, co z tym zrobiłeś?

- Anna Mia jest u koleżanki na Bornholmie. Nie masz anyżkowego cukierka? Nosisz ze sobą gajole, może mógłbym dostać kilka? Albo trochę wody.

- Jak długo tam będzie?

- Kto?

- Jak długo Anna Mia będzie na Bornholmie?

- Do piątku, tak mi się wydaje.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie.

- Z innymi też nie?

- Tylko z tobą.

Przez chwilę stali przytuleni, aż zadzwonił telefon Simonsena, a on niechętnie się oswobodził. Hrabianka usiadła naprzeciwko i z zadowoleniem usłyszała, jak bez przeproszania ani wyjaśniania przesunął swoje spotkanie o kwadrans. Wskażał na kopertę, którą trzymała w dłoni, i zapytał:

- Co chcesz zrobić?

Odpowiedziała od niechcienia, jakby to pytanie nie miało większego znaczenia:

- Rozpocząć zwykłą procedurę, Simon.

- To sam mogę zrobić.

- Nie, ja się tym zajmę. Ale nie masz się czym denerwować; to jasne, że list wysłano tylko po to, żeby cię zaniepokoić.

- Prawda? Wcześniej też dostawałem listy z pogrozkami.

- Właśnie. Czymś takim nie należy się nadmiernie przejmować.

- To chyba dlatego, że zabrałem Pauline na jego przesłuchanie, przesłuchanie Pera Clausena, wiesz, ze względu na jego córkę. Więc to może być zemsta. Tak, oczywiście, doskonale rozumiesz, co chciałem powiedzieć.

- Jasne. A teraz już idź na swój briefing i nie martw się więcej tą sprawą.

Simonsen skinął głową, a Hrabianka zabrała kopertę i pospiesznie wyszła z biura. Gdy zamknęły się za nią drzwi, poczuł nagłą senność.

## Rozdział 61

Anita Dahlgren nie była mistrzynią w kuchni, trzymała się więc tego, co sprawdzone. Koktajl z krewetek z bagietką czosnkową na przystawkę, danie główne złożone z befsztyka wołowego z nieskomplikowanymi dodatkami – pieczonymi ziemniakami i masłem pietruszkowym, podanego z sosem berneńskim z puszki oraz sałatą z serem feta i oliwkami. Na deser były ni mniej, ni więcej, tylko lody waniliowe. Nawet ona nie mogła zepsuć tego menu.

Simonsen pochwalił ją co najmniej piąty raz:

- Wszystko było naprawdę smaczne.

- Tak, pięknie to przygotowałaś, Planck – dodał ze śmiechem Pedersen.

Kasper Planck zignorował pochwałę i powiedział poważnym tonem:

- Zaprosiłem was nie tylko ze względu na wasze miłe towarzystwo. Zastanawiałem się nad czymś, o czym powinniśmy porozmawiać, ale najpierw musicie wiedzieć, że już się więcej nie pojawię w HS. W ostatnim czasie dokuczalo mi zdrowie i już nie mam siły was odwiedzać.

Nastrój znacznie się pogorszył. Starszy mężczyzna przelotnie na nich spojrział.

- Prześcieście już wyglądać na takich zaskoczonych, nigdy nie planowałem dożyć setki, a ty, Anita, nie zaczynaj chlupać, otrzyj łzy, przecież nie umrę jutro.

- Przepraszam, już przestaje. Po prostu najzwyczajniej w świecie cię polubiłam.

- Ja ciebie też lubię, moja panno. Posprzątajmy razem ze stołu, podczas gdy tych dwóch bystrych panów pomyśli nad małą zagadką. Nasz przyjaciel z piłą łańcuchową, jak my go tam nazywamy, Simon?

Simonsen nie odpowiedział od razu. Przeniósł wzrok na Anitę. Nie uszło to uwagi Plancka.

- Dziś wieczorem Anita jest jedną z nas.

- Hmm, skoro tak mówisz. Nazywamy go Drzewołąz.

- Drzewołąz, tak, to wyśmienite określenie. Co jest największą słabością tego Drzewołąza?

Starszy pan i młoda kobieta wstali i poszli do kuchni. Dahlgren zaczęła zmywać naczynia i sztucce, a Planck od czasu do czasu podawał jej stosik filiżanek i spodków. Po jakimś czasie powiedział:

- Też chcesz zgadnąć?

- Nie, ale chętnie usłyszę odpowiedź.

- Odpowiedź brzmi: jego wizerunek. To w gruncie rzeczy dość banalne, ale jednocześnie istotne.

Zacząła się zastanawiać.

- Tak, prawda. To, co dotyczy jego wizerunku. Myślisz, że na to wpadną?

- Simon tak; Arne nie. Nie myśli wystarczająco prosto. Poza tym jego mentalna energia zawiesza się na tym, czego nie da się zmienić. Przez cały wieczór gadał tylko o tym, że ta pielęgniarka nam umarła, więc nie zgadnie.



- Zawsze jesteś tak pewny swego.

- Poczekaj i się przekonaj.

Planck miał rację. Wrócili do jadalni z kawą i filiżankami i jeszcze zanim Anita je rozdała, Pedersen się poddał.

- Mam pustkę w głowie. Właściwie chciałem powiedzieć, że jego dzieciństwo, ale z jednej strony nie wiem, czy to prawda, a jeśli tak, to na razie raczej nie można było dostrzec słabości, to znaczy, gdy pomyśli się o tym, co zrobił. Potem skupiłem się na naszych podejrzeniach, że być może znał braci Ditlevsenów za czasów, gdy mieszkali na Zelandii, ale to nie jest przecież samo w sobie słabością, a może jednak ten trop masz na myśli?

Jego uwagi pominięto uprzejmym milczeniem. Wszyscy skierowali wzrok na Simonsena, który uśmiechał się i nie spieszył z odpowiedzią. Spodziewane dolegliwości po jedzeniu nie wystąpiły, poza tym znał odpowiedź na pytanie Kaspra Plancka, więc czego więcej mógł sobie życzyć ten tęgi i nieco afektowany szef kryminalnych? Zadowolony z siebie powiedział:

- Masz na myśli jego obecność w mediach, prawda?

- Bingo, Simon, właśnie to mam na myśli. A co się stanie, jeśli zagrozimy mu solidnym uszczerbkiem na jego publicznym wizerunku? Nie zastanawiajcie się, jak byśmy to zrobili, po prostu załóżmy, że to zrobimy, co się wówczas stanie?

Dzięki szybkiej reakcji Pedersen nieco poprawił własny wizerunek.

- Odpowiedziałby na to tak dobrze, jak potrafi: próbowałby nam przeszkodzić, o ile to możliwe.

Simonsen przytaknął.

- Ktoś sobie w każdym razie zadał mnóstwo trudu, żeby wbić ludziom w głowy nieprzyjemne obrazy, nie mówiąc o hasłach. Zresztą skutecznie, niestety.

- Widzieliście wywiad z tą radykalną posłanką z komisji sprawiedliwości, która tak zupełnie przypadkiem została sfilmowana na tle plakatu z Thorem Granem? - zapytała Anita.

Powiodła wzrokiem dookoła, obserwując reakcję zgromadzonych. Przecząco kiwali głowami, więc wyjaśniła:

- Plakat jest właściwie zbliżeniem twarzy Thora Grana z minibusa, wiecie, z tej sceny, w której mówi o łyknięciu małych ponumerowanych trolli, a pod spodem jest napis: „Nie, nie zrobisz tego!”, zatem właściwy przekaz jest zakamuflowany. Ale jeśli miałabym wśród tej całej propagandy medialnej wskazać na jedną rzecz, jedną, która naprawdę poruszyła Duńczyków, to byłby to właśnie on, Thor Gran, siedzący tam i... wybierający dzieci. Plakat pokazywali przez co najmniej minutę, może nawet półtorej, a sam wywiad był z pewnością tylko pretekstem, żeby to zrobić. To, do cholery, jak z tą butelką coli, którą wstawiali w filmy w latach pięćdziesiątych, żeby zwiększyć sprzedaż coca-coli w przerwach; ktoś grzebie w naszej podświadomości, a nikt nie chce interweniować.

Simonsen podważył to ostatnie:

- Chodzi o percepcję podprogową i jest to w gruncie rzeczy mit. Tego nigdy nie udało się udokumentować i nikt nigdy w ten sposób nie manipulował przy filmach. Ale historyjka jest niezła.

- W przeciwieństwie do plakatu z Thorem Granem - dodał ironicznie Pedersen.

- W tym przypadku trudno, cholera, dostrzec coś pozytywnego.

Naraz Simonsen zastygł. Przez sekundę lub dwie zaciskał powieki, potem z wewnętrznej kieszonki wyciągnął torebkę anyżowych dropsów, wziął kilka i poczęstował pozostałych. Nikt się nie skusił.

- Przecież ich nie znosisz - powiedział Pedersen. - Co się stało?

- Nic.

Nadal nie lubił anyżówek, ale piratosy były dobrym antidotum na kwaśny smak w ustach. Co miał powiedzieć? Że myśl o zdjęciach Anny Mii, które mu przysłano, od czasu do czasu zmieniała smak w jego ustach? Kto by miał zrozumieć, skoro nawet on sam nie pojmował? I co to mogło obchodzić innych? To było bez znaczenia, zresztą miał nad tym kontrolę. Właśnie tak - miał nad tym kontrolę. Jak tylko dorwie tych dupków, którzy grozili jego córce, pokaże im, że nad tym panuje. Psychopatyczne gnoje.

Planck znowu pokierował rozmową według własnego zamysłu:

- Posłuchajcie i przestańcie już tracić czas na te pierdoły. Mam pomysł, jak przedstawić alternatywną prawdę, ale będzie to wymagać czegoś od całej waszej trójki. Każdy z was musi ponieść małą ofiarę. Chcecie posłuchać?

Pytanie było teatralne i to Anita wyraziła to, co myśleli wszyscy:

- Czasami jesteś trochę zbyt zadufany w sobie, jasne, że chcemy posłuchać.

Planck nie skomentował krytyki. Zamiast tego zaczął od końca:

- Anita, musisz zapomnieć o etyce prasowej, nie wspominając już o lojalności wobec pracodawcy, poza tym narzucimy ci chłopaka, choć tylko na jakiś czas. Arne, ty musisz być gotowy do całkowitego dezinformowania swojej okrągłutkiej przyjaciółki z „Dziennika”. A skoro już przy tym jestem, dostaniesz dobrą radę od starszego pana. Powinieneś poszukać profesjonalnej pomocy w związku z zamiłowaniem do gier, zanim wymknie się to spod kontroli, no i dobrze, żebyś porządnie posprzątał w swoim życiu osobistym.

Pedersen poczerwieniał jak burak, ale nic nie powiedział. Krawatem wytarł pot z czoła. Tego jeszcze nie było. Planck zwrócił się do Simonsena.

- Simon, tobie przypadnie najtrudniejsza część. Po pierwsze, przez najbliższe dni nie możesz się sztywno trzymać zasad. Większość z tego, co zaproponuję, jest nielegalna. Po drugie, musisz udzielić wywiadu Anni Staal, a po trzecie, nie możesz poinformować dyrektora Hammera ani nikogo z HS o naszych planach.

Simonsen pokiwał głową, nie całkiem przekonany. Planck zwrócił się do wszystkich.

- Może powinniście się zastanowić kilka minut, zanim przejdę dalej. O ile chcecie usłyszeć moją propozycję.

Anita nie musiała się zastanawiać.

- Pieprzyć moją pracę, a etyka prasowa i tak już nie istnieje. Myślę, że brzmi to frapująco. Czy mój chłopak jest fajny?

Mężczyźni poparli pomysł z nieco większym ociąganiem.

## Rozdział 62

Obiad u Kaspra Plancka zakończył się dla Konrada Simonsena gwałtownie i nieprzyjemnie. Kiedy tylko na ostatni guzik dopięto umowy dotyczące ofensywnej strategii medialnej i wszyscy rozluźnili się w ogólnie przyjemnej atmosferze, odebrał telefon ze szpitala w Herlev, gdzie pewna pielęgniarka z oddziału chirurgii ortopedycznej znalazła jego wizytówkę. Przeprosił i wyszedł.

Dobre pół godziny później był na miejscu. Pacjent, który nie był jego przyjacielem, spał niespokojnie. Simonsen przyglądał mu się, kręcąc głową z niedowierzaniem, podczas gdy jego oczy przyzwyczały się do półmroku panującego w pomieszczeniu. Ładnie ułożona, jasnoniebieska kołdra przykrywała śpiącego, a górna część łóżka była lekko podniesiona, tak by korpus spoczywał wyżej niż reszta ciała. W nozdrzach mężczyzny tkwiły rurki podłączone do podajnika tlenu w ścianie, skąd nieustająco dobywał się świst świadczący o drożności. Na głowie miał turban z gazy, a na złamanym nosie plaster, co nadawało mu makabryczny wygląd.

- Chce pan wiedzieć, co się stało?

Simonsen odwrócił się zaskoczony. Na krześle odsuniętym nieco od łóżka siedział mężczyzna. Zaczął spokojnie opowiadać, mimo że nie dostał odpowiedzi:

- Siedem lub osiem osób czekało na niego na klatce schodowej, niektórzy z kijami bejsbolowymi, wszyscy w wysokich butach. Mnie przytrzymali, a jego skatowali. Nie miał szansy. Kopali i bili bez ustanku i po mniej niż minucie leżał we krwi na podłodze z terazzo, nieprzytomny.

Simonsen odpowiedział takim samym niskim tonem głosu:

- Tak, wstrętna sprawa, a on nie jest jedyny, takie przypadki były w całym kraju.

- Nie słyszał pan najgorszego. Jeden z nich przeciął mu czoło nożem hobbyistycznym. „Za twoją chuć, za dzieciństwo, które zabiłeś, za ból, jakiego przysporzyłeś”, tak powiedział. Wtedy wyciął pierwszą cyfrę. Jak w jakimś perwersyjnym rytuale. Nawet pozostali oprawcy uznali, że to przesada, ale nie mieli odwagi tego przerwać.

- Co to za tekst? Nie zrozumiałem.

- To taka barokowa rymowanka pełna nienawiści z jednej z tych antypedofilskich stron, nie pamiętam z której, ale zwrotki pamiętam. Została wyrecytowana sześć razy, po jednym za każdą z pięciu cyfr i wielokropek. „Pięc, sześć... siedem, dziesięć, dwanaście!”, całe czoło ma w strzępach.

Głos mężczyzny się załamał.

- Nawet nie mogę o tym myśleć. Trochę sobie posiedzę.

Simonsen odwrócił się plecami do mówiącego. Minęła dłuższa chwila, nim z ciemności znowu padły słowa mężczyzny:

- Teraz znowu mogę rozmawiać.

- Czy rozpozna pan tego, który ciął?

- To była kobieta. Tak, a raczej wyrosnięta dziewczyna. Nigdy nie widziałem czegoś tak odpychającego, nawet na filmach, a mężczyźni byli przy niej owieczkami. Nawet oni uważali, że przesadza, ale jakby się jej bali.

Mężczyzna posepnie patrzył w głąb ciemnego pomieszczenia. Słabe światło nocnej lampki padało na jego twarz, zoraną czarnym smutkiem. Następnie dodał ze zdziwieniem:

- Cały dzień te kobiety. Zwolnienie, nóż, a teraz to.

- Jak to, zwolnili go?

- Wylali go dziś po południu. Dlatego odprowadziłem go do domu. Nie chciałem, żeby był sam. Nazwali to restrukturyzacją, ale wszyscy wiedzieli, że to nieprawda. Młoda czarownica z kadr miała tę przyjemność i mówię panu, rozkoszowała się tym. Do cholery, była ohydna. Dopiero co skończyła Wyższą Szkołę Handlową, wystrojona w najnowszą jesienną kolekcję wypolerowanej arogancji i upudrowanej moralności. Miała nawet ze sobą kwiaty i wie pan, o czym mówiła?

Simonsen ze smutkiem potrząsnął głową.

- O zazdrości.

- Zazdrości?

- W długim monologu przepelnionym samozadowoleniem. Mówiła, że zazdrości mu wolności, którą dostał, jego nowych perspektyw na wybranie innej ścieżki, tego, że rano może długo spać, wysokiej odprawy, jeszcze co najmniej dziesięciu innych rzeczy, a to wszystko podczas gdy jej ofiara się sama poniżała. Opowiadał o leczeniu androcurem, o tym, że co miesiąc większość pensji wysyła synom, choć nie ma z nimi żadnego kontaktu, o skrusze, tak, błagał i płakał, ale oczywiście na nic się to nie zdało. Babsztył był, o tak, wyrozumiały, a do tego zazdrościł mu odwagi w okazywaniu uczuć. Ludzie cieszyli się z jego nieszczęścia i śmiali się z jej szyderstw. Niektórych zna od piętnastu lat. Nie wiem, co mam powiedzieć, poza tym że ci ludzie...

Zaciął się, nie mógł znaleźć słów. Simonsen też nic nie mówił, tylko tlen świszczał. Chwilę potem mężczyzna znów się odezwał.

- Ludzie z pracy i ci, którzy go tak urządzili... to nie jest w porządku. To złe i obrzydliwe, inaczej nie umiem tego określić.

Pacjent jęknął, jakby na potwierdzenie tych słów. Mężczyzna nie odpowiedział. Simonsen poczuł, jak przypełza do niego zmęczenie; gdyby zasiedział się dłużej, pewnie zapadłby w sen. Powiedział:

- Co miał pan na myśli, mówiąc „teraz to”?

- Pewnie zaraz ją pan pozna. Ona jest chyba najgorsza.

Simonsen nie musiał długo czekać. Nagle pomieszczenie wypełniło się jeżdżącym włosy na głowie trzaskiem i przez głośniki zawył kobiecy głos, to było jak przewiercający czaszkę krzyk z innego świata. Pacjent obudził się i zapłakał, ale chwilę później znów zapadł w sen, był nafaszerowany lekami. Simonsen zatrzęsł się jak sprężyna, a spokój spłynął na niego dopiero po jakimś czasie. Zrobiło mu się niedobrze z obrzydzenia.

- Co to, do cholery, miało być?

- Diabeł, który nie uważa, że on zasłużył na sen, jak sądzę.

- Co ona wyje?

- Nie wiem dokładnie. Coś jakby, że jest córą nocy, tą, która nigdy nie odpoczywa, i że jest wieczną wściekłością. Reszty nie rozumiem.

- To nienormalne. Dlaczego personel tego nie przerwie?

- Byłem u dyżurnej pielęgniarki i ze cztery razy ją opieprzyłem, ale najwyraźniej nikt nie wie, skąd dochodzi ten głos, a może jest im wszystko jedno. Może nawet są w zмовie, nie wiem, ale trudno to wytrzymać.

Simonsen poczuł nieznaną sobie, tak, niemal obcą ochotę, żeby uderzyć nie w coś, ale kogoś. Wymierzyć pielęgniarce kilka policzków, najpierw z jednej, potem z drugiej strony i patrzeć, jak ucieka przerażona korytarzem w swoich wstrętnych, żółtawych chodakach. Tak na początek. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że się boi. Boi się ukrytej wspólnoty, której nie będzie w stanie zdemaskować. Sprzyśnięcia bez twarzy, nastroju społecznego, który podążał za własnym niepisanym prawem - potwornym w swojej nienawiści, jeszcze gorszym w obojętności. Z bezsilności i frustracji kopnął w ścianę, trafił w rurę grzewczą i w sali rozległ się głuchy odgłos. Mężczyzna na łóżku zatrząsł się nerwowo.

- Do jasnej ciasnej.

Sam nie wiedział, czy klnie w związku z ogólną sytuacją, czy przez hałas, który właśnie wywołał. Skupił się więc, żeby zwrócić myśli ku czemuś bardziej konstruktywnemu.

- Czy to pan może mi pomóc w kwestii połączeń telefonicznych?

- Tak, dostałem pańską wiadomość. Przed południem nie byłem tym zachwycony, ale teraz wszystko się zmieniło, otrzyma pan wszelką pomoc, jakiej pan sobie życzy.

- A co z innymi operatorami, z waszą konkurencją, czy z tym też może mi pan pomóc?

- Nie ma takiej bazy danych w sektorze telekomunikacyjnym, do której nie miałbym dostępu. My, specjaliści od bezpieczeństwa, współpracujemy i polegamy na sobie, ale potrzebuję kontaktu z pańskiego podwórka w sprawie państwowego rejestru osób i tym podobnych. Jutro omówimy to bardziej szczegółowo.

- Cieszę się, ale myślałem o jeszcze jednej sprawie; nie wiem, czy to w ogóle możliwe.

- Proszę najpierw powiedzieć, o co chodzi.

Simonsen wyjaśnił. Mężczyzna nie wydawał się zaskoczony.

- O jaki numer telefonu panu chodzi?

Dostał go i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Niebieskawa poświata wyświetlacza rozjaśniła jego twarz. Po raz pierwszy Simonsen mógł go naprawdę zobaczyć i pomyślał, że nawet nie zna jego imienia. Kciuki mężczyzny poruszały się szybko jak u nastolatka, a kiedy skończył, kilkakrotnie skinął głową.

- Policja zaczęła śledzić naszą niezależną prasę, co za czasy, co za czasy.

W jego głosie zabrzmiał nagle żartobliwy ton, który nie pasował do sytuacji; Simonsen to zrozumiał. Był to sposób na zdystansowanie się od zła. Przewyciężenie przygnębienia i posłanie uśmiechem tych trzech kobiet do najczarniejszego piekła, gdzie było ich miejsce. W półmroku wykonał potwierdzający gest, teatralny, ale oczyszczający.

- Tak, czasy są niespokojne.

## Rozdział 63

Anni Staal czekała na Konrada Simonsena.

Chwilę wcześniej zadzwoniła Anita Dahlgren i powiedziała, że niedawny rekonesans okazał się owocny.

- Słup milowy na placu Ratuszowym, o drugiej, a Simonsen ma pięć minut.

Dahlgren przerwała połączenie, zanim Staal zdążyła choćby się zająknąć. Mogła więc tylko stawić się na spotkanie; w gruncie rzeczy miała wątpliwości, czy czegoś źle nie zrozumiała, aż zobaczyła szefa kryminalnych energicznie zmierzającego ku niej. Wyglądał na zabieganego, nie tracił też czasu na zbędne uprzejmości.

- Przepraszam za to miejsce, ale miałem coś do załatwienia w okolicy i to było jedyne, co mi w pośpiechu przyszło do głowy, ale przejdźmy do sprawy. Słyszałem, że chce pani wywiadu, i to w dodatku dłuższego.

Staal uśmiechnęła się z zadowoleniem; wstęp brzmiał obiecująco.

- Bardzo bym tego chciała, ale mam nadzieję, że pan również. Potrzebujemy się wzajemnie.

- Może ma pani rację, choć muszę przyznać, że chwilę trwało, zanim dostrzegłem w tym sens, wyjaśnijmy sobie od razu, tak w ogóle to nie cierpię pani szmatławca, a już szczególnie gardzę sposobem potraktowania przez panią tej sprawy o zabójstwo.

Pominęła jego niezadowolenie krótkim, lepkiem śmieszkim i powiedziała:

- Ale doszedł pan do wniosku, że policja ma problem wizerunkowy?

- Do którego powstania pani się przyczyniła.

- Więc dobrze będzie pokazać pańską perspektywę.

- Tak, zapewne, ale mam pewne warunki, i to na zasadzie take it or leave it, negocjacje nie wchodzą w grę.

- Słucham.

- Chcę, żeby pani, pani redaktor naczelny, a także ktoś z zarządu podpisał oficjalny dokument prawny, z którego wynikałoby, że nie macie prawa wydrukować ani linijki z tego wywiadu, zanim ja go nie przeczytam i pisemnie nie zaakceptuję. Nie możecie też opublikować tych informacji, które wam podam, bezpośrednio czy pośrednio, a jeśli to zrobicie, będzie to was kosztować pięć milionów koron na Czerwony Krzyż.

Staal nie musiała się długo zastanawiać, mimo tego wtrąciła:

- Nie ma pan do nas zaufania.

- Zaufanie pokładam w tym, że jedyne, co szanujecie, to pieniądze; zwłaszcza te z waszych kieszeni.

- Ten dokument zostanie panu przesłany dzisiaj wieczorem przez posłańca na prywatny adres.

- Bardzo dobrze, wrzucie go przez otwór na listy, mnie nie będzie w domu. Jutro o dziesiątej w redakcji?

- A może u pana w domu? Prywatnie.

- Chyba pani oszalała.

- Nie całkiem, jeśli chce pan dotrzeć do ludzi, musi pan ich zaprosić do siebie. Da mi to możliwość przedstawienia pana w sposób bardziej ludzki, nie tylko umysł, ale także serce. Proszę uwierzyć, wiem, o czym mówię.

Staal trzymała kciuki. Ta myśl najwyraźniej do niego nie przemawiała, ale jej argument trafił na dobry grunt. Minęła dłuższa chwila, zanim w końcu odpowiedział.

- U mnie o dziesiątej, żadnych fotografów.

- Wyśmienicie, dziesiąta u pana, a fotograf zrobi tylko jedno zdjęcie nas obojga, jak siedzimy i rozmawiamy, i sobie pójdzie, klnę się na wszystko.

Simonsen z irytacją machnął ręką, co ona odebrała jako zgodę. Rozeszli się bez wyrazów serdeczności.

Nikt nie mógł zarzucić Staal, że spoczywa na laurach. Wywiad na wyłączność z Simonsenem był niebывалым sukcesem, ale powróciwszy do pracy, odsunęła od siebie tę myśl i przez kolejne kilka godzin całkowicie skoncentrowała się na kolejnym wydaniu gazety; między innymi odrzuciła propozycję artykułu swojej praktykantki i jednocześnie odwdzięczyła się za jej bezczelne zachowanie przez telefon sprzed kilku godzin. Rzuciła na biurko zwiniętą kupkę papieru.

- To możesz wywalić na śmietnik.

Dahlgren spojrzała na nią ze złością, odrzucenie artykułu ją zaskoczyło.

- Przeczytałaś go w ogóle? Pocięli mu czoło, gdy stracił przytomność.

Głos Staal był zimny, a dobór słów nieco bardziej cyniczny i prowokujący niż to, co właściwie czuła. Teraz miała już swój wywiad, więc nie było powodu, żeby dalej podlizywała się tej pannicy.

- Jest mi wszystko jedno, nawet gdyby mu odcięli fiuta, to, co napisałaś, nie mieści się w naszej linii redakcyjnej i sama doskonale o tym wiesz. Nie to chcą czytać ludzie i, kochanie moje, to nie będzie wydrukowane.

Dahlgren wstała, a jej głos stał się wysoki i ostry.

- Nie jestem „twoim kochaniem” i lepiej sama zacznij uważać. Rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają. Jeśli teraz się okaże, że motyw w twojej rzeźniczej sprawie jest mniej szlachetny niż odstraszenie i ostrzeżenie, tak, wtedy ten cały stronniczy kram eksploduje ci prosto w twarz. Poczekaj tylko, aż ci twoi ukochani ludzie zażądadą kozła ofiarnego, wtedy się okaże, że znam kogoś, kto nieźle obezwie w swój tłusty zad.

Staal zeszywniała, jej lampki alarmowe były już rozgrzane do czerwoności, a wielu kolegów patrzyło. Nawet w takim miejscu pracy, gdzie ton często był bezpośredni i grubiański, sposób mówienia praktykantki przekraczał przyjęte normy. To nie obraźliwy zwrot zwrócił uwagę gwiazdy dziennikarstwa.

- Co masz na myśli? Powiedz coś więcej.

Anita Dahlgren nie chciała. Wzięła torebkę i sobie poszła.

- Chronię swoje źródła.

Staal pracowała dalej, ale trudno było zapomnieć komentarz Dahlgren; dręczył ją przez resztę dnia. W którymś momencie tak bardzo, że na poważnie myślała, czy nie skontaktować się ze swoim policyjnym informatorem numer jeden, nie

zważając na to, że byłby potwornie wściekły, ale pozostało to na etapie pomysłu, ponieważ wieczorem on sam zadzwonił. Z wiadomością, która wydała jej się déjà vu z dzisiejszego poranka.

- Parking przy świetlicy osiedlowej na ulicy Nansena za pół godziny. I miej ze sobą gotówkę.

Nie zdążyła nawet potwierdzić, zanim się rozłączył.

Gdy się pojawiła, Pedersen przysypiał w samochodzie. Usiadła na siedzeniu obok niego.

- Dobry wieczór, moje gumowe uszko. Tak późno w pracy. Czyżby brak środków znów zaczął doskwierać?

Jej słowa go zraniły i Pedersen pomyślał, że naprawdę jej nienawidzi.

- Dobry wieczór, Anni. Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywała, wkurza mnie to.

Przeprosiła, dobrze wiedząc, że się wygłupiła.

- Naprawdę nie chciałam, przepraszam. Ale powiedz, powiedz... co dla mnie masz?

- Będzie cię to kosztować pięć tysięcy i będziesz musiała uzyskać potwierdzenie od samego Simona, zanim to opublikujesz. Mój szef zaczął pewne informacje zachowywać tylko dla siebie. Już prawie nikomu nie ufa, mi też nie, może tylko Kasperowi Planckowi. To już, cholera, paranoja. Ta sprawa zaczyna go zżerać, a atmosfera w HS jest coraz bardziej nieznośna.

Pomyślał z ironią, że ten opis niezupełnie mija się z prawdą.

- Pięć tysięcy to duża suma.

- Być może, ale posłuchaj o jeszcze większych. Pięć wycieczek do Tajlandii, każda za dwadzieścia cztery tysiące, plus pięć razy po około dwudziestu tysięcy kieszonkowego, łącznie niecałe dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Do tego dochodzą trzy karty płatnicze, których wcześniej właściciele byli bardziej niż chętni do przekazania kodów PIN, gdy ruszyła piła motorowa, rezultat: dodatkowe sto dziesięć tysięcy. Poza tym konto Franka Ditlevsena w Zurychu wyczyszczone z około dwóch milionów, więc summa summarum ponad dwa miliony trzysta tysięcy, tyle wiemy teraz, a cały czas pojawiają się nowe kwoty. Mam wyciągi bankowe dwóch ofiar z ostatnich trzech tygodni, więc sama możesz zobaczyć. Pamiętaj, że umarli czternaście dni temu, i zwróć uwagę na daty ostatnich wyciągów, ale papiery muszą mieć z powrotem. Jeśli je opublikujesz, przygwoźdź mnie szybciej, niż zdołam powiedzieć „ups”.

Staal uważnie przejrzała wyciągi. Gdy skończyła, jej głos zdradzał wzburzenie:

- Co to ma znaczyć?

- To było zabójstwo na tle rabunkowym.

- Co ty pleciesz? Zabójstwo na tle rabunkowym?

- Zapomnij o tych wszystkich uwznioślonych mścicielach, zapomnij o tym całym zamieszaniu, to tylko ślepe uliczki i zasłona dymna, motywem była nędzna mamonka.

- To okropne, jesteś pewien?

- Nie, tylko na osiemdziesiąt procent, jak powiedziałem. Spróbuj uzyskać potwierdzenie od Simona, ale mogę dorzucić dodatkową informację. Chce się zgodzić na wywiad. Powiedział mi to chwilę temu.

- Już się zgodził. Mam się z nim spotkać jutro przed południem.



- Aha, już się umówił. A wiesz, że wybiera się w weekend do Rygi? Za wszystkim stoi mafia z krajów nadbałtyckich, we współpracy ze sprzedawcą kiełbasek, ale ten usiłował ich wykiwać. Łotewska policja wczoraj zatrzymała jednego z nich i przypuszczam, że on wkrótce zacznie mówić. Metody tamtejszych stróżów prawa są nieco bardziej konkretne niż nasze.

Staal zmarszczyła brwi. Głupia nie była.

- Po co utrzymywać to w tajemnicy?

- Simon spokojnie zbiera dowody, podczas gdy inni sądzą, że motyw jest... powiedzmy, polityczno-seksualny. Nawet Helmer Hammer nie jest informowany, to wiem na pewno. Przypuszczam, że Simon chce dać nauczkę całemu społeczeństwu. Ni mniej, ni więcej. Pozwolić podlecem smażyć się w ich własnym tłuszczu. To ostatnie to cytat. Tak powiedział do Kaspra Plancka któregoś dnia, ale wtedy jeszcze niczego nie rozumiałem. Myślę, że teraz to pojmuję. No i chce być pewny na sto procent, zanim cokolwiek ogłosi publicznie, teraz gdy nasza wiarygodność sięgnęła dna, a połowa kraju sądzi, że nie ujawniliśmy informacji o tym, że ofiary są pedofilami.

- Ale, ale... przecież jest sto różnych rzeczy, Per Clausen, ten woźny, jak on tu pasuje?

Pedersen przygotował się na to pytanie. Odpowiedział spokojnie.

- Był przydatnym głupcem, ale w końcu dotarła do niego prawda. Tyle że było już za późno. Zwłoki leżały na stołach do obdukcji, a inicjatorzy byli za siedmioma górami. Jak sądzisz, dlaczego popełnił samobójstwo?

Staal skinęła głową bez entuzjazmu.

- A co z tym sprzedawcą kiełbasek? Zabił swojego brata?

- Nienawidzili się wzajemnie i obaj byli w równym stopniu pozbawieni uczuć.

- No, ale jak został zabity ten sprzedawca? Mam na myśli... ten cały cyrk z drzewem, po co to miało być? To wszystkich zastanawia.

Uśmiechnął się przebiegle i pomyślał, że tu się posypało, tego nie przewidzieli.

- Pewnie nie znasz zbyt wielu łotewskich przysłów, ale ci, którzy je znają, z pewnością rozumieją ten przekaz. „Kwiat ofiarowuje się wiernym, konar trafia tych, którzy zawiedli”. Ta sentencja ma korzenie w rosyjskim kościele ortodoksyjnym. Teraz powiedz, czy te informacje są warte pięć tysięcy?

Nie odpowiedziała od razu. Spróbowała w skupieniu pospinać wszystkie wątki. W końcu stwierdziła:

- Coś takiego, polecą głowy, tak, to jest warte pięć tysięcy.

Pedersen uśmiechnął się powściągliwie.

## Rozdział 64

Pochłonięta myślami Hrabianka przyglądała się tablicy wiszącej tuż obok jej biurka. Odsunęła się z krzesłem, żeby lepiej widzieć te cztery nazwiska, które napisała swoim ładnym, dziewczęcym charakterem pisma: Per Clausen, Stig Åge Thorsen, Helle Schmidt Jørgensen, Erik Mørk.

- Jesteś pewna, Hrabianko?

Obróciła się zaskoczona. Konrad Simonsen bezgłośnie wszedł do pokoju. Wydał się niepokojąco zmęczony. To, że dokładnie to samo można było powiedzieć o niej, nawet nie przeszło jej przez myśl.

- Tak, jestem pewna. Z wielu powodów, ale przede wszystkim na podstawie dzienników Jørgensen, które prowadziła od ponad dwudziestu lat. Kalendarze Mayland, ten sam typ rok po roku, różnią się tylko kolorem. Poul szczegółowo je przestudiował.

- Tak, szkoda, że umarła. Mamy pewność, że z przyczyn naturalnych?

- Zupełną, to był zawał serca, prawdopodobnie pod wpływem stresu, tabletek i alkoholu, zjawiliśmy się o dwa dni za późno. Ale była współwinna zabójstw, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, a Poul zgadza się z tym w zupełności.

- Poszedł do domu, jak słyzałem.

- Powłókł się na czworakach, to jest właściwe określenie, wyglądał jak trup. Powinien był zostać w łóżku już wczoraj. A co z tobą? Wyglądasz na zmęczonego, pamiętasz przynajmniej, żeby porządnie jeść?

Simonsen wrzucił ramionami. Wczoraj był na kolacji u Kaspra Plancka, ale ostatnio gdy jadł w domu, na jego menu składały się dwie mrożone pizze, które za długo zostawił w piekarniku, z tym skutkiem, że smakowały jak herbatniki serowe. Wskazał na nazwiska.

- Możesz podać mi tylko wnioski? Mam spotkanie w mieście za mniej niż dwadzieścia minut, ale wrócę tu wieczorem, więc będę mógł przeczytać twój raport.

- Bardzo cię przepraszam, Simon, ale trudno mi zrozumieć, co mogłoby być ważniejsze niż to tutaj. A skoro już o tym mówimy, co się stało z naszymi zebraniem? Obecnie jedynie ty masz ogłęd całości. My znamy tylko wycinki. Czy to twój nowy styl szefowania? Bo jeśli tak, to mi nie odpowiada.

Słowa były ostrzejsze niż ton jej głosu, który brzmiał niemal smutno. Ponieważ nie odpowiedział od razu, tylko odsunął krzesło i ciężko na nie opadł, pożałowała, że w ogóle odezwała się w ten sposób.

- Tylko częściowo było to świadome działanie. Chodzi mi o tę fragmentaryczność. Ale masz rację, jest coś, czego ci jeszcze nie powiedziałem, a stało się tak, bo wiem, że na pewno będziesz temu przeciwna. Miałaś dowiedzieć się w najbliższym czasie, ale skoro pytasz, może właśnie to jest odpowiedni moment. Możesz tu przyjść wieczorem? Późno, najlepiej koło północy? Przyprowadź Pauline, jeśli będzie chciała przyjść.

Hrabianka się wycofała. Cokolwiek to było, mogło poczekać. Lepiej, żeby zadbał o sen. I tak nie miał go wystarczająco dużo.

- Mogę, ale jutro też będzie na to czas, no i nie będziesz musiał wracać.

Simonsen zmarszczył brwi, nieco zdezorientowany tą słodko-kwaśną rozmową; nie wiedział, czy stawiane mu są zarzuty, czy jest otaczany opieką.

- Nic nie szkodzi. I tak muszę wrócić.

- Anonimowy ekspert komputerowy, który przejął Maltego? I który ma od ciebie specjalne zezwolenie, żeby się tu poruszać prawie samopas?

To było dobre pytanie.

- Właściwie nie, on i Malte sami się sobą zajmują, ale muszę przeczytać raporty.

- Chyba wytrzymam to napięcie jeszcze przez chwilę.

Zmienił temat i wskazał na tablicę.

- Podaj mi główne punkty, zanim wyjdę. Widzę, że masz Erika Mørka w grupie samosądowej.

Hrabianka uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Były trafne. Schwyciła jeden z kalendarzy Helle Smidt Jørgensen i otworzyła na jednej z tych stron, które Poul Troelsen zaznaczył żółtymi karteczkami samoprzylepnymi.

- Szóstego maja dwa tysiące piątego, „u Pera”, dwudziesta. Jedenastego października, „u Pera”, dziewiętnasta trzydzieści. Drugiego listopada, „u Erika”, dwudziesta i tak dalej, i tak dalej. Są sześćdziesiąt trzy takie notatki, mniej więcej jedna na tydzień, pomijając wakacje. Pierwsza z trzeciego lutego dwa tysiące piątego, ostatnia z dwudziestego szóstego września tego roku, a od lata częstotliwość spotkań wyraźnie wzrosła. Zapisywała tylko imiona, a te się zmieniały. „U Pera”, „u Erika” i „u Stiga”. Jeśli spotkanie odbywa się u niej, najprawdopodobniej stawia tylko gwiazdkę, co miało miejsce dziewięć razy. Jest oczywiście wiele innych spotkań oznaczonych imionami, ale żadne nie występują z taką regularnością. Do tego dochodzi Jeremy Floyd. Odwiedziła go dwadzieścia dwa razy, prawie półtora roku przed tym, jak zaczęły się notatki z imionami, a więc od wiosny dwa tysiące trzeciego do pierwszej połowy dwa tysiące czwartego roku włącznie. Zapisuje go jako „PF”. Pasuje idealnie. Zrobiłam listę.

- Nazwiska, adresy, numery telefonów, mejle?

- Nic z tego, niestety, Poul przejrzał wszystkie notatniki cztery razy, a ja dwukrotnie, ale tu i ówdzie brakuje kartki. Może to być rodzaj porządków.

- A co z tym, którego nazywamy Drzewoławem? Żadnych spotkań u niego? Albo odnośników?

- Żadnych, co może oznaczać, że albo nie ma warunków, albo mieszka daleko. Stig Åge Thorsen z Kregme był gospodarzem tylko trzy razy, prawdopodobnie ze względu na odległość. Ale są dwie szczególnie interesujące notatki. Weekend od ósmego do dziesiątego września tego roku: „kopać u Stiga, zrobić jedzenie” i dziesiątego grudnia dwa tysiące piątego: „przyjęcie bożonarodzeniowe (Erik płaci), zamówić stolik na pięć osób, godzina siódma, w knajpie Hjørnekroen, Nørrebrogade dwadzieścia trzy”. Pomyślałam, że piątą osobą mógł być lekarz, więc zadzwoniłam do Emilie Mosberg Floyd. Trochę to było niezręczne. Z jednej strony nigdy nie uczestniczyłyby w prywatnych imprezach swoich pacjentów, taką miałam nadzieję i oczekiwałam, że ona właśnie to powie, poza tym wtedy już od kilku miesięcy nie żył.

Simonsen pomachał prawą dłoń, jakby się oparzył w palce. Potem spojrzął na zegarek, a Hrabianka przyspieszyła.

- Erik Mørk to ten od ogłoszenia, że był wykorzystywany jako dziecko, a jego firma zarządza stroną NienawidzimyIch.dk, co czyni nadzwyczaj profesjonalnie. Prawie dwieście pięćdziesiąt tysięcy odwiedzających do chwili obecnej, a portal nieustannie się rozwija, mimo że jego ton jest dosyć agresywny. „Nie ty powinienes się wstydzic, oni powinni, nie ty powinienes się ukrywać, oni powinni, nie ty powinienes się bać, oni powinni” i tak dalej. Zdobyli między innymi reklamę sekswakacji ofiar w Chiang Mai w Tajlandii, którą znaleźliśmy w tajemnej skrzynce Thora Grana, z pewnością warto się uważniej przyjrzeć temu, skąd ją mają. Zgaduję, że Mørk już wcześniej do niej dotarł, a nawet że sam ją przygotował.

- Interesujące, coś jeszcze?

- Mørk przekształcił swoją firmę w grupę nienawiści, która ma podsycać nastroje przeciw pedofilom.

- To wiedzieliśmy od dawna.

- Tak, to nic nowego. Nowe jest to, że Poul i ja powiązaliśmy go z przestępstwem, a jednym z ważniejszych powodów jest to tutaj, sam zobacz. To jest lista odbiorców pornografii dziecięcej, którą znaleźliśmy na twardym dysku Franka Ditlevsena, a te trzy inne to listy, które firma Mørka najprawdopodobniej wysłała do szczególnie aktywnych popleczników jego misji. Popleczników, którzy dobrze wiedzą, co zrobić z pedofilami w swoim otoczeniu, kiedy tylko otrzymają ich nazwiska i adresy. Tutaj mamy główny przyczynek do przemocy. Ale zwróć uwagę na literówki.

Simonsen patrzył, podczas gdy Hrabianka wyjaśniała.

- „Bjarne Anton Adersen” zamiast „Andersen”. „Hans Orne Nielsen” zamiast „Hans Arne Nielsen”. „Pale Henriksen” zamiast „Palle Henriksen”. To ta sama lista, Simon, a co najlepsze, trudno mu będzie wytłumaczyć się z tego w sądzie.

- Masz rację, wygląda to przekonująco.

- Poza tym musisz wiedzieć, że NienawidzimyIch.dk szeroko reklamuje program online z udziałem Stiga Ågego Thorsena i duńskich internautów jutro wieczorem. Nie zdziwiłabym się, gdyby okazał się wielkim hitem.

- To może być przypadek. Mógł się zgłosić do tego... ruchu.

- Tak, ale jest tego więcej. Mamy biling z numerami, z których dzwoniło do szkoły Langebæk przez ostatnie cztery lata, a ten tu jest z zeszłego tygodnia, to znaczy z okresu, kiedy ludzie jeszcze chcieli nam pomagać, więc jest dość pewny. Mørk dzwonił dwukrotnie na telefon służbowy Pera Clausena, a Stig Åge Thorsen dzwonił raz. Poza tym jeden z nich jest specem od reklamy, drugi rolnikiem, więc pasują do tego, czego Emilie Mosberg Floyd dowiedziała się od Clausena.

- Okej, wierzę wam. Świetna robota, zarówno Poula, jak i twoja. Poinformuj Arnego i ewentualnie nakłoń go, żeby pomógł ci przy raporcie.

- Już rozmawiałam z Arnem, ale nie mogę znaleźć Plancka, więc nagrałam mu nowości na sekretarkę. Gdzie on właściwie jest?

- Przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć, że on też jest chory. Albo raczej przemyęczony. Nie ma już siły tu przychodzić i trudno mu to mieć za złe.

- Tak, jasne. Ale jak uważasz, mamy wezwać Erika Mørka?

Simonsen nie odpowiedział od razu. Czuł, że ma ochotę zostać tu trochę dłużej, pogadać z nią luźno o tym i owym, chociażby po to, żeby uciec od napiętego har-

monogramu, za który w głównej mierze sam ponosił winę. Napięty grafik, który był wyrazem buty, klasycznym podkreśleniem rangi przełożonego. Znow spjrzał na zegarek i porzucił mrzonki. Kto mógł wiedzieć, czy ona w ogóle zechciałaby z nim gadać o niczym? Miała przecież swoje sprawy. Powiedział:

- Przepraszam, zgubiłem wążek.

- Czy mamy wezwać Mørka?

Myśl o tym, żeby dopaść jedną z osób, która fotografowała jego córkę, pozostała ślad. Poczuł, że potrzebuje anyżowego cukierka. Wyciągnął piratosy. Torebka była już prawie pusta, wziął ostatnie trzy dropsy, jednocześnie spuścił oczy, ukrywając przed nią swój pełen nienawiści wzrok. Potem odpowiedział:

- Nie, nie wezwę więcej osób, póki nie będziemy mieć solidnych podstaw do oskarżenia. Następnym razem musimy być pewni, że nie wrócą do domu przez długi, długi czas. Za to wyślij Pauline do knajpy Hjørnekroen przy Nørrebrogade i módl się cichutko, by nasz spec od reklamy zapłacił kartą.

- Hm, tak, właśnie to powinnam zrobić.

Hrabianka spojrzała za nim tęsknie, gdy wychodził. Może i był przeciążony, może i ta sprawa kosztowała go więcej, niż powinna, ale jego umysł nie był przytępiony.

## Rozdział 65

Na placu Ratuszowym pewna kobieta skradała się od jednej kryjówki do drugiej, chowając się za plecami przypadkowych nocnych przechodniów, za słupami ogłoszeniowymi i zaparkowanymi samochodami. Wreszcie udało jej się niezauważenie przemknąć do bramy nieopodal mężczyzny, którego chciała zaskoczyć, a gdy chwilę potem ten odwrócił głowę i spojrzał w innym kierunku, przebiegła na palcach ostatnie dziesięć metrów, ustawiając się tuż za nim. Oparła palec na jego karku.

- Bang, nie żyjesz.

Malte Borup odwrócił się.

- Cześć, Anita. Z której strony przyszłaś?

- Spadłam prosto z nieba. Marny z ciebie policyjny szpieg, jeśli można się do ciebie tak po prostu podkraść.

- Nie jestem policyjnym szpiegiem.

- Wszystko jedno, długo byś nie przeżył. Ale teraz chodź i nie zapominaj, że jesteśmy parą.

Objęła go ramieniem i pociągnęła za sobą.

Minęło niewiele ponad osiem godzin, odkąd ich sobie przedstawiono, a jednak Anita Dahlgren miała wrażenie, jakby znała go od lat. Poczowała to od pierwszego spojrzenia w McDonalddie przy deptaku Strøget w Kopenhadze.

Już zajęła miejsce, gdy weszli Pedersen i Borup. Gdy tylko ich zobaczyła, wstała i się przywitała. Inspektor został ku swojemu zdziwieniu czule przytulony, po czym zwróciła się w stronę nowego współpracownika. Wyglądał tak miło. Dygnęła kieteryjnie, podając mu rękę.

- Anita Dahlgren, dziennikarka praktykantka, a ty musisz być tym geniuszem komputerowym.

Borup odwzajemnił jej powitanie. Tytuł zaakceptował.

- Tak, to ja. Mam na imię Malte.

Usiedli i podzielili się tymi trzema colami, które przynieśli mężczyźni. Arne Pedersen zaczął od napomnienia:

- Oboje musicie mieć świadomość, że to, co robicie, jest częściowo nielegalne i w znacznej mierze odbywa się z prywatnej inicjatywy. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli zostaniecie zdemaskowani, to bierzecie wszystko na siebie i musicie wiedzieć, że policja zaprzeczy, że miała z tym cokolwiek wspólnego. To nie całkiem w porządku, ale tak już jest.

Młodzi przytaknęli, a Borup dodał krótkie yes. Dahlgren oparła podbródek na dłoniach i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Ile czasu potrzeba na instalację?

- Minutę na zdalnym komputerze, dwie minuty na twoim i od minuty do pięciu, żeby cię nauczyć programu.

- Pewnie zajmie to pół minuty, jestem dość bystra.

Pedersen musiał ją uderzyć w ramię, żeby uzyskać kontakt wzrokowy.

- Jak tam wejdziecie? - zapytał.

- Plan jest taki, że korzystamy z drzwi. To dlatego jesteśmy parą. Nie pamiętasz, co mówił Kasper Planck?

Borup niepewnie spojrzął na Pedersena.

- Eee, parą?

- Nie powiedziałaś mu? - zapytała uszczypliwie Dahlgren.

- Nie, niezupełnie, pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli ty sama to zrobisz. Wygląda na to, że świetnie dajecie sobie radę sami, więc ja od razu znikam. Właściwie przyszedłem tylko po to, by was sobie przedstawić. Możecie się podzielić moją colą, nie piłem jej.

Szybko wstał i pośpiesznie wyszedł, zanim wzrok Dahlgren zdołał przepalić dziurę w jego kurtce i zagotować go od środka.

- Eee, parą? - zapytał znowu Borup.

- Tak, no wiesz, dwoje ludzi, którzy trzymają się za ręce i są dla siebie mili.

Masz kogoś?

- Kogoś? Nie, raczej nie.

- To w porządku. Ja też nie. Czyli teraz jesteśmy parą.

- No dobra. Tak. To znaczy, dziękuję...

Uśmiechnęła się do niego.

Portier przyjął ich uprzejmie.

- Cześć, Anita. Późno przychodzisz, zapomniałaś czegoś?

- Tak, muszę wydrukować kilka stron. Nie masz jakiejś starej karty gościa, żeby mój chłopak mógł ze mną wejść na górę? Jeśli będzie musiał zostać tu na dole i marznąć, to ryzykuję, że go stracę, a jestem całkiem z niego zadowolona.

- To nie jest konieczne, nie ma żywej duszy, wejdźcie.

Nie spiesząc się, podeszli do windy.

- Nie lubisz swojej szefowej? - zapytał Borup w drodze na górę.

- Ani trochę. Ona jest po prostu taka... taka fuj, tfuj, paw.

- Faj, tfaj, paw?

- Właśnie taka.

Jechali przez chwilę, po czym dodała:

- Jestem jednym z koryfeuszy odnowy języka. To ważne dla dziennikarza.

Skinął głową z powagą, a ona dała mu kuksańca w bok.

- To był żart, głuptasie. Nie zrozumiałaś?

- Nie, łapię powoli, no chyba że chodzi o sprawy techniczne.

Kolejne minuty potwierdziły ostatecznie stwierdzenie Borupa; chwilę potem jego programy były zainstalowane na komputerach Staal i Dahlgren.

- Już gotowe, teraz popatrz. Jeśli wejdiesz w pole wyszukiwania i napiszesz „Garfield” w polu adresowym, bez żadnego „www” czy „http”, tylko samo słowo „Garfield”, wtedy wyszukiwarka pokaże obraz ekranu drugiego komputera i będziesz widziała, co ona robi. Jeśli ktoś przyjdzie i będziesz chciała szybko wyjść, naciśniesz spację. Kumaszc?

- Jak najbardziej, „Garfield” i spacja.

- Właśnie. Jeśli napiszesz „Garfield” ukośnik „kod”, zobaczysz jej nazwę użytkownika i hasło, ale dopiero wtedy, kiedy się zaloguje. Pamiętaj, że to ukośnik,

a nie ukośnik wsteczny. Potem będziesz się mogła zalogować jako ona. Najlepiej na swoim komputerze i kiedy ona będzie na miejscu. Wtedy będziesz mogła przeczytać jej mejle. Albo wysłać mejle z jej skrzynki.

- Garfield i ukośnik, nie ukośnik wsteczny, kod i wykradnę jej nazwę użytkownika i hasło.

- Tak. Jeśli chcesz się zalogować jako ona, wyłączasz swój komputer i włączasz go ponownie z tą dyskietką w napędzie. Ty nie zobaczysz żadnej różnicy, ale on tak, a później nikt nie będzie wiedział, z którego komputera korzystałaś.

- Resetuję z dyskietką szpiegowską, jeśli chcę się zalogować jako ona.

- Tak, i jeszcze ostatnia rzecz. Naciskając jednocześnie Control, Alt i Escape, usuniesz moje aplikacje i nikt się nie dowie, co robiłaś, ale wtedy oczywiście sama też nie będziesz mogła korzystać z tych programów. I nie będziesz mogła tego odwrócić.

- Control, Alt, Escape i jestem czysta jak łąza.

- Uff, to wszystko.

- Szybko poszło.

Dahlgren zeskoczyła z biurka i pocałowała go. Niezupełnie przelotnie.

- Po co to zrobiłaś? Przecież nikogo tu nie ma?

- Lepiej niczego nie przeoczyć.

Uśmiechnęła się do niego czule. Odpowiedział zawstydzony.

Ponad dachami miasta zegar na wieży ratuszowej wybijał północ, obwieszczając nowy dzień.



## Rozdział 66

Konrad Simonsen odkurzał. Spotkanie z Anni Staal wypadło w najgorszym możliwym momencie, jeśli spojrzeć na stan jego mieszkania. Co drugą niedzielę przychodziła pani do sprzątanina, co oznaczało, że teraz miał w mieszkaniu kurz i brud prawie z dwóch tygodni i o ile nie chciał wypaść na brudasa w oczach wielu tysięcy czytelników „Dziennika”, musiał się wziąć do odkurzania. Jego działanie zostało nagle przerwane, gdy skarpetka zablokowała zasysanie powietrza, co odebrał jako znak od wyższych sił, żeby nie popadać w przesadę. Zakończył sprzątanina. Nie można przesadzać w drugą stronę, mógłby jeszcze zostać napiętnowany jako maniakałny czyścioszek.

Chwilę potem rozległ się dzwonek, a za drzwiami stał mężczyzna ze szpitala.

- Dzień dobry, panie Simonsen. Tak, sprawy potoczyły się szybciej, niż przypuszczałem. Ten młody współpracownik ma talent, a po odpowiednim przeszkoleniu za jakiś czas może być naprawdę niezły, ale proszę mu pozwolić skończyć studia.

Simonsen usunął się w bok. Mężczyzna wszedł, lecz zatrzymał się w korytarzu; nic nie wskazywało, że zamierza zdjąć płaszcz.

- Znaleźliśmy czterdziestu jeden mężczyzn, którzy w latach dwa tysiące dwa dwa tysiące pięć więcej niż raz dzwonili na centralę Szpitala Królewskiego i w dodatku mieszkali w gminie Trundholm pomiędzy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym rokiem. Zakładając, że ten mężczyzna jest samotny i ma od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, a przy tym nie był hospitalizowany w Szpitalu Królewskim, listę można zredukować do czterech, jeden wyemigrował wiosną dwa tysiące piątego, więc można by go pominąć. Ale uwzględniliśmy go, ponieważ mieszkał w tej samej wsi co pańscy dwaj zabici bracia. Jest pierwszym na liście.

Simonsen wziął kopertę i podziękował. Mężczyzna mówił dalej:

- Jeszcze jedno, pański gość z „Dziennika” się spóźni. Ma kłopot z fotografem. Zapał, a ona nie wyruszyła jeszcze z domu.

Przekazał aparat telefoniczny.

- Rozumiem, że pańskie techniczne sztuczki działają? - zapytał Simonsen.

- Oczywiście, że tak. To łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać, jeśli ma się odpowiednią wiedzę i doświadczenie. Łatwo z tego korzystać. Telefon dzwoni za każdym razem, gdy jej aparat łączy się z innym, niezależnie od tego, kto kontaktuje się z kim, pan odbiera i przysłuchuje się rozmowie. Ani ona, ani osoba, z którą rozmawia, nie może pana usłyszeć, a po zakończonej rozmowie albo gdy nie chce się już panu słuchać, po prostu się pan rozłącza, ale nie może pan z niego korzystać jak ze zwykłego telefonu. To po prostu niemożliwe.

- Nie ma niebezpieczeństwa, że pana nakryją?

- Nie, musimy nakryć sam siebie. Pod względem ryzyka to pan jest słabym ogniwem, więc kiedy ten gadżet przestanie być panu potrzebny, odbiorę go.

Simonsen się zaśmiał.

- Taki sprzęt w znacznym stopniu ułatwiłby moją codzienną pracę.

Mężczyzna odpowiedział cynicznie:

- Proszę nie być takim skromnym, proszę pomyśleć szerzej. O wiele sprytniej byłoby wszczepić wszystkim czip, żeby państwo mogło się nami opiekować.

Mimo przesady jego słowa podkreśliły, na jaką ścieżkę wkroczyli, i żaden z nich już tego nie skomentował.

W tej samej chwili zadzwonił telefon szpiegujący Anni Staal i mężczyzna podał go Simonsenowi, który z sukcesem rozpoczął użytkowanie. Przysłuchiwał się rozmowie, podczas której nieznanne uczucie wstydu kazało mu odwrócić się plecami do gościa. Rozmowa była krótka. Fotografa ma zastąpić ktoś w lepszej formie, a dziennikarka była już w drodze.

Kontakt Simonsena z prasą w postaci wysłanniczki „Dziennika”, dziennikarki zajmującej się sprawami kryminalnymi Staal, od początku nie był pozbawiony pewnych napięć. Fotograf szybko uporał się z zadaniem i sobie poszedł. Na polu walki pozostały dwa koguty bojowe, nieco zakłopotane. Ale szybko okazało się, że wiele ich łączy - mimo odmiennego spojrzenia na sprawę - i pierwszy kwadrans zszedł na niezobowiązującej pogawędce. Napięta atmosfera ulotniła się, a jej miejsce zajęła ostrożna sympatia, od czasu do czasu znajdowali powód do śmiechu.

Potem przystąpili do pracy. Staal zaproponowała podzielenie rozmowy na dwie części.

- Zaczniemy od zebrania materiału do portretu pana osoby. Ja pytam, pan odpowiada, a później ja to wszystko spisuję. Potem zrobimy klasyczny wywiad na temat sprawy o zabójstwo, którym obecnie pan się zajmuje, będę pana cytować, zgodnie z założeniem o nieredagowaniu wypowiedzi.

Simonsen zgodził się na taką formułę i kolejne pół godziny rozmawiali luźno o nim i jego pracy. Pytania zdradzały szeroki wgląd w jego działalność zawodową i mimo że często dotyczyły kwestii banalnych i plotkarskich, jej profesjonalizm zasługiwał jednak na szacunek, podobnie imponująca była jej znajomość szczegółów dotyczących poszczególnych spraw. Simonsen jednak w ogóle się nie zrelaksował - z jednej strony miał własny ukryty plan, którego tropem podążał, z drugiej czuł, że ukrywając się za fasadą przychylności, dziennikarka przez cały czas usiłuje go egzaminować. Być może również dlatego, że to on kierował większością rozmów w pracy, decydował o pytaniach i przypierał ludzi do muru, jak mu się żywnie podobało.

Tylko dwukrotnie jej pytania wydały mu się w bezpośredni sposób nieprzyjemne.

- Od czasu do czasu korzysta pan z asysty parapsychologicznej. Wierzy pan w wywoływanie duchów i poltergeisty?

Ten temat był polem minowym, ale udało mu się jakoś wyslizgnąć. Stonował i zbalansował pomoc jasnowidzów i podał kilka przykładów, kiedy rzeczywiście mu pomogli.

Drugie zagadnienie, które poderwało go z krzesła, dotyczyło jego stosunku do prasy.

- W kręgach dziennikarskich jest pan znany jako osoba arogancka i nieskłonna do współpracy. Zawsze zbywający, częstokroć brutalnie. Z czego to wynika?

Zamiast rzucić się w wir zawilego wyjaśnienia własnych poglądów na przestępczość, rozrywkę, sprzedaż gazet i liczbę odbiorców, szczerze przyznał:

- To jedna z moich słabych stron. Niewątpliwie lepszy ze mnie śledczy niż osoba do kontaktu z mediami.

I w ten sposób temat został wyczerpany.

Nagle wydarzył się epizod, który mógł być fatalny w skutkach. Zadzwoniła komórka Staal; przeprosiła go i ją odebrała. Naraz zabuczał telefon szpiegowski leżący na parapecie i jak echo oddał dźwięk pierwowzoru. Śpiesznie go wyłączył. Staal niczego nie zauważyła, a gdy skończyła rozmawiać, był w kuchni i starał się ukryć zdenerwowanie. Zakończył zdanie, które zaczął przed przerwaniem rozmowy:

- Ale jak mówiłem, czasami niechlujnie prowadzone dochodzenie skutkuje oskarżeniem i wyrokiem sądowym, podczas gdy prowadzone rzetelnie nie. Człowiek uczy się akceptować rzeczywistość i szybko zapominać, że praca bywa niewspółmierna do efektów. A za chwilę będzie świeża kawa.

Staal skinęła głową z wdzięcznością.

- Cudownie. Tak, właściwie powinnam ją ograniczyć; wlewam w siebie chyba ze dwadzieścia filiżanek dziennie. No ale poszło dobrze. Myślę, że już mam co trzeba. Czy chciałby pan jeszcze coś dodać? Może coś według pana pominęliśmy?

- Nie chcę, żeby pani wymieniała imię i nazwisko mojej córki, najlepiej niech ją pani pominie.

Dziennikarka przytaknęła, wyciągając rękę, żeby wyłączyć magnetofon.

- Właściwie dobrze pana rozumiem, biorąc pod uwagę to, w jakich czasach żyjemy. Dobrze więc, nie wspomnę o niej.

Sięgnął do miseczki stojącej na stole po piratosa i pozwolił mu szybko rozpuścić się w ustach.

- Nigdy nie wiadomo, jakie perwersyjne świny chodzą po tym świecie - syknął.

- Proszę? Nie zrozumiałam.

Zdanie mu się wymsknęło.

- Nic takiego, to nieważne. Dziękuję, że nie wspomni pani o mojej córce.

- Nie ma za co, w ogóle nie ma za co dziękować. Przecież wszystko zależy od pana.

W jego śmiechu pobrzmiwało więcej pewności siebie, niż jej czuł.

- Tak, chyba tak.

- Przejdźmy do spraw aktualnych, czyli do pańskiego priorytetowego śledztwa. Wyobrażam to sobie tak, że przeprowadzę zwyczajny wywiad, to znaczy pan odpowie na moje pytania. Odpowiedzi zacytuję dosłownie.

- Jak mówiłem, zgadzam się.

- Świetnie, w tej sprawie się nie posprzeczamy. Wymienię tylko taśmę.

Wyciągnęła z torebki nową kasetę i zerwała plastikowe opakowanie. Przeprowadzając wywiady, zazwyczaj używała dyktafonu cyfrowego, ale użycie magnetofonu wymuszało więcej przerw, a właśnie tego potrzebowała. Pieczołowicie zapisała kilka linijek na kartonowym opakowaniu kasety, zanim włożyła ją do magnetofonu. Jednocześnie wyjaśniła:

- Tak, na dzisiaj wzięłam stary dobry magnetofon. Moja cudowna cyfrowa nagrywarka trzeszczy bardziej niż płyta gramofonowa, a żaden ze speców od elektroniki nie potrafi tego naprawić.

- Tak, znam to, większość moich ludzi też woli przedpotopowe magnetofony od naszych współczesnych niestabilnych dyktafonów.

Zdanie wypowiedziane przez Simonsena było, podobnie jak jej uwaga, częścią zwykłej konwersacji, ale wyczuwał rosnące napięcie i z udawaną swobodą rozsiadł się na sofie. Próbował odgadnąć, w jaki sposób dziennikarka przejdzie do tematu śledztwa. Oczywiście był ciekaw, jak potraktuje podsunęty jej problem finansowej motywacji zbrodni na pedofilach. Zastanawiał się też, co powinien zrobić, gdyby wcale o tym nie wspomniała. Na końcu spróbował odsunąć od siebie te myśli, co nie było łatwe, zwłaszcza że się zapętliły i najprawdopodobniej do niczego nie prowadziły.

Ale może właśnie dzięki temu, że na wszystkie strony i nieskończenie wiele razy analizował każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną hipotezę, tak brawurowo poradził sobie z jej pierwszym, pozornie niewinnym pytaniem. Rzuciła je, zanim w ogóle włączyła magnetofon, ale gdy później myślał o tej rozmowie, ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że zrobiła to z premedytacją oraz że jego odpowiedź nie była nieistotna.

- Czy to był pana pomysł, żeby udzielić mi wywiadu?

Uderzyła w największą nielogiczność w scenariuszu Plancka. Jeśli i tak wiedział, że motywem przestępstwa były pieniądze, a wszyscy inni - w tym prasa brukowa, której serdecznie nienawidził - byli na złym tropie, nie miał żadnego powodu, żeby polepszać swoje stosunki z opinią publiczną, a już na pewno nie za jej pośrednictwem. Przeciwnie, najrozsądniej byłoby zostawić „Dziennik” na pastwę losu, do momentu postawienia przez prokuratora poważnych zarzutów za morderstwo na tle finansowym.

Udało mu się lekko zacisnąć zęby, jakby chciał zdusić gorycz.

- Nie, niezupełnie.

- Helmera Hammera?

Wzruszył ramionami. Co mógł zrobić, jak tylko wykonać rozkaz? Potem dodał:

- Jeśli zapyta mnie pani podczas nagrania, to powiem, że pomysł był mój. Wasze małe pisemne zobowiązanie to w stu procentach moja inicjatywa, którą później zaakceptował mój szef.

Staal uśmiechnęła się ze zrozumieniem, ona także miała przełożonych, których musiała słuchać. Wstał, przyniósł kawę, nalał im obojgu i ponownie usiadł. Jego gość podziękował i włączył magnetofon.

- A więc do roboty. Jeśli nie zrozumie pan jakiegoś pytania, proszę powiedzieć, wtedy omówimy je, zanim pan odpowie.

Skinął głową.

- Bardzo dobrze.

- Zacznę ostro. Czy to prawda, że motywem morderstw na pedofilach były pieniądze, a więc że są to po prostu morderstwa dokonane dla korzyści majątkowych?

Simonsen wylał połowę kawy na spodnie. Wyglądało to przekonująco, ale było też cholernie bolesne.

## Rozdział 67

Arne Pedersen miał problem. Obu kobietom, którym się tłumaczył, brakowało pozytywnego nastawienia. Ironiczną postawą i sceptycznymi uwagami dawały mu wyraźnie do zrozumienia, że jego słowa nie padają na podatny grunt. „Matacz”, „pacan” i „gnojek” nie były określeniami ułatwiającymi rozmowę. Kontynuował, na ile to było możliwe, i nikt nie mógłby mu zarzucić, że nie próbował lojalnie bronić niewdzięcznego stanowiska, na które skierował go szef. Zakończył długim i dobrze przygotowanym wyjaśnieniem powodów, dla których konieczne było utrzymanie obu kobiet w niewiedzy przez ponad dobę, a w pewnych kwestiach nawet dłużej.

Oczy Hrabianki rozjaśniały błyskawice wściekłości, a on skupił uwagę na Berg. Aż do chwili, gdy pokazała mu język. Wtedy przeniósł wzrok na sufit. Wreszcie zamilkł, a żadna z jego słuchaczek się nie odezwała i przez krótką chwilę miał nadzieję, że rozmowa została zakończona i że bez szwanku będzie mógł przemknąć z powrotem do swojego pokoju. Ale był to nieuzasadniony optymizm. Głos Hrabianki brzmiał w sposób przesadnie zmęczony, jakby mówiła do dziecka:

- Czy to Simon cię przysłał do nas z tą napuszoną gadką? Sam nie ma jaj? Kiedy przyjdzie? Ten wywiad nie może przecież trwać cały dzień.

- Wcale nie przyjdzie, zostanie w domu przez resztę dnia... do diabła, Pauline, daj już sobie z tym spokój.

Berg wzięła garść spinaczy do papieru z pojemnika, po czym w regularnych odstępach rzucała nimi w jego głowę. Nie mogła nie trafić w cel z tej stosunkowo niedużej odległości i ostatni ze spinaczy uderzył go w czoło.

- W domu? Jest chory?

- Nie, nie jest chory, po prostu został w domu. Może musi przemyśleć sprawy. I daj sobie spokój z tym urażonym tonem, Simon dobrze wie, co robi.

- Problemem jest to, że my nie wiemy, co on robi. A jak to jest z tobą? Ty wiesz, co on kombinuje?

- Nie wiem.

Berg włączyła się do rozmowy.

- Powiedz jeszcze raz, dlaczego nie poinformowaliście nas wcześniej, ale oszczędź mi tych bzdur o niepotrzebnym zamartwianiu się. Nie macie do nas zaufania, przecież możecie to powiedzieć otwarcie. Dlaczego nie zostałyśmy zaproszone na wtorkowe zebranie?

- No ale to nie było zebranie, raczej kolacja. I wcale nie jest pewne, że nasz plan się powiedzie, Pauline, przestań, do jasnej cholery, wiele spraw musi się najpierw ułożyć, ale oczywiście mamy do was zaufanie i jak do tej pory wykonałyście kawał dobrej roboty.

- Idiota.

Hrabianka jej zawtórowała:

- Palant.
- Chyba się zaraz porzygam.
- Będziesz musiała ustawić się w kolejce.

Pedersen odwrócił się w stronę Hrabianki. Mimo że ich relacje cechował raczej pewien chłód, czuł się przytłoczony tą sytuacją. Z Berg poradzi sobie lepiej, gdy zostaną sami.

- Posłuchaj, to nie był mój pomysł, żeby was nie informować.

- Jesteś żalosny, Arne, ale zostawmy to na chwilę. Powiedz, kto to wymyślił. Sam Simon? I kto zwerbował tę praktykantkę?

- Kasper Planck. W obu przypadkach był to Kasper Planck.

- Hm, powinnam się była domyślić. Jest jeszcze jedna rzecz, nie rozumiem, dlaczego Staal ci ufa.

- No więc tak, to nie takie proste... ale tak... jesteśmy w pewnym układzie.

Berg wybuchła.

- Jesteś w pewnym układzie z tym workiem tłuszczu?

- Nie, do diabła, nie, nie o taki układ chodzi. No więc... tak, równie dobrze mogę po prostu powiedzieć, jak się sprawy mają.

Wyjaśnił, jak został wybrany przez Staal jako potencjalny informator ze względu na swój pociąg do gier hazardowych, a następnie, zażenowany całą sytuacją, prze-jaskrawił opis, żeby rozładować atmosferę. To zadziało. Berg wysypała pozostałe spinacze do puszki. Hrabianka skinęła i powróciła do tematu:

- Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałam. Przygotowaliście grunt pod trop morderstwa rabunkowego, czy jak to tam nazwać, w świadomości Staal, a Simon niechętnie potwierdzi to w dzisiejszym wywiadzie. Ona wróci do redakcji i przygotuje artykuł, ale zanim znowu wymiecie wszystkie inne tematy z pierwszej strony, będzie potrzebowała jego pisemnego potwierdzenia. Ergo: wyśle kopię artykułu do Simonsena. Jej praktykantka poleci z tym tekstem do Mørka. A wy macie nadzieję, że to wypłoszy Drzewołaża z krzaków. Jak miałyby się to stać, nie bardzo wiadomo. A żebyśmy mogli kontrolować przebieg sprawy, zainstalowaliście urządzenie szpiegowskie w redakcji największego dziennika w kraju. Poza tym naruszając prawo, podsłuchujemy rozmowy dziennikarki, ponieważ jakiś pomocny, kompletnie obcy mężczyzna pokombinował z jej połączeniami telefonicznymi. Czy taki jest mniej więcej obraz sytuacji?

Pedersenowi nie podobał się jej trzeźwy sposób relacjonowania, ale istota przekazu nie odbiegała od prawdy.

- Tak, raczej tak. To z telefonem doszło później. No i Simon mówił, że pewnie byłabyś temu przeciwna.

Zbyła milczeniem tę uwagę i przez chwilę gapiła się przez okno, po czym zaskoczyła ich oboje.

- *Damage control*, tak, nie jest to takie zupełnie nietrafione, a ta grupa samosądowa, poza wywiadem z zabójcą, nie ma z pewnością nic, co mogłoby przebić taki news, ale nawet uwzględniając ochronę źródeł informacji, wiele by ryzykowali.

- Nie bardziej niż przy tych zabójstwach, które miały miejsce, gdy szkoła Langebæk była pusta w czasie wakacji. Wiele spraw mogło się wtedy potoczyć źle. A motyw rabunkowy mocno w nich uderzy, tak, będzie dla nich niszczący. Stracą poparcie, więc będą musieli wykonać jakiś ruch. Simon daje temu planowi pięćdziesiąt procent szans powodzenia, ale ja myślę, że są większe.

- A co z nami? Jaka ma być nasza rola?

Berg przyłączyła się do tego bardziej obiecującego tonu, który wreszcie przybrała ich rozmowa.

- Kiedy praktykantka Anita Dahlgren zaniesie artykuł Staal do firmy Mørka, Simon chce, żeby ona i Malte zniknęli - wyjaśnił Pedersen.

Wyślemy ich na weekend za miasto, a ty pojedziesz z nimi, żeby ich przypilnować. Razem z kilkoma innymi kolegami.

Omówił szczegóły techniczne, ignorując skwaszoną minę Berg. Potem zwrócił się do Hrabianki, żeby przekazać jej instrukcje, ale został natychmiast zastopowany.

- Daruj sobie. Jeśli Simon chce, żebyśmy uczestniczyła w tej ustawce agentów, to sam musi ze mną pogadać. Właściwie powinnam od razu odmówić, z drugiej strony jestem chyba jedyną osobą, która może przeżyć bez pensji, kiedy, już wkrótce, zostaniemy zawieszeni w obowiązkach.

To zapiekło. Pedersen pobladł, jakby odkrył, że zgasła jego ostatnia szansa, a zrobiło się jeszcze gorzej, gdy po krótkim skinieniu głowy na pożegnanie Hrabianka wyszła ze swojego pokoju, a Berg stanęła przed nim. O wiele za blisko.

- Jest coś, co musisz wiedzieć, Arne. Właściwie chciałam ci to od dawna powiedzieć.

Ograniczył się do kiwnięcia głową.

- Ty i ja to jest dla ciebie chyba tylko zabawa.

- Nie, wcale nie. Nie myśl tak.

Jego zaprzeczenie było szczere, wyciągnął w jej stronę ramiona.

- Przestań i posłuchaj. Masz dzieci, żonę, dom, swoje stałe pory posiłków.

I znowu tylko skinął głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Ujęła jego głowę w dłonie i spojrzała mu w oczy.

- W przyszłości będzie na moich warunkach. Jeśli ja będę chciała, o ile w ogóle będę chciała. Zrozumiałeś?

Po raz trzeci kiwnął głową. Wycisnęła na jego ustach pocałunek, potem go od siebie odepchnęła, po czym znowu zmieniła front i zabrzmiała jak rozgniewana uczennica:

- Nie chce mi się bawić w guwernantkę dla Maltego i takiej czy innej taniej dziennikareczki, która zawróciła mu w głowie. Weekend za miastem, za jakie grzechy? Dlaczego nie mogę pracować tak jak inni? Nie mógłbyś pogadać z Simonem?

## Rozdział 68

Przejazd do Ullerløse, cztery kilometry na północny zachód od Vig w gminie Odsherred, trwał dobre pięć kwadransów, a Simonsen rozkoszował się podróżą. Niebo jaśniało coraz bardziej, w miarę jak przemieszczał się na wschód, i już wkrótce krajobraz duńskiej wsi, opromieniony pełnym słońcem, witał go radośnie, co dodatkowo poprawiło mu humor.

Wywiad z Anni Staal przeszedł wszelkie jego oczekiwania; był całkowicie pewny, że dziennikarka wróciła do redakcji w przekonaniu, że po raz kolejny zdobyła sensacyjne informacje, które mogą wstrząsnąć krajem i znowu zwiększyć nakład jej pisemka dla półgłówków do rekordowego poziomu. Z konieczności potwierdził rabunkowy motyw zabójstw, nakarmiwszy ją następnie długą listą szczegółów, będących od początku do końca stekiem bzdur, ale dobrze opracowanych i niemożliwych do zweryfikowania. Ponadto zażądał wyłączenia magnetofonu i zmusił ją do użycia nieco zapomnianej stenografii, tak żeby później nie mogła niczego przeciw niemu wykorzystać. Czy jej artykuł wystarczy do wstrząśnięcia grupą samosądową, a może nawet do wyciągnięcia Drzewołaża z kryjówki przez Erika Mørka, miało się dopiero okazać. Nadzieja pozostawała żywa.

Bez problemu odnalazł wioskę, która okazała się niewielkim skupiskiem domów skoncentrowanych wokół supermarketu i kościoła. Zwolnił i powoli przejechał przez miejscowość, chcąc się w niej zorientować. Nie widać było żadnych budynków przemysłowych czy biurowych i pominąwszy starszą kobietę na rowerze, nie zobaczył także ludzi. Wkrótce dojechał do drugiego końca wsi, gdzie znowu zaczynały się pola, zawrócił, przejechał z powrotem i zatrzymał się pod supermarketem Brugsen, który uznał za punkt centralny. Tu powitała go tęga właścicielka sklepu z zaraźliwym i wyrażającym wieczne zadowolenie śmiechem.

- Jeśli chodzi o przeszłość Ullerløse, powinien pan pogadać ze starym Severinsenem, no i mądrze zabrać ze sobą do niego kilka browarów, poprawiają mu pamięć.

Zaśmiała się, wciskając mu dwie butelki słabego ciemnego piwa. Odprowadziła go do wyjścia i śmiejąc się, wskazała na dom, w którym mieszkał mężczyzna.

Chwilę później wkroczył do ogródka starego Severinsena, skąd dobiegały odgłosy rąbania drewna. Mężczyzna był ogorzałym i żylastym starcem. Miał na sobie zniszczoną, brudnozieloną odzież roboczą, a wiatr rozwiewał jego cienkie białe włosy wokół twarzy pięknie pooranej bruzdami. Gdy spostrzegł gościa, odłożył siekierę. Pies nieokreślonej rasy podniósł głowę i pogapił się przez chwilę na Simon-sena, po czym znów się ułożył do snu. Po powitalnym uścisku dłoni stary poprowadził go do zmurszałej ławeczki stojącej wzdłuż ściany domu; Simonsen usiadł, mldąc się w myślach. Ławeczka wytrzymała, a on otworzył piwa.

- Mówią, że mieszka tu pan od dawna?

- Całe życie.



- Przyjechałem z Kopenhagi, żeby porozmawiać o braciach Allanie i Franku Ditlevsenach. Pamięta ich pan?

Starszy mężczyzna pociągnął łyk piwa, a Simonsen poszedł za jego przykładem. Mężczyzna splunął potem ze wstrętem; Simonsen po chwili zrobił to samo. Piwo smakowało jak nieszczęście.

- Nie przepadał pan za nimi?

- Nie, to były zwykłe gnojki. Więcej siedzieli w gospodzie, niż uczciwie pracowali, oszukiwali, jak tylko nadarzyła im się okazja. - Jego stara twarz przybrała przebiegły wyraz. - Nie żyją, ktoś ich powiesił w stolicy, zresztą na nic lepszego nie zasłużyli.

Informacje nie były zbyt precyzyjne, ale Simonsen ich nie uściślił.

- Kiedyś, gdy byliśmy młodzi, spuściłem manto ich ojcu. On oczywiście też już nie żyje i było to dawno temu, ale nikt tu za nimi nie tęskni. Wszyscy trzej byli chwastami, jeśli chce pan znać moje zdanie.

- Mam kilka nazwisk, chcę wiedzieć, czy coś panu mówią.

- Dawaj pan.

Zaczął od pierwszego nazwiska na swojej krótkiej liście.

- Andreas Linke?

Starszy mężczyzna zastanowił się, po czym powiedział:

- Andreas, tak, no nie wiem... daty dobrze pamiętam i twarze, ale imiona zapominam.

- Więc jego pan nie zna?

- Może, Andreas to mógł być syn, to znaczy syn córki, ale nazwisko Linke oczywiście znam. To ten Niemiec. Tak, nigdy nie mówiliśmy na niego inaczej niż Niemiec, mimo że naprawdę nazywał się Linke. Mieszkał tu przecież przez wiele lat, do tego tuż obok tych braci.

Simonsen poczuł triumf, miał wrażenie, że po jego ciele rozlewa się ulga połączona z niepoprawnie chełpliwą dumą, rosnąca aż do wewnętrznego wybuchu radości, którą odczuwał jako granicę między tym, co było dotąd, a tym, co nastąpi w przyszłości. Drzewołaz został odnaleziony!

Miał ochotę przespacerować się po ogrodzie i rozkoszować się chwilą, ale na nic by się to oczywiście nie zdało. Wrócił do rozmowy:

- Byli sąsiadami?

- Tak, ale adresy mieli zupełnie różne. Niemiec mieszkał przy bocznej uliczce, przy kościele, a ta biegnie szerokim łukiem, więc ostatnie dwa domy leżą przy lesie, bezpośrednio za domem braci, którzy mieszkali przy głównej ulicy. Tak, teraz mieszka tam ktoś z Kopenhagi, ale nigdy go tu nie ma.

- Opowie mi pan o Niemcu?

Starszy mężczyzna skinął głową. Przez chwilę siedział, zagłębiony w przeszłości, potem zaczął opowiadać.

- Tak, Niemiec, tak, to długa historia. Po wojnie, latem czterdziestego piątego roku, wprowadził się tu ze swoją żoną. Chcieli się trochę ukryć, bo ta dama była zamieszana w to i owo, ścięta na bardzo krótko, no wie pan, a wtedy niewielu chciało mieć z takimi do czynienia. Później zresztą po niego przyjechali. Tak, prawdziwym Niemcem to on nie był, pochodził z Tønder, z mniejszości niemieckiej, ale walczył dla Hitlera, więc musiał posiedzieć przez parę lat, podczas gdy

jego żona rodziła i w ogóle. Tak, nie było zmiłuj, mówiło się też co prawda, że miało to i owo na sumieniu, ale to raczej plotki. Inaczej nie dostałby tylko trzech lat.

- A żona urodziła dziecko.

- Tak, dziewczynkę, miała jeszcze jedno, gdy on siedział, chyba zostało oddane. Tak, tak, ciągnął się za nią wstyd, z drugiej strony... no, nie było jej też łatwo, mam na myśli: żeby związać koniec z końcem i tym podobne. I znowu się pogodzili, gdy on wyszedł w czterdziestym dziewiątym, więc znowu były dwie pary rąk do pracy. Pomagał po gospodarstwach jako robotnik, najemny parobek, jak to się wtedy nazywało. Był silny, a z czasem ludzie rzadziej myśleli o wojnie, więc przez jakiś czas był bardzo rozchwytywany, ale wtedy dziewczyna była już przecież duża. A do tego urocza. Poszła na praktykę w Nykøbing, musiało to być w sześćdziesiątym albo sześćdziesiątym pierwszym, ale nie minęło dużo czasu, a już wróciła do domu, przy nadziei, rozumie pan. Tak, tak, poszła, kurenka, w ślady swojej matki, no i wszystko zaczęło się od nowa.

- Więc ona też zaszła w ciążę?

- A jak, a nie miała więcej niż szesnaście lat. Nie chodziło o to, że starzy utyskiwali, byli do tego nawykli. Wtedy Niemiec miał stałą pracę w warsztacie samochodowym w Vig, a matka i córka uprawiały ogródek warzywny, hodowały kury i tym podobne, z tego też było trochę grosza. No i opiekowali się chłopcem. Ale zdarzył się ten pożar. To było w sześćdziesiątym czwartym, w październiku sześćdziesiątego czwartego, pamiętam dokładnie. Smutna historia.

- Ich dom się spalił?

- Właśnie tak, od elektryczności, jakieś stare gównno, pożar wybuchł w nocy. Niemiec wyniósł wnuka, a one zostały.

- Więc został sam z wnukiem.

- Tak, i ze spalonym domem. Ubezpieczenie trochę wypłaciło, ale prawie wszystko musiał odbudować sam, czasami trochę mu pomagaliśmy. Do tego zdziwaczał. Było tak, jakby nie do końca rozumiał, co się wokół niego dzieje. Poradził sobie na froncie wschodnim, ale nie z pożarem.

- Więc chłopiec mieszkał sam z dziadkiem.

- Tak, do siedemdziesiątego piątego czy szóstego, wtedy umarł, tak, to znaczy Niemiec umarł, a gmina zabrała chłopca, ale wtedy był już prawie dorosły. Albo nie, poczekaj pan, pojechał chyba do jakichś krewnych w Niemczech.

Simonsen zmusił się do wzięcia malutkiego łyka piwa. Stary zauważył jego niechęć.

- Jeśli panu nie smakuje, to niech pan je zostawi. Oddam je Głupiemu Jasiowi, on wie, co dobre.

Wskazał na psa, który spojrzał leniwie, nie podnosząc się. Simonsen odstawił butelkę na ławkę i powiedział:

- Jeślibym chciał odnaleźć Andreasa Linkego w księgach kościelnych, do kogo powinienem się zwrócić?

- Idź pan z powrotem do Katrine ze sklepu. Tak, pewnie pan z nią rozmawiał, skoro kupił pan piwo. Ona pomaga w kościele, jest kościelną, ogrodniczką, chórzystką i czego tam się jeszcze podjęła. Na pewno chętnie pomoże, ale proszę poczekać, aż wróci, właśnie odprowadziła tego emerytowanego funkcjonariusza do lasu.

- Emerytowanego funkcjonariusza?

- Tak, wczoraj też tu był. Zresztą to miły gość. Dopiero co przeszli obok nas drogą; jak na szefa kryminalnych nie jest pan zbyt spostrzegawczy, nie widział ich pan? Musi mieć chyba dar przekonywania, bo ona nie przepada za spacerami.

Stary mężczyzna się zaśmiał, ton jego głosu był żartobliwy, ale pozbawiony złośliwości. Potem dodał:

- Na tym zadupiu też czytamy gazety, panie Simonsen.

Simonsen wstał. Mężczyzna wytłumaczył mu, jak dojść do lasu; księga kościelna mogła poczekać. Pies też się podniósł. Czekają na niego piwo.

W lesie Ullerløse Simonsen przedzierał się przez buczynę. Teren się wznosił, a podłoże było miękkie od opadłych, wilgotnych liści, trudno było po nich iść i po paru krokach zaczął ciężko dyszeć. Zwolnił tempo. Przed sobą, na polanie po lewej stronie, dostrzegł postać stojącą do niego plecami; zmienił kierunek i poszedł w jej stronę. Gdy zbliżył się na kilka metrów, głośno odchrząknął; Planck wyprostował się, nie odwracając się.

- Przestań hałasować, nie jestem głuchy.

- Nie, wygląda na to, że ogólnie jesteś w lepszej formie. Co się stało ze zmęczeniem i słabym zdrowiem?

- Łagodne łono natury sprzyja starym mężczyznom.

Planck kopnął ucięty pień drzewa i wskazał na dwa inne w pobliżu.

- Tutaj się to zaczęło albo prawie tutaj. Najpierw był Frank, ale działo się to w szopie. Potem doszedł Allan, a on był prawdziwym człowiekiem natury. Ale to już pewnie wiesz, widziałem przecież, że rozmawiałeś z tym starym.

- Najwyraźniej nie dość szczegółowo.

- Tak, to twój odwieczny problem, nie dajesz sobie wystarczająco dużo czasu i nigdy się tego nie nauczysz.

Simonsen poczuł ukłucie irytacji.

- Przecież tu jestem.

Tego Planck nie skomentował.

- Ścięto je zimą osiemdziesiątego czwartego, potem je pięknie pocięto i w ogóle - powiedział. - Cztery wielkie buki w najlepszym wieku. Cała wioska to słyszała, ale nikt nie czuł potrzeby zawiadomienia policji, albo może raczej leśniczego. Podłożono także ogień pod pewną przybudówkę i to też nie zostało zgłoszone.

- To musiało być dla niego okropne. Jak długo to trwało, jak sądzisz?

- Pięć, sześć lat. Dziadek nie był w stanie porządnie się nim opiekować. Mówią, że zdziwaczał.

- Wszyscy o tym wiedzieli? Nikt nic nie zrobił?

To było odpowiednie pytanie. Planck najwidoczniej lepiej orientował się we wzorcach zachowań w wiosce i jej małych, mrocznych tajemnicach.

- Że wiedzieli, to może za dużo powiedziane, ale w takiej małej społeczności nie da się pierdnąć, żeby sąsiad nie musiał zatykać nosa, więc czegoś tam się domyślali, no, czasami ten biedny chłopak nie mógł normalnie chodzić, ale potrzeba było kilku piw, zanim stary w ogóle zechciał o tym mówić. Zresztą ohydnie smakują, nie uważasz?

- Wyjątkowo wstrętnie. A ten biedaczyna, Drzewoład, wrócił tu, żeby rozliczyć się z przeszłością? W każdym razie fizycznie, jeśli tak można powiedzieć.

Simonsen wskazał na ścięte pnie drzew wokół nich.

- Tak, to dziwna sprawa, on tego nie zrobił, o ile można wierzyć staremu. Zapłacił za to dwóm innym. Mieli ze sobą mapę z zaznaczonymi drzewami. Sam nie mógł tu wrócić.

Simonsen zamyślony patrzył w przestrzeń.

- Co cię tu sprowadziło? - powiedział w końcu.

- Zabicie braci było sprawą osobistą, taki był punkt wyjścia, a po głębszym zastanowieniu można daleko zajść. Nagle zaczyna wychodzić prawda. Jak upadły anioł, który pewnej nocy staje na progu twoich drzwi i rozjaśnia umysł. A gdy puzzle zaczynają się układać, nagle wiele spraw nabiera sensu.

Zdaniem Simonsena brzmiało to zbyt podniosłe, żeby nie powiedzieć - niezrozumiale.

- Nie mógłbyś zejść na ziemię?

- To dlatego, że sprzedawcę kielbasek za wszelką cenę musiało przygnieść pięć ton buka czerwonego, po tym jak wybito z niego życie. Nasz drogi Andreas musiał podnieść się przy tym drzewie, przy którym upadł. A starszy brat miał zaszczyt wisieć pośrodku i musiał patrzeć na los swoich towarzyszy podróży.

- Andreas Linke, znasz nazwisko. Sprawdzaleś księgę kościelną?

Planck uderzył w jedną z kieszeni płaszczka.

- Katrine ze sklepu zrobiła mi ksero, ale zakładam, że te wszystkie twoje elektroniczne mózgi też je wypłuły. Gdzie on teraz mieszka? Tak, pewnie go zatrzymasz?

Simonsen się zawahał. Zaczęli schodzić w stronę wioski.

- To nie takie łatwe - powiedział. - W rejestrze figuruje jako osoba, która wyemigrowała półtora roku temu, i jeśli zacznę go poszukiwać, ryzykuję, że napotkam opór opinii publicznej. Chyba przez parę dni zachowam to dla siebie i wtedy zobaczę, czy twój pomysł z „Dziennikiem” okaże się owocny. Jeśli tak, to może uda mi się do niego dotrzeć.

Planck się zatrzymał i podejrzliwie spojrział na swojego wcześniejszego współpracownika.

- Uważaj, Simon. Już to obaj przerabialiśmy, a ty wkraczasz na cienki lód. Nie masz go w garści, a twoje wyjaśnienia brzmią histerycznie.

- Tylko kilka dni.

Planck potrząsnął głową.

- Zawsze chodzi tylko o kilka dni.

- Chcę go złapać. Nie może wywinąć się z sześciu morderstw, inni też nie.

- To prawda.

- Jeśli nie przyzna się do tych rzeczy, o których wie tylko on i my, ryzykuję, że zostanę z niczym. Prokurator policyjny prawie mnie wyśmiał, gdy wspomniałem o ewentualnym oskarżeniu Stiga Ågego Thorsena, a Erik Mørk nawet nie ociera się o areszt.

- Tak, trudno się żyje w państwie prawa, ale tych dwóch i tak przygwoździmy, to tylko kwestia czasu, sam o tym dobrze wiesz.

- Drzewołaza też musimy przytknąć, nie może zostać na wolności.

- Oczywiście, że nie, nie mówię, że tak ma być. Nie chodzi o niego, tylko o ciebie.

Simonsen napelniał usta dropsami Piratos. Przeszli kawałek i wtedy starszy z nich powiedział:

- Gdybym był twoim szefem, odebrałbym ci sprawę i wysłałbym cię do domu. Odpowiedzią było jedynie potrząśnięcie głową.

- Nie jesteś taki jak oni, Simon.

- Nie, jasne że nie. Dlaczego tak mówisz?

- Skończ już z tym udawaniem. Czy naprawdę myślisz, że możesz naprawić czternaście lat zaniedbań w relacjach z Anną Mią, zachowując się jak Popeye?

- A skąd ty, do cholery, wiesz, jak chcę się zachowywać?

- Zawsze byłeś jak otwarta księga, mimo że sam sobie wmawiasz coś zupełnie przeciwnego. Najważniejsze, żebyś zrozumiał, że nie jesteś jak oni. To proste. Przemysł to.

Simonsen się zatrzymał, wypłuł na pół rozpuszczone cukierki na ściółkę. Potem spojrzął w ślad za swoim dawnym szefem i ponownie potrząsnął głową. Co on mógł wiedzieć o byciu ojcem, on, niemający dzieci.

Kasper Planck zmienił temat:

- Jak poszedł wywiad?

- Nad wyraz dobrze, Staal złapała się na haczyk, a Dahlgren już odebrała ode mnie artykuł, więc dziś wieczorem pojawi się w firmie Mørka. W środku ich tak zwanego programu online z Thorsenem. Poczekaj tylko, a zobaczysz, jak to zmać wodę.

- Ale chroń ją, pamiętaj, że to zabójcy.

- Ma zapewnioną ochronę na medal, aż do powrotu do redakcji, a jak się tam uwinie, ona i Borup jadą na weekend za miasto na koszt podatnika. Zaopiekuje się nimi trzech policjantów. Między nimi będzie Berg, ale raczej po to, żeby ją odsunąć. Nie ma powodu, żeby ryzykowała swoją karierę, wystarczy, że my to robimy.

Planck skinął głową z zadowoleniem i zapytał:

- Myślisz, że to przypadek, że Andreas Drzewołaż Linke, czy jak go tam teraz będziemy nazywać, spędza dorosłe życie na ścinaniu drzew?

- A spędza?

- Tak, uczył się w szkole drzewnej w Niemczech, syn Katrine ze sklepu spotkał go kiedyś w Odense i to od niego usłyszał.

- Nie jestem psychologiem.

- Co to ma znaczyć? Czy nie zapłaciłem kiedyś za twój kurs z psychologii przestępczości? Musiałeś się tam czegoś nauczyć, czy te pieniądze są wyrzucone w błoto?

Planck zaśmiał się przesadnie z własnego żartu i odmówił przyjęcia pomocy w sfinansowaniu rowu oddzielającego las od ścieżki wiodącej do wsi.

Simonsenowi nie było do śmiechu.

## Rozdział 69

W firmie Erika Mørka w Rødovre, na południe od Kopenhagi, Stig Åge Thorsen poczuł narastającą złość. Zgodnie z umową przyszedł trzy godziny przed rozpoczęciem programu online, ale po nudnym oprowadzaniu wśród niezliczonej grupy osób, z zapamiętania których rychło zrezygnował, posadzono go w sali konferencyjnej, gdzie przesadną ilość informacji zastąpiło długie, bierne czekanie. Pomieszczenie było urządzone zgodnie z najnowszymi trendami, a on czuł się niewswajo. Jego irytacja rosła.

Minęło sporo czasu, zanim pojawił się jego przyjaciel. Przyniósł tacę z sześcioma sandwiczami i wyglądał na bardzo zestresowanego.

- Przepraszam, Stig Åge, przepraszam, że musiałeś czekać, ale coś się skomplikowało.

Thorsen wymamrotał coś niezrozumiałego i nieznacznie się uśmiechnął, ujawniając uprzejmą stronę swojej osobowości. Mørk usiadł i sięgnął po przypadkową kanapkę, nie sprawiał wrażenia osoby, która ogarnia całość.

- Może powinieneś się trochę rozluźnić, Erik.

Mørk poluzował krawat i spróbował zastosować tę radę.

- Masz rację, jest straszna gorączka, cholera, nigdy nie pracowałem tak intensywnie. Śledziłeś media wczoraj i dziś?

- Jeśli masz na myśli tę licealistkę, to była bardzo przekonująca, prawie się porzycałem.

- Była przydatna, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale myślałem raczej o tobie. Wszyscy czekają na twój wywiad. Pięć lokalnych stacji chce go nadawać na żywo, to znaczy z ekranów swoich komputerów, o ile można to określić jako „na żywo”, ale z komentarzem ze studia, rozumiesz. To jedna z tych rzeczy, nad którymi ciężko pracowaliśmy przez ostatnie dni.

- Co ma nastąpić po wywiadzie?

Mørk wydawał się zaskoczony.

- Po wywiadzie? Tak, jutro będzie manifestacja pod Christiansborgiem i w wybranych miejscach na prowincji. W połowie twojego programu zaatakujemy odbiorców planszą z naszymi żądaniami, hasłem i oczywiście z harmonogramem wydarzeń. Właśnie o to tutaj chodzi. Wykorzystamy skupienie mediów na tobie, żeby zmobilizować ludzi i ogłosić nasze postulaty. No więc jutro damy całostronicowe ogłoszenia we wszystkich większych dziennikach. Zresztą z tą licealistką jako elementem przykuwającym uwagę. Zaraz pokażę ci makietę, jest bardzo udana, jeśli sam miałbym oceniać.

- Zaraz, zaraz, wstrzymaj się przez chwilę. Nasze żądania...

Ale Mørka trudno było zatrzymać. Zbyt mało snu i za wiele adrenaliny wycisnęły na nim piętno szaleństwa.

- Zorganizowaliśmy zmasowane akcje wyborców skierowane do prawie stu posłów, więc w partiach wrze, a z mojego ostatniego raportu politycznego wynika, że mówi się już otwarcie o pakiecie antypedofilskim. Nacisk wyborców, zwierzęce pożądanie Thora Grana, przemoc i w znacznym stopniu historia licealistki, wszystko to odbiło się szerokim echem we wszystkich zakątkach kraju i użyźniło grunt. A wiesz, co to jest „pół USA”?

- Nie mam zielonego pojęcia, ale wiem, że ześlizgujesz się na...

- Przedział kar w połowie tak ostry jak w Stanach, co w Danii oznacza kwantowy skok. A poparcie internautów dla nas jest fantastyczne, jeśli wyślę mejl w sprawie pięciuset chałek z lukrem na zebranie w Thisted, nie minie więcej niż...

Thorsen uderzył dłonią w stół.

- Przestań już mówić, Erik. I dla odmiany posłuchaj.

Mørk zamilkł. I zaczął słuchać.

- Po pierwsze, co masz na myśli, mówiąc „nasze żądania”? O ile wiem, ustaliliśmy je w naszej grupie wiele miesięcy temu. Nie mów mi, że je przerobiłeś.

- Nie, tylko nieco usystematyzowałem.

- Opowiedz.

- Są podzielone na trzy grupy. W zakresie prawa: żądamy ostrzejszych kar i zniesienia terminu przedawnienia. Jeśli chodzi o prewencję, chcemy pieniędzy na gminne grupy interwencyjne i kursy dla nauczycieli i pedagogów. I wreszcie, gdy nieszczęście już się wydarzyło, chcemy wprowadzenia darmowej pomocy psychologicznej.

Thorsen wyraził akceptację; z grubsza właśnie to wspólnie ustalili.

- Hasło, jakie znowu hasło?

- „Stop przemocy, ostrzejsze prawo”. To jedyne hasło na jutro, nie będzie już przemówień ani innych działań. Ale za to chcemy, żeby ludzie zostali przed parlamentem, aż politycy nie sformułują jakiejś propozycji ustawy. W pełnym godności milczeniu.

- Świetnie, znowu zacząłeś mówić jak człowiek, i dobrze. Jeszcze tylko krótko opowiedz mi o wywiadzie, z pełnym spokojem.

- Zaangażowaliśmy konsultantkę do spraw mediów. Będzie ci czytała pytania, ty odpowiesz ustnie, a ona wyśle pisemne odpowiedzi do tych, którzy będą podłączeni. Pójdzie to szybciej, niż gdybyś sam miał pisać. Ci, których pytania przejdą, będą mieli z reguły możliwość zadania jednego czy dwóch pytań dodatkowych, rozwija się to w mały dialog, ale ty i ona będziecie decydować, jak długi będzie. Ogólnie wszystko działa tak jak wtedy, gdy słuchacz włącza się do rozmowy w radio. Pomijając mały filtr.

- Brzmi to bardzo prosto.

- Bo jest proste, a ty oczywiście sam decydujesz, co chcesz odpowiedzieć, ale konsultantka pomoże, najlepiej jak potrafi, i ostrzeże cię, jeśli uzna, że mógłbyś się wygłupić.

- Znakomicie.

- Jediną osobą postronną w pomieszczeniu będę ja, ale nie będę ingerował, tylko ona i ty będziecie bezpośrednio zaangażowani, a ja będę stanowić wsparcie. Czy wszystko jasne?

- Tak, masz bardzo pedagogiczne podejście.

Erik Mørk się uśmiechnął.

- Mam przynieść makietę naszego ogłoszenia?

- Tak, proszę.

Wstał i wyszedł. A Thorsen znów został sam.

Kilka godzin później wywiad online rozpoczął się na dobre. Kiedy padło pierwsze pytanie, Thorsen był zdenerwowany, ale stopniowo jego współpraca z konsultantką do spraw mediów zaczęła się układać. Od czasu do czasu Mørk informował, ile osób śledzi wydarzenie. Jego głos był triumfujący, zanotowali dwieście osiemdziesiąt tysięcy wejść. Konsultantka przeczytała ze swojego ekranu:

- Pytanie dodatkowe: „Czy popiera pan to, że on zabił pięciu ludzi?”. Proponuję: „Czy popiera pan to, że zlikwidował pięciu pedofilów?”.

Thorsen przytaknął.

- Tak, popieram.

- Proponuję: „Popieram jego walkę przeciw pedofilom”.

- Dobrze.

Konsultantka pisała szybko na klawiaturze, gdy drzwi do pomieszczenia otworzyły się z hukiem, a wszyscy troje się odwrócili. Grupka współpracowników zakłębiła się w środku. Na jej czele stanęła rzeczniczka, która wskazując na Erika, nie próbowała ukryć powagi sytuacji.

- Erik, musisz tu przyjść, mamy spory kłopot.

Mørk poszedł za nią, przekonany, że zjawiała się po niego policja. Został zaprowadzony do własnego biura, gdzie siedziała młoda kobieta, którą przedstawiła mu jego współpracownica.

- To jest Anita Dahlgren, praktykantka z „Dziennika”. Przeczytaj.

Wetknięto mu do rąk stosik kserokopii, logo gazety widniało w nagłówku każdej strony. Zaczął czytać. Już po pierwszych dwóch akapitach zaczął się pocić i musiał usiąść. Gdy skończył, zachował jeszcze tyle przytomności umysłu, żeby przez chwilę wpatrywać się w tekst, usiłując pozbierać myśli. Dzięki temu gdy podniósł wzrok i napotkał oskarżycielski wzrok obecnych, nie był zupełnie nieprzygotowany. Przejął dowodzenie, zwracając się do dziewczyny.

- Skąd pani to ma? I dlaczego przychodzi z tym do mnie?

Dahlgren opisała swoją sympatię wobec jego sprawy. Opowiedziała poza tym, w jaki sposób Staal zdobyła nieoczekiwany wywiad z szefem wydziału zabójstw Konradem Simonsenem.

- Skoro nas pani uprzedza, to nie wierzy pani w treść artykułu?

- Przyszłam, żeby was ochrzanić. Gdy dowiedziałam się o wywiadzie, nie miałam pojęcia, co ujawni, a Staal zatrzymała to dla siebie. Ale pomyślałam, że gdybym... zadbała o to, żebyście go zobaczyli przed publikacją, mogłoby to wam pomóc, i gdy tylko miałam okazję, skopiowałam go. A po przeczytaniu... tak, wpadłam w szał i nadal jestem wściekła. W drodze do was przychodziły mi na myśl różne rzeczy, które chciałam wyrzyczyć, natomiast powstrzymałam się. No więc, gdy zobaczyłam to miejsce... no nie wiem, trudno było krzyczeć, ale wolałabym móc sobie na to pozwolić.

- Miło z pani strony, że pani przyszła, rozumiem pani złość - poparła ją rzeczniczka. - Mnie też to dotknęło do żywego.

Mørk porzucił myśl o zdyskredytowaniu dziewczyny. Mała, naiwna pinda, ale niestety nadzwyczaj wiarygodna.

- Kiedy to ma się ukazać?



- Nie mam pojęcia, jutro albo w wydaniu weekendowym, jak sądzę, ale mam wielką nadzieję, że istnieje jakieś mniej lub bardziej rozsądne wyjaśnienie, jeśli nie, to koniec z moim poparciem dla was.

Rzeczniczka znowu jej zawtórowała. Obrzuciła Mørka twardym spojrzeniem.

- Ja też mam taką nadzieję. Nie wiem, do jakiego wózka jesteś zaprzęgnięty, ale ja wysiadam, jeśli to się potwierdzi.

Zignorował ją, koncentrując się na praktykance.

- Ma pani bezpośredni numer do Anni Staal?

Odpowiedź nadeszła z ociąganiem, mimo że Dahlgren przepełniała wewnętrzną radość.

- No nie wiem... tak, oczywiście, że mam, ale chodzi o to, że jeśli pan jej powie, że ja...

Przerwał jej.

- Oczywiście, że tego nie zdradzę, pod żadnym pozorem, ale policja wcisnęła jej potężny stek bzdur i zarówno w moim, jak i w jej interesie jest wyjaśnienie tego.

Poziom sceptycyzmu wśród jego współpracowników obniżył się tylko nieznacznie. Mówił dalej, tak przekonująco, jak tylko potrafił.

- To jest blaga, ni mniej, ni więcej.

- Dlaczego policja miałaby kłamać? To zupełnie nie ma sensu - ponownie odezwała się rzeczniczka.

- Ma to wielki sens. Chcą, żeby społeczeństwo pomogło w śledztwie, i kiedy tylko te brednie i kłamstwa ukażą się w prasie, wystawią z pewnością jeden czy dwa listy gończe.

Wskazał na nią.

- Musisz wyciągnąć własne wnioski. Wiem, że byłaś bardzo pomocna, ale jeśli nie możesz mnie w pełni wspierać, lepiej będzie, jeśli wrócisz do domu. Potrzebuję cię, bardziej niż kiedykolwiek, ale nie na pół gwizdka.

Kobieta nie ukrywała, że poważnie zastanawia się nad propozycją. Puls dudnił mu w skroniach, gdy czekał. Nie z jej powodu, ona była nieistotna, lecz mogła być kamieniem, który wywoła lawinę. Po upływie dłuższego czasu wreszcie podjęła decyzję:

- Jeśli to tutaj zostanie wydrukowane, to ja się wypisuję. W ostatnim czasie było też kilka innych spraw, które mi się nie podobały. Pobici ludzie i tym podobne. Ale to tutaj... - Wskazała na kserokopie. - ...tego nie mogę zaakceptować.

Wiele innych osób zasugerowało, że podzielają jej stanowisko. Możliwości Mørka były ograniczone, ale powiedział z największą pewnością siebie, jaką był w stanie wykrzesać:

- To się nie ukaże.

Ta obietnica nie była łatwa do spełnienia, o czym Mørk przekonał się kilka godzin później. W barze restauracji Pod Kaczorem w centrum Kopenhagi podejrzliwość Staal była wyraźnie wyczuwalna.

- To, że podaje pan hasło „Chelsea”, w ogóle mi nie imponuje. Taką informację mógł pan zdobyć z wielu źródeł i wcale nie musiał być pan osobą, która przesłała mi mejlem filmy, nie przekonuje mnie także informacja o wyciętych scenach.

Trzymała w górze pendrive'a, którego jej przekazał.

- Mogli je panu przysłać pańscy popiecznicy, ale oczywiście obejrzą te materiały. Z drugiej strony muszę być szczerą i przyznać, że nie daję złamanego grosza za

pańskie luźne dywagacje o policyjnym spisku. Podsumowując, nie wierzę panu. Może to pana wyprowadzono w pole, może pan kłamie, kto wie? Nie rozumiem pańskiej roli w całym tym zamieszaniu. Pewne jest tylko to, że nie powiedział pan niczego, co mogłoby mnie powstrzymać od opublikowania artykułu.

Staal napawała się sytuacją. Jasne było, że to ona ma wszystkie asy w rękawie, i równie oczywiste, że mężczyzna nie znał klauzuli Simonsena. Może będzie to można wykorzystać do osiągnięcia dodatkowej korzyści, jeśli w ogóle miał coś istotnego do dodania.

- Spiesz mi się. Wkrótce mam deadline i niezależnie od wszystkiego, w niczym nam nie pomoże siedzenie tutaj i marnowanie czasu, bo zaraz będzie za późno na decyzje. Proszę mi najpierw opowiedzieć, skąd ma pan kopię mojego wywiadu. Chcę to wiedzieć.

Mørk wyglądał na tego, kim był, a mianowicie mężczyznę pod sporą presją. Nie zdemaskował Dahlgren tylko dlatego, że z tego wszystkiego zapomniał jej nazwiska. Pamiętał natomiast imię sekretarki z „Dziennika”, która później skontaktowała się z nim w tej samej sprawie, nie mając jednak samego wywiadu. Staal zakonotowała sobie jej nazwisko.

- No proszę, no proszę. Kolejny i ostatni punkt spotkania: co może mi pan zaofertować? Mówi pan, że zostałam oszukana, a nie ma na to dowodów. Ja mam za to stopy potwierdzeń z różnych źródeł. Proszę spojrzeć na tę sytuację z mojej perspektywy. Ma pan coś czy nie? Krótko mówiąc, sraj albo złaż z nocnika.

W głębi duszy przez cały czas czuł, że jest jedno wyjście z tej sytuacji.

- Jeśli załatwię pani wywiad z człowiekiem, który dokonał egzekucji, poczeka pani z publikacją rozmowy z szefem kryminalnych, aż pani usłyszy, co on ma do powiedzenia? On wie też, co stało się z pieniędzmi, i będzie to mógł udowodnić.

- Wywiad z samym mordercą to nie lada gratka.

Nie odpowiedział. Nawet nie pomyślał, że mogła się przestraszyć.

- Jeden dzień, przesunę to o jeden dzień, ustalenia muszą być gotowe dziś wieczorem, a wywiad ma się odbyć jutro. Jeśli pan się nie odezwie przed oddaniem numeru, informacja o rabunku natychmiast wyląduje na naszej stronie internetowej. I jeszcze jedno: ma się ze mną kontaktować kat we własnej osobie, a ja mam zamiar sprawdzić, czy to rzeczywiście on. Kapuje pan?

Mørk pojmował. Barman przyniósł im drinki, których nie zamówili. To był prezent od klienta, który rozpoznał dziennikarkę. Staal wypiła łyk i wzniosła toast w stronę starszego łysego mężczyzny siedzącego dalej przy barze. Odwzajemnił się pijackim uśmiechem. Mørk także spełnił toast, co było dość idiotyczne, po czym powiedział:

- Porozmawia z panią, ale jest jeden warunek: nie ma mowy o żadnej policji.

- No kto by pomyślał. Tak, to u morderców normalne. Powiedzmy, że on się ze mną skontaktuje o godzinie jedenastej na moją komórkę.

Wychyliła drinka do dna i schowała do torebki papierosy, nim nadzwyczaj elegancko zsunęła się ze stołka i opuściła restaurację. Wychodząc, złożyła łysemu filantropowi głośny pocałunek na czole. Został na nim odcisk jej szminki. Erik Mørk uznał to za groteskowe, ale mężczyzna zaśmiał się serdecznie, upodobniając się do prosiaka.

## Rozdział 70

Wracając z Odsherred, Konrad Simonsen wezwał krąg wtajemniczonych na nocne zebranie w swoim mieszkaniu. Z wyjątkiem Poula Troulensa, który wedle własnej opinii był u kresu sił i miał już tylko nadzieję, że łaskawa śmierć uwolni go jak najszybciej od dalszego cierpienia. Jego żona zbagatelizowała to jako wieczorne osłabienie, więc Simonsen wyszedł z założenia, że prawda leży pośrodku, ale niezależnie od tego, jak się sprawy miały, musiał się obyć bez niego. Pozostali obiecali pojawić się o dziesiątej. Tylko Berg stwarzała problemy i Simonsen musiał ją zganić przez telefon:

- To nie podlega dyskusji, Pauline. Odbierzesz Anitę Dahlgren z redakcji „Dziennika” o jedenastej i zawieziesz ją do zajazdu Søllerød. Po drodze zgarniesz Maltego Borupa z HS i będziecie trzymać się we trójkę, aż przekażę ci dalsze instrukcje. Jesteś tam, żeby się nimi opiekować, i to jest rozkaz.

Berg nadal upierała się przy swoim, więc Simonsen musiał wykazać większą stanowczość:

- Też będziesz mogła wziąć w tym udział, w każdym razie na początku, i obiecuje informować cię na bieżąco, ale i tak nie zmienię zdania, zrozum to wreszcie.

Kasper Planck, siedzący obok niego w samochodzie, zabrał mu komórkę i spokojnie powiedział:

- Cześć, Pauline. Zrób to, o co cię prosi Simon, to ważne.

Zaraz potem skończył rozmowę.

- Jak ci się to, do cholery, udało? - dopytywał Simonsen. - Była strasznie nakręcona.

- Trzeba mówić powoli i bezpośrednio przekazywać informacje, wtedy się dostosują. Dotyczy to wszystkich kobiet.

Simonsen rozmyślał nad tym przez resztę drogi do Kopenhagi.

W domu wyciągnął szachy, ale starszy mężczyzna był zbyt zmęczony i tym razem nie udawał. Simonsen kilka razy znacząco odchrząknął, gdy jego przeciwnik nieznośnie długo zastanawiał się nad stosunkowo banalnym ruchem. W niczym to nie pomogło. Białe pionki mogły sobie chrząkać, ile chciały, czarne zapadły w sen. Simonsen dotaszczył go na swoje łóżko, uwolnił od butów, nieco rozeźlony na rozwój wypadków, bo według własnej oceny miał przewagę. Ale może ta przerwa w grze nie była zupełnie zła, ponieważ krótko potem przyszła Hrabianka. Półtorej godziny za wcześnie i bardzo poirytowana.

Ledwie odwiesiła kurtkę, a już zaczęła go łać.

- Czuję się podstępnie zwiedziona, Simon, podstępnie zwiedziona i pominięta. Jest mi szczególnie przykro, kiedy pomyślę o naszym poniedziałkowym wieczorze. Było bardzo przyjemnie, ale kiedy pomyślę o tym, jak niechętnie dzielisz się informacjami, nie cofam się przed określeniem tego mianem fałszu, by nie powiedzieć, że było to oszustwo. I możesz sobie sto razy powtórzyć, że musimy oddzielać życie

zawodowe od prywatnego, ale ty robisz coś zupełnie innego, a poza tym odsuwasz mnie...

Przez dłuższy czas mówiła z werwą i w podobnym duchu. Kilkakrotnie spróbował zastosować radę Konrada Plancka, ale to nic a nic nie pomogło, a nawet pogorszyło sprawę. W końcu mógł już tylko przyznać jej rację i mieć nadzieję, że w którymś momencie skończy jej się amunicja. Co też się stało, ale nie było przyjemne.

- Długo zastanawiałam się, czy w ogóle chcę w tym brać udział. Ryzykowałam pracę i karierę dla pomysłu, który jest nielegalny, a na dodatek podjęty z prywatnej inicjatywy, a słowem kluczem jest tu właśnie „prywatny”. Pytanie jest następujące: dlaczego w ogóle miałabym ci pomagać, Simon, skoro ty sam sobie nie chcesz pomóc?

Początkowo nie zrozumiał, ale szybko to do niego dotarło. Zdusiła jego protesty.

- Wiele razy rozmawiałam z Anną Mią. Nie ma pojęcia, co robić, i bardzo się martwi, co doskonale rozumiem. Ona cię kocha, ja może też, tak myślę. Więc teraz mam następujące warunki. Razem z tobą i Arnem pracuję nad tym, niezależnie dokąd nas to doprowadzi. A ty uroczycie przysięgasz, że począwszy od poniedziałku po pierwsze, będziesz regularnie przyjmował leki na cukrzycę. Po drugie, pójdziesz do dietetyka i będziesz ściśle przestrzegał jego zaleceń. Po trzecie, rzucasz palenie. Wybór należy do ciebie, Simon, ale nie gadaj mi, że twoje życie prywatne to nie moja sprawa. Nawarzyłeś piwa, więc musisz je teraz wypić.

Tego było już za dużo nawet dla tak zaprawionego w bojach mężczyzny w sile wieku. Być może miłość czyniła ślepy, ale na pewno nie odbierała głosu, w każdym razie nie w jej wypadku, a poza tym romantyczna nuta była wyraźnie wyczuwalna w jej dokładnie wypunktowanych żądaniach. Simonsen powiódł wzrokiem dookoła i zdecydował się na ucieczkę. Na próbę.

- Planck i ja odkryliśmy dziś tożsamość Drzewołąza, nazywa się Andreas Linke. Ale nie znamy jego miejsca pobytu, więc musimy sprawdzić, czy nie uda nam się go wypłoszyć. Dokładnie w taki sposób, jaki założyliśmy przed poznaniem jego nazwiska.

Zaskoczenie Hrabianki było widoczne.

- Znaleźliście go? Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś? Gdzie byliście?

Głos emerytowanego szefa kryminalnych zabrzmiał oschle z sypialni, nie sposób go było zignorować.

- Rozrzuca świecidełka, żeby ci uciec, zupełnie jak Rolf Krake.

Simonsen spojrzał zdziwiony w stronę, z której dochodził głos. Sądził, że Planck śpi. Zaczął rysować kółka na skroni, żeby pokazać Hrabiance, że jego poprzednik nie jest stabilny umysłowo. Niezbyt to pomogło, bo kolejne zdanie Kaspra Plancka nie rozplywało się w mgłę legendy.

- Teraz ci się wymyka. Nie pozwól mu, zagubiona babo.

Simonsen z irytacją wzruszył ramionami.

- Wyrażaj się porządnie! - krzyknął do Plancka. - Już tak do siebie nie mówimy.

Przepraszająco spojrzał na Hrabiankę, ale za trzecim razem mu się nie upiekło.

- Zadałam ci pytanie, Simon. Bądź tak miły i mi odpowiedz.

Kilka godzin później Planck, Pedersen, Berg i Hrabianka siedzieli wokół stolika kawowego Simonsena, podczas gdy ich gospodarz stał w otwartych drzwiach balkonowych i palił papierosa. Pedersen miał stałe połączenie telefoniczne z Anitą

Dahlgren, znajdującą się w pomieszczeniu redakcyjnym „Dziennika”. Zreferował pozostałym:

- Ma zestaw słuchawkowy z mikrofonem i może dość swobodnie rozmawiać. Jej komputer jest tak skonfigurowany, że pokazuje ekran komputera Anni Staal, ale efekt jest w tej chwili żaden, bo Staal jeszcze nie przyszła. Martwi ją, że redakcja się wyłudnia. Większość osób poszła do domu.

Simonsen wyrzucił papierosa i zamknął drzwi, po czym powiedział:

- Staal jest w drodze do redakcji, Mørk właśnie do niej zadzwonił i powiedział, że w ciągu pół godziny ktoś się z nią skontaktuje. Teraz możecie trzymać kciuki.

Przez chwilę milczeli, czekając w napięciu, aż Hrabianka przerwała ciszę:

- Mam dobrą wiadomość. Simon rzuca palenie od poniedziałku.

Pozostali pokiwali głowami z uznaniem i pospieszyli z pochwałami, z wyjątkiem Kaspra Plancka, który zaśmiał się szyderczo.

W tym samym momencie akcja nabrała tempa.

- Przyjechała Anni Staal - oświadczył Pedersen.

Do kolejnego zdania minęło trochę czasu. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach.

- Włączyła komputer i włożyła pendrive... chwileczkę; sekundę... chyba zaczyna oglądać film, Anita nie jest do końca pewna, tak, teraz już ma pewność, to jest film z wieszania ofiar. Anita nie ma dźwięku, ale mężczyzna na filmie płacze, wydaje jej się, że to Thor Gran. Tak, to Gran. Jest ohydny, ohydny, tak mówi Anita. Teraz Staal zatrzymała film. Dzwoni ze swojego telefonu stacjonarnego.

Zrobił przerwę.

- Wygląda na to, że się nie połączyła.

- Do diabła, Anita, rozłącz się, zaraz oddzwonię - wrzasnął nagle.

Przerwał jedną rozmowę i odebrał kolejną. Został o niej poinformowany przez serwis powiadamiania o połączeniach. Pozostałym zaimponowała jego elastyczność; brzmiał groźnie jak burza.

- Co to ma być, Anni, nie możesz sobie wbić w ten swój zakuty łeb, że masz do mnie nie dzwonić! Obiecałaś mi ostatnio, że to się już nigdy nie powtórzy, jakie idiotyczne wytłumaczenie masz tym razem?

Wysłuchał odpowiedzi, potem wysyczał:

- Teraz to już nie są przypuszczenia, teraz wiem na pewno, ale jeśli masz wątpliwości, znajdź sobie innego informatora.

Znowu słuchał, po czym odpowiedział:

- Nie, to się zgadza, kolejność na filmie była inna. Pierwszym zabitym był Jens Allan Karlsen, był najbardziej z przodu po lewej, a ostatnim Frank Ditlevsen, który wisiał w środku. Powiedz, dlaczego, do cholery, chcesz to wiedzieć?

I znowu przerwa. Potem zakończył rozmowę.

- Tak, zrób to i możesz dorzucić tysiąc do mojego honorarium. I więcej się ze mną nie kontaktuj, zrozum to wreszcie.

Rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Dahlgren. Połączenie zostało nawiązane tak jak wcześniej.

Przez dwadzieścia minut nic się nie działo poza tym, że Berg ich opuściła, w dodatku bez utyskiwania. W redakcji Staal pisała mejl o tym, jak jej artykuł z udziałem Simonsena wpadł w niepowołane ręce. Podejrzewała jedną z sekretarek.

Nagle znowu coś się wydarzyło.

- Teraz dzwoni jej komórka - przekazał Pedersen.

W tej samej chwili odezwał się telefon szpiegowski. Simonsen odebrał i zaczął się wsłuchiwać. W pewnym momencie coś zapisał, a gdy skończył rozmowę, wszyscy intensywnie się mu przyglądali.

- Rozmówca zdał jej test z kolejności wieszania ofiar i mają się jutro spotkać.

Tej wiadomości towarzyszyły rozproszone wybuchy entuzjazmu. Nawet Kasper Planck zacisnął pięści.

- Piekarnia Królewski Obwarzanek przy Hindstrup Hovedgade, osiem kilometrów na wschód od Middelfartu, w samo południe.

Hrabianka położyła dłoń na jego ramieniu i lekko ją zacisnęła.

- Podał jakieś nazwisko? - zapytała.

Simonsen zamruczał jak głodny kot.

- Tak. Powiedział, że ma się do niego zwracać Drzewołaz.

## Rozdział 71

Zamek Stenholm wzniesiono w połowie szesnastego wieku; wówczas baronowa Lydike Rantzau kazała wystawić renesansowy pałacyk na wodzie.

W tamtym czasie dobrze pamiętano złe traktowanie ze strony szypra Klementa i jego chłopskie oddziały z wiejskich posiadłości na Jutlandii podczas wojny hrabiów, więc nowy dom baronowej został zbudowany tak, by mógł dać odpór rebelianckim grupom – był przysadzisty i niedostępny, otoczony podwójnym grubym murem, z niezliczonymi okienkami strzelniczymi, machikułami oraz fosą i mostem zwodzonym. Najpiękniejszą częścią zamku był bez wątpienia stary ogród z rododendronami kwitnącymi w maju i park utrzymany w stylu angielskim, z wijącymi się ścieżkami i mostkami rozpiętymi jedynie dla ozdoby ponad sztucznymi jeziorkami. Ogród rozciągał się aż do fiordu Gamborg, a jego kontynuacją była plantacja świerków w Hind.

U stóp zamku leżało Hindstrup, mała prowincjonalna miejscina, oferująca wymśniony port dla żaglówek, wiele drobnych, niszowych zakładów przemysłowych oraz rynek z przyległymi uliczkami, przy których nieliczne sklepiki walczyły o przetrwanie. Stwierdzenie, że miasteczko pulsowało życiem, byłoby przesadą, ale jego mieszkańcy radzili sobie i mimo że większość z nich pracowała w Middelfarcie albo Odense, miejsce to nie było wymarłe. Przed wszystkim dlatego, że ceny domów były do przełknięcia, a ruch turystyczny w sezonie ogromny.

W Hindstrup Konrad Simonsen dodał „wtargnięcie na teren prywatny” do i tak już długiej listy grzechów, które popełnił w ciągu ostatnich dni. Co prawda wszedł tylko do szopy z opałem, a willa, do której należała, była wystawiona na sprzedaż i niezamieszkana, ale nie miał też żadnego prawa, żeby tam przebywać. Za to miejsce było niemal idealne.

Przybył w nocy i zaczął od rozejrzenia się na głównej ulicy, co nie było trudne, jesienny księżyc świecił jasno. Naprzeciwko piekarni Królewski Obwarzanek znajdowała się biblioteka, której tablica informacyjna obiecywała dostęp od godziny ósmej następnego dnia. Skontaktował się z Hrabianką i opisał sytuację; potwierdziła, na wpół śpiąc. Krótco potem znalazł szopę za willą, przy uliczce odchodzącej od głównej ulicy. Była otwarta i wypełniona drewnem kominkowym; spoczywające jeden na drugim nylonowe worki z kawałkami drewna o różnych rozmiarach tworzyły stopy sięgające od podłogi do sufitu, blokując dostęp do jednej ze ścian. Dłuższe ściany szopy były murowane, dwie pozostałe zbito z biegnących równoległe nieheblowanych desek ułożonych z odstępami, tak by drewno mogło schnąć na wietrze. Zrobił przejście między drewnem na opał, z trudem przekładając worek po worku na drugą stronę szopy, i gdy tylko część ściany została odsłonięta, stwierdził, że to było właśnie takie miejsce, jakiego szukał.

Na prawo miał doskonały widok na piekarnię, a naprzeciwko niego, na wzgórze widniała sylwetka zamku. Las na końcu parku zamkowego znajdował się o kilka

stopni na lewo i nawet gołym okiem w świetle księżycy mógł dostrzec jego krawędź. Lepiej być nie mogło. Przyniósł koce i torbę podróżną z samochodu. Wymościł sobie w miarę wygodne stanowisko na stosie drewna i nastawił budzik, ale tuż przed tym jak zamknął oczy, rzucił ostatecznie spojrzenie w stronę lasu i spokojnie powiedział:

- Dobranoc, Drzewoładzie, jutro cię dorwę.

Po czym zasnął.

Pięć godzin później zabuczał budzik, a on rozpoczął nowy dzień tak samo, jak zakończył stary - patrząc przez przerwy między deskami na las i zamek. W mroku różnice w wysokości wydawały się większe, ale sceneria nie odbiegała zanadto od tego, co sobie wyobraził poprzedniego wieczoru u siebie w domu, gdy Hrabianka, używając nożyczek, taśmy klejącej i wydruków z internetu przygotowała wysmienitą mapę Hindstrup i okolicy, która następnie została rozłożona na stole jadalnym i przestudiowana tak intensywnie jak mapy sztabu generalnego przed bitwą. Po jakimś czasie Arne Pedersen usiłował usystematyzować przebieg akcji, wskazując dłonią różne miejsca na planie i wyjaśniając.

- Okej, miasto, zamek, ogród zamkowy, fiord i plantacja. Las i zamek leżą wysoko, miasto w dole. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w skórze Drzewoładza. Skąd będzie najlepiej widział? Tak, to niemal oczywiste.

Przesunął palcem wzdłuż krawędzi lasu.

- Stąd ma dobry widok na główną ulicę. W każdym razie na jedną jej stronę i założę się o pięć kulek rumowych, że Królewski Obwarzanek mieści się właśnie tam.

Hrabianka potwierdziła jego przypuszczenia.

- Poza tym, że zakłady nie należą do twojego zwykłego repertuaru, to wszystko się zgadza. Ten budynek musi być domem starców, ma nieparzysty numer. Piekarnia na pewno znajduje się naprzeciwko, ale on może przecież mieszkać w tym mieście albo mieć dostęp do zamku. Stamtąd widok musi być jeszcze lepszy. Przypomnij mi, co tam teraz jest?

- Szkoła dla niewidomych. Sądzę, że żadna z tych możliwości nie jest prawdopodobna. Jego odwrót byłby utrudniony, gdyby...

Simonsen długo stał i przyglądał się mapie. Teraz przerwał rozmowę.

- Stawiam na las. W lesie czuje się bezpiecznie, tam się chowa i czai, sprawdzając, czy droga jest wolna. Tak podpowiada mi intuicja. Na pewno będzie na miejscu już przed świtem, pamiętajcie, pół nocy czekał przy budce z kiełbaskami w Alerslevie.

Planck potrząsnął głową, Hrabianka zerknęła na niego z niepokojem.

- Proponuję rozstawić od ośmiu do dziesięciu cywilnych w mieście, najlepiej z policyjnej służby wywiadowczej, do tego trzydziestu, może czterdziestu ludzi w lesie i tak samo na plantacji - powiedział Pedersen. - Otoczymy go pierścieniem, z którego nie będzie miał szansy się wyrwać.

Kontynuował, mówiąc bezpośrednio do Simonsena:

- Wykorzystaj oddział specjalny albo komandosów z marynarki wojennej jako task force, jeśli możesz. Ci chłopcy są cholernie zdolni i mamy wystarczająco dużo czasu, żeby to zorganizować.

Simonsen pokręcił głową.

- Ilu ludziom zależy na tym, żeby się wymknął? Połowie społeczeństwa? Dwudziestu procentom? Dziesięciu? Podajcie jakąś liczbę.



Hrabianka odpowiedziała z ociąganiem, świadoma, do czego zmierzał.

- Trudno stwierdzić. Nastrój się znowu zmienia, tak się wydaje, ale w tej chwili mamy istną wojnę medialną. Doniesienia są niejasne, a wiele z tak zwanych wiadomości jest zmanipulowanych albo bardzo tendencyjnych.

- Liczba, Hrabianko, możesz podać dolną granicę. Chodzi o dziesięć procent?

- Nie, to zbyt optymistyczne założenie. O wiele zbyt optymistyczne, niestety.

Simonsen zwrócił się w stronę Pedersena.

- Arne, jesteś dobry w rachunku prawdopodobieństwa, zaniż wartości, powiedzmy, do pięciu procent. Jaka jest szansa, żeby wybrać siedemdziesięciu ludzi, z których żaden, absolutnie ani jeden, nie zdradzi planu akcji, zanim ta się w ogóle rozpocznie?

Płynący z tego wniosek był nie do podważenia, ani Arne Pedersen, ani Hrabianka się nie sprzeciwili, gdy ich szef doszedł do konkluzji.

- Nasz jutrzejszy task force to my troje. Ja tam pojedę za chwilę, a ty, Hrabianko, dołączysz o ósmej. Do tego czasu wyszukam dla nas odpowiednie miejsce. Arne, ty pojedziesz za Staal, ale załatw sobie jakiś nowy samochód.

Nikt nie znalazł innego rozsądnego rozwiązania. Nawet Planck.

- A co, jeśli zadzwoni i zmieni miejsce spotkania? - przedstawił swoje wątpliwości Pedersen. - Ja bym tak zrobił.

- Dostaniesz telefon szpiegowski i w razie czego będziemy zmuszeni improwizować, ale wiem, że on będzie się krył w tym lesie aż do spotkania. Taki już jest. Las jest jego najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem.

Tym razem również Pedersen się zaniepokoił.

W szopie z drewnem na opał Simonsen nie czuł niepokoju. Bez pośpiechu zjadł kanapki z pasztetem, przepłukując potem gardło solidnym łykiem wody z bidonu. Kawa i poranny papieros musiały pozostać w sferze marzeń, co okazało się łatwiejsze, niż sądził. Przyjemne, łaskoczące napięcie rozpełzało się po jego ciele, sprawiając, że był jednocześnie spokojny i pobudzony. Z torby wydobył służbowy pistolet. Ostatni raz był uzbrojony całe lata temu, a teraz chwilę potrwało, zanim dopasował pasek od kabury do swojego rozmiaru. Chwilę później zadzwonił telefon.

Była ósma trzydzieści i Pedersen zorganizował konferencję telefoniczną. Jego głos dochodził wyraźnie.

- Zatrzymałem się na parkingu pod Korsør. Nic ciekawego z telefonu Anni Staal, pomijając to, że jeszcze nie wyjechała. Mam nadzieję, że nie zmienili miejsca spotkania na, na przykład, Valby, bo mogliby nas wykiwać. Wypożyczyłem audi, świetny wóz. Przełączam i dajcie znać, czy mnie słyszyacie.

Odpowiedziała Hrabianka. Szeptwała, ale było ją dobrze słychać.

- Tu mól książkowy, słyszę cię wyśmienicie, audi. Czytam gazety i mam dobry widok na kafenię, ale nie widzę wiele więcej poza nią. Mój jedyny problem to główna bibliotekarka, więc ograniczę komunikację do absolutnie koniecznego minimum, tak długo, jak ona będzie w czytelni.

Teraz przyszła kolej na Simonsena. Wcisnął swój telefon między dwa worki z opałem, blisko głowy, by mieć wolne ręce. Jego meldunek był krótki.

- Słyszysz was, ale teraz się skoncentrujemy.

- Tu audi, nie mam się na czym koncentrować, poza niezbyt uczęszczaną autostradą - powiedział Pedersen. - Co robisz, Simon? Nie powinieneś też mieć krypt-

tonimu?

Zaśmiał się. Odpowiedziała Hrabianka, nadal szepcząc.

- Chyba powinniśmy go nazwać Nemrod.

Ani ona, ani Simonsen się nie zaśmiali.

- Pracuję, skończcie z tymi bzdurami.

Zamilkli.

Simonsen polował. Powoli, metodycznie i w skupieniu wypatrywał zwierzyny, badając przez lornetkę krawędź lasu. Bogate barwy jesieni pomagały w odróżnieniu od siebie pojedynczych drzew. Słońce bladymi promieniami oświetlało zza jego pleców pole widzenia, wydobywając jasne, czerwonożółte, pomarańczowe i zielone niuanse krajobrazu. Tu i ówdzie jakieś drzewo bez liści łamało paletę barw czarnymi konarami i nagimi gałęziami, przypominającymi palce czarownicy. Czasami jakiś przypadkowy obłok blokował dopływ światła i wtedy las zmieniał oblicze, stając się nieprzejrzanym, pstrokatym masywem, jednorodnym i zbitym. Słońce jednak rzadko chowało się na dłużej niż minutę. Wykorzystywał te przerwy na przeniesienie obserwacji na główną ulicę albo na wolno stojące drzewa parkowe. Samemu zamkowi nie poświęcał uwagi.

Niewiele się działo. W pewnym momencie ogrodnik zatrzymał się przy jednym z małych białych mostków w parku, pogapił się w przestrzeń przez dobre dziesięć minut, w bezruchu, jakby wsłuchiwał się w wody gruntowe. Mężczyzna miał ponad pięćdziesiąt lat i nie był zbyt interesujący. Niemniej jednak Simonsen westchnął z ulgą, gdy ten wreszcie zdecydował się powrócić do życia i powoli skierował się w stronę miasta, w którym zniknął. Przez chwilę dwóch mężczyzn wykonywało serię pomiarów geodezyjnych, ale także oni ulotnili się po jakimś czasie. Innej ludzkiej działalności nie dało się zauważyć, ani jawnej, ani ukrytej.

- Mam nadzieję, że siedzisz w jakimś pomieszczeniu, Simon.

To była Hrabianka, a jej głos brzmiał naturalnie. Główna bibliotekarka musiała sobie pójść.

- Co masz na myśli?

- Pogodę, oczywiście. Za chwilę będzie niezła ulewa, nie sądzisz? Masz ogląd całości, o ile wszystko dobrze zrozumiałam.

Hrabianka wszystko dobrze rozumiała, ale ogląd Simonsena ograniczał się do połowy nieba. Odłożył lornetkę, zszedł ze swojego siedziska i wyjrzał przez drzwi szopy.

Niebo nad fiordem zasnuła ciężka jak ołów burzowa chmura, a na horyzoncie się błyskało. Wirujące prądy powietrza i opadający wiatr porywały kłęby chmur i wkręcały je w wodę. Ciemność zwyciężała i była coraz bliżej. Nagle pojawił się wir powietrzny, zaraz potem drugi, po chwili trzeci. Zakrzywione, grubsze z przodu i chudsze u dołu, przy tafli wody, trzy olbrzymie kły, które w niepewnym tańcu zbliżały się ku brzegowi. Zjawisko trwało krótko. Bezpośrednio po tym jak dotarły do lądu, kły zostały wessane, pochłonięte i przeżute przez ziemię, podczas gdy niespieszne dudnienie przetoczyło się nad miastem jak beknięcie. Potem lunął deszcz.

Kwadrans później po chmurach nie było śladu i wróciło światło; Simonsen na nowo podjął swoje poszukiwania. Wszystko było jak uprzednio, te same nieuporządkowane formy i zarysy, te same niuanse zieleni w stanie upadku, ten sam zagęszczony bezruch. A jednak było inaczej. Ulewa oczyściła teren, a słońce rozsz-

czepiało się teraz w miliardach spadających kropli, tak że każdy liść lśnił, podczas gdy małe istoty ostrożnie odważały się wyjść z licznych kryjówek w lesie, żeby zdobyć swój mokry, odrodzony świat. Także Simonsen zauważył zmianę i szepnął z zacięciem:

- Jesteś tam, Drzewołazie, a ja cię złapię. W którymś momencie popełnisz błąd, pojedynczy, mały błąd, a wtedy się pojawię i cię dorwę. Jestem pierwszym ogniwem w łańcuchu żywieniowym, a jestem bardzo, bardzo głodny.

W tej samej chwili Pedersen miał nowinę.

- Właśnie przejechała obok mnie. Trzymam się sto metrów za nią.

Chwilę później dodał:

- Nic nowego o stalowej Anni, przejechałem przez most i siedzę jej na ogonie. Będziemy u was za dobrą godzinę, ale słuchałem wiadomości radiowych, chcecie wiedzieć, co się stało?

Hrabianka zareagowała pierwsza.

- Bardzo chętnie.

- Główny news to długa relacja z placu przed parlamentem, gdzie ludzie zaczęli się gromadzić na manifestację, najwyraźniej milczącą, bo nie ma ani przemówień, ani piosenek, ani haseł, pominąwszy ogromnych rozmiarów banner, który zachęca do zaostrzenia ustawy i powstrzymania przemocy. Idea jest taka, że demonstranci będą czekać, aż prawodawcy zareagują. Spiker określił formę wyrazu jako „godną” i „nie do zignorowania”, cokolwiek miałyby to znaczyć. No i był reportaż z samego Christiansborgu, gdzie teraz gorączkowo pracują. Przygotowywany jest pakiet antypedofilski, a politycy, jak się mówi, za punkt wyjścia przyjęli te trzy główne żądania, które przedstawiono na całostronicowych ogłoszeniach w dzisiejszych gazetach, ale mówi się także i o innych kwestiach. Znacząco podwyższone wymiary kar i zniesienie przedawnienia w przypadku spraw dotyczących molestowania seksualnego dzieci. Wsparcie dla ofiar w formie opłacanej ze środków publicznych pomocy psychologicznej i psychiatrycznej tak długo, jak to konieczne. Zakaz tworzenia stowarzyszeń pedofilskich i poszerzenie naszych kompetencji w zakresie poszukiwania pornografii dziecięcej w sieci. Ponadto modernizacja naszych systemów oraz umożliwienie w pewnych przypadkach karania tych instytucji finansowych, które pośredniczą w przelewaniu opłat za tego typu materiały. Podobnie z biurami podróży, których klienci nagabują dzieci podczas zagranicznych wyjazdów.

- Nie mógłbyś się trzymać wątków głównych? - przerwał Simonsen. - Wyczuwam zwierzynę.

Pedersen poczuł się zdezorientowany.

- Główne wątki, tak. Ale tego ostatniego nie zrozumiałem.

Hrabianka skomentowała:

- A ja rozumiałam. Przerażasz mnie, Simon.

Zapadła cisza. Nikt nie wiedział, kto powinien się teraz odezwać, więc wszyscy milczeli.

- Mówi się, że nasza konstytucja stanowi przeszkodę - zakończył beznamytnie Pedersen. - Jak wiadomo, wolność zrzeszania się dotyczy wszystkich; omawiana jest też odpowiedzialność banków i biur podróży. To są przecież ich sprawy biznesowe i, tak... oczywiście, delikatne.

- W zasadzie nie jestem przeciwna takim rozwiązaniom, ale wolałabym, żeby inicjatorzy znaleźli jakiś bardziej normalny sposób, by przebić się przez gąszcz informacyjny - skomentowała Hrabianka.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział. Niewątpliwie mówiła głównie po to, by demonstracyjnie sprzeciwić się żądaniu Simonsena, żeby zachowali ciszę. Chwilę później brzmiała już bardziej bezpośrednio:

- Nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje, jesteś uzbrojony, Simon?

- Nie.

- Cieszę się.

Wsparcie dla Simonsena nadeszło z nieoczekiwanej strony, gdy do rozmowy włączył się obcy głos. Słysząc go było wyraźnie i dodatkowe wyjaśnienia były zbędne.

- To jest czytelnia, a nie targ rybny.

Hrabianka zamilkła, a Simonsen cierpliwie kontynuował poszukiwania. Stopniowo zaczął rozróżniać wszystkie zarysy i drzewa i wiedział, co pojawi się w oku lornetki, zanim naprawdę się pojawiało. Spokojnie powtarzany wzorzec, wedle którego raz po raz śledził spojrzeniem te same sto metrów krawędzi lasu, zaburzył jego poczucie czasu, a sporadyczne meldunki Pedersena o tym, gdzie jest, wydawały mu się jednakowe i nierzeczywiste. Tylko polowanie miało sens - wąskie linie pola widzenia, ze spokojną systematycznością przesuwające się w przód i w tył, i znowu, i znowu, nieodmiennie. Walka na wytrzymałość i koncentrację, w której w głębi serca ani przez chwilę nie wątpił w swoją przewagę ani też nie pozwolił, by jego wiarą, że gdzieś w tych niespokojnie poruszających się liściach kryje się Drzewołaz, zachwiał choćby cień niepewności.

Nagle stado czarnych ptaków poderwało się spomiędzy skupiska drzew, których wierzchołki przypominały zaciśniętą pięść. Krążyły nad lasem przez dłuższy czas, zanim znowu usiadły. Najpewniej były to gawrony. Nie widział, co je wystraszyło, ale musiało coś tam być, więc przyglądał się temu miejscu przez długi czas, nie dostrzegając jednak niczego. Wreszcie poddał się i wrócił do dobrze znanego sposobu obserwowania.

I wtedy wydarzyła się katastrofa.

Hrabianka jako pierwsza skomentowała, tym razem głośno, nie zważając na zasady korzystania z biblioteki:

- O nie, nie wierzę!

Simonsen skierował lornetkę na główną ulicę i zaklął ze zburzenia. Przed piekarnią zatrzymał się wóz patrolowy i trzech umundurowanych funkcjonariuszy weszło do kafeтерии. Krótko potem kakofoniczny chór głosów przepłynął przez telefon komórkowy jak jakiś absurdalny teatr radiowy.

- Nie spłacaj sąsiada, kredytu, rachunku u sklepikarza, to bez znaczenia, bo więzienie za długi jest zniesione, ale spłacaj instytucje publiczne, a jeśli nie, to się z nimi skontaktuj. Nie możesz ignorować wezwań, bo skończy się to źle i powinnaś to wiedzieć, Bolette.

Hrabianka wrzasnęła ze słyszalną zadyszka:

- Spadajcie stąd, wszyscy. Teraz!

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wyraźnie słysząc było kobiecy głos.

- Zrozum, człowieku. Nie mam telewizora. Zepsuł się tego samego dnia, kiedy umarł Anders, cztery lata temu. Cztery lata, a mimo to nadal żądają opłacania

abonamentu, nieważne, ile razy do nich piszę czy dzwonię. Po prostu nie można wyrejestrować telewizora. Nie wierzą mi, ci pomyleńcy z Kopenhagi. Pomyśl, co by było, gdybym żądała pieniędzy za chleb, którego moi klienci nie dostali.

- Rozkładacie superważną akcję, musicie wyjść. Wasza sprawa musi poczekać do jutra.

Ekspedientka mówiła dalej:

- I w dodatku przychodzicie we trójkę. Czy policja nie ma co robić?

Kilku klientów ją poparło, ale młodo brzmiący głos odwarł się:

- Mogła pójść do sądu w ostatni poniedziałek, gdy byłam tu sama.

Hrabianka wrzasnęła z całej siły:

- Wynocha stąd w trymiga. Jestem z wydziału zabójstw.

- Wydział zabójstw? Bo ona nie płaci abonamentu? To chyba przesada.

- Nie oszukiwałam. Nie mam telewizora, żadnego telewizora, ani jednego. Nie rozumiecie tego?

- Zdążę kupić cztery pszenne bułeczki, zanim ją zabierzecie?

I nagle włączył się Pedersen z wiadomością, która nie otwierała wielu możliwości interpretacji:

- Anni Staal dostała SMS-a o treści „Głupia świnia”.

Simonsen się rozłączył i po raz ostatni skierował lornetkę w stronę lasu. Skoro i tak przez ponad trzy godziny bezskutecznie obserwował to miejsce, mógł poświęcić dodatkowe pięć minut na dokończenie pracy, zanim się spakuje i stąd wyjdzie. Jego optymizm doznał lekkiego uszczerbku, już nie wierzył w zysk, a mimo to go osiągnął - pierwszy raz, gdy spojrzął przez lornetkę wzdłuż lasu, w jego polu widzenia pojawiła się lina zwisająca z jednego z tych drzew, nad którymi jakiś czas temu krążyły ptaki. Krótco potem pojawił się wysoki but.

Simonsen znany był z tego, że zachowywał się rozsądnie w sytuacjach wymagających szybkiego działania, a to, co zrobił teraz, było, z grubsza rzecz biorąc, bezbłędne. Najpierw przez dziesięć sekund przeanalizował sytuację, nie ruszając się z miejsca, potem wyciągnął z torby mapę i ponownie przyjrzał się i zapamiętał teren za zamkiem, biegnący w stronę fiordu i plantacji. Dobrze wiedział, że rzucenie się biegiem w stronę parku zamkowego byłoby bezsensowne. Z jednej strony zabraloby mu to zbyt wiele czasu, z drugiej szanse schwytania mężczyzny byłyby minimalne, gdyby tam w końcu dotarł. Drzewołaż był z pewnością szybszy niż on, a poza tym był w swoim żywiole. Szanse powodzenia byłyby większe, gdyby pojechał na tył parku i spróbował go znaleźć na jednej z dróg na plantacji. Wrzucił rzeczy do torby i podbiegł do samochodu.

Gdy tylko wyjechał za miasto i stwierdził, że droga jest wolna, maksymalnie przyspieszył i w ciągu kilku minut pędził długą, prostą leśną trasą, przecinającą plantację jodeł Hind i rozdzielającą ją na część wschodnią i zachodnią. Mniej więcej w połowie drogi zjechał dziesięć metrów w bok, zaparkował w niewidocznym miejscu i dalej ruszył piechotą. Nie spiesząc się i najciszej, jak potrafił, szedł w stronę kolejnego skrzyżowania. Według mapy mógł na nim skręcić w prawo na tyły zamku, a szybki rachunek w głowie potwierdził, że jeśli Drzewołaż nie biegł, ku czemu, prawdę rzekłszy, nie miał powodów, istniała szansa, że nadal znajduje się gdzieś na tym terenie.

Po obu stronach drogi rosły metrowe świerki, a osoba, która chciałaby się ukryć, mogła po prostu zagłębić się między drzewa na kilka metrów i spokojnie

stać. Najważniejsze było zatem nie dać się zobaczyć ani usłyszeć. Od czasu do czasu się zatrzymywał i nasłuchiwał, do jego uszu nie dochodziło jednak nic poza dobiegającym z różnych kierunków śpiewem ptaków. W którymś momencie zaskoczył kilka bażantów, które odfrunęły, uderzając skrzydłami i hałasując. Usiadł w kucki blisko jakiegoś świerku i odczekał chwilę, aż zapadła cisza. Potem ruszył dalej, stąpając ostrożnie. Po dwudziestu metrach dostrzegł skrzyżowanie. Szedł wzdłuż linii świerków, trzymając się prawej strony, a gdy skręcił, ujrzał męczyzną zmierzającego w jego kierunku, na kilka sekund, zanim ten zobaczył jego. W tym momencie już stał z wyciągniętym pistoletem. Odległość była idealna: osoba przed nim była o wiele za daleko, żeby mogła przypuścić bezpośredni atak, i o wiele za blisko, żeby uniknąć kuli. Ich oczy się spotkały, obaj wiedzieli, kim jest ten drugi.

- Na ziemię!

Męczyzna nie posłuchał, a jego oczy wędrowały od pistoletu do lasu. Simonsen odbezpieczył broń. Delikatne, metaliczne kliknięcie zabrzmiało nieprzyjemnie i było złym znakiem.

- Nie rób sobie nadziei. Jeśli zaczniesz biec, strzelę ci w nogi, zrobię to też, jeśli się teraz nie położysz. Będziesz miał niepotrzebnie roztrzaskaną pischel, o ile nie zdecyduję się na kilka strzałów w brzuch, wtedy będę miał przyjemność patrzeć, jak umierasz, a rezultat będzie ten sam: będziesz leżał. Bądź uprzejmy sam wybrać, zanim ja zdecyduję za ciebie.

Męczyzna odstawił torbę i położył się. Nie okazywał żadnych emocji, ani wściekłości, ani rezygnacji. Simonsen podszedł do niego z tyłu, pochylił się i rutynowo założył kajdanki. Bez pośpiechu zabezpieczył pistolet i schował go do kabury, po czym zapalił papierosa. Pożądliwie wciągnął dym, z ciekawością przyglądając się swojej zdobyczy. Męczyzna był żyłasty i proporcjonalnie zbudowany, wyraźnie nawykły do pracy fizycznej, miał jasne, zmierzwione włosy i ogorzałą twarz. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły uważnie i wrogo, a nad prawą brwią miał nieregularną czerwoną bliznę. Simonsen pociągnął męczyznę do góry, sprawdził, czy nie ma broni, i jak podejrzewał, niczego nie znalazł. W bocznej kieszeni jego solidnej wiatrówki był telefon komórkowy, w którym brakowało karty SIM, a torba zawierała profesjonalny sprzęt do wspinaczki: liny, pasy zabezpieczające i parę specjalnych butów z żelaznymi kolcami na czubkach. Ponadto aluminiowy termos. Postawił torbę pod jednym ze świerków i dobrze nakrył ją gałęziami. Następnie spojrzał na zegarek.

- Andreasie Linke, jest godzina jedenasta trzydzieści siedem, jesteś zatrzymany. Poza tym chcę cię poinformować, że nienawidzę cię z całego ojcowskiego serca i jeszcze gorzko zapłaczesz nad zdjęciami mojej córki, które mi przysłałeś. Możesz już zacząć.

Zgodnie z przewidywaniem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Drogę do samochodu pokonali, idąc powoli obok siebie. Simonsen wyciągnął łańcuch z bagażnika. Ostrożnie popchnął męczyznę na siedzenie obok kierowcy i precyzyjnie przykuł łańcuch do kajdanek na prawej ręce, a drugi koniec - do mocowania pasów bezpieczeństwa w podłodze, gdzie już wcześniej umieścił małą kłódkę. Następnie zamknął drzwi, obszedł samochód, położył kurtkę na dachu i odpiął kaburę z pistoletem. Rzucił ją na tylne siedzenie, po czym z powrotem włożył kurtkę i usiadł za kierownicą. Zanim ruszył, częściowo oswobodził swojego

pasażera, odpinając kajdanki z lewej ręki. Dało to mężczyźnie jako taką swobodę, a właściwie taki promień ruchu, który umożliwił mu trafienie go nieporadnym ciosem pięści.

- Jeśli dotkniesz mnie albo kierownicy, walnę cię mocno w nerki. Rozumiesz?

Drzewołaż nie zareagował. Simonsen szybkim ruchem zbliżył wyciągnięte palce do przepony mężczyzny i zapytał ponownie:

- Rozumiesz?

Krótkie, wściekle skinienie głową potwierdziło, że mężczyzna zrozumiał, Simonsen uśmiechnął się z zadowoleniem. Nawiązali kontakt.

Kilka kilometrów za plantacją wyjechali na główną drogę do Odense. Skręcił w prawo i po około dziesięciu kilometrach dojechał do autostrady E20 prowadzącej do Kopenhagi. Wjechał na środkowy pas i utrzymywał przepisową prędkość trochę powyżej stu kilometrów na godzinę. Ruch był umiarkowany i kierowanie nie wymagało wielkiego skupienia. O dwunastej włączył radio, żeby posłuchać wiadomości. Nic nie powiedział, gdy zauważył, że jego pasażer słucha w napięciu. Przed Christiansborg przyszło najwyraźniej całkiem sporo osób, jeśli wierzyć spikerce, jej słowa traktował jednak sceptycznie. W każdym razie komentarz był daleki od obiektywizmu, gdy w melodramatyczny sposób opowiadała o ludziach, którzy spokojnie, acz z determinacją czekali na decyzje prawodawców. Z parlamentu nie płynęły żadne nowe wieści. Wyłączył radio i przejechał kilkanaście kilometrów, w głowie przygotowując rozmowę telefoniczną, którą miał zamiar zaraz odbyć. Zadzwoił do Pedersena.

- Cześć Arne, zaraz padnie mi bateria, więc słuchaj i nie przerywaj. Mam go i jedziemy do HS. Ty i Hrabianka załatwcie kilka psów policyjnych i kilku techników.

Szybko opowiedział o drzewie, torbie i karcie SIM, po czym dodał:

- Nie będzie problemu ze zdobyciem dowodów. Gada jak wystraszony dzieciak i do wszystkiego się przynaję.

Rozłączył się.

Drzewołaż nie wyglądał na zbyt przejętego sytuacją. Pomijając jego pełen zaskoczenia wzrok, gdy został określony jako wystraszone dziecko, beznamietnie patrzył przed siebie. Ale Simonsen z zadowoleniem zauważył w nim pewne napięcie. Nie mógł się odprężyć i co chwilę zmieniał pozycję. Nie aż tak wyraźnie, ale wystarczająco, żeby ujawnić własne poczucie dyskomfortu. Minęli Odense od południa; Simonsen przerwał ciszę.

- Wiedziałeś, że zabiłeś swoje ofiary w dzień jedenastu tysięcy dziewic? Tak nazywano osiemnasty październik w średniowieczu, a także dniem Urszuli, możesz sobie wybrać. Obie nazwy wzięły się z tej samej legendy.

Zerknął w stronę mężczyzny. Drzewołaż nie odpowiedział, ale nieco obrócił głowę i spojrzał na niego z irytacją. Simonsen mówił dalej wesołym tonem, jakby od niechcenia.

- Tak, to była zresztą niemiła historia, bardzo smutna i niestety bardzo krwawa. Urszula była bretońską księżniczką z czwartego wieku. Wyjątkowo piękną. Najczęściej takie są te księżniczki z legend. Do tego była niezwykle pobożna. Za to angielski król przeciwnie, on był poganinem. Mimo to oświadczył się Urszuli, a ona go przyjęła, ale pod warunkiem, że najpierw odbędzie pielgrzymkę do Rzymu, żeby zaspokoić swoją głęboką potrzebę duchowego zespolenia z Chrystusem.

Na chwilę przerwał. Na drodze przed nimi doszło do wypadku i utworzył się korek. Powoli przejechał obok, nie przypatrując się szczególnie karetce pogotowia i rozbitemu samochodowi na poboczu. Drzewołaż również im się nie przyjrzał. Gdy ponownie jechali z normalną prędkością, wrócił do opowieści – pewien, że wywołuje u swojego pasażera rozdrażnienie i dezorientację.

- No, do czego to doszedłem? A, tak, Urszula wyruszyła do Rzymu, ale nie sama, w towarzystwie jedenastu tysięcy dziewczic, trzeba przyznać, że to powalająca, kolosalna, szokująca wręcz liczba dziewczic. Nie sądzisz?

Drzewołaż nic nie sądził, a nawet odwrócił głowę.

- Okej, wysłuchamy twojej opinii później, w każdym razie ja uważam, że to wiele. Tak czy inaczej cały ten tłum dotarł do Rzymu, a ówczesny papież, Syrycjusz, był ponoć oczarowany i pod silnym wrażeniem, co właściwie dziwi, bo można by podejrzewać, że powinien być cholernie zirytowany. Moim zdaniem to wpraszenie się najgorszego sortu, sam pomyśl, jedenaście tysięcy niezaproszonych gości. Wydatki na jedzenie ogromne, więc ten papież musiał być naprawdę bardzo gościnnym człowiekiem. No ale one ruszyły w drogę powrotną, Urszula musiała przecież wrócić i wyjść za mąż. Jednak powrót nie poszedł już tak gładko. Był bardzo od tego daleki. W drodze powrotnej dziewczice natknęły się bowiem na króla Hunów Attyłę, a wraz z nim z pewnością na masę szeregowych Hunów, tak należy założyć, bo zostały wybite co do jednej. Nikt właściwie nie wie dlaczego. Może Attyła miał zły dzień, a może one się opierały i były pyskate, kto wie? Rzecz w tym, drogi Andreasie, że nie możesz wstąpić do tego klubu. Zabiłeś tylko sześć osób, ale pięć z nich, co zabawne, w dokładnie ten sam dzień, kiedy zginęły dziewczice, tyle że miej więcej tysiąc siedemset lat później.

Przed sobą widział most przez Wielki Bełt i postanowił poczekać z zakończeniem historii. Jego publiczność i tak nie reagowała, więc nie będzie się użalać z powodu przerwy. Dokończył, gdy dojeżdżali do Slagelse.

- Moja opowieść... tak, niezupełnie ją skończyłem, prawie, ale coś jeszcze stało. Te wszystkie dziewczice... Wiesz, gdzie je zabito?

Jak poprzednio nie było żadnej reakcji, ale Simonsen zauważył, że mężczyzna zacisnął prawą pięść, jednocześnie patrząc w dół.

- Myślę, że wiesz. Poniosły męczeńską śmierć w centrum Kolonii i chociaż dane nie są może do końca wiarygodne, to na pamiątkę tej krwawej łaźni zbudowano bazylikę. Kościół pod wezwaniem świętej Urszuli, Ursulaplatz dwadzieścia cztery, żeby być dokładnym. Musisz ją znać, mam na myśli, że mieszkałeś dwie przecznice dalej, przy Weidengasse osiem. Tak, formalnie nadal tam mieszkasz, wynajęty pokój na trzecim piętrze pod dachem, oczywiście, że znasz ten kościół. Przypuszczam też, że zwróciłeś uwagę na to, że trochę zmieniłem daty, żeby dopasować do siebie elementy historyjki. Ten dzień dziewczic przypadał dwudziestego pierwszego, a nie osiemnastego października, ale doskonale to wiesz, bo Dzień Urszuli jest, zdaje się, dobrze znany w Kolonii.

Blizna nad okiem Drzewołaża zrobiła się bardziej czerwona. Najwyraźniej nie podobało mu się zakończenie. Nadal nic nie mówił, ale w jego ciele nie krył się wielki pokerzysta.

Gdy dojechali do Sorø, Simonsen zjechał z autostrady i ruszył drogą lokalną w stronę Holbæk. Zauważył zdziwienie Drzewołaża. Powinien był skierować się przez Ringsted i Køge, żeby dotrzeć do Kopenhagi od południa. Ale zupełnie



dziwne to też nie było. W pewnym momencie droga zawiedzie ich do autostrady przy Holbæku, skąd będą mogli dojechać do stolicy przez Roskilde i Glostrup. Była pierwsza, a on znów włączył radio. Jego wyczucie czasu było bez zarzutu, triumfujący głos spikerki wypełnił samochód:

- Trudniej będzie być pedofilem w Danii. Negocjacje dotyczące pakietu antype-dofilskiego zakończyły się szerokim porozumieniem między rządem a opozycją. Pierwsze czytanie propozycji ustawy nastąpi już dziś po południu. Wymiar kar za seksualne wykorzystywanie dzieci zostanie dwukrotnie zaostrzony, a okres przedawnienia zniesiony. Zwykły gwałt też będzie surowiej karany. Ponadto w ustawie budżetowej przewidziano osiemdziesiąt milionów koron rocznie na cały pakiet inicjatyw mających przeciwdziałać pedofilii, w tym na pomoc ofiarom, rozszerzenie kompetencji policji, monitorowanie internetu i badania seksuologiczne. Przed parlamentem, na placu zamkowym Christiansborg, trwa świętowanie. Połączymy się teraz z Ministerstwem Sprawiedliwości, gdzie minister wygłosi komentarz.

Simonsen wyłączył radio. Na twarzy Drzewołaza pojawił się ledwie zauważalny uśmiech.

- Tak, a więc wygraliście, teraz musicie tylko zapłacić rachunek, a ty masz szczególnie wielki dług do spłacenia. Chociaż najbardziej życzyłbym sobie, żeby teraz obok mnie siedział Per Clausen, nie ty. Jestem po prostu śmiertelnie przerażony samą myślą, że gdy zacznę cię rozbierać jak cebulę, okaże się, że jesteś tylko żalonym, zmanipulowanym odbiciem prawdziwego obrazu. To jest wkurzające.

Słowa nie padły na jałową glebę, uśmiech znikł.

- No i mam pewną prywatną sprawę, którą musimy wyjaśnić - dodał Simonsen ze złością. - Przysłałeś mi kilka zdjęć mojej córki, a nie powinienesz być tego robić. Jeszcze będziesz z tego powodu płakał, ale to już ci chyba wcześniej zapowiedziałem.

Jechali w milczeniu. Simonsena zaczęły boleć plecy, potrzebował przerwy, żeby rozprostować nogi. Próbował poradzić sobie z niedogodnością, przenosząc ciężar ciała z jednego pośladka na drugi. W połowie drogi do Holbæku, we wsi Ugerløse zjechał z głównej drogi i skręcił na lewo w stronę Mørkøvu i Svinninge. Teraz jechali na zachód, w kierunku dokładnie przeciwnym do Kopenhagi i nie minęło dużo czasu, nim Drzewołaz zaczął się niepokoić. Rozglądał się wkoło z wyraźnym zdziwieniem i stawał się coraz bardziej zbity z tropu.

Simonsen rozważał za i przeciw. Rozum podpowiadał mu, że powinien porzucić swój plan i zawrócić. To, co właśnie robił, było niestosowne, nieważne, że panował zarówno nad sobą, jak i nad sytuacją. Zdecydował się przerwać. Ale dopiero po ostatniej, małej sztuczce.

Otworzył schowek między siedzeniami, sięgnął po kilka paczek piratosów i rzucił je na tablicę rozdzielczą. Później zasyczał ze złością:

- To przez ciebie zacząłem żreć to gównno.

Dotąd był spokojny i przewidywalny, miło było odrzucić zahamowania. Wrzasnął:

- Za chwilę wcisnę ci całą torebkę do gęby.

Aresztant spojrzał na niego z przestrawieniem, a on poczuł zadowolenie. Opuścił szyby i wyrzucił torebki z cukierkami. Już nie będzie ich potrzebował. Rozsądek też może iść w diabły.

Gdy minęli Mørkøv, Drzewołaz nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Dokąd jedziemy?

Simonsen po raz pierwszy usłyszał jego głos. Był dość przyjemny, o ciemnej barwie, oszpeconej nieco nutą paniki.

- Nie zgadłeś? Nie jesteś zbyt bystry. Gdybyś myślał szybciej, już wcześniej zacząłbyś błagać.

Zwolnił, niepewny, czy mężczyzna nie zechce schwycić kierownicy; w ślimaczym tempie przesuwali się na tle jesiennego krajobrazu. Stopniowo niebo chmurzyło się coraz bardziej, im dalej na wschód się przesuwali, na chwilę jednak wyłoniło się słońce, oświetlając pagórkowaty teren. Simonsen rozglądał się z nieznacznym uśmiechem na ustach, jakby był na wycieczce krajoznawczej. Tak naprawdę nie było tam nic szczególnie interesującego do zobaczenia, gospodarstwo tu, samochód nadjeżdżający z naprzeciwka tam, dookoła połączone skoszonych pól z rozrzuconymi tu i ówdzie balotami słomy, jakby olbrzym rzucił garścią kości do gry. Nie patrząc na swojego pasażera, powiedział:

- Przedziwne, jak działa umysł. Możesz całymi miesiącami być w bliskim kontakcie ze swoimi dawnymi dręczycielami, Frankiem i Allanem, mając jednocześnie ukryty plan, który ma doprowadzić do ich śmierci. Dorosłeś i już nie musisz się ich bać. Ale z miejscem, w którym się z tobą zabawiali, nie możesz sobie poradzić. Przybudówka i las, tam nadal jesteś mały i cała twoja siła na niewiele się zdaje. W każdym razie nie byłeś w stanie sam ściąć tam drzew i podłożyć ognia pod budę. Musiałeś kogoś wynająć. Z drugiej strony od tamtej pory minęło wiele czasu i wszystko mogło się oczywiście zmienić. Zobaczymy, zobaczymy. Jak mam się właściwie do ciebie zwracać? Drzewołazie czy Andreasie?

Nie było przerwy między jednym a drugim pytaniem.

- Powiedz, do cholery, dokąd jedziemy.

Jego głos brzmiał niemal histerycznie.

- Zadałem ci pytanie.

- Tu w Danii nazywają mnie Drzewołaz, wolałbym, żeby tak się do mnie zwracać. Dokąd mnie zabierasz?

- No dobrze, to ja będę do ciebie mówił Andreas, bo ja cię nie lubię, Andreasie. A nawet cię nienawidzę, jeśli mam wyznać prawdę. Powinieneś być zostawić moją córkę w spokoju, ty parszywa świnio.

Mężczyzna zaczął wykręcać ręce i przesuwac ciało niespokojnie z jednej strony na drugą. Simonsen niewzruszony jechał dalej, minęli Svinninge, a potem Høvre. Drzewołaz zaczął się pocić, perełki potu pojawiły się na jego skroniach i koło nasady nosa, od czasu do czasu niedelikatnie ocierał czoło rękawem.

- Nie masz prawa mnie tam zabierać.

Agresja zniknęła, brzmiał raczej błagalnie. Simonsen odpowiedział przyjaznym tonem:

- Prawo do tego, prawo do tamtego. Jeśli mielibyśmy wszyscy zacząć się przetrzucać tym, do czego mamy prawo, a do czego nie, nigdy byśmy do niczego nie doszli.

- Mógłbyś przestać? Nie mogę... chyba tego nie wytrzymam.

- Nie, zapewniam cię, że nie mógłbym. Wizyta w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło, wydaje mi się bardzo stosowna. Pójdziemy do przybudówki, w której Frank cię brał, do drzew, gdzie była kolej Allana. A tak na marginesie, wszystkie te

drzewa zostały ścięte czy usunięto tylko te najczęściej odwiedzane, jeśli można się tak wyrazić?

Mężczyzna podniósł dłonie do uszu, żeby nie słyszeć jego słów, a poza tym odgiął głowę w tył. Zbladł, tylko jego blizna poczerwieniała jeszcze bardziej. Gdy tylko ponownie odsunął dłonie, Simonsen napadł na niego, ze złością i bezlitośnie:

- Starsi ludzie w wiosce opowiadają, że nie mogłeś chodzić po takiej rundce z braćmi. Kuśtykałeś z boku na bok, jakbyś narobił w spodnie.

Drzewoław zaczął szybko kręcić głową, jakby chciał strzepnąć z siebie te słowa.

- Okej, ty mała gnido, jeśli powiesz mi, gdzie mieszkasz w Niemczech i gdzie mieszkasz w Danii, zawrócę samochód.

Tak łatwo nie poszło. Początkowo Drzewoław zdecydował się wytrwać mimo cierpienia, ale im bliżej byli miejsca docelowego, tym stawało się to trudniejsze. W końcu się poddał.

- W Niemczech mieszkam tam, gdzie powiedziałaś, przy Weidengasse osiem, w Kolonii. Tu w Danii wynajmuję mieszkanie w piwnicy we Fredericii, Ivertsgade czterdzieści dwa, na czarno. Właścicielowi wszystko jedno, kim jestem, tak długo jak płacę czynsz. Zawieź mnie teraz do Kopenhagi. I chcę adwokata.

Wściekłość w głosie Simonsena powróciła, w miarę jak zaczął mówić. Jego wzrok znów był pełen nienawiści, a niepokój zniknął.

- Chcesz tego, chcesz tamtego. Możesz co najwyżej oberwać kilka razy w łeb. Opowiedz mi o zdjęciach, które dostałem.

- To Per Clausen. - Odpowiedź padła po krótkim wahaniu. - Przysłał mi kopertę z informacją, że mam poczekać tydzień i ją wysłać. Do dziś nie miałem pojęcia, co było w środku.

- Skąd znał moją córkę?

- Nie wiem. Myślę, że był na ciebie przygotowany. Zawróć już, chcę do Kopenhagi, tak jak obiecałeś. Nie mamy nic przeciwko twojej rodzinie.

- Więc nie powinniście byli jej w to wciągać, bo to doprowadziło mnie do większej wściekłości, niż możesz sobie wyobrazić. A teraz najzabawniejsze: okłamałem cię wcześniej, ale to twój problem, że mi uwierzyłeś. Ostrzegałem, że nie można na mnie polegać. Następnym razem powinieneś lepiej słuchać.

Drzewoław przyglądał mu się z niedowierzaniem. Chwilę później ponownie ogarnęła go panika, ale tym razem było gorzej niż poprzednio. Nie panował nad sobą, trząsł się cały, jakby marzył. Od czasu do czasu pojękiwał, a po kilku kolejnych kilometrach zaczął błagać. Brzmiało to żałośnie i nie doczekał się odpowiedzi. Simonsen skrzywił w prawo przy Fårevejle, przed nimi po lewej stronie rozciągnął się widok na zatokę Sejerø, więc było już niedaleko. Drzewoław na zmianę płakał i błagał o litość. Momentami przyznawał się nieskładnie do wszystkiego, do czego tylko mógł między ziemią a niebem, do rzeczy małych i dużych, i nie było to nieinteresujące, za to prawnie bezwartościowe.

Nagle Simonsen zatrzymał samochód. Z przedniego schowka wyciągnął mapę, po czym wysiadł i zapalił papierosa. Drzwi zostawił otwarte, żeby mogli rozmawiać, chociaż konwersacja nie była teraz mocną stroną Drzewoława.

- Jednak tego nie rozumiesz, Andreasie. Tu nie chodzi o twoje przyznanie się do winy, na to później przyjdzie czas, chodzi o zemstę. Zemstę za tych ludzi, których pozabawiłeś życia. Oni z pewnością też błagali o życie, ale ty zabiłeś ich bez litości. Dostaniesz dożywocie i to jest naprawdę zasłużony wyrok. Ale najpierw spełni się

twój największy koszmar. Śni ci się to miejsce? Mimo tej całej pomocy psychiatrycznej i przemyślanej zemsty. Tak przypuszczam. A za chwilę znowu to przeżyjesz, niezależnie od tego, czy będziesz płakał, jęczał czy wrzeszczał.

Akurat wydawał z siebie ten ostatni dźwięk, ale niespecjalnie głośno, raczej przejmująco i piskliwie, jak przydeptywane kocie. Potem zaczął szarpać łańcuch, bez innego skutku niż podbiegły krwią ślad na lewym nadgarstku. Simonsen palił dalej, nie przeszkadzając sobie, aż mężczyzna nagle, niemal przypadkowo rzucił się między przednie siedzenia i zobaczył kaburę z pistoletem niedbale porzuconą na tylnym siedzeniu. Desperacko przyciągnął ją do siebie i wyrwał z niej broń, za pierwszym razem ją upuszczając. Szybko jednak podniósł ją, odbezpieczył i wycelował w brzuch swojego dręczyciela niepewną, drżącą ręką.

Simonsen spokojnie wyrzucił papierosa. Potem usiadł za kierownicą, z rozdrażnieniem odpychając mężczyznę z bronią, jakby był irytującym, ale nie niebezpiecznym owadem; Drzewoław przesunął się tak daleko w tył, jak tylko mógł.

- Nie wierzę w to, Andreasie. Nie wierzę nawet, że trafisz, tak się trzęsiesz, zresztą w niczym ci to nie pomoże, ty i ja pojedziemy do Ullerløse.

Przekręcił kluczyk i włączył silnik. Drzewoław spojrział na niego zadziwionym, nierozumiejącym wzrokiem, po czym włożył lufę do ust i nacisnął spust. Rozległo się kliknięcie. Spróbował ponownie, z tym samym skutkiem. Potem opadł na podłogę bez sił jak balonik, z którego uszło powietrze, jego wzrok stał się pusty. Simonsen poczuł odór moczu, Drzewoław zsikał się w spodnie; wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Długo stał z ramionami opartymi o jego dach i głową spoczywającą w dłoniach. Nagle wyprostował się i zawołał na cały głos:

- To powinieneś być ty, Perze Clausenie, ty diable, a nie ten żaloszny ludzki wrak. Spojrział bacznie na drogę przed sobą, potem znów na miejsce, z którego przyjechali, po czym rzucił w przestrzeń:

- Ale ja nie jestem taki jak ty, Per. Zresztą spodobałoby ci się to. Mały dodatek do wielkiego sukcesu. Ale go nie dostaniesz, nie na tych warunkach.

Obszedł samochód, uwolnił Drzewołaza z łańcuchów, umieścił go na siedzeniu i pomógł mu za pomocą ręcznika papierowego wyciągniętego z bagażnika usunąć większość moczu. Potem przyszedł czas na powrót do domu.

\*

Na korytarzu Komendy Głównej w Kopenhadze przywitała ich wzburzona Pauline Berg. Simonsen wezwał ją telefonicznie i nakazał wrócić do pracy, gdzie miała zadbać o to, by pokój przesłuchań był gotowy. Poza tym sama miała uczestniczyć w przesłuchaniu. Zrobiła, o co ją prosił, a jednocześnie kontaktowała się wielokrotnie z Hrabianką i Pedersenem.

- Żądają, żebyś do nich natychmiast zadzwonił. Oboje są... zaniepokojeni rozwojem wypadków i nie rozumieją, dlaczego jechałeś sam z...

Bezskutecznie szukała słów, wskazując na Drzewołaza, który jakby z nieśmiałością chował się za plecami Simonsena, bezwolny i łatwy do sterowania jak uczeń szkółki niedzielnej.

- Andreas Linke, nazywa się Andreas Linke i nic w tym dziwnego, że pojechałem z nim sam, jest zupełnie nieszkodliwy. Poza tym jest miły i skłonny do współpracy.

Drzewołaż grzecznie skinął głową, jakby chciał potwierdzić jego słowa. Berg przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem, podczas gdy Simonsen mówił dalej:

- Wejdziemy teraz i porozmawiamy z Andreasem, reszta może poczekać, zdążyliśmy wszystko załatwić później. Jesteś gotowa?

Berg nie była gotowa. Świadoma, że nie może zrobić nic poza przysłuchiwaniem się, przeprosiła i poszła do łazienki, skąd jak uczennica zadzwoniła do Hrabianki. Gdy chwilę później znalazła się w pokoju przesłuchań, jej szef już zakończył wstępne czynności, usłyszała, jak nagrywa na taśmę informację, że pojawiła się w pokoju. Andreas Linke siedział na krześle z podciągniętymi nogami, obejmując się ramionami. Spokorniały jak zbity pies śledził każdy ruch i każde słowo Simonsena. Jego twarz była nienaturalnie blada, a gdy odpowiadał, brzmiał jak syn, który jest skłonny powiedzieć wszystko, byle tylko zadowolić surowego ojca. Sposób komunikacji Simonsena był prosty i bezpośredni.

- Nie wystarczy kręcić głową, musisz głośno powiedzieć, że nie chcesz adwokata.

- Nie chcę. Żadnego adwokata.

Potem nastąpiła długa seria pytań, które przenicowały życie Drzewołaży i ujawniły jego układy z pozostałymi w grupie samopomocowej, aż wreszcie Simonsen doszedł do zabójstw:

- Czy zabiłeś pięciu ludzi w sali gimnastycznej szkoły Langebæk w Bagsværdzie?

- Tak, zabiłem. Tak, to ja ich zabiłem.

- Opowiedz jak.

- Zostali powieszani. Ja ich powiesiłem.

Uśmiechnął się przepraszająco.

- Z kim współpracowałeś?

- Z innymi, inni z grupy byli w to zaangażowani.

- Jak nazywają się ci inni?

- Ma pan na myśli ich nazwiska?

- Tak, Andreasie, wymień ich, imiona i nazwiska. Chciałbym, żebyś powtórzył ich nazwiska, jeśli uczestniczyli w zabójstwach.

Odliczał na palcach.

- To byli: Per Clausen i Stig Åge Thorsen. I Erik, to znaczy Erik Mørk. No i ja.

- Nikt poza tym?

- Nie, nikt inny.

Simonsen zmarszczył brwi.

- Przepraszam, tak, również Helle Jørgensen, to jest Smidt Jørgensen, zapomniałem o niej. Proszę wybaczyć, ale ona nie żyje i Per Clausen, Per Clausen też nie żyje.

Zaśmiał się i dodał.

- Helle się nie zabiła, tylko umarła tak sama z siebie.

Wreszcie Berg się pozbierała. Padło już przyznanie się do winy, to musiało wystarczyć. Głośno odsunęła swoje krzesło do tyłu i wstała.

- Mnie już wystarczy.

Ale Simonsen również się podniósł; jego głos był twardy i rozkazujący.

- Usiądź, młoda damo, jesteś w pracy.

Czerwona na twarzy natychmiast wróciła na miejsce, podczas gdy on zatrzymał kasetę i przewinął w tył. Miał drobne problemy techniczne i minęło trochę czasu, nim mogli kontynuować.

- Jest jedna sprawa, która jest dla mnie ważna, Andreasie, coś, o czym wiesz tylko ty i my, chciałbym, żebyś mi to opowiedział.

Drzewołaż przyzwalająco skinął głową.

- Jak to zrobiłeś, że pięciu ludzi z minibusu znalazło się w sali gimnastycznej?

- Niektórzy z nich weszli sami, ale tych, którzy spali, wwiozłem na taczce. Przyjąłem ich. Byli ciężcy, ale ja jestem silny, czy to chciał pan wiedzieć?

- Nie, niezupełnie, coś stało się z jednym z nich, gdy siłowałeś się, żeby go wyciągnąć z busa, pamiętasz? Pamiętasz, kto to był?

Tym razem zastanawiał się i przez chwilę nie odpowiadał, aż nagle jego twarz rozjaśniła się radością.

- Thor Gran, to był Thor Gran, przewrócił się i krwawił z ucha. Jego ucho uderzyło w asfalt, miał brzydką ranę, ale to był wypadek.

- Właśnie to miałem na myśli. Powiedz mi teraz, kto wpadł na pomysł zabicia wszystkich tych ludzi oraz dlaczego musieli umrzeć.

Tym razem Drzewołaż się nie ościągł.

- Clausen, był bardzo mądry. Po ich śmierci wszyscy ludzie zaczęliby słuchać. Zwróciliby na nas uwagę, tak powiedział Per, no i byłoby trudniej, żeby... że kiedy ktoś...

Nieśmiało spuścił wzrok, ze wstydem szukał odpowiedniego sformułowania, ale nie zdążył. Anna Mia weszła do pokoju, a tuż za nią Poul Troulsen. Przez kilka sekund patrzył na aresztowanego, po czym stanowczo nakazał Berg:

- Wyjdź i zadzwoń po karetkę, pośpiesz się.

Berg niemal wybiegła, podczas gdy Anna Mia spokojnie podeszła do Simonsena i otoczyła go ramieniem.

- Musisz być zmęczony, tato. Chodź, pójdziemy.

Wzięła go za rękę, a on posłusznie wstał.

- Dorwałem ich, Anno Mio, słyszałaś? Dorwałem ich.

- Tak, wiem, świetnie, ale teraz już koniec. Jedziemy na wakacje.

Spokojnie razem opuścili pokój.

## Rozdział 72

W domu Simonsena Anna Mia przygotowała jedzenie i pomogła mu się spakować. Później dołączyła do nich Hrabianka, ale nie rozmawiali o sprawie, śledztwo się zakończyło. Simonsen został usadzony w fotelu, gdzie nie mogąc się skoncentrować, czytał książkę o szachach. Gdy do niego mówiły, uprzejmie odpowiadał, najchętniej za pomocą jednosylabowych słów, tak jakby nie bardzo rozumiał, co się wokół niego dzieje. Kobiety pozwoliły mu siedzieć. Hrabianka kilkakrotnie odebrała telefon w kuchni i w czasie jednej z rozmów ostro kogoś upominała, ale powróciwszy, niczego nie opowiedziała, a żadne z nich nie pytało. To ich nie dotyczyło. Dochodziła ósma, gdy wyruszyli.

Pojechali razem, samochodem Hrabianki. Simonsenowi wskazano tylne siedzenie, gdzie szybko zapadł w sen. Kobiety zmieniały się za kierownicą co godzinę, miło spędzając czas na rozmowie. O drugiej byli na miejscu, a one szybko zdecydowały, żeby zostawić śpiącego na tylnym siedzeniu w samochodzie. Razem poradziły sobie z wniesieniem bagaży i wypakowały to, co było konieczne, po czym zakończyły dzień przy lampce białego wina, zanim się rozeszły, Hrabianka do swojego pokoju, Anna Mia do ojca, do samochodu.

Ku swojemu zaskoczeniu Anna Mia spała nieprzerwanie przez trzy godziny, zapewne za sprawą wina, w każdym razie słońce już wstawało, gdy otworzyła oczy, a potem, nieco zdezorientowana, przypomniała sobie, gdzie jest. Jej ojciec też się obudził, siedział i patrzył przez okno. Uśmiechnęła się, gdy go zobaczyła, i spokojnym tonem powiedziała:

- Dzień dobry, witamy nad Morzem Północnym. Przejdziemy się po plaży?

Simonsen miał ochotę na spacer. Wysiedli i trzymając się za ręce, powędrowali przez najwyższe wydmy w dół ku wodzie. Zobaczywszy morze, zatrzymali się. Silne fale o pienistych szczytach, lśniące jak srebro w porannym słońcu, szybko ku nim podpływały, a wiatr smagał ich twarze. Położyła głowę na jego ramieniu.

- Pięknie, nie uważasz, tato?

- Tak, moja córeczko, pięknie.